



# Fred Vargas

## UCIEKAJ SZYBKO I WRÓĆ PÓŹNO

Znakomity kryminał bestsellerowej autorki  
wydawanej w **40 krajach!**



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

# Fred Vargas

## UCIEKAJ SZYBKO I WRÓĆ PÓŹNO

Z języka francuskiego przełożyła  
Bożena Sęk



Tytuł oryginału:  
PARS VITE ET REVIENS TARD

Copyright © Editions Viviane Hamy, 2006.

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Magdalena Bargłowska, Magdalena Świtała

ISBN: 978-83-7999-713-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# SPIS TREŚCI

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

Rozdział XXX

Rozdział XXXI

Rozdział XXXII

Rozdział XXXIII

Rozdział XXXIV

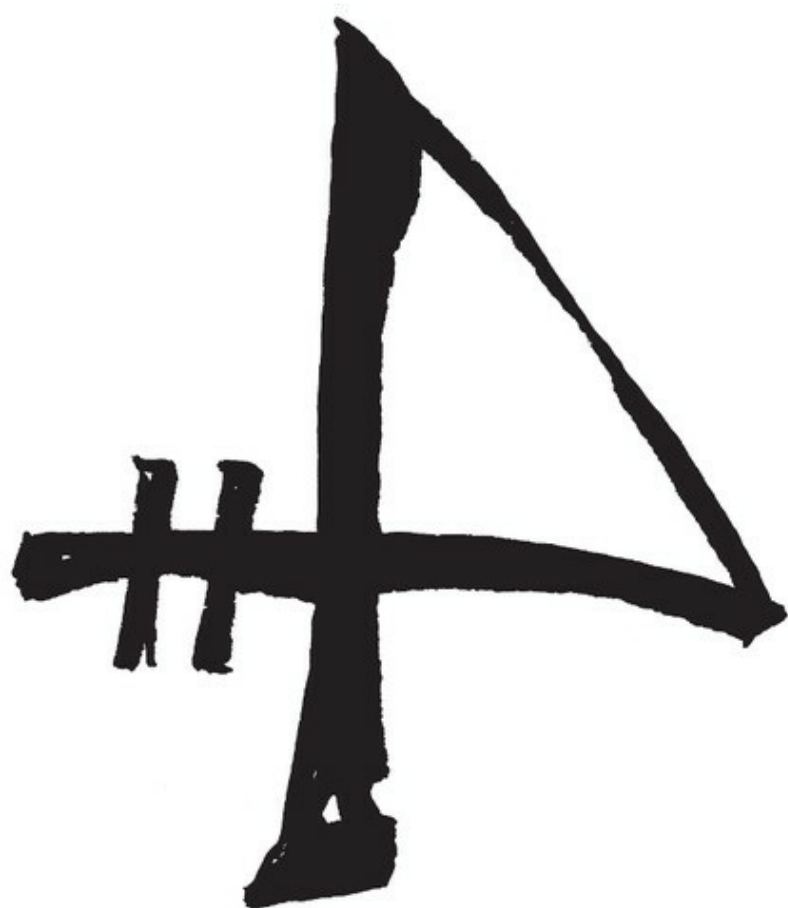
Rozdział XXXV

Rozdział XXXVI

Rozdział XXXVII

Rozdział XXXVIII

Przypisy





*Po czym gdy węże, nietoperze, borsuki i wszelakie stworzenia, które żyją w głębinach podziemnych chodników, wychodzą stadami na pola, opuszczając swe naturalne środowisko; gdy rośliny owocowe i warzywne zaczynają gnić i robaczywieć...*



Ludziska w Paryżu chodzą dużo szybciej niż w Guilvinec – to Joss stwierdził już dawno. Co rano piesi przetaczali się przez avenue du Maine z prędkością trzech węzłów. Tego poniedziałku Joss mknął w tempie prawie trzech i pół węzła, starając się nadrobić dwudziestominutowe opóźnienie. Z powodu fusów z kawy, które wysypały się na podłogę kuchni.

Wcale go to nie zdziwiło. Joss już dawno zrozumiał, że przedmioty mają swoje sekretne życie i są złośliwe. Pominąwszy może pewne elementy kadłuba, które nigdy go nie zaatakowały, jak daleko sięgała pamięć bretońskiego marynarza świat rzeczy martwych był ewidentnie pełen energii w całości skoncentrowanej na wkurzaniu człowieka. Najmniejszy błąd w obsłudze, gdy nagle powodował choćby nieznaczące uwolnienie przedmiotu, prowokował łańcuch nieszczęść o różnym natężeniu: od przykrości po tragedię. Korek, który wysuwa się z palców, jest – łagodnie mówiąc – modelowym tego przykładem. Albowiem upuszczony korek nie toczy się pod nogi człowieka, nic z tych rzeczy. Dekuje się złośliwie za piecem jak pająk czyhający na coś nieosiągalnego, a przeciwnikowi, człowiekowi, funduje pasmo rozmaitych ciężkich doświadczeń, takich jak przesuwanie kuchenki, urwanie kabla, zrzucenie garnka, poparzenie. Przypadek z tego ranka był konsekwencją ciągu bardziej złożonych czynności, mianowicie na początek niewinnego potknięcia się na koszu, wyłożenia się jak długi i rozsypania zawartości filtra do kawy na podłogę. Takim oto sposobem przedmioty, ożywiane słusznym pragnieniem zemsty za swą niewolniczą dolę, na krótko, acz dotkliwie potrafią sobie podporządkować człowieka za sprawą swojej utajonej mocy, zmusić go do wygibasów i czołgania się jak pies, nie oszczędzając nikogo, ani kobiet, ani dzieci. Nie, Joss za nic w świecie by nie zaufał przedmiotom, podobnie zresztą jak ludziom i morzu. Przedmioty bowiem odbierają ci rozum, ludzie duszę, a morze życie.



Jako mężczyzna zaprawiony w bojach, Joss wolał nie rzucać wyzwania losowi, pozbierał więc jak pies tę kawę, drobinka po drobince. Bez mrugnięcia odprawił pokutę i świat rzeczy wycofał się potulnie. Poranny ów incydent nic nie znaczył, na pozór był tylko niegodnym uwagi niemiłym wypadkiem, ale dla Jossa, który w takich sprawach się nie mylił, stanowił oczywiste przypomnienie, że wojna ludzi z rzeczami trwa i że w tej walce człowiek nie zawsze wygrywa, co to, to nie. Zaraz wspomniał rozliczne tragedie, statki pozbawione masztów, roztrzaskane trawlerzy i własną jednostkę, Vent de Norois, która 23 sierpnia o trzeciej rano zatонуła na Morzu Irlandzkim z ośmioma ludźmi na pokładzie. A przecież Bóg świadkiem, że Joss respektował historyczne wymagania swojego trawlera, Bóg też świadkiem, że człowiek i statek działali zgodnie. Aż do tej cholernej sztormowej nocy, kiedy to krew go zalała i rąbnął pięścią w nadburcie. Wtedy Vent de Norois, już prawie leżący na prawej burcie, zaczął raptem nabierać wody na rufie. Z zalanym silnikiem dryfował przez noc z ludźmi bez wytchnienia wypompowującymi wodę, aż wreszcie znieruchomiał o brzasku na podwodnej skale. Czternaście lat minęło od tamtej nocy, kiedy to zginęli dwaj ludzie Jossa. Czternaście lat minęło, odkąd Joss spuścił manto armatorowi. Czternaście lat minęło, odkąd Joss opuścił Guilvinec po dziewięciu miesiącach odsiadki za ciężkie pobicie z zamiarem zabójstwa, czternaście lat, odkąd niemal całe jego życie odpłynęło w siną dal.

Joss szedł rue de la Gaîté z zaciśniętymi zębami, przeżuując wściekłość, która wzbierała w nim, ilekroć zatopiony w morzu Vent de Norois wyłaniał się na falach jego myśli. W gruncie rzeczy nie złościł się na statek. Pocziwy stary trawler tylko odpowiedział na uderzenie skrzypieniem zbutwiałego poszycia. Joss był przekonany, że łajba nie przewidziała skutków swego krótkiego buntu, zapomniawszy o własnym wieku, zniszczeniu i sile bałwanów tamtej nocy. Trawler z pewnością nie chciał śmierci dwóch marynarzy i teraz, leżąc jak głupi na dnie Morza Irlandzkiego, żałuje. Joss dosyć często przemawiał do niego, pocieszając go i wybacząc mu, i zdawało mu się, że statek, podobnie jak on, może już spokojnie spać, że ułożył sobie nowe życie tam jak on tutaj, w Paryżu.

O wybaczeniu armatorowi natomiast nie było mowy.

– No, no, Joss – mawiał ów człowiek, klepiąc go po ramieniu – ta stara łajba jeszcze z dziesięć lat cię powozi. Mocna jest, a ty nią dowodzisz.

– Vent de Norois zrobił się niebezpieczny – uparcie powtarzał Joss. – Obraca nim i poszycie się sypie. Pokrywy luku ładowni się wypaczyły. Nie ręczę za niego w razie wyższej fali. A szalupa nie spełnia norm.

– Znam swoje statki, kapitanie Le Guern – odpowiadał armator twardszym głosem. – Jak się boisz Norois, na jedno skinienie mam dziesięciu chętnych na twoje miejsce. Ludzi, których byle co nie wystraszy i którzy nie marudzą jak gryziptórki o normach bezpieczeństwa.

– A ja mam siedmiu chłopaków na pokładzie.

Armator groźnie przysuwał do niego tłustą twarz.

– Słuchaj no, Le Guern, jakby ci przyszło do głowy chodzić do kapitanatu i tam się wypląkiwać, obiecuję, że ani się obejrzysz, jak znajdziesz się na bruku. I od Brestu po Saint-Nazaire nikt cię nie przyjmie do załogi. Radzę więc, kapitanie, żebyś dobrze się zastanowił.

O tak, Joss nie mógł odżałować, że nie wykończył tego typa nazajutrz po katastrofie, że poprzestał na złamaniu mu jednej kończyny i paru żeber. Odciągnęli go bowiem chłopcy z załogi, we czterech musieli się z nim szarpać. Nie niszczyć życia, Joss, powiedzieli. Przytrzymali go, nie pozwolili mu utłuc armatora i wszystkich jego sługusów, którzy wykreślili go ze swoich list, jak tylko wyszedł z paki. Joss w każdym po kolei barze obwieszczał wszem wobec, że pasibrzuchy z kapitanatu biorą w łapę, tak że musiał się pożegnać w ogóle z marynarką. Odprawiano go z kwitkiem w kolejnych portach, aż zdesperowany wskoczył w któryś wtorek do porannego pociągu Quimper–Paryż i wzorem wielu Bretończyków wylądował przed dworcem Montparnasse, zostawiwszy za sobą żonę, która od niego uciekła, i dziewięciu facetów do zamordowania.

W pobliżu skrzyżowania z Edgar-Quinet Joss ukrył zadawnione urazy za podszewką umysłu i skupił się na nadrobieniu spóźnienia. Wszystkie te sprawy z fusami kawy, z wojną z rzeczami martwymi i wojną z ludźmi

zeżarły mu kwadrans, lekko licząc. Punktualność tymczasem była kluczowym elementem jego pracy, zależało mu bowiem, aby pierwsze wydanie jego mówionej gazety zaczynać dokładnie o ósmej trzydzieści, drugie o dwunastej trzydzieści pięć, a wieczorne o osiemnastej dziesięć. Wtedy przewalały się największe tłumy, słuchacze zaś w tym mieście za bardzo się spieszyli, by ścierpieć najmniejsze opóźnienie.

Joss zdjął skrzynkę z drzewa, na którym ją zawieszał na noc, przywiązując podwójnym węzłem ratowniczym i dwoma blokadami chroniącymi przed kradzieżą, i zważył w ręce. Nie była zbyt ciężka, upora się ze wszystkim raz-dwa. Przez usta przemknął mu uśmiech, gdy niósł skrzynkę na zaplecze, które udostępniał mu Damas. Są jeszcze na tym świecie przyzwoici ludzie, ludzie tacy jak Damas, ludzie, którzy dają ci klucz i kawałek stołu, nie bojąc się, że zwędzisz im kasę. Damas... co to w ogóle za imię? Prowadził sklep z łyżworolkami na placu, Roll-Rider, i pozwalał mu u siebie przygotowywać wydania pod dachem, nie na deszczu. Roll-Rider... co to w ogóle za nazwa?

Odryglował drewnianą skrzynkę, którą własnoręcznie zbudował techniką zakładkową i ochrzcił mianem Vent de Norois II na cześć zatopionej ukochanej łajby. Dla wielkiego trawlera do połowów pełnomorskich na pewno nie było wielkim zaszczytem przekazanie imienia skrzynce na listy w Paryżu, tyle że ta skrzynka była nie byle jaka. Była to genialna skrzynka powstała dzięki genialnemu pomysłowi, który zrodził się przed siedmioma laty i kapitalnie pomógł Jossowi stanąć na nogi po trzech latach pracy w wytwórni konserw, pół roku w fabryce szpulek i dwóch latach bezrobocia. Genialny pomysł wpadł mu do głowy pewnej grudniowej nocy, gdy wysiadując ze szklaneczką w garści w kawiarni na Montparnassie, zapełnionej w trzech czwartych przez samotnych Bretończyków, słuchał ustawicznego pomrukiwania ech ojczystej krainy. Jakiś gość gadał o Pont-l'Abbé i wówczas praprapradziad Le Guern, urodzony w Locamarii w 1832 roku, wyszedł z głowy Jossa, oparł się łokciem o bar i powiedział cześć. Cześć, odparł Joss.

– Pamiętasz mnie? – zapytał stary.

– No – mruknął Joss. – Nie było mnie na świecie, jak umarłeś, to i nie płakałem.

– Do diaska, mógłbyś sobie darować wygadywanie bzdur ten jeden raz, kiedy cię nawiedzam. Ile masz lat?

– Pięćdziesiąt.

– Życie się z tobą nie pieściło. Wyglądasz na więcej.

– Obejdzie się bez takich uwag. Poza tym nie wzywałem cię. Z ciebie też był gagatek.

– Nie tym tonem, chłopcze. Wiesz, co się dzieje, jak się wkurzę.

– Ano, wszyscy wiedzieli. Szczególnie twoja kobieta, którą przez całe życie tłukłeś na kwaśne jabłko.

– E tam... – skrzywił się stary. – Wszyscy tak robili. Takie były czasy.

– Czasy, akurat!... Świerbiły cię łapy. Wybiłeś jej oko.

– Słuchaj no, po prawie dwóch wiekach znowu będziemy mówili o tym oku?

– Tak. Dla przykładu.

– I ty, Joss, chcesz mnie pouczać? Ty, któryś o mało nie skopał na śmierć faceta na nabrzeżu w Guilvinec? A może się mylę?

– Nie był kobietą, to po pierwsze primo, nie był nawet facetem, to po drugie primo. To był worek z forszą, który miał gdzieś, jak się wiedzie innym, byle on zainkasował swoje.

– A tak, wiem. Trudno zaprzeczyć. Ale to nie wszystko, chłopcze. Czemuś mnie wezwał?

– Już mówiłem: nie wezwałem cię.

– Ależ z ciebie uparciuch! Masz szczęście, żeś odziedziczył po mnie oczy, bobym ci naprawdę przyłożył. Wyobraź sobie, że skoro tu jestem, znaczy, żeś mnie wezwał. I nie chce być inaczej. Zresztą sam do takich knajp nie chodzę, nie lubię muzyki.

– No dobra – rzekł Joss pokonany. – Postawić ci kielicha?

– Jak dasz radę podnieść rękę. Bo szczerze powiem, wyglądasz mi na mocno zaprawionego.

– Nie twój interes, dziadku.

Przodek Jossa wzruszył ramionami. Niejedno już widział, a taki smarkacz na pewno go nie rozsierzdzi. A w ogóle z tego Jossa jest prawdziwy Le Guern, bez dwóch zdań.

– Czyli... – podjął stary, siorbiąc chouchen<sup>1</sup> – ...jesteś bez kobiety i bez

grosza?

– Co za przenikliwość! – ironizował Joss. – Swego czasu nie byłeś taki sprytny, jak powiadają.

– Duchy tak mają. Jak się nie żyje, zna się różne rzeczy, o których wcześniej nie miało się pojęcia.

– Bez żartów – wymamrotał Joss, słabą ręką kiwając na kelnera.

– Jak się rozchodzi o baby, nie warto było mnie wzywać, w tym nie jestem najlepszy.

– Nie da się ukryć.

– Ale co do roboty, chłopcze, to łatwizna. Wystarczy wziąć przykład z rodziny. W szpulkach nie miałeś czego szukać, to był błąd. No bo wiesz, przed rzeczami martwymi trzeba się mieć na baczności. Liny jeszcze ujądą, ale szpulki, nici, że nie wspomnę o korkach... od tego lepiej trzymać się z daleka.

– Wiem – przytaknął Joss.

– Trzeba korzystać z doświadczeń przodków. Bierz przykład z rodziny.

– Nie mogę być marynarzem – zdenerwował się Joss. – Mam wilczy bilet.

– A kto tu mówi o marynarskim fachu? Nie tylko ryby są w życiu, do diaska, jeszcze by tego brakowało. Czy ja byłem marynarzem?

Joss opróżnił szklankę i skupił się na pytaniu.

– Nie – odparł po kilku chwilach. – Byłeś obwoływaczem publicznym. Od Concarneau do Quimper obwieszczałeś nowiny.

– Zgadza się, chłopcze, i dumnym z tego. Byłem ar bannourem, obwoływaczem. Nie było lepszego ode mnie na całym południowym wybrzeżu. W każdy boży dzień ar bannour wkraczał do innej wioski i w południe ogłaszał nowiny. I muszę ci powiedzieć, że od świtu czekały na mnie tłumy. Miałem trzydzieści siedem miejscowości na swoim terenie, to nie byle co, he? I niemało ludzi, he? Ludzi, którzy mieli pojęcie o świecie, a dzięki czemu? Dzięki nowinom. A dzięki komu? Dzięki mnie, ar bannourowi, najlepszemu łowcy nowin w całym Finistère. Mój głos niósł się od kościoła aż do pralni i znałem wszystkie słowa. Każdy podnosił głowę, żeby mnie wysłuchać. Mój głos przynosił ludziom świat, życie, a to całkiem co innego niż ryby, wierz mi.

– Yhm – mruknął Joss, nalewając sobie własnoręcznie z butelki postawionej na kontuarze.

– Drugie Cesarstwo ja obwieściłem. Jeździłem po wieści aż do Nantes i przywoziłem je na końskim grzbiecie świeżutkie jak przypływ. Trzecią Republikę też ja obwieściłem na każdym skrawku wybrzeża. Gdybyś widział ten zgiełk!... A nie wspomnę już o lokalnych wydarzeniach: ślubach, pogrzebach, pyskówkach, rzeczach znalezionych, zgubionych dzieciach, sabotach do odnowienia... to wszystko ja przewoziłem. Jechałem od wioski do wioski i wszędzie dawano mi wieści do przyczytania. Wyznanie miłości dziewczyny z Penmarchu do chłopaka z Sainte-Marine... dotąd to pamiętam. Skandal jak diabli zakończony morderstwem.

– Mógłbyś sobie darować.

– Słuchaj, płacili mi za to, żebym odczytywał wieści, robiłem tylko, co do mnie należało. Gdybym czegoś nie przeczytał, okradłabym klienta, a Le Guernowie to może i prostacy, ale nie złodzieje. Dramaty, miłość i zazdrość rybaków nie obchodziły mnie wcale. Miałem dość problemów z własną rodziną na głowie. Raz w miesiącu wpadałem do wioski, żeby zobaczyć dzieciaki, iść do kościoła i zaliczyć dymanko.

Joss westchnął z nosem w szklance.

– I zostawić trochę grosza – dorzucił jego antenat dobitnie. – Dla kobiety i ósemki dzieciaków jedzenia trzeba, że ho, ho! Ale wierz mi, dzięki ar bannourowi zawsze mieli do syta.

– Batów?

– Żarcia, głąbie.

– Takie to było popłatne?

– Jeszcze jak! Na tym świecie jest jeden produkt, który nigdy się nie starzeje: nowiny, i jedno pragnienie, które nigdy nie jest zaspokojone: ludzka ciekawość. Jak jesteś obwoływaczem, dajesz cycka całej ludzkości. I wiesz na pewno, że nigdy ci nie braknie pokarmu i gąb do wyżywienia. Ale do diaska, jeśli tyle chlasz, nie będziesz mógł zostać obwoływaczem. W tym fachu trzeba mieć jasne myśli.

– Nie chcę cię smucić, dziadku – rzekł Joss, kręcąc głową – ale nigdzie już nie ma obwoływaczy. Pewnie nawet nie znajdziesz nikogo, kto wie, co to słowo znaczy. Szewc tak, ale obwoływacz wyleciał chyba nawet ze

słownika. Nie wiem, na ile jesteś na bieżąco, odkąd umarłeś, ale tutaj sporo się pozmieniało. Nikt nie potrzebuje wysłuchiwać czyichś ryków przed kościołem, skoro każdy ma gazetę, radio, telewizję. A jak się podłączysz do sieci w Loctudy, wiesz, czy ktoś akurat się wysikał w Bombaju. No więc sam rozumiesz.

– Naprawdę mnie masz za starego durnia?

– Tylko cię informuję. Teraz moja kolej.

– Kapitulujesz, biedaku. Nie daj się! Niewiele zrozumiałeś z tego, com powiedział.

Joss podniósł pusty wzrok na swego praprapradziada, który z niejakim dostojeństwem schodził ze stołka barowego. Ar bannour był wysoki jak na swoje czasy. Fakt, Jossa łączyło wielkie podobieństwo do tego osiłka.

– Obwoływacz – powiedział z siłą jego przodek, waląc dłonią w kontuar – to życie. I nie mów mi, że nikt już nie rozumie, co to słowo znaczy, ani że nie ma go w słowniku, albo pomyślę, że Le Guernowie się wyrodzili i już nie zasługują na obwoływanie życia!

– Stary dureń – mruknął Joss, patrząc za oddalającym się antenatem. – Spierniczały nudziarz. – Odstawił szklanę na blat i ryknął za nim: – I tak cię nie wzywałem!

– Dość tego – powiedział kelner, biorąc go za rękę. – Bądź pan grzeczny, bo przeszkadzasz tu wszystkim.

– Wkurwiam świat! – wrzasnął Joss, czepiając się kontuaru.

Pamiętał, że z baru Artimon wyrzucili go dwaj goście niżsi od niego, a potem przeszedł jakieś sto metrów jezdnią, zataczając się od krawężnika do krawężnika. Obudził się dziewięć godzin później w bramie kamienicy odległej o dobre dziesięć przystanków metra od baru. Koło południa dowlókł się do swojego mieszkania, oburącz trzymając się za łupiącą głowę, padł i spał do szóstej rano następnego dnia. Kiedy z trudem otworzył oczy, wpatrzył się w zapyziały sufit swojego lokum i z uporem powtórzył:

– Stary dureń.

Minęło zatem siedem lat, odkąd Joss po kilku trudnych miesiącach rozkręcania się – musiał znaleźć właściwy ton, ustawić głos, wybrać miejsce, ułożyć rubryki, pozyskać stałych klientów, ustalić taryfy – działał

w wymarłym fachu „obwoływacza”. Został ar bannourem. Błąkał się ze swoją skrzynką po różnych miejscach w promieniu siedmiuset metrów od dworca Montparnasse, od którego nie lubił się oddalać na wszelki wypadek, jak mawiał, i w końcu przed dwoma laty na stałe wybrał zbieg ulic Edgar-Quinet z Delambre. Tym sposobem skupiał wokół siebie klientów targowiska, mieszkańców, przyciągał uwagę pracowników biur i dyskretnych bywalców rue de la Gaîté, przechwytywał również część fali pasażerów wysypujących się z dworca Montparnasse. Nieduże zwarte grupki tłoczyły się wokół niego, by wysłuchać ogłaszanych donośnie wieści, bez wątpienia nie tak liczne jak ongiś wokół jego praprapradziada Le Guerna, lecz należało wziąć pod uwagę, że Joss udzielał się codziennie, i to trzy razy na dobę.

Ale też do jego skrzynki trafiało sporo wiadomości, średnio sześćdziesiąt na dzień – znacznie więcej znajdował ich z rana niż wieczorem, widocznie noc bardziej sprzyja ukradkowym działaniom – każdą w zaklejonej kopercie zawierającej pięć franków. Pięć franków za to, by usłyszeć swoją myśl, anons, ogłoszenie o poszukiwaniu rzucane na paryski wiatr, nie było wygórowaną kwotą. Z początku Joss próbował ze stawką minimalną, ludziom się jednak nie podobało sprzedawanie własnych słów za franka. To obniżało rangę ich nowiny. Obowiązująca teraz stawka pasowała zatem i płacącym, i pobierającemu opłatę, a Joss miesięcznie – pracując również w niedziele – inkasował na czysto dziewięć tysięcy franków.

Stary ar bannour miał słuszność: materiału nigdy nie brakowało, tak że Joss musiał się w tej kwestii zgodzić z przodkiem pewnego pijackiego wieczoru w barze Artimon. „A nie mówiłem, że ludzie chcą z siebie wyrzucić kupę rzeczy? – rzekł antenat zadowolony, że potomek uruchomił interes. – Są wypchani słowami jak stary siennik słomą. Takimi, które nadają się do powiedzenia, i takimi, które lepiej przemilczeć. Ty tylko zbierasz materiał i oddajesz przysługę światu. Oczyszczasz go. Ale uważaj, do diaska, to niełatwa robota. Jak poskrobiesz po dnie, wypompujesz i czystą wodę, i szlam. Dlatego pilnuj się, chłopie, w ludzkiej głowie nie samo piękno siedzi”.

Stary piernik się nie mylił. W skrzynce Joss znajdował rzeczy do



powiedzenia i do niepowiedzenia. „Nie do powiedzenia”, poprawił go stary inteligencik, który prowadził coś w rodzaju hotelu koło interesu Damasa. Wyjmując wiadomości, Joss zaczynał od posortowania ich na rzeczy do powiedzenia i do niepowiedzenia. Na ogół rzeczy do powiedzenia wpływały drogą naturalną, to znaczy z ludzkich ust, zwyczajnymi strumykami albo wzburzonymi falami, co pozwalało człowiekowi nie pęknąć pod parciem nagromadzenia słów. Albowiem w odróżnieniu od siennika człowiek codziennie przyswaja nowe słowa, przez co oczyszczanie staje się doprawdy kwestią życiową. Z rzeczy do powiedzenia część pospolita trafiała do rubryk Kupno, Sprzedaż, Poszukuję, Miłość, Różne i Ogłoszenia techniczne, przy czym te ostatnie występowały w liczbie ograniczonej, Joss bowiem liczył sobie za nie po sześć franków za utrudnienia, z którymi musiał się mierzyć w trakcie lektury.

Obwoływacz wszakże odkrył niespodziewanie, jak wiele jest rzeczy do niepowiedzenia. Niespodziewanie, bo w sienniku nie przewidziano żadnego otworu pozwalającego usunąć tę słowną materię. A do tego się kwalifikowała, albowiem bądź to wykraczała gwałtownością lub zuchwałością poza dozwolone granice, bądź to przeciwnie, nie wzbudzała zainteresowania na takim poziomie, który by uprawniał jej istnienie. Obrażliwe lub bezczelne słowa były zatem separowane, wciskane głęboko w wypełnienie siennika, żyły w mroku, wstydzie i ciszy. Niemniej, co obwoływacz doskonale pojął w ciągu siedmiu lat parania się tym fachem, słowa te wcale nie umierały. Gromadziły się, wspinały jedne na drugie, kwaśniały w miarę upływu czasu, który spędzały w pudle, ze złością uczestnicząc w napływie i odpływie słów zgrabnych, uprawnionych do istnienia. Wystawiając publicznie skrzynkę z wąskim otworem długim na dwanaście centymetrów, obwoływacz dał więźniom drogę ucieczki, szparę, przez którą słowa wymykały się jak rój pasikoników. Nie było dnia, by nie wyjął ze skrzynki rzeczy do niepowiedzenia: nudnych tyrad, zniewag, wyrazów rozpacz, oszczerstw, donosów, pogróżek, obłąkanych bredni. Czasem tak wyraźnie i koszmarne głupich, że z trudem dało się doczytać zdanie do końca. Czasem znów tak zamotanych, że sens zupełnie umykał. Czasem tak odrażających, że kartka wypadała z rąk. A czasem tak nienawistnych, tak niszczycielskich, że obwoływacz je eliminował.

Obwoływacz bowiem dokonywał selekcji.

Chociaż człkiem był obowiązkowym i świadomym, że dobywa z nicości najbardziej uciemnione wytwory ludzkiej myśli, że kontynuuje godne dzieło przodka, to jednak przyznawał sobie prawo wykluczania tego, co nie chciało mu przejść przez usta. Wiadomości nieprzeczytane czekały gotowe do zwrotu wraz z opłatą, bo jak nakładł mu do głowy przodek, u Le Guernów nie ma złodziei. Przed każdą sesją Joss układał zatem odrzutki na skrzyni, która służyła mu jako podwyższenie. Zawsze jakieś były. Każda pogróżka skierowana do kobiety, każde posłanie do piekła asfaltów, arabstwa, żółtków i pedalstwa, wszystko to trafiało do odrzutków. Joss instynktownie wyczuwał, że z byle powodu mógł przyjść na świat jako kobieta, Murzyn albo pedał i że u źródeł cenzury prewencyjnej, na którą sobie pozwalał, leży nie szlachetność, lecz instynkt przetrwania.

Raz w roku, między 11 a 16 sierpnia, Joss wstawiał skrzynkę do suchego doku, aby ją doprowadzić do porządku, wygładzić, odmalować na ciemnoniebiesko powyżej linii zanurzenia, na błękitno poniżej, na dziobie odświeżyć nazwę Vent de Norois II dużymi kształtnymi czarnymi literami, „Godziny urzędowania” na prawej burcie, „Taryfy” oraz „Inne warunki przedmiotowe” na burcie lewej. Często słyszał ten termin po aresztowaniu i w trakcie rozprawy i zabrał go ze sobą na pamiątkę. Joss uważał, że te „warunki przedmiotowe” dodają klasy obwieszczeniom, mimo że inteligencik z hotelu niekoniecznie się z tym zgadzał. Właściwie nie bardzo wiadomo, co myśleć o tym facecie, niejakim Hervém Decambrais’em. Arystokrata bez dwóch zdań, taki „ą-ę”, ale splukany do cna, aż musi podnajmować cztery pokoje u siebie na piętrze i dorabiać sprzedażą serwetek oraz odpłatnymi poradami psychologicznymi, które są zupełnie do bani. Sam mieszkał w ciasnocie na parterze, w dwóch pokojach zawałonych stosami książek, które tylko zajmowały miejsce. Jeśli nawet Hervé Decambrais nałykał się z nich tysięcy słów, Joss wcale się nie bał, że się nimi udusi, bo jaśniepan strasznie dużo mówił. Łykał i wyrzucał z siebie słowa przez okrągły dzień, istna pompa ssąco-tłocząca, miewał fragmenty strasznie zamotane, nie zawsze rozumiałe. Damas też nie wszystko łapał, co w pewnym sensie było krzepiące, lecz Damasa trudno brać za wzór.

Kiedy po wysypaniu na stół zawartości skrzynki Joss wziął się za

sortowanie rzeczy do powiedzenia i do niepowiedzenia, zatrzymał dłużej w ręce szeroką grubą kopertę w kolorze złamanej bieli. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, czy aby inteligencik nie jest autorem tych luksusowych wiadomości – po dwadzieścia franków w kopercie – które dostawał od trzech tygodni, wiadomości najbardziej niemiłych, jakie trafiły do niego w ciągu tych siedmiu lat. Rozerwał kopertę, czując obecność antenata zagląającego mu przez ramię. „Pilnuj się, chłopie, w ludzkiej głowie nie samo piękno siedzi”.

– Zamknij się – powiedział Joss. Rozłożył kartkę i przeczytał cicho: – „Po czym gdy węże, nietoperze, borsuki i wszelakie stworzenia, które żyją w głębinach podziemnych chodników, wychodzą stadami na pola, opuszczając swe naturalne środowisko; gdy rośliny owocowe i warzywne zaczynają gnić i robaczywieć”...

Odwrócił kartkę, szukając ciągu dalszego, lecz tekst na tym się urywał. Pokręcił głową. Nieraz już przeprowadzał czystkę wśród słów, usuwając szalone, ale ten gość bił wszelkie rekordy.

– Świr – mruknął Joss. – Bogaty świr.

Odłożył kartkę i szybko zaczął rozrywać kolejne koperty.



Hervé Decambrais stanął w drzwiach kilka minut przed sesją obwoływacza o ósmej trzydzieści. Oparty o framugę czekał na przyjscie Bretończyka. Na jego stosunkach z rybakiem ciążyło milczenie i wrogość. Decambrais nie potrafił ustalić ich pochodzenia ani przyczyn. Miał skłonność do zrzucania odpowiedzialności za to na tego sfrustrowanego typka, twardego jak granit, możliwe, że porywczego, który zakłócił subtelny ład jego życia dwa lata wcześniej, kiedy zjawił się z tą swoją śmieszną skrzynką i gromko wygłaszanymi obwieszczeniami, trzy razy dziennie wylewając tonę niestrawnego błocka w miejscu publicznym. Z początku nie przykładał do tego wagi przekonany, że facet nie wytrwa ani tygodnia. Tymczasem interes kręcił się nad podziw, a Bretończyk przyciągał liczną klientelę, tak że niejako miał pełną salę każdego dnia, no istna zaraza.

Za żadne skarby świata Decambrais nie przepuściłby udziału w tej zarazie i za żadne skarby świata by się do tego nie przyznał. Co rano zajmował więc pozycję strategiczną z książką w ręce i wysłuchiwał obwieszczeń ze spuszczonego wzrokiem, przewracając kartki, lecz nie posuwając się ani o linijkę w lekturze. Między jedną a drugą rubryką Joss Le Guern obrzucał go czasem krótkim spojrzeniem. Decambrais nie lubił tego łypania niebieskim okiem. Zdawało mu się, że obwoływacz chce się upewnić co do jego obecności, że wyobraża sobie, iż zwrócił jego uwagę i trzyma go jak zwykłą rybę w sieci. Bretończyk bowiem zasłużył się jedynie tym, że przeniósł do miasta swoje prostackie zachowania rybaka, zagarniając w sieci fale przechodniów jak ławice dorszy z iście profesjonalnym zacięciem łowcy. Przechodnie czy ryby, w jego okrągłej głowie wychodziło na jedno, a najlepszy dowód, że patroszył wszystkich równo, aby mieć z tego zysk. Mimo wszystko Decambrais'go wzięło, a był zbyt subtelnym znawcą ludzkiej duszy, żeby to zignorować. Tylko książka, którą trzymał w rękach, odróżniała go jeszcze od reszty słuchaczy na placu. Czy nie wypadaloby raczej odłożyć tę przeklętą książkę i trzy razy dziennie mężnie stawiać czoło swojemu stanowi ryby w sieci? Czyli człowieka

pokonanego, inteligenta porwanego głupim krzykiem ulicy?

Tego ranka Joss Le Guern był trochę spóźniony, rzecz doprawdy niesłychana. Decambrais kątem spuszczonego oka patrzył, jak pospiesznie przychodzi i solidnie mocuje do pnia płatanu pustą skrzynkę, jaskrawoniebieską skrzynkę pretensjonalnie nazwaną Vent de Norois II. Decambrais zastanawiał się, czy ten rybak ma po kolei w głowie. Chętnie by się dowiedział, czy chrzci w ten sposób wszystkie swoje dobra ruchome, czy jego krzesła, stół i tak dalej też mają imiona. Przyglądał się następnie, jak Joss łapskami niczym łopaty ustawia swe ciężkie podwyższenie na chodniku tak łatwo, jakby przenosił ptaszka, energicznie wskakuje na nie jak na pokład kutra, wyciąga plik kartek spod kurtki. Ze trzydzieści osób czekało cierpliwie, wśród nich Lizbeth, jak zawsze wierna na posterunku, podparta pod boki.

Lizbeth zajmowała u niego pokój numer 3 i w charakterze zapłaty pomagała mu w sprawnym prowadzeniu na czarno pensjonatu. Bezcenna, wyjątkowa, niezastąpiona. Decambrais drżał na myśl o dniu, gdy jakiś facet pozbawi go cudownej Lizbeth. Kiedyś nieuchronnie do tego dojdzie. Wysoka tęga czarnoskóra Lizbeth widoczna była z daleka. Nie należało zatem liczyć, że da się ją ukryć przed oczami świata. Zwłaszcza że temperament miała mało dyskretny, mówiła głośno i hojnie dzieliła się swoim zdaniem na każdy temat. Najgorsze było to, że uśmiech Lizbeth, na szczęście niezbyt częsty, wzbudzał nieprzeparte pragnienie, by paść jej w ramiona, przytulić się do bujnej piersi i zostać tak na zawsze. Miała trzydzieści dwa lata i pewnego dnia Decambrais ją straci. Na razie strofowała obwoływacza.

– Spóźniłeś się z otwarciem, Joss – mówiła odchylona z głową wzniesioną ku niemu.

– Wiem, Lizbeth – odparł zdyszany obwoływacz. – To przez fusy z kawy.

Lizbeth, w wieku dwunastu lat wyrwana z czarnego getta w Detroit, trafiła do burdelu zaraz po przybyciu do stolicy Francji, gdzie w ciągu czternastu lat szlifowania chodników przy rue de la Gaîté nauczyła się języka. A na koniec z racji jej tuszy wszystkie przybytki w dzielnicy zamknęły przed nią drzwi. Dziesięć dni spała na ławce na placu, wreszcie

w deszczowy zimny wieczór Decambrais postanowił zabrać ją do siebie. Miał wolny jeden z czterech pokoiów, które wynajmował na piętrze swojego starego domu. Zaproponował, aby go zajęła. Lizbeth się zgodziła, po czym ledwie weszła do środka, rozebrała się i położyła na wykładzinie z rękami założonymi pod głowę, czekając, aż stary zrobi swoje. „To nieporozumienie” – wybąkał Decambrais, podając jej ubranie. „Nie mam jak inaczej zapłacić” – odparła Lizbeth, podnosząc się z podłogi ze stulonymi nogami. „Hm – podjął Decambrais ze wzrokiem wlepionym w wykładzinę – nie mogę sobie poradzić z tym wszystkim, ze sprzątaniami, obiadami dla lokatorów, z zakupami, z całą obsługą. Jak mi pani pomoże, pozwolę pani tu mieszkać”. Lizbeth się uśmiechnęła, a Decambrais o mało nie przypadł do jej piersi. Uważał się jednak za starca i był zdania, że ta kobieta ma prawo odpocząć. Wypoczynku Lizbeth sobie nie żałowała: była u niego od sześciu lat i nie zauważył, by choć raz sprowadziła sobie gacha. Lizbeth zatem dochodziła do siebie, a on się modlił, by jeszcze trochę to potrwało.

Zaczęła się sesja obwoływacza, który odczytywał kolejne ogłoszenia. Decambrais uświadomił sobie, że przegapił początek – Bretończyk był już przy anonsie numer 5. Taki miał system. Jeśli coś cię zainteresowało, należało zapamiętać numer i potem zwrócić się do obwoływacza o „dodatkowe szczegóły przedmiotowe”. Decambrais zachodził w głowę, gdzie też Bretończyk mógł podłapać to policyjne wyrażenie.

– Pięć! – krzyczał Joss. – Sprzedam miot kociąt biało-rudych, trzy samce, dwie samice. Sześć: Uprasza się tych, co przez całą noc puszczają dudniącą dziką muzykę naprzeciw numeru trzydzieści sześć, żeby przestali. Niektórzy chcą się wyspać. Siedem: Meblarstwo artystyczne, restaurowanie zabytkowych mebli, jakość gwarantowana, odbiór od klienta i dostarczenie do domu. Osiem: Pieprzyć elektrownię i gazownię. Dziewięć: Dezynsekcja to pic na wodę. Karaluchów jest tyle samo, a faceci wyciągają ci z kieszeni sześć stów. Dziesięć: Kocham cię, Hélène. Czekam wieczorem Pod Tańczącym Kotem. Podpisano: Bernard. Jedenaście: Lato znów było beznadziejne, a teraz już wrzesień. Dwanaście: Do rzeźnika przy placu: wczorajsze mięso to były ochłapy, i to trzeci raz w ciągu tygodnia.

Trzyńście: Jean-Christophe, wróć. Czternaście: Gliniarze to na równi oszołomy i szuje. Piętnaście: Sprzedam jabłka i śliwki z własnego ogrodu, pyszne, soczyste.

Decambrais zerknął na Lizbeth, która zanotowała „15” w notesiku. Odkąd obwoływacz odczytywał ogłoszenia, znajdowali znakomite niedrogie produkty, które bardzo się przydawały na kolację dla lokatorów. Czekał na ciąg dalszy z ołówkiem w ręce i czystą kartką wsuniętą wcześniej do książki. Od kilku tygodni, może od trzech, obwoływacz odczytywał jakieś niesamowite teksty, które zdawały się go intrygować w takim samym stopniu jak anonse o sprzedaży jabłek czy samochodów. Te niezwykle ogłoszenia, wyrefinowane, absurdalne lub groźne, pojawiały się teraz regularnie na porannej sesji. Decambrais dwa dni wcześniej postanowił, że będzie je notował. Ołówek, długi na cztery centymetry, mieścił mu się cały w dłoni.

Teraz obwoływacz zrobił przerwę na prognozę pogody. Wygłaszał swoje przewidywania na podstawie stanu nieba oglądanego z podwyższenia, na którym stał z zadartą do góry głową, następnie uzupełniał je rybacką prognozą kompletnie bezużyteczną dla ludzi skupionych wokół niego. Nikt jednak, nawet Lizbeth, nie pomyślał, by mu powiedzieć, że może się wypchać tą częścią sesji. Słuchano go jak księdza w kościele.

– Ponura wrześniowa pogoda – wywodził obwoływacz z twarzą podniesioną do nieba. – Na przejaśnienie nie ma co liczyć przed szesnastą, wieczorem będzie trochę lepiej, ale jakbyście wychodzili, ubierzcie się ciepło, będzie zimny wiatr, choć osłabnie. Prognoza rybacka na obszar Atlantyku na dzisiaj i przewidywane zmiany: antycyklon tysiąc trzydzieści na południowo-zachodnim obszarze Morza Irlandzkiego z klinem wysokiego ciśnienia nad La Manche. W obszarze przylądka Finisterre wiatr wschodni skręcający do północno-wschodniego pięć do sześciu na północy, sześć do siedmiu na południu. Stan morza: cztery miejscami pięć z falą zachodnią skręcającą do północno-zachodniej.

Decambrais wiedział, że rybacka prognoza pogody zajmuje sporo czasu. Odwrócił kartkę, aby przeczytać dwa anonse, które zanotował w poprzednich dniach:

*Pieszko z moim lokajczykiem (którego nie śmiem zostawiać w domu, bo będąc z moją żoną, zawsze się wałkoni), by wytłumaczyć się z nieobecności na kolacji u pani [...], która jak widzę, gniewa się, bom nie załatwił jej tanich sprawunków na wielkie przyjęcie z okazji nominacji jej małżonka na posadę lektora, lecz nie dbam o to.*

Decambrais zmarszczył brwi, szperając znowu w pamięci. Był przekonany, że to cytat i że już ten tekst widział gdzieś kiedyś, dawno temu. Gdzie? Kiedy? Przeszedł do kolejnego ogłoszenia odczytanego poprzedniego dnia:

*Takie oznaki świadczą o obfitości stworzonek, które lęgną się ze zgnilizny, jak pchły, muchy, żaby, ropuchy, robactwo, szczury i tym podobne, co dowodzi wielkiego zepsucia i powietrza, i es humiditez ziemi.*

Rybak zająknął się na końcu zdania i przeczytał w końcu „es umidit ziemi”. Zdaniem Decambrais’go ten fragment pochodził z tekstu powstałego w XVII wieku, acz pewności nie miał.

Cytaty najpewniej wariata, maniaka. Albo pedanta. Albo też impotent, który próbuje udowodnić swoją władzę przez upowszechnianie niezrozumiałych tekstów, z lubością wznosząc się ponad popolitość i zwykłemu zjadaczowi chleba pokazując, jaki jest nieokrzesany. Ani chybi był na placu wśród tłumku słuchaczy, aby sycić oczy tępotą na twarzach prowokowaną przez te uczone wywody, które obwoływacz z trudem odczytywał.

Decambrais postukał w kartkę ołówkiem. Nawet jeśli pod tym kątem na to patrzeć, nadal nie pojmował zamiarów i osobowości autora anonsów. O ile jednak wczorajsze ogłoszenie numer 14: „Mam was gdzieś, głupie ćwoki”, setki razy słyszane w podobnej formule, miało tę zaletę, że było komunikatywne w wyrażonym skrótowo gniewie, o tyle zawile ogłoszenia pedanta nijak nie dawały się zrozumieć. Musiał ich mieć więcej, a zatem słuchać obwoływacza co rano. W sumie może tego właśnie pragnął autor: żeby codziennie z niecierpliwością wyczekiwano wiadomości od niego.

Niezborna rybacka prognoza pogody dobiegła końca i obwoływacz



pięknym głosem niosącym się aż do skrzyżowania podjął swoją litanię. Zakończył właśnie rubrykę „Siedem dni na świecie”, w której na swój sposób przetwarzał najświeższe wiadomości międzynarodowe. Decambrais uchwycił ostatnie zdania: „W Chinach nikomu nie jest do śmiechu, bo tam zwyczajnie ciągle mają zamordyzm. W Afryce cienko przędą, dzisiaj nie lepiej niż wczoraj. I nie ma widoków na poprawę, skoro nikt nie rusza tyłka, żeby im pomóc”. Teraz wrócił do ogłoszeń, kolej przyszła na numer 16 o sprzedaży automatu do gry rocznik 1965 ozdobionego kobietą z gołymi piersiami stan idealny. Ściskając ołówek w palcach, Decambrais czekał niemal w napięciu. I doczekał się w końcu ogłoszenia wyraźnie odstającego od innych w stylu „kocham cię”, „sprzedam”, „mam was gdzieś” i „kupię”. Odniósł wrażenie, że rybak zawahał się na ułamek sekundy, nim zaczął. Ciekawe, czy aby Bretończyk nie zauważył gdzieś tego intruza.

– Dziewiętnaście – zapowiedział Joss. – „Po czym gdy węże, nietoperze, borsuki i wszelakie stworzenia, które żyją w głębinach podziemnych chodników, wychodzą stadami na pola”...

Decambrais szybko gryzmołił na kartce. Ciągłe ta sama gadka o żyjątkach, stare historie o niemiłych żyjątkach. Przeczytał cały tekst w zamyśleniu, rybak tymczasem kończył sesję tradycyjną „Kartką z historii Francji dla każdego”, która sprowadzała się do opowieści o jakiejś katastrofie morskiej sprzed lat. Niewykluczone, że Le Guern sam przeżył katastrofę. I niewykluczone, że tamten statek nazywał się Vent de Norois. A Bretończykowi wtedy niechybnie głowa przeciekała tak samo jak łajba. Ten człowiek, z wyglądu zdrowy i stanowczy, był w gruncie rzeczy rąbnięty, skoro żył uczepiony swoich obsesji niczym dryfujących kół ratunkowych. Czyli w zasadzie był jak on, chociaż on nie wyglądał ani na zdrowego, ani na stanowczego.

– Miasto Cambrai – obwieścił Joss. – Piętnasty września tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku. Francuski parowiec, wyporność tysiąc czterysta ton. Rejs z Dunkierki do Lorient z ładunkiem szyn kolejowych. Dociera do Basse Gouac’h. Wybuch kotła. Jeden pasażer nie żyje. Dwudziestu jeden członków załogi uratowanych.

Joss Le Guern nie musiał dawać żadnego znaku, by wierni słuchacze się

rozeszli. Każdy wiedział, że opowieść o katastrofie morskiej kończy sesję. Wyczekiwano tych historii, niektórzy nawet się zakładali o to, jaki będzie finał dramatu. Rozliczenia regulowano w barze naprzeciwko lub w biurze, zakłady brzmiały: „wszyscy uratowani”, „wszyscy zginęli” albo pół na pół. Jossowi nie bardzo się podobało takie kupczenie tragedią, ale miał też świadomość, że tak właśnie życie odradza się na ruinach – i bardzo dobrze.

Zeskoczył z podwyższenia, pochwyił spojrzenie Decambrais’go, który zamykał książkę. Jakby Joss nie wiedział, że wysłuchał całej sesji. Stary obłudnik, stary mantyka, który za nic nie chciał przyznać, że ubogi bretoński rybak wprowadza urozmaicenie do jego życia. Gdyby tylko ten Decambrais wiedział, co Joss znalazł tego rana w dostarczonych ogłoszeniach! Hervé Decambrais dzierga koronkowe serwetki, Hervé Decambrais to pedał. Jossa co prawda lekko korciło, ostatecznie jednak odłożył ogłoszenie do odrzutków. Teraz więc dwie osoby, może z Lizbeth trzy wiedziały, że Decambrais po kryjomu bawi się w koronczarkę. W pewnym sensie dzięki tej nowinie człowiek ów wydawał mu się mniej antypatyczny. Może dlatego, że Joss przez tyle lat patrzył, jak jego ojciec wieczorem godzinami naprawia sieci.

Joss pozbierał odrzutki, zarzucił na ramię skrzynię, którą Damas pomógł mu umieścić na zapleczu swojego sklepu. Gorąca kawa już czekała, kubki stały naszykowane jak co rano po sesji.

– Nic nie zrozumiałem z dziewiętnastki – rzekł Damas, sadowiąc się na wysokim stołku. – Z tej historii z węzami. Nawet zdanie nie było dokończone.

Damas był młodym, dobrze zbudowanym gościem, raczej przystojnym, z sercem na dłoni, ale niezbyt bystrym. W oczach zawsze miał jakąś ospałość, od której spojrzenie robiło mu się puste. Za dobry był albo za głupi, Joss nie potrafił się zdecydować. Wzrok Damasa nigdy się nie zatrzymywał na jakimś punkcie nawet w czasie rozmowy. Krążył dyskretnie, miękko, był nieuchwytny niczym mgła.

– Świr – skomentował Joss. – Nie próbuj zrozumieć.

– Nie próbuję – odparł Damas.

– Powiedz, słyszałeś moją prognozę?

– No.

– A nie słyszałeś, że lato się skończyło? Nie uważasz, że w końcu się pochorujesz?

Damas chodził w szortach i płóciennej kamizelce na gołym ciele.

– Nic mi nie będzie – powiedział, patrząc po sobie.

– I co ci daje to pokazywanie mięśni?

Damas wypił swoją kawę duszkiem.

– To nie stragan z koronkami – odrzekł. – To Roll-Rider. Sprzedaje deskorolki, snowboardy, wrotki, deski do surfowania i rowery górskie. To dobra reklama dla sklepu – dodał, wskazując kciukiem swój tors.

– A co masz do koronek? – zapytał Joss, w którym obudziła się podejrzliwość.

– Nic. Ale Decambrais je sprzedaje. A jest stary i chudy.

– Wiesz, skąd bierze te swoje serwetki?

– No. Od hurtownika z Rouen. Głupi nie jest. Dał mi poradę gratis.

– Poszedłeś do niego?

– I co? „Porady w sprawach życiowych”, tak ma napisane na szyldzie, nie? Rozmawianie o różnych rzeczach to żaden wstyd, Joss.

– Na szyldzie też pisze: „40 franków za pół godziny. Każdy zacząty kwadrans liczy się za cały”. Drogo za ściemnianie, Damas. Co ten stary może wiedzieć o sprawach życiowych? Nawet nigdy nie pływał na statku.

– To żadne ściemnianie. Chcesz dowód? „Nie dla sklepu pokazujesz swoje ciało, Damas, tylko dla siebie”, powiedział. „Dam ci przyjacielską radę: ubierz się po bożemu i staraj się zachowywać swobodnie. Będziesz tak samo przystojny, za to nie będziesz tak głupio wyglądał”. I co ty na to, Joss?

– Ano, rozsądnie, przyznaję – zgodził się Joss. – I czemu się nie ubierasz?

– Bo robię, co mi się podoba. Tylko że Lizbeth się boi, że przeziębę się na śmierć. I Marie-Belle też. Za pięć dni zbieram się w sobie i wskakuję znowu w ciuchy.

– I dobrze – powiedział Joss. – Bo od zachodu idzie paskudna pogoda.

– Decambrais?

– Co Decambrais?

– Nie możesz go ścierpieć, co?

– E, tam. Ani mnie grzeje, ani ziębi.

– Szkoda – rzekł Damas, zbierając kubki – bo zdaje się, że pokój się u niego zwolnił. Nadałby się dla ciebie. Dwa kroki od roboty, ciepło, czysto i co wieczór kolacja.

– Szlag... – mruknął Joss.

– Dobrze powiedziane. Ale nie możesz wziąć tej chaty. Tak samo jak jego nie możesz ścierpieć.

– Ano nie – zgodził się Joss. – Nie mogę jej wziąć.

– Głupio.

– Ano głupio.

– Na dodatek jest Lizbeth. To cholerny plus.

– Wielki plus.

– Właśnie. Ale wynająć nie możesz. Tak jak nie możesz go ścierpieć.

– Drobną różnicą, Damas: to on nie może mnie zdzierżyć.

– W kwestii pokoju wychodzi na jedno. Nie możesz.

– Nie mogę.

– Tak to się czasem do bani układa. Jesteś pewien, że nie możesz?

Joss zacisnął zęby.

– Na sto procent. I nie warto tego wałkować.

Joss ze sklepu poszedł do Wikinga, baru naprzeciwko. Normandczycy i Bretończycy nigdy nie żyli w wielkiej zgodzie, rozpychając się swoimi statkami po sąsiednich morzach, ale Joss wiedział również, że z byle powodu mógł przyjść na świat na północnej ziemi. Szef lokalu, Bertin, drażał o jasnorudych włosach, wysokich kościach policzkowych i jasnych oczach, serwował calvadosa jedyne na świecie, ponieważ zapewniającego jakoby wieczną młodość przez to, że walił równo po trzewiach, zamiast przenieść cię od razu do grobu. Niby to z racji jabłek, które pochodziły z jego sadu, a tam byki, jurne do samego końca, dożywały setki. To ci dopiero jabłka!

– Coś taki nie w sosie? – zaniepokoił się Bertin, nalewając mu calvadosa.

– A nie, nic... Po prostu czasem sprawy źle się układają – odparł Joss. – Powiedziałbyś, że Decambrais nie może mnie zdzierżyć?

– Nie – rzekł Bertin ze swoją iście normandzką ostrożnością. –

Powiedziałbym, że ma cię za prostaka.

– A co za różnica?

– Powiedzmy, że to daje się stępić z czasem.

– Z czasem!... Wy, Normandczycy, tylko to macie na ustach. Jedno słowo na pięć lat, a i to przy odrobinie szczęścia. Gdyby wszyscy tak robili, cywilizacja nie bardzo by się posuwała.

– Może lepiej by jej szło.

– Z czasem!... Tylko ile tego czasu by trzeba, Bertin? Oto pytanie.

– Niewiele. Z dziesięć lat.

– No to cześć.

– Masz coś pilnego? Chcesz się go poradzić?

– Jeszcze czego. Pokój chciałem.

– To lepiej się pospiesz, chyba ma już kogoś. Na razie odmawia, bo facet ma hyzia na punkcie Lizbeth.

– Niby czemu miałbym się spieszyć? Stary picuś ma mnie za prostaka.

– Zrozum, Joss, on nigdy nie pływał. A zresztą czy nie prostak z ciebie?

– Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej.

– Sam widzisz. Decambrais się zna. Powiedz, Joss, zrozumiałeś, o co biega w ogłoszeniu dziewiętnastym?

– Nie.

– Moim zdaniem jest szczególne. To taki ekstranius. Jak inne w ostatnich dniach.

– Bardzo ekstra. Nie lubię tych ogłoszeń.

– To czemu je czytasz?

– Klient płaci, i to dobrze. A Le Guernowie to może i prostacy, ale nie złodzieje.

## IV

– Zastanawiam się – powiedział młodszy inspektor Adamsberg – czy przez to, że jestem gliniarzem, nie staję się gliniarzem.

– Już to mówiłeś – zauważył Danglard, który planował przyszłe ułożenie rzeczy w swojej metalowej szafce.

Danglard miał zamiar wystartować z porządkiem w papierach, jak wyjaśnił Adamsbergowi, który nie miał żadnego zamiaru i po prostu zrzucił akta na krzesła w sąsiedztwie swojego stołu.

– I co o tym myślisz?

– Że po dwudziestu pięciu latach w tej robocie może dobrze by było.

Adamsberg wepchnął ręce w kieszenie i oparł się o świeżo pomalowaną ścianę, w roztargnieniu wodząc wzrokiem po nowym miejscu, w które trafił przed niespełna miesiącem. Nowe biuro, nowy przydział: brygada kryminalna paryskiej prefektury policji, wydział zabójstw, delegatura w 13 dzielnicy. Koniec z kradzieżami, rozbojami, czynnymi zniewagami, facetami uzbrojonymi, facetami rozbrojonymi, wściekłymi, niewściekłymi i z kilogramami papierów przedmiotowych. „Warunki przedmiotowe” – ostatnimi czasy dwa razy to usłyszał. Przez to, że jest gliniarzem.

Co nie znaczyło, że kilogramy papierów przedmiotowych nie będą go prześladowały tutaj tak samo jak gdzie indziej. Ale tutaj, tak samo jak gdzie indziej, znajdzie gości, którzy lubią grzebać się w papierkowej robocie. Odkrył w bardzo młodym wieku, opuściwszy Pireneje, że tacy ludzie istnieją, i ogarnął go wielki szacunek wobec nich, lekki smutek i niewysłowiona wdzięczność. On najbardziej lubił chodzić, marzyć i działać i wiedział, że wielu kolegów z tego powodu darzy go odrobiną szacunku z dużą dozą smutku. „Papier – wytłumaczył mu kiedyś pewien wygadany chłopak – spisywanie wszystkiego, protokół jest źródłem wszelkiej Idei. Nie ma papieru, nie ma idei. Słowo karmi ideę jak żyzna gleba zielony groszek. Jak masz działanie bez papieru, znaczy, że kolejny

zielony groszek umiera na świecie”.

No właśnie, odkąd był policjantem, uśmiercił chyba całe ciężarówki zielonych groszków. Ale czasami czuł, jak w efekcie wędrówek wyłaniają się w nim intrygujące idee. Idee, które owszem, przypominały raczej worki z wodorostami niż zielony groszek, lecz roślina to roślina, a idea pozostaje ideą i nikt cię nie pyta, kiedy już ją wygłosiłeś, czy zebrana była na polu uprawnym czy wyjęta z bagna. Natomiast bezsprzecznie jego partner Danglard, który kochał papier w każdej formie, od najwznioślejszej po najpośledniejszą – pod postacią plików, książek, zwojów, luźnych kartek, od inkunabułów po ręczniki kuchenne – był człowiekiem mogącym dostarczać zielony groszek znakomitej jakości, osobnikiem skoncentrowanym, który myślał, nie musząc chodzić, nerwusem o gnuśnym ciele, który pisał, pijąc, i za pomocą jedynie swojej nieruchawości, piwa, obgryzionego ołówka i nieco zdechłej ciekawości produkował idee w należytym ordynku zupełnie różne od wypocin Adamsberga.

Często się na tej linii ścierali, Danglard bowiem uważał, że wartościowa idea może być jedynie efektem przemyśleń, podejrzana jest natomiast wszelka forma bezkształtnej intuicji, Adamsberg zaś nic nie uważał i nawet nie próbował rozdzielać jednego od drugiego. Przeniesiony do brygady kryminalnej Adamsberg walczył zębami i pazurami, by zabrać ze sobą dociekliwy ścisły umysł komisarza Danglarda awansowanego do stopnia nadkomisarza.

W nowym miejscu pracy zarówno refleksje Danglarda, jak i błędzenie Adamsberga nie będą już musiały przeskakiwać od chuligańskiego wybicia szyby do kradzieży torebki. Skupią się na jednym celu: na zbrodni. Koniec ze zwykłą szybką, która cię chroni przed koszmarem morderczych zapędów ludzkości. Koniec z zawierającą klucze, kalendarzyk i miłosny liścik torebką, która pozwala oddychać ożywczym powietrzem drobnej przestępczości i odprowadzić młodą kobietę do drzwi z czystą chusteczką.

Nie. Teraz będą tylko prawdziwe zbrodnie. W wydziale zabójstw.

Ostra nazwa ich nowych obowiązków cięła jak brzytwa. Ha, sam tego chciał, skoro miał na koncie ze trzydzieści spraw kryminalnych rozwiązanych przy wielkim wsparciu swoich marzeń, przechadzek

i napływu wodorostów. Postawiono go tutaj, na linii walki z mordercami, na drodze sięjącej postrach, albowiem wbrew wszelkim oczekiwaniom okazywał się w tym diabolicznie dobry – tym określeniem, „diabolicznie”, posługiwał się Danglard, gdy chciał zaznaczyć, jak niedostępnymi dla innych ścieżkami podąża myśl Adamsberga.

Oto więc obydwaj znaleźli się na tej linii, do pomocy mając dwudziestu sześciu ludzi.

– Zastanawiam się – podjął Adamsberg, wolno przesuując dłonią po wilgotnym gipsie – czy może nam się przydarzyć to samo co skałom na brzegu morza.

– Czyli? – spytał Danglard ze szczyptą zniecierpliwienia.

Adamsberg zawsze mówił powoli, nie spiesząc się z wygłoszeniem tego co ważne i co nieistotne, po drodze gubiąc niekiedy cel, Danglard zaś z trudem znosił ten sposób wysławiania.

– Cóż, powiedzmy, że te skały nie są jednorodne. Powiedzmy, że składają się częściowo z wapienia twardego i częściowo z wapienia miękkiego.

– W geologii nie ma czegoś takiego jak wapień miękki.

– Gwiżdżę na to, Danglard. Są kawałki miękkie i kawałki twarde, jak w każdej formie życia, jak we mnie i jak w tobie. Takie są te skały. Przez to, że morze je oblewa, fale w nie uderzają, miękkie części zaczynają topnieć.

– „Topnieć” to niewłaściwe słowo.

– Gwiżdżę na to, Danglard. Tych części ubywa. Części twarde zaczynają wystawać. I im więcej czasu mija, im dłużej morze uderza, tym bardziej to co słabe znika poniesione na cztery świata strony. U schyłku ludzkiego życia taka skała jest cała poszarpana, zębata, robi się z niej wapienna paszczyka gotowa gryźć. W miejsce miękkich części masz zagłębienia, dziury, dołki.

– I co z tego? – zapytał Danglard.

– Ano to, że zastanawiam się, czy gliniarze i szerzej, całe grupy innych ludzi wystawionych na zawirowania życia, nie podlegają takiej samej erozji. Czy nie znikają w nich części miękkie i nie zostają tylko twarde, czy nie dochodzi do znieczulenia, skostnienia. I w gruncie rzeczy do prawdziwego upadku.



– Zastanawiasz się, czy podążasz tą samą drogą co ta paszczyka z wapienia?

– Właśnie. Czy nie staję się gliniarzem.

Danglard przez chwilę rozważał to zagadnienie.

– Jeśli chodzi o twoją osobistą skałę, to myślę, że erozja nie przebiega normalnie. Powiedzmy, że w tobie twarde jest miękkie, a miękkie jest twarde. Oczywiście rezultat nie ma tu nic do rzeczy.

– A co to zmienia?

– Wszystko. Odporność części miękkich to przecież świat na opak. – Danglard rozważył własny przypadek, wsuwając plik kartek do jednej z teczek zawieszonych na prowadnicy. – A co by dało – podjął – gdyby skała była w całości z miękkiego wapienia? I gdyby była gliniarzem?

– Osiągnęłaby w końcu rozmiar kuli bilardowej, a wreszcie by caluśka zniknęła.

– Miła perspektywa.

– Ale nie sądzę, żeby w naturze istniały takie skały. W dodatku gliniarze.

– Zawsze trzeba mieć nadzieję – rzekł Danglard.

Młoda kobieta wahała się przed wejściem do komisariatu. Znaczą tam nie napisano „Komisariat”, lecz „Prefektura policji – brygada kryminalna” lakierowanymi literami na błyszczącej tablicy przymocowanej do skrzydła drzwi. I tylko ona była w tym miejscu czysta. Bo poza tym stary budynek był poczerniały, a szyby brudne. Czterej robotnicy krzatali się przy oknach, piekielnie hałasując przy wierceniu otworów, by zamontować kraty. Maryse uznała w końcu, że czy to komisariat, czy jakaś tam brygada, zawsze to policjanci, a te biura były dużo bliżej niż posterunek przy alei. Postąpiła krok do przodu, po czym znowu się zatrzymała. Paul uprzedzał, że gliniarze ją wyśmieją. Ale niepokoiła się. Przez dzieci. Co jej szkodzi wejść? Ile to zajmie? Pięć minut? Powie, co ma powiedzieć, i już jej nie ma. „Gliniarze cię wyśmieją, bidulko. Jak chcesz się przekonać, idź”.

Jakiś człowiek wyszedł z bramy, minął ją, lecz zawrócił. Maryse stała, skręcając nerwowo pasek torebki.

– Pomóc w czymś? – zapytał.

Był niewysokim brunetem ubranym nasermater, rozczochranym,

z rękawami czarnej kurtki podciągniętymi za łokieć. Pewnie tak jak ona chciał opowiedzieć o kłopotach. Z tym że już miał to za sobą.

– Mili tu są? – spytała Maryse.

Facet wzruszył ramionami.

– Zależy kto.

– Słuchają człowieka? – uściśliła Maryse.

– Zależy, co mówi.

– Mój siostrzeniec uważa, że mnie wyśmieją.

Facet przechylił głowę na bok, utkwił w niej baczne spojrzenie.

– A o co chodzi?

– O moją kamienicę. Truję się tym z powodu dzieci. Skoro wariat już raz wszedł w nocy, kto mi zaręczy, że nie przyjdzie znowu? No kto?

Maryse zagryzła wargi lekko zarumieniona.

– Tutaj – rzekł brunet łagodnie, wskazując zapyziały budynek – jest brygada kryminalna. Wie pani, morderstwa. Jak ktoś kogoś zabije.

– Och!... – wystraszyła się Maryse.

– Proszę iść na komisariat przy alei. W południe jest mniejszy ruch, na pewno spokojnie wysłuchają, co ma pani do powiedzenia.

– Nie, nie – odparła Maryse, kręcąc głową – muszę być w biurze o drugiej, szef nie toleruje spóźnień. A nie mogliby ci tutaj zawiadomić kolegów przy alei? Znaczy nie na jedno wychodzi? To policjanci i to policjanci.

– Niezupełnie – odpowiedział brunet. – A co się stało? Rabunek?

– Nie, nie.

– Gwałt?

– Nie, nie.

– Niechże pani powie, to ułatwi sprawę. Będzie można panią gdzieś skierować.

Oparty o maskę samochodu brunet cierpliwie czekał, aż Maryse się skupi.

– Chodzi o czarny malunek – wyjaśniła. – Znaczy o trzynaście malunków na wszystkich drzwiach kamienicy. Boję się ich. Jestem zawsze sama z dziećmi, rozumie pan.

– To jakieś obrazki?

– Nie, nie. Czwórki. Cyfry cztery. Duże czarne czwórki, takie trochę

staromodne. Zastanawiałam się, czy to nie jest jakaś szajka albo co. Może policjanci będą wiedzieli, może zrozumieją. A może nie. Paul powiedział: „Jak chcesz, żeby cię wyśmiali, idź”.

Brunet się wyprostował, położył jej dłoń na ramieniu.

– Chodźmy – powiedział. – Spiszemy wszystko i nie będzie się już czego bać.

– A nie lepiej by było znaleźć jakiegoś glinę?

Popatrzył na nią lekko zaskoczony.

– Ja jestem gliną – wyjaśnił. – Młodszy inspektor Jean-Baptiste Adamsberg.

– Och... – westchnęła stropiona Maryse. – Przepraszam.

– Nic się nie stało. A za kogo pani mnie wzięła?

– Wstydzę się powiedzieć.

Adamsberg poprowadził ją do biur brygady kryminalnej.

– Pomóc, inspektorze? – zagadnął po drodze jakiś funkcjonariusz o podkrążonych oczach, szykujący się do wyjścia na lunch.

Adamsberg lekko popchnął młodą kobietę w stronę swojego pokoju i popatrzył na tego człowieka, usiłując go skojarzyć. Nie znał jeszcze wszystkich ludzi przydzielonych do jego grupy i miał potworny kłopot z zapamiętaniem ich nazwisk. Członkowie ekipy raz-dwa zauważyli ten problem, toteż przedstawiali się przy najkrótszej nawet wymianie zdań.

– Komisarz Noël – rzekł teraz mężczyzna. – Pomóc?

– To tylko znerwicowana kobieta. Ktoś jej wyciął głupi kawał w bloku albo chodzi o zwykłe graffiti. Trzeba jej tylko dodać otuchy.

– Tu nie pomoc społeczna – zauważył Noël, jednym ruchem zasuwając zamek u kurtki.

– A czemu nie, komisarzu...

– Noël – odpowiedział.

– Noël – powtórzył Adamsberg, starając się go zapamiętać.

Kwadratowa twarz, blond włosy na jeża i odstające uszy równa się Noël. Zmęczenie, arogancja, prawdopodobna brutalność równa się Noël. Uszy, brutalność, Noël.

– Pomówimy o tym później, Noël – rzekł Adamsberg. – Ta pani się spieszy.

– Jeśli dama potrzebuje wsparcia – włączył się sierżant również Adamsbergowi nieznany – zgłaszam się na ochotnika. Sprzęt mam – dodał z uśmiechem, stojąc z kciukami założonymi za pasek u spodni.

Adamsberg obrócił się powoli.

– Sierżant Favre – przedstawił się tamten.

– Tutaj, sierżancie – powiedział Adamsberg spokojnie – dokonacie odkryć, które was zaskoczą. Tu kobiety nie są kółeczkiem z dziurką w środku, a jeśli ta prawda was dziwi, bez krępacji możecie poszerzyć wiedzę. W dolnej części znajdziecie nogi i stopy, w górnej korpus i głowę. Zastanówcie się nad tym, Favre, jeśli macie czym.

Adamsberg ruszył do swojego pokoju, starając się zakarbować w pamięci twarz sierżanta. Puciołowate policzki, duży nos, nastroszone brwi, oblicze palanta równa się Favre. Nos, brwi, kobiety, Favre.

– Proszę wszystko opowiedzieć – rzekł, opierając się plecami o ścianę naprzeciwko młodej kobiety, która przysiadła na brzeżku krzesła. – Ma pani dzieci, jest sama, a gdzie pani mieszka?

Zapisywał jej odpowiedzi w notesie: nazwisko, adres, aby ją uspokoić. Po czym zapytał:

– Te czwórki namalowano na drzwiach, tak? W jedną noc?

– Tak, tak. Były na wszystkich drzwiach wczoraj rano. Czwórki o, takiej wielkości... – dodała, rozkładając ręce na jakieś sześćdziesiąt centymetrów.

– Nie było podpisu? Parafki?

– Był, był. Trzy litery u dołu, mniejsze. CTL. Nie. CLT.

Adamsberg zanotował. CLT.

– Też czarne?

– Też.

– I nic więcej? Nic na fasadzie? W klatce schodowej?

– Tylko na drzwiach. Na czarno.

– Czy ta cyfra nie jest jakoś zniekształcona? Nie wygląda jak skrót?

– Tak, tak. Mogę panu narysować, potrafię.

Adamsberg podał jej notes i Maryse starannie wyrysowała w nim dużą czwórkę drukowaną, zamkniętą, o podstawie rozwidlonej jak ramię krzyża maltańskiego i z poziomą linią dwukrotnie przekreśloną.

– Proszę – rzekła.

– Narysowała pani odwrotnie – zauważył łagodnie Adamsberg, biorąc notes.

– No bo jest odwrotnie. Narysowana odwrotnie, z szeroką nóżką i z takimi kresczkami na końcu. Wie pan, co to może być? A CLT to jakiś znak złodziei czy co?

– Złodzieje znaczą drzwi jak najdyskretniej. Czego pani się boi?

– Chyba przez tę historię z Ali Babą. Tam morderca znaczył wszystkie drzwi wielkim krzyżem.

– W opowieści znaczył tylko jedno. Żona Ali Baby znaczyła inne, żeby go wprowadzić w błąd, jeśli się nie mylę.

– Faktycznie – ucieszyła się Maryse.

– To graffiti – powiedział Adamsberg, prowadząc ją do drzwi. – Pewnie dzieci z sąsiedztwa się zabawiały.

– Nigdy nie widziałam takiej czwórki w dzielnicy – rzekła Maryse cicho.

– I nigdy nie widziałam graffiti na drzwiach mieszkań. No bo graffiti chyba się maluje, żeby wszyscy je widzieli, nie?

– Nie ma reguły. Proszę umyć drzwi i zapomnieć o tym.

Kiedy Maryse wyszła, Adamsberg wyrwał kartki z notesu, zmiął w kulę i wrzucił do kosza. Następnie zajął na powrót pozycję stojącą oparty plecami o ścianę, zastanawiając się, jak by tu ukrócić facetów pokroju tego Favre'a. Nie będzie łatwo, zepsucie głębokie, delikwent ledwie go świadomy. Należało mieć tylko nadzieję, że nie cały wydział zabójstw jest tym dotknięty. Zwłaszcza że pracowały tu cztery kobiety.

Ilekcję Adamsberg popadał w zamyślenie, szybko odrywał się od rzeczywistości i osiągał stan bliski odrętwienia. Wynurzył się z niego ze wzdrygnięciem po dziesięciu minutach, pogrzebał w szufladach, wyjął listę swoich dwudziestu siedmiu podwładnych i pominąwszy Danglarda, usiłował zapamiętać nazwiska, powtarzając je cicho. Następnie z boku kartki zanotował: „Uszy, brutalność, Noël” oraz „Nos, brwi, kobiety, Favre”.

Wyszedł ponownie na kawę, na którą wcześniej nie dotarł z powodu

Maryse. Do biura jeszcze nie dostarczono automatu z kawą ani z kanapkami, ludzie wyrywali sobie krzesła i papier, elektrycy instalowali gniazda dla farmy komputerów, dopiero co zaczęto wstawiać kraty w okna. Nie ma krat, nie ma zbrodni. Mordercy się wstrzymają, póki prace nie zostaną zakończone. Równie dobrze może marzyć na zewnątrz i pomagać podenerwowanym młodym kobietom na ulicy. Oraz rozmyślać o Camille, której nie widział od ponad dwóch miesięcy. Jeśli się nie mylił, powinna wrócić jutro lub pojutrze, nie pamiętał dokładnej daty.

## V

We wtorek rano Joss nadzwyczaj ostrożnie obchodził się z fusami z kawy, unikając wszelkich gwałtownych ruchów. Źle spał, oczywiście przez ten pokój do wynajęcia, który tańczył mu przed oczami, pozostając poza zasięgiem.

Usiadł ciężko przy stole przed kubkiem, chlebem i kiełbasą, wrogim spojrzeniem wodząc po piętnastu metrach kwadratowych obecnego lokum o popękanych ścianach, z materacem na podłodze i toaletą w korytarzu. Pewnie, że zarabiając dziewięć tysięcy franków, mógłby się szarpnąć na coś lepszego, tyle że blisko połowa tej kwoty co miesiąc jechała do Guilvinec, do jego matki. Trudno przecież szastać kasą, kiedy wiadomo, że matka niedojada, takie już jest życie, proste i skomplikowane zarazem. Joss wiedział, że inteligencik nie bierze drogo, bo podnajmuje u siebie, a poza tym robi to na czarno. W dodatku trzeba przyznać uczciwie, że Decambrais nie należał do tych bezwzględnych wyzyskiwaczy, którzy zdzierają z ciebie skórę za czterdzieści metrów sześciennych w Paryżu. Lizbeth nawet mieszkała darmo w zamian za robienie zakupów, szykowanie kolacji i sprzątanie wspólnej łazienki. Decambrais zajmował się resztą: odkurzał, nastawiał pranie pościeli, nakrywał stół do śniadania. Trzeba przyznać, że jak na siedemdziesięciolatka inteligencik nawet się starał.

Joss żuł wolno zamoczony w kawie chleb, jednym uchem słuchając cicho grającego radia, by nie przegapić rybackiej prognozy pogody, którą notował co rano. Pokój u inteligencika miał same plusy. Z jednej strony był o rzut kamieniem od dworca Montparnasse w razie czego. Poza tym przestrzeń, kaloryfery, normalne łóżko, dębowe parkiety i dywany z wytartymi frędzlami. Zaraz po wprowadzeniu się tam Lizbeth dla samej przyjemności przez kilka dni chodziła boso po ciepłych dywanach. No i oczywiście była kolacja. Joss potrafił tylko smażyć okonie, otwierać ostrygi i łykać ślimaki pbrzeżki. Toteż co wieczór żywił się konserwami. A do tego była Lizbeth w pokoju po sąsiedzku. Nie, Lizbeth w życiu by nie tknął, w życiu by nie położył na niej swoich szorstkich łapsk starszych od niej o ćwierć wieku.

I to także należało przyznać Decambrais'mu: że zawsze ją szanował. Lizbeth opowiedziała mu swoją straszną historię wtedy, pierwszego wieczoru, gdy położyła się na dywanie. Jaśniepan wysłuchał jej bez mrugnięcia. Czapki z głów. To się nazywa odwaga. I w tym, w czym jaśniepan wykazał się odwagą, Joss zachowa się tak samo, bez dwóch zdań. Le Guernowie to może i prostacy, ale nie złodzieje. I w tym właśnie sęk. Decambrais ma go za prostaka i w życiu nie wynajmie mu pokoju, to marzenie ściętej głowy. Podobnie jak Lizbeth, kolacje i kaloryfery.

Godzinę później wciąż o tym myślał, opróżniając skrzynkę. Od razu wypatrzył dużą kremową kopertę, którą otworzył jednym pociągnięciem kciuka. Trzydzieści franków. Stawka wzrastała sama. Zerknął na tekst, lecz nie próbował doczytać go do końca. Niezrozumiały bełkot tego świra zaczynał go wkurzać. Następnie rozdzielił to co do powiedzenia od tego co do niepowiedzenia. Na drugiej kupce umieścił ogłoszenie następującej treści: „Decambrais to pedał, sam wyrabia serwetki”. To samo co wczoraj, choć trochę inaczej. Gość nie jest zbyt pomysłowy. Szybko zacznie się kręcić w kółko. Kiedy Joss odkładał anons do odrzutków, zawahał się odrobinę dłużej niż poprzedniego dnia. Wynajmij mi pokój albo rozgłoszę to wszystko w czasie sesji. Szantaż ni mniej, ni więcej.

O ósmej dwadzieścia osiem Joss stał na skrzyni gotów do działania. Każdy znajdował się na swojej pozycji niczym tancerz w układzie wykonanym już ponad dwa tysiące razy: Decambrais w drzwiach z nosem w książce, Lizbeth w tłumku po prawej, Bertin po lewej za zasłonkami w biało-czerwone pasy Wikinga, Damas z tyłu oparty o szybę wystawową Roll-Ridera, niedaleko lokatorki Decambrais'go z pokoju 4, prawie ukrytej za drzewem, i wreszcie wianuszek znajomych twarzy wiernych fanów, z których każdy instynktownie odnajdywał miejsce zajmowane poprzedniego dnia.

Joss zaczął sesję:

– Jeden: Szukam przepisu na keks, żeby owoce nie opadały na dno. Dwa: Nic nie da zamykanie drzwi, żeby ukryć swoje świństwa. Pan Bóg osądzi ciebie i twoją dziwkę. Trzy: Hélène, czemuś nie przyszła? Przepraszam za wszystko, co ci zrobiłem. Podpisano Bernard. Cztery: Na placu zgubiono



sześć bili do petanki. Pięć: Sprzedam ZR7 750, rocznik dziewięćdziesiąty dziewięć, przebieg osiem i pół tysiąca kilometrów, czerwony, alarm, szyba przeciwwiatrowa, ochraniacze, trzy tysiące franków.

Ktoś nie znający zasad podniósł rękę, zgłaszając zainteresowanie ogłoszeniem. Joss musiał przerwać.

– Później w Wikingu – rzekł nieco ostro.

Zawstydzony słuchacz opuścił rękę równie szybko, jak ją podniósł.

– Sześć – podjął Joss. – Nie robię w mięsie. Siedem: Kupię pizzacar z panoramicznymi drzwiami, do trzech i pół tony, piec na sześć pizz. Osiem: Do młodzieży, która puszcza ryczącą muzykę. Następnym razem wzywam policję. Dziewięć...

Niecierpliwie czekając na ogłoszenie pedanta, Decambrais puszczał mimo uszu bieżące ogłoszenia. Lizbeth zanotowała anons o sprzedaży ziół prowansalskich, zbliżała się rybacka prognoza pogody. Decambrais się przygotował, ustawiając w gotowości ołówek ukryty w dłoni.

– ...siedem do ośmiu słabnący stopniowo do pięciu do sześciu, po południu przechodzący na zachodni trzy do pięciu. Stan morza pięć, deszcze i słabnące ulewne deszcze.

Joss dotarł do ogłoszenia numer 16, które Decambrais rozpoznał od pierwszych słów:

– „Po czym udałem się do trzy kropki rzeką, kazałem się wysadzić na drugim końcu miasta i po zapadnięciu nocy mogłem wejść do domu żony trzy kropki i tam smakowałem jej towarzystwo, acz ze znacznymi trudnościami, niemniej ostatecznie dostałem, com chciałem. Zaspokojony pod tym względem, wróciłem pieszo”.

Zapadła pełna zakłopotania cisza szybko przerwana przez Jossa, który odczytał kilka zrozumialszych ogłoszeń, po czym przeszedł do „Kartki z historii Francji dla każdego”. Decambrais się skrzywił. Nie zdążył wszystkiego zapisać, tekst był za długi. Nastawił ucha, aby poznać los Droits de l’Homme, francuskiego okrętu, 74 armaty, 14 stycznia 1797 roku, powrót z nieudanej kampanii w Irlandii z 1350 ludźmi na pokładzie.

– ...za nim w pościg dwie jednostki angielskie, Indefatigable i Amazon. Po nocnej bitwie osiadł na mieliźnie przed plażą w Canté.

Joss wepchnął kartki do kieszeni kurtki.

– Hej, Joss! – rozległo się czyjeś wołanie. – Ilu się uratowało?

Joss zeskoczył ze skrzynki.

– Nie można wszystkiego wiedzieć – odrzekł głosem odrobinę uroczystym.

Nim ruszył ze swoim podwyższeniem do Damasa, skrzyżował wzrok z Decambrais'm. Już-już chciał pomaszerować w jego stronę, lecz w końcu zdecydował, że przesunie tę sprawę na czas popołudniowej sesji. Kusztyczek calvadosu doda mu odwagi.

O dwunastej czterdzieści pięć Decambrais nerwowo zapisał usiany skrótami anons następującej treści:

*Dwanaście: Rajcy spiszą kanony do przestrzegania i każą je wywiesić na rogu każdej ulicy i na placach, aby nikt ich nie przeoczył. Trzy kropki. Każą wyzabijać pfy, koty, gołębie, króliki, kurczaki i kury. Ofobliwie baczyć będą na utrzymanie w czyfności domostw i ulic, na opróżnianie kloak w mieście i okolicy, gnoyowisk, wód ftojących, trzy kropki, a przynajmniej każą je ofuszyć.*

Joss już siedział w Wikingu, czekając na lunch, kiedy Decambrais postanowił, że musi z nim pogadać. Wszedł do baru i Bertin podał mu piwo na czerwonej podstawce ozdobionej dwoma złotymi normandzkimi lwami, wykonanej na specjalne zamówienie lokalu. Zapowiadając lunch, szef baru uderzył pięścią w dużą miedzianą płytę zawieszoną nad kontuarem. Codziennie w porze południowego i wieczornego posiłku Bertin uderzał w ten gong, który odpowiadał gromkim burzowym hukiem, płosząc wszystkie gołębie na placu, aż ulatywały byle dalej, podczas gdy w kierunku przeciwnym, do Wikinga, spieszyli głodni z okolicy. Tym samym Bertin skutecznie przypominał, że wybiła pora posiłku, a zarazem składał hołd swemu budzącemu grozę rodowodowi, którego każdy miał być świadom. Bertin bowiem był z Toutinów po matce, co przy wsparciu etymologii łączyło go bezpośrednio z Thorem, skandynawskim bogiem gromu. Choć ten i ów uważał tę interpretację za naciąganą – a Decambrais

należał do tych osób – nikt nie zamierzał rozbierać na czynniki pierwsze drzewa genealogicznego Bertina i tym samym rujnować marzeń człowieka, który od trzydziestu lat mył kufle w paryskim barze.

Dzięki takim ekscentrycznym działaniom Wiking był znany daleko poza dzielnicą, tak że w lokalu zawsze było pełno gości.

Decambrais, wysoko dzierżąc kufel, przecisnął się do stolika, przy którym Joss zajął miejsce.

– Można na słówko? – zapytał, nie siadając.

Joss w milczeniu podniósł na niego niebieskie oczy, przeżuwając mięso. Który się wygadał? Bertin? Damas?... Czy Decambrais pośle go do wszystkich diabłów dla zwykłej przyjemności pokazania mu, że nici z pokoju, bo obecność takiego prostaka jest niepożądana w hotelu z dywanami? Niech tylko Decambrais spróbuje go znieważyć, a wszystkie odrzutki na jego temat zostaną podane do wiadomości publicznej. Gestem wskazał mu krzesło.

– Ogłoszenie dwunaste – zaczął Decambrais.

– A, wiem – rzekł Joss zdumiony. – Ekstranius.

A więc Bretończyk zauważył, ucieszył się Decambrais. To mu ułatwi zadanie. I dodał:

– Ma całą rodzinę.

– Ano. Od trzech tygodni.

– Ciekawym, czy je pan zachował.

Joss wytarł chlebem sos z talerza, zjadł, po czym skrzyżował ramiona.

– A bo co? – spytał.

– Chciałbym je przeczytać. Jeśli pan woli – dodał szybko na widok nabzdyczonej miny Bretończyka – odkupię je. Wszystkie, które pan ma, i przysze.

– Jak to? To nie pan?

– Ja?

– No nie pan je wrzucałeś do skrzynki? Bo tak mi chodziło po głowie... W pana stylu byłyby takie staromodne zdania, że nie zrozumiesz, choćbyś pękl. Ale skoro chcesz je pan kupić, znaczy, że nie są od pana. Logiczne.

– Ile?

– Nie wszystkie mam. Tylko pięć ostatnich.

– Ile?

– Przeczytane ogłoszenie – rzekł Joss, wskazując swój talerz – jest jak ogryzione jagnięce żeberko: nie ma wartości. Nie odprzedaję. Le Guernowie to może i prostytutki, ale nie złodzieje.

I posłał Decambrais’mu porozumiewawcze spojrzenie.

– No więc? – nalegał Decambrais.

Joss się zawahał. Czy to uczciwie targować się o pokój w zamian za pięć kartek ni przypiął, ni przyłatał?

– Podobno pokój się u pana zwolnił – wymamrotał.

Decambrais’mu twarz znieruchomiała.

– Już mam chętnych – rzekł bardzo cicho. – Mają pierwszeństwo przed panem.

– W porządku – powiedział na to Joss. – Wypchaj się pan swoimi kłamstwami. Hervé Decambrais nie życzy sobie, żeby jakiś prostak deptał jego dywany. Łatwo się tak mówi, co? Żeby uzyskać wstęp, trzeba mieć listy polecające albo być Lizbeth, a jednego i drugiego doczekam się na święty nigdy.

Joss duszkiem wychylił wino i z trzaskiem odstawił szklanekę na stół. Wzruszył potem ramionami i naraz ogarnął go spokój. Le Guernowie niejedno w życiu widzieli.

– No dobra – podjął, napełniając szklanekę winem. – Zatrzymaj pan sobie ten swój pokój. W sumie mogę to zrozumieć. Nie pasujemy do siebie, ot co. Cóż poradzić? Możesz pan mieć te kwity, skoro tak panu zależy. Niech pan zajdzie wieczór do Damasa przed sesją o szóstej dziesiątej.

Decambrais stawiał się o umówionej godzinie w Roll-Riderze. Damas akurat regulował łyżworolki młodemu klientowi, a jego siostra skinęła na Decambrais’go od kasy.

– Mógłby pan mu powiedzieć, żeby włożył sweter? – poprosiła cicho. – Przeziębł się, a ma słabe oskrzela. Wiem, że ma pan na niego wpływ, on normalnie pana słucha.

– Już mu mówiłem, Marie-Belle. Do niego długo dociera.

– Wiem – przytaknęła dziewczyna, zagryzając wargę. – Ale gdyby pan spróbował jeszcze raz...

– Pogadam z nim przy pierwszej okazji, słowo. Marynarz jest?

– Na zapleczu – odparła Marie-Belle, wskazując drzwi.

Decambrais schylając się, przeszedł pod zawieszonymi rowerami, prześliznął się między rzędami deskorolek i wszedł do warsztatu naprawczego zapełnionego od podłogi po sufit kółkami różnej wielkości. Jeden koniec stołu zajmował tam Joss i jego skrzynka.

– Ma pan wszystko na stole – powiedział Joss, nie odwracając głowy.

Decambrais wziął kartki i szybko je przerzucił.

– A tu najświeższa – dodał Joss. – Prapremiera można powiedzieć. Ten świr się nakręca, teraz już dostaję trzy dziennie.

Decambrais rozłożył kartkę i przeczytał:

*I najsampierw gwoli uniknięcia zarażenia idącego z ziemi należy ulice utrzymywać w czystości i domy, zamiatayąc oneż i ufuwayąc nieczystości ludzkie, yak i zwierzęce, a osobliwie bacząc na targi rybne, jatki, a takož insze kramy z mięfiwem, kędy zwykle gromadzą się odpadki podatne na zgniliznę.*

– Nie mam pojęcia co to jest to mięfiwo z kramów – zauważył Joss nadal pochylony nad kupkami ogłoszeń.

– Za pozwoleniem... mięsiwo.

– Wiesz pan co, Decambrais? Nie chcę być niegrzeczny, ale nie wtykaj pan nosa w nie swoje sprawy. Bo Le Guernowie potrafią czytać. Nicolas Le Guern był obwoływaczem już za Drugiego Cesarstwa. Nie pan będziesz mnie uczył rozróżniania mięfiwa od mięsiwa, do diabła.

– To przepisane stare teksty, z siedemnastego wieku. Facet je kopiuje, używa specjalnych liter. W tamtych czasach „s” pisano prawie tak samo jak „f”. W południowym ogłoszeniu nie było mowy o pfach ani o wodach ftojących. Ani tym bardziej o ofuszaniu ich.

– Jakie znowu „s”? – Joss poderwał głowę i podniósł głos.

– Zwyczajne „s”. Psy, wody stojące, osuszanie, mięsiwo. Stare „s” przypominające „f”. Niech pan popatrzy, troszkę różnią się kształtem, jeśli dokładnie się przyjrzeć.

Joss wyrwał mu kartkę z ręki i badawczo oglądał charakter pisma.

– Ano – rzekł z niezadowoleniem. – Założmy. I co z tego?

– Po prostu łatwiej będzie panu czytać. Nie chciałem pana urazić.

– Ale uraził pan. Bierz pan te przeklęte papiery i jazda stąd. Czytanie to jednak mój fach. Ja się do pana spraw nie mieszam.

– To znaczy?

– To znaczy, że sporo wiem o panu dzięki donosom, które mi się tu poniewierają – wyjaśnił Joss, wskazując kupkę rzeczy do niepowiedzenia. – Jak mi kiedyś przypomniał mój praprapradziad Le Guern, w ludzkiej głowie nie samo piękno siedzi. Dobrze, że najpierw sortuję to wszystko.

Decambrais zbladł i rozejrzał się za jakimś stołkiem.

– Na Boga, aż tak nie musisz pan się bać – zauważył Joss.

– Ma pan te donosy? – spytał Decambrais.

– Ano, dam je do odrzutek. Chcesz pan zobaczyć? – Joss pogrzebał w stercie ogłoszeń nie odczytanych i podał mu dwie kartki. – W sumie dobrze znać swojego wroga – stwierdził. – Człowiek ostrzeżony wart jest dwóch.

Patrzył, jak Decambrais rozkłada kartki. Ręce mu drżały i Jossowi po raz pierwszy zrobiło się trochę żal starego inteligentika.

– Nie przejmuj się pan – powiedział. – To gnida jakaś. Gdybyś pan wiedział, co tu czytam!... Gównu powinno spłynąć rynsztokiem do rzeki.

Decambrais przeczytał obydwie ogłoszenia i położył je na kolanach, uśmiechając się słabo. Joss odniósł wrażenie, że oddech mu wraca. Czego ten jaśniepan tak się wystraszył?

– Nie ma nic złego w robieniu koronek – pocieszył go. – Mój ojciec robił sieci. Robota podobna, tyle że większa, prawda?

– Ano, prawda – zgodził się Decambrais, zwracając mu kartki. – Lepiej jednak, żeby to się nie rozniosło. Ludzie są dość ograniczeni.

– Bardzo ograniczeni – potwierdził Joss, wracając do pracy.

– Matka mnie nauczyła robić koronki. Czemu pan nie przeczytał tych wiadomości?

– Bo nie trawię durniów – odparł Joss.

– Ale mnie pan też nie lubi.

– Nie lubię. Ale durniów nie trawię.

Decambrais podniósł się do wyjścia. W niskich drzwiach jeszcze przystanął.

– Ma pan u mnie ten pokój, Le Guern – powiedział.

## VI

Kiedy Adamsberg około trzynastej wchodził do bramy, zaczepił go nieznajomy funkcjonariusz.

– Komisarz Maurel, inspektorze – przedstawił się. – Jakaś kobieta czeka na pana w biurze. Tylko z panem chce mówić. Niejaka Maryse Petit. Siedzi już ze dwadzieścia minut. Pozwoliłem sobie zamknąć drzwi, bo Favre chciał ją podtrzymać na duchu.

Adamsberg ściągnął brwi. To ta, co była wczoraj, ta od graffiti. O rany, za ciepło ją przyjął. Jeśli codziennie będzie przychodziła się wyzalać, sprawy mocno się pokomplikują.

– Strzeliłem byka? – spytał Maurel.

– Nie, komisarzu. To moja wina.

Maurel. Wysoki, szczupły brunet, trądzik, wystający podbródek, wrażliwy. Trądzik, podbródek, wrażliwy równa się Maurel.

Adamsberg ostrożnie wszedł do swojego pokoju i zasiadł przy stole, skinąwszy krótko głową.

– Och, panie inspektorze, przepraszam, że znowu zawracam panu głowę – zaczęła Maryse.

– Momencik – rzekł Adamsberg, wyciągając z szuflady kartkę i pochylając się nad nią z długopisem w ręce.

Stary numer gliniarza albo szefa w przedsiębiorstwie, oklepany do cna, mający stworzyć przepaść, dać do zrozumienia rozmówcy, jak relatywnie mało znaczy. Adamsberg zły był na siebie, że się do niego ucieka. Człowiek myśli, że jest nie wiadomo jak daleko od takiego komisarza Noëla, który jednym ruchem zasuwa zamek kurtki, a tu stwierdza, że postępuje jeszcze gorzej. Maryse umilkła i spuściła głowę, co Adamsberg odczytał jako przyzwyczajenie do besztania przez szefa. Była niebrzydka, a gdy siedziała taka pochylona do przodu, rozpięta bluzka odsłaniała jej rowek między piersiami. Człowiek myśli, że jest nie wiadomo jak daleko od takiego sierżanta Favre'a, a tu okazuje się naraz, że tkwi w tym samym barłogu. Na swoim wykazie Adamsberg powoli zanotował: trądzik, podbródek,



wrażliwy, Maurel.

– Słucham panią? – odezwał się, podnosząc głowę. – Dalej pani się boi? Proszę pamiętać, że tu jest wydział zabójstw. Jeśli czuje się pani zbyt zdenerwowana, może warto by pójść do lekarza?

– Tak, tak, może.

– No właśnie – przytaknął Adamsberg, podnosząc się. – Niech pani przestanie się martwić, graffiti jeszcze nikogo nie skrzywdziło.

Otworzył szeroko drzwi i uśmiechnął się, zachęcając ją do wyjścia.

– Ale jeszcze panu czegoś nie powiedziałam – zaczęła Maryse. – O innych budynkach.

– O jakich innych budynkach?

– O dwóch budynkach na drugim końcu Paryża, w Osiemnastej.

– No więc?

– Tam też były czarne czwórki. Na wszystkich drzwiach. I to ponad tydzień temu, czyli zasadniczo dużo wcześniej niż u mnie.

Adamsberg przez chwilę trwał w bezruchu, po czym cicho zamknął drzwi i wskazał kobiecie krzesło.

– Tacy grafficiarze, panie inspektorze – zaczęła nieśmiało Maryse, siadając na powrót – paćkają raczej w swojej dzielnicy, nie? Znaczą jakby na swoim ograniczonym terytorium? Nie malują po budynkach w jednym miejscu, a potem w innym, na drugim końcu miasta, prawda?

– Chyba że mieszkają na dwóch różnych końcach Paryża.

– No tak. Ale zwykle taka banda jest z dzielnicy, nie?

Adamsberg nie odpowiedział. Wyjął notes.

– Jak się pani o tym dowiedziała?

– Zawiozłam syna do foniatry, jest dyslektykiem. W czasie terapii zawsze czekam w kawiarni na dole. Przeglądałam lokalną gazetkę, wie pan, taką z wiadomościami z dzielnicy, o polityce... Całą stronę temu poświęcili. Budynek przy rue Poulet i drugi przy rue Caulaincourt miał na wszystkich drzwiach taką czwórkę... – Zawiesiła na chwilę głos. – Przyniosłam panu ten artykuł – dodała, przesuwając w jego stronę wycinek z gazety. – Żeby pan zobaczył, że niczego tu nie zmyślam. Znaczą, że nie próbuję zwrócić na siebie uwagi czy coś.

Kiedy Adamsberg czytał artykuł, kobieta zaczęła się zbierać do wyjścia.

Inspektor zerknął na pusty kosz na śmiecie.

– Momencik – powiedział. – Zaczniemy od początku. Pani imię, nazwisko, adres, rysunek takiej czwórki. Już to robimy.

– Ale wszystko panu wczoraj powiedziałam – zauważyła Maryse lekko stropiona.

– Wolę zacząć od nowa. Na wszelki wypadek, rozumie pani.

– Aha – bąknęła, posłusznie opadając z powrotem na krzesło.

Po wyjściu Maryse inspektor poszedł się przejść. Godzina bez ruchu na krześle to było maksimum dla pozycji siedzącej. Kolacje w restauracji, seanse kinowe, koncerty, długie wieczory w głębokim fotelu, choć z początku były dla niego prawdziwą przyjemnością, kończyły się bólem poniekąd fizycznym. Kompulsywne pragnienie, by wyjść i chodzić, a przynajmniej stać, sprawiało, że przerywał rozmowę, uciekał z koncertu albo z kina. Ta przypadłość dawała mu niejaki korzyści. Pozwalała mu na przykład rozumieć, co inni nazywają zdenerwowaniem, niecierpliwością, a nawet pośpiechem, jego bowiem te stany ducha nie dotyczyły w żadnych życiowych okolicznościach.

W pozycji stojącej albo w marszu zniecierpliwienie odstępowało go równie szybko, jak wcześniej dopadło, i Adamsberg odnajdywał swój naturalny rytm funkcjonowania: powolny, spokojny, miarowy. Wrócił do biura bez jakichś szczególnych przemyśleń, ale z uczuciem, że te czwórki nie są ani graffiti, ani kawałem nastolatka, ani nawet wygłupem z zemsty. Seria czarnych cyfr wzbudzała w nim nieprzyjemne mgliste uczucie, przelotny niepokój.

Dochodząc do budynku brygady kryminalnej, wiedział również, że nie należy raczej wspominać o tym Danglardowi. Danglard nie cierpiał, gdy inspektor poddawał się nieuzasadnionym przeczuciom, które w jego mniemaniu były źródłem wszelkich policyjnych porażek. W najlepszym razie nazywał to stratą czasu. Adamsberg na próżno mu tłumaczył, że tracenie czasu nigdy nie jest czasem straconym – Danglard twardo odrzucał taki system myślenia bezpodstawnego, pozbawionego racjonalnego umocowania. Problem Adamsberga polegał na tym, że nigdy innego systemu nie znał, ba, w sumie nie był to nawet system ani przekonanie czy

choćby kaprys. Takie miał usposobienie i nic na to nie mógł poradzić.

Danglard siedział w swoim biurze z ospałością w oczach po porządnym lunchu i testował podłączoną właśnie sieć komputerową.

– Nie mogę importować bazy odcisków palców z prefektury – mruknął niezadowolony do mijającego go Adamsberga. – Cholera, co oni sobie myślą? Brak dostępu? Jesteśmy delegaturą czy nie?

– Będziesz miał dostęp, nie martw się – rzekł Adamsberg tonująco, czując się tym spokojniejszy, im mniej miał do czynienia z komputerami.

Jego niewiedza w tym zakresie bynajmniej nie wadziła nadkomisarzowi Danglardowi, który biegle obsługiwał bazy danych i przeglądał je krzyżowo. Wprowadzanie danych, sortowanie, operowanie najbardziej rozbudowanymi aktami było zgodne z amplitudą jego uporządkowanego umysłu.

– Masz wiadomość na biurku – powiedział, nie podnosząc oczu. – Od córki królowej Matyldy. Wróciła z podróży.

Danglard nigdy nie nazywał Camille inaczej jak „córka królowej Matyldy”, odkąd przed laty Matylda przyprawiła go o ciężki wstrząs estetyczny i sentymentalny. Podziwiał ją jako ikonę i duża część owego uwielbienia przenosiła się na jej córkę Camille. Danglard uważał, że Adamsberg nie jest wobec Camille wystarczająco miły i troskliwy. Adamsberg wyraźnie to zauważał po pewnych pomrukach albo niemej dezaprobach partnera, który jednak po dżentelmeńsku starał się nie mieszać w sprawy innych. Właśnie teraz Danglard bez jednego słowa wyrzucał mu, że nie zasięgał wieści o Camille od ponad dwóch miesięcy. A zwłaszcza że nie dalej jak przed tygodniem spotkał go pod rękę z jakąś dziewczyną. Obaj wtedy w milczeniu skinęli sobie tylko głową.

Przechodząc za plecami partnera, Adamsberg patrzył przez moment na przesuwane się na monitorze linijki.

– Słuchaj, Danglard, jakiś facet bawi się w malowanie czarnych stylizowanych czwórek na drzwiach mieszkań. W sumie w trzech budynkach. W jednym w Trzynastej i w dwóch w Osiemnastej. Zastanawiam się, czyby tam nie podskoczyć.

Danglard zastygł z palcami nad klawiaturą.

– Kiedy? – zapytał.

– Zaraz. Tylko zawiadomię fotografa.

– Po co?

– Żeby zdjęcia porobił, zanim ludzie wszystko zmyją. O ile już tego nie zrobili.

– Ale po co? – powtórzył Danglard.

– Nie podobają mi się te czwórki. Bardzo mi się nie podobają.

No. Najgorsze zostało powiedziane. Danglard nie znosił zdań, które się zaczynały od „nie podoba mi się to”, „nie podoba mi się tamto”. Gliniarzowi nie ma się podobać albo nie podobać. Gliniarz ma robić co do niego należy i pracując, myśleć.

Adamsberg wszedł do swojego pokoju i przeczytał wiadomość zostawioną przez Camille. Jeśli jest wolny, może do niego wpaść wieczorem. Jeśli jest zajęty, czy może ją uprzedzić? Adamsberg pokiwał głową. Pewnie, że jest wolny.

– Danglard, jak wygląda fotograf? – zapytał partnera. – I jak się nazywa?

– Trzy tygodnie temu poznałeś całą ekipę – przypomniał mu Danglard. – Każdemu uścisnąłeś dłoń. Rozmawiałeś nawet z fotografem.

– Możliwe – zgodził się Danglard. – A nawet pewne. Ale nie odpowiadasz na moje pytanie. Jak on wygląda i jak się nazywa?

– Daniel Barteneau.

– Barteneau, Barteneau... niełatwe... Wygląd?

– Raczej szczupły, twarz ruchliwa, uśmiechnięta, nerwowa.

– Znaki szczególne?

– Gęste piegi, włosy prawie rude.

– A, to dobrze, bardzo dobrze – rzekł Adamsberg, wyjmując z szuflady swoją listę. Pochylił się i zapisał: szczupły, rudy, fotograf... – Mówiłeś, że jak się nazywa?

– Barteneau – dobitnie powtórzył Danglard. – Daniel Barteneau.

– Dzięki – powiedział Adamsberg, uzupełniając wpis. – Zauważyłeś, że mamy ciężkiego kretyna w grupie? Mówię o jednym, ale może być takich więcej.

– Favre. Jean-Louis.

– Właśnie. Co z nim zrobimy?

Danglard rozłożył ręce.

- To pytanie rangi międzynarodowej – odparł. – Ociosamy go?
  - Stary, pół wieku na to nie wystarczy.
  - Coś ty znowu wymyślił z tymi czwórkami?
  - Ha! – rzekł Adamsberg. Otworzył notes na stronie z rysunkiem Maryse.
- Tak wyglądają.

Danglard przyjrzał się i zwrócił mu notes.

- Było wykroczenie? Przemoc?
- Tylko te malunki. Co nam szkodzi zobaczyć? Póki tutaj nie ma krat, i tak wszystkim kierują ci z quai des Orfèvres.

– To nie powód, żeby się się zajmować byle czym. Tu jest roboty od cholery z uruchomieniem wszystkiego.

- To nie jest byle co, ręczę.
- Graffiti.
- Odkąd to grafficiarze malują na drzwiach na klatce schodowej? I to w trzech miejscach Paryża?

– Jajcarze? Artyści?

Adamsberg wolno pokręcił głową.

– Nie, Danglard, w tym nie ma żadnego aryzmu. Za to syfu jest po uszy.

Danglard wzruszył ramionami.

– Wiem, stary – powiedział Adamsberg, wychodząc z biura. – Wiem.

Przez hol szedł fotograf, lawirując pośród gruzowiska. Adamsberg przywitał się z nim uściskiem dłoni. Nazwisko, które kilkakrotnie powtarzał Danglard, znowu wyleciało mu z głowy. Będzie musiał zapiski dla pamięci przenieść do notesu, żeby mieć je zawsze pod ręką. Zrobi to jutro, bo dzisiaj będzie Camille, a Camille jest ważniejsza od każdego Bretonneau czy jak tam on się nazywa. Danglard już do nich dochodził.

– Cześć, Barteneau – powiedział.

– Cześć, Barteneau – powtórzył Adamsberg, posyłając wdzięczne spojrzenie partnerowi. – Lecimy. Na avenue d'Italie. Ma być cacuś, artystyczne fotki.

Kątem oka zobaczył, że Danglard wkłada kurtkę i starannie obciąga ją z tyłu, by ułożyła się równo na ramionach.

– Też idę – mruknął nadkomisarz.

## VII

Joss szybkim krokiem podążał rue de la Gaîté, trzy i pół węzła. Od poprzedniego wieczora zachodził w głowę, czy się nie przesłyszał, gdy stary inteligencik powiedział: „Ma pan u mnie ten pokój, Le Guern”. Znaczący przesłyszec się nie przesłyszał, ale czy to, co usłyszał, znaczyło to, co Joss myślał, że znaczący? Czy naprawdę znaczący, że Decambrais wynajmie mu pokój? Z dywanem, Lizbeth, kolacją? Jemu, prostakowi z Guilvinec? No pewnie, że właśnie to znaczący. Bo co innego miałoby znaczący? Tylko czy powiedziawszy to wczoraj, po przebudzeniu Decambrais nie rozmyślił się aby i nie postanowił wycofać? Czy nie podejdzie do niego po porannej sesji i nie oznajmi, że przykro mu, ale pokój już wynajął zgodnie z zasadą pierwszeństwa?

Tak, tak właśnie się stanie, i to już za chwilę. Staremu tchórzliwemu picusowi ulżyło, kiedy się dowiedział, że Joss jego sprawy z koronkami nie rozgłosi publicznie. I w niekontrolowanym porywie wdzięczności dał mu ten pokój. A teraz mu go zabierze. Ot, cały Decambrais. Nudziarz i drań, zawsze miał go za takiego.

Wściekły Joss zdjął skrzynkę i bez ceregieli wysypał zawartość na stół w Roll-Riderze. A w ogóle jeśli znowu będzie donos na inteligencika, możliwe, że tym razem go odczyta. Drań, patentowany drań. Niecierpliwie przejrzał ogłoszenia, lecz nic takiego nie znalazł. Była natomiast kremowa gruba koperta z trzydziestoma frankami w środku.

– A ten się uczył jak rzep psiego ogona – mruknął Joss, rozkładając kartkę.

Chociaż interes nie był zły w sumie. Teraz tylko dzięki temu gościowi zarabiał stówkę dziennie. Skupił się na tekście.

*Videbis animalia generata ex corruptione multiplicari in terra ut vermes, ranas et muscas ; et si sit a causa subterranea videbis reptilia habitantia in cabernis exire Adamsberg superficiem terrae et dimittere ova sua et aliquando mori. Et si est a causa celesti, similiter volatilia.*

– Kuźwa! – zaklął Joss. – Po włosku.

Wspiąwszy się na podwyższenie o ósmej dwadzieścia osiem, Joss przede wszystkim upewnił się, że Decambrais stoi w drzwiach. Pierwszy raz w ciągu dwóch lat patrzył na niego z obawą. Tak, stał w progu wytwornie odziany w szary garnitur – przecesał palcami siwe włosy, otworzył książkę w skórzanej oprawie. Joss posłał mu złe spojrzenie i gromkim głosem odczytał ogłoszenie numer jeden.

Odniósł wrażenie, że cała sesja trwała krócej niż zwykle, tak pilno mu było przekonać się, jak też Decambrais wycofa się z obietnicy. Aż ucierpiała na tym końcowa „Kartka z historii Francji dla każdego”, przez co rozłościł się jeszcze bardziej na inteligencika.

– Francuski parowiec – zakończył szorstko – wyporność trzy tysiące ton, wpada na skały koło Penmarch, potem dryfuje aż do przylądka La Torche, gdzie tonie na kotwicy. Załoga zginęła.

Po sesji Joss zmusił się, by obojętnie odstawić skrzynię do sklepu Damasa, który podnosił właśnie żelazną roletę. Przywitani się uściskiem dłoni. Damas miał rękę lodowatą. Bo oczywiście przy tej pogodzie nadal chodził w samej kamizelce. Przeziębi się, zgrywając chojraka.

– Decambrais czeka na ciebie o dwudziestej w Wikingu – rzekł Jossowi, rozstawiając kubki na kawę.

– Nie może sam mi tego powiedzieć?

– Przez cały dzień ma spotkania.

– Może, ale ja nie jestem na każde gwizdnięcie. Ten jaśniepan może mi skoczyć.

– Czemu mówisz „jaśniepan”? – zdziwił się Damas.

– Hej, Damas, pobudka! Czy Decambrais to nie jaśniepan?

– Nic o tym nie wiem. Nigdy się nie zastanawiałem. W każdym razie jest wiecznie spłukany.

– Spłukani jaśniepanowie też się zdarzają. W ogóle jaśniepaństwu spłukiwanie się akurat najlepiej wychodzi.

– Aha – powiedział Damas. – Nie wiedziałem.

Nalał do kubków gorącej kawy, zdając się nie zauważać nietęgiej miny Bretończyka.

– A na sweter zdecydujesz się dziś czy dopiero jutro? – zagadnął Joss dość napastliwie. – Nie uważasz, że twoja siostra ma dość zmartwień, he?

– Już niedługo, Joss, niedługo.

– Nie obraż się, Damas, ale czemu właściwie nie myjesz sobie włosów?

Zaskoczony pytaniem Damas podniósł głowę i odrzucił na plecy długie ciemne kędzierzawe włosy.

– Moja matka mawia, że włosy mężczyzny to cały jego kapitał – ciągnął Joss. – No, a o tobie nie można powiedzieć, żebyś go pomnażał.

– Są brudne? – zaniepokoił się Damas.

– Ano, trochę. Nie obraż się, Damas. Mówię dla twojego dobra. Masz ładne włosy, więc musisz się nimi zajmować. Siostra ci tego nie mówiła?

– Mówiła. Po prostu zapominam. – Chwycił kosmyk włosów za koniec i przyjrzał się im uważnie. – Rację masz, Joss. Zaraz to zrobię. Możesz popilnować sklepu? Marie-Belle przyjdzie dopiero koło dziesiątej.

Wypadł na zewnątrz. Joss patrzył za nim, gdy biegł w stronę apteki. Westchnął. Biedny Damas. Za dobry, ale za mało ma oleju w głowie. Ostatnią koszulę drugiemu by oddał. Przeciwiństwo jaśniepana, który ma olej w głowie i niewiele serca. Ech, życie, nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Grzmiący gong Bertina rozbrzmiał piętnaście po ósmej wieczorem. Dni strasznie szybko się skracały, na placu zapadł już zmierzch, gołębie poszły spać. Joss niechętnie powlókł się do Wikinga. Wypatrzył Decambrais’go przy stoliku w głębi sali: w ciemnym garniturze, pod krawatem, w białej koszuli wytartej przy kołnierzyku siedział przed dwoma dzbanuszkami czerwonego wina. Czytał – on jeden w całej sali. Miał cały dzień na przygotowanie przemowy, toteż Joss się spodziewał, że będzie dopięta na ostatni guzik. Facet jest za cienki w uszach na Le Guerna. O węzłach, linach, sieciach nie ma pojęcia.

Joss klapnął ciężko na krzesło, nie witając się, a Decambrais zaraz napełnił dwie szklanki.

– Dziękuję, że pan przyszedł. Wolałem nie odkładać tego do jutra.

Joss kiwnął tylko głową i pociągnął długi łyk wina.

– Ma je pan? – zapytał Decambrais.



– Co?

– Dzisiejsze ogłoszenia, no wie pan, te ekstra.

– Nie taszczę wszystkiego ze sobą. Są u Damasa.

– Pamięta je pan?

Joss w zamyśleniu podrapał się po policzku.

– Facet znowu opowiadał o sobie, jak zwykle bez ładu i składu – odparł.

– No i jedno znów było po włosku, jak rano.

– To łacina.

Joss milczał chwilę.

– Ha, to mi się nie podoba. Czytanie czegoś, czego się nie rozumie, to nie jest uczciwa robota. Czego ten gość chce? Wkurzać ludzi?

– Bardzo możliwe. Czy byłby pan tak uprzejmy i przyniósł je?

Joss opróżnił szklankę i wstał. Sprawy nie toczyły się tak, jak się spodziewał. Był skołowany, jak tamtej nocy na morzu, gdy na pokładzie wszystko sfiksowało i nie dało się wytyczyć kursu. Myśleli, że skręcają przez sterburtę na zachód, a o świcie okazało się, że prują prosto na północ. Otarł się wtedy o katastrofę.

Szybko obrócił tam i z powrotem, zastanawiając się, czy Decambrais nie był na bakburcie, gdy on myślał, że znajduje się na sterburcie, i położył trzy kremowe koperty na stole. Bertin przyniósł właśnie gorące dania, eskalopki po normandzku z ziemniakami, oraz trzeci dzbanuszek wina. Joss bez zwłoki wziął się za jedzenie, podczas gdy Decambrais półgłosem czytał ogłoszenie z południa:

– „Do urzędu rankiem z obolałym lewym palcem wskazującym z powodu zwichnięcia, do którego doszło, kiedym walczył z kobietą wspomnianą wczoraj. [...] Żona moja udała się do łaźni [...] aby się okąpać po tak długim pozostawaniu w zakurzonem domu. Utrzymuje, że postanowiła być odtąd bardzo czysta. Jak długo to potrwa, zgaduję bez trudu”. Znam ten tekst, do licha – powiedział, wkładając kartkę do koperty – ale pamiętam go jak przez mgłę. Albo za dużo wypilem, albo pamięć mi szwankuje.

– Bywa, że sekstant się zbiesi.

Decambrais uzupełnił wino w szklankach i przeszedł do kolejnego ogłoszenia:

*Terrae putrefactae signa sunt animalium ex putredine nascentium multiplicatio, ut sunt mures, ranae terrestres (...), serpentes ac vermes, (...) praesertim si minime in illis locis nasci consuevere...*

– Mogę je zatrzymać? – spytał.

– Jeśli to panu w czymś pomoże...

– Na razie w niczym. Ale odkryję to, Le Guern, odkryję. Ten gość bawi się z nami w kotka i myszkę, ale pewnego dnia jedno słowo za dużo naprowadzi mnie na jego ślad, daję głowę.

– I co pan z tego będziesz miał?

– Dowiem się, o co mu chodzi.

Joss wzruszył ramionami.

– Z takim podejściem nigdy byś pan nie mógł być obwoływaczem. Bo jakby się zatrzymywać na wszystkim, co się obwieszcza, to po zawodach. Nie da się podnieść głosu, człowieka zatyka. Obwoływacz musi być ponad wszystkim. Niejeden oszołom zachodził do mojej skrzynki. Ale nigdy nie trafił się taki, który by płacił więcej, niż taryfa przewiduje. Ani który by dawał ogłoszenia po łacinie albo pisał dawne „s” tak jak „f”. I ciekawe, po co to wszystko?

– Żeby zachować maskę. Z jednej strony nie on przemawia, bo cytuje cudze teksty. Widzi pan, jak chytrze? Nie boi się.

– Nie ufam gościom, którzy się nie boją.

– Z drugiej strony wybiera dawne teksty, które tylko dla niego mają sens. Kryje się.

– Wiesz pan co? – powiedział Joss, wymachując nożem. – Ja tam nic nie mam do staroci. Nawet robię „Kartkę z historii Francji” w czasie sesji, zauważyłeś pan? To mi zostało z czasów szkoły. Lubiłem historię. Nie słuchałem, ale lubiłem.

Joss dokończył jedzenie, a Decambrais zamówił czwarty dzbanuszek wina. Joss zerknął na niego. Ma łeb ten jaśniepan, a przecież nie wiadomo, ile wlał w siebie, czekając na niego. Joss dotrzymywał mu kroku, czuł jednak, że powoli traci kontrolę nad sobą. Obrzucił uważnym wzrokiem Decambrais’go, który w sumie wcale nie wyglądał na takiego trzeźwego. Ani chybi popił zdrowo, żeby się odważyć na rozmowę o pokoju. Joss

uświadomił sobie, że on także unika tego tematu. Póki gadają o tym i owym, nie ma mowy o wynajmowaniu pokoju, a to już coś.

– Zasadniczo rzecz w tym, że bardzo lubiłem profesora – dodał Joss. – Choćby mówił po chińsku, i tak bym go lubił. Jak mnie wylali z internatu, tylko jego żałowałem. W Tréguier nie znali się na żartach.

– A cóż pan robił w Tréguier? Zdawało mi się, że jest pan z Guilvinec.

– No właśnie nic nie robiłem. Dali mnie do internatu, żeby naprostować mi charakter. Na darmo się szarpali. Po dwóch latach odesłali mnie do Guilvinec, że niby mam zły wpływ na kumpli.

– Znam Tréguier – rzekł Decambrais od niechcienia, nalewając sobie wina do szklanki.

Joss popatrzył na niego ze sceptyczną miną.

– Rue de la Liberté pan znasz?

– Tak.

– No to tam był internat męski.

– Tak.

– Zaraz za kościołem Świętego Rocha.

– Tak.

– Będziesz pan odpowiadał „tak” na wszystko, co powiem?

Decambrais wzruszył ramionami, powieki miał ciężkie. Joss pokręcił głową.

– Aleś się pan wstawił – powiedział. – Ledwie się pan trzymasz.

– Wstawiłem się, ale znam Tréguier. Jedno nie przeszkadza drugiemu.

Decambrais wychylił do dna wino ze swojej szklanki i dał znak Jossowi, by znów ją napełnił.

– Bujdy na resorach – rzekł Joss, nalewając mu wino. – Bujdy, które mają mnie udobruchać. Jak pan sądzisz, żem na tyle głupi, by zmięknąć, boś pan objechał Bretanię, to grubo się pan mylisz. Ja tam nie jestem patriotą, tylko marynarzem. Znam Bretończyków tak samo głupich jak inni.

– Ja też.

– Mnie pan masz na myśli?

Decambrais niemrawo pokręcił głową, po czym na dość długo zapadła cisza.

– I naprawdę znasz pan Tréguier? – podjął w końcu Joss z uporem faceta,

który za dużo wypił.

Decambrais przytaknął i opróżnił szklanę.

– Za to ja nie za bardzo – wyznał Joss nagle posmutniały. – Dyro internatu, ojciec Kermarec, tak kombinował, żeby zawsze w niedzielę mnie przytrzymać w budynku. Miasto znałem chyba tylko z okna i z opowieści kumpli. Ależ ta pamięć jest skubana! Pamiętam nazwisko tego bydlaka, a zapomniałem, jak się nazywał profesor historii, który jedyny stawał w mojej obronie.

– Ducouëdic.

Joss wolno podniósł głowę.

– Jak?

– Ducouëdic – powtórzył Decambrais. – Tak się nazywał pański profesor historii.

Joss zmrużył oczy i nachylił się nad stołem.

– Ducouëdic – potwierdził. – Yann Ducouëdic... Powiedz pan, Decambrais, szpiegujesz mnie? Czego pan ode mnie chcesz? Jesteś pan z policji? Tak, jesteś pan gliniarzem, nie? Wiadomości to była podpucha, pokój też! Kurde, chcesz mnie pan tylko wciągnąć w te policyjne gierki, co?

– Boi się pan policji?

– A co panu do tego?

– Pańska sprawa. Ale nie jestem z policji.

– Akurat! To skąd pan znasz mojego Ducouëdica?

– To był mój ojciec.

Joss skamieniał z łokciami na stole, wysuniętą brodą, wstawiony i niepewny.

Decambrais odchylił lewą połę marynarki i dość nieporadnie namacał wewnętrzną kieszeń. Wyjął z niej portfel, a z portfela dowód osobisty, który podał Bretończykowi. Joss długo się wpatrywał w dokument, wodząc palcem po imieniu i nazwisku, zdjęciu, miejscu urodzenia. Hervé Ducouëdic urodzony w Tréguier, lat siedemdziesiąt.

Kiedy podniósł głowę, Decambrais przyłożył palec do ust. Cicho. Joss kilkakrotnie kiwnął głową. Kłopoty. To potrafił zrozumieć, nawet jak był nawalony. W Wikingu panował jednak taki harmider, że po cichu mogli rozmawiać bez obawy, iż ktoś usłyszy.

– A czemu... Decambrais? – wyszeptał.

– E, tam...

No, no, czapki z głów. Czapki z głów przed jaśniepanem. Nie ma co. Joss długo to sobie przetrawiał.

– Czyli – podjął w końcu – jesteś pan tym jaśniepanem czy nie?

– Jaśniepanem? – powtórzył Decambrais, chowając dowód. – Wie pan co? Jakbym był jaśniepanem, nie marnowałbym oczu przy robieniu serwetek.

– Możesz pan spłukanym jaśniepanem?

– Też nie. Tylko spłukanym. Bretończykiem.

Joss oparł się o krzesło kompletnie stropiony, taki stropiony jak kiedy jakaś fantazja albo sen znienacka cię odstępuje.

– Tylko niech pan pamięta, Le Guern – powiedział Decambrais. – Nikomu ani słowa.

– Lizbeth wie?

– Ani Lizbeth, ani nikt inny. I nikt nie może się dowiedzieć?

– To czemuś mi pan o tym powiedział?

– Coś za coś – wyjaśnił Decambrais, opróżniając szklanekę. – Na przyzwoitość odpowiadam przyzwoitością. Jeśli przez to zmieni pan zdanie w sprawie pokoju, niech pan szczerze mówi. Potrafię zrozumieć.

Joss się wprostował.

– Bierze go pan? – spytał Decambrais. – Bo mam chętnych.

– Biorę – odparł Joss skwapliwie.

– To do jutra – powiedział Decambrais, wstając. – I dzięki za wiadomości.

Joss przytrzymał go za rękaw.

– Panie, co jest z tymi wiadomościami?

– Niejasne, cuchnące... I groźne, dają głowę. Jak coś mi zaświta, powiem panu.

– Latarnia morska – rzekł Joss w zamyśleniu. – Jak pan zobaczysz światło latarni morskiej.

– No właśnie.

## VIII

Duża część czwórek zdążyła zniknąć z drzwi mieszkań w trzech budynkach, zwłaszcza w XVIII dzielnicy, gdzie liczyły już dziesięć i osiem dni według kilku lokatorów. Użyto jednak dobrej jakości farby akrylowej, toteż na drewnie pozostały wyraźne czarniawe ślady. Za to w kamienicy Maryse pozostało jeszcze wiele nietkniętych malowideł, które Adamsberg kazał sfotografować, nim zostaną zmyte. Wykonano je wszystkie odręcznie, a nie od szablonu. Wszystkie miały te same cechy: wysokość siedemdziesiąt centymetrów, kreska szeroka na dobre trzy centymetry, odwrócone do góry nogami, z podstawą rozwidloną w kształcie krzyża maltańskiego, z poziomą linią dwukrotnie przekreśloną.

– Dobra robota, nie? – rzekł do Danglarda, który milczał w trakcie całych oględzin. – Facet ma wprawę. Maluje jednym pociągnięciem. Jak chiński znak.

– Bezdyskusyjnie – zgodził się Danglard, sadowiąc się w aucie na fotelu pasażera z przodu. – Elegancki charakter pisma, szybka kreska. Ma biegłość.

Fotograf poskładał swój sprzęt na tylnej kanapie i Adamsberg powoli ruszył.

– Pilne są te zdjęcia? – spytał Barteneau.

– Nie ma gwałtu – odparł Adamsberg. – Kiedy zrobicie, wtedy będą.

– Za dwa dni – zaproponował fotograf. – Dziś muszę zrobić odbitki dla *quai des Orfèvres*.

– À propos *quai des Orfèvres*... lepiej nic tam nie mówić o naszej wycieczce. Niech to zostanie między nami.

– Skoro ma biegłość – podjął Danglard – to może jest artystą malarzem.

– Dziełem sztuki raczej toto nie jest.

– Jedna czwórka nie, ale wszystkie razem?... Wyobraź sobie, że gościu paćka w setkach budynków. W końcu zaczną o nim mówić. Rozmach, artystyczny skok na społeczność, to się nazywa sztuka interwencyjna. Za pół roku poznamy nazwisko autora.

– Tak – zgodził się Adamsberg. – Może i masz słuszość.

– Jasne – wtrącił fotograf.

Adamsbergowi nagle przypomniało się jego nazwisko: Brateneau. Nie. Barteneau. Chudy. Rudy. Fotograf równa się Barteneau. Świetnie. Z imieniem nic nie poradzi – nie można mieć wszystkiego.

– U mnie, w Nanteuil – ciągnął Barteneau – był kiedyś facio, który w tydzień setki koszy na śmiecie pomalował na czerwono w czarne kropki. Wyglądało to, jakby na miasto spadł rój gigantycznych biedronek i każda usiadła na słupku jak na ogromnej gałęzce. Miesiąc później facio dostał robotę w największej lokalnej rozgłośni radiowej. Dziś gra pierwsze skrzypce w miejscowym wydziale kultury.

Adamsberg prowadził w milczeniu, spokojnie przedzierając się przez korki po godzinie szóstej. Powoli dojeżdżali do siedziby brygady.

– Jeden szczególnie mi tu nie pasuje – powiedział, stając na czerwonym świetle.

– Zauważyłem – wtrącił Danglard.

– Co? – zapytał Barteneau.

– Facet nie pomalował wszystkich drzwi mieszkań – odparł Adamsberg.

– Czwórki n i e b y ł o na jednych drzwiach. I to we wszystkich trzech budynkach. Czyste drzwi są różnie położone. Na szóstym piętrze po lewej w kamienicy Maryse, na trzecim po prawej przy rue Poulet, na czwartym po lewej przy rue Caulaincourt. Nie bardzo to współgra ze sztuką interwencyjną.

Danglard zagryzł wargę z jednej strony, z drugiej.

– Odrobina asymetrii sprawia, że dzieło jest dziełem, a nie dekoracją – podsunął. – Że artysta proponuje coś do przemyślenia, a nie zwykłą tapetę. To brakująca część, dziurka od klucza, coś niedokończonego, wprowadzenie elementu przypadku.

– Przypadku podrobionego – sprostował Adamsberg.

– Artysta musi sam sfabrykować przypadek.

– To nie jest artysta – rzekł cicho Adamsberg.

Zaparkował przed budynkiem brygady, zaciągnął hamulec ręczny.

– No dobrze – zgodził się Danglard. – Więc kto?

Adamsberg skupił się z rękami opartymi o kierownicę, wzrokiem

utkwionym daleko przed sobą.

– Tylko bądź tak dobry i nie odpowiadaj: „Nie wiem” – zasugerował Danglard.

Adamsberg się uśmiechnął.

– W takim razie lepiej, żebyś milczał – powiedział.

Adamsberg wrócił do domu zwawym krokiem, aby mieć pewność, że będzie na miejscu, kiedy zjawi się Camille. Wziął prysznic, po czym rozsiadł się w fotelu, aby pomarzyć pół godzinki, Camille bowiem na ogół była punktualna. Po głowie błąkała mu się jedna tylko myśl: że czuje się nagi pod ubraniem, jak często bywało, kiedy jej długo nie widział. Nagi pod ubraniem, normalne w odniesieniu do każdego. Tego rodzaju logiczne stwierdzenie nie zakłócało spokoju Adamsbergowi. Fakt pozostawał faktem: kiedy czekał na Camille, był nagi pod ubraniem, w pracy natomiast nie. Różnica była ewidentna niezależnie od logiki.



## IX

Między trzema czwartkowymi sesjami Joss małą furgonetką pożyczoną od Damasa zrobił kilka kursów, przewożąc swoje rzeczy targany swego rodzaju pełną obaw niecierpliwością. Damas pomógł mu za ostatnim razem, gdy z szóstego piętra wąską klatką schodową znieśli największe sztuki jego majątku ruchomego. Niewiele tego było: obciążony czarnym płótnem kufer z miedzianymi okuciami, trumeau, którego malowana część przedstawiała trójmasztowiec przy nabrzeżu, ciężki ręcznie rzeźbiony fotel, który jego praprapradziad wykonał własnymi wielkimi rękami w czasie krótkich pobyków z rodziną.

Ostatnia noc upłynęła Jossowi na przeżuwanie nowych obaw. Wieczorem w Wikingu Decambrais – znaczy Hervé Ducouëdic – wyłopał jakieś sześć kwart czerwonego wina i wymusnęło mu się parę słów za dużo. Teraz Joss się bał, że po przebudzeniu spanikowany inteligencik w pierwszym odruchu pośle go na drugi koniec świata. Nic takiego jednak się nie stało: Decambrais godnie stawił czoło sytuacji, punktualnie o ósmej trzydzieści zjawiając się w drzwiach z książką w ręce. Jeśli żałował, a pewnie żałował, jeśli wręcz drżał, że złożył swój sekret w szorstkie ręce obcego człowieka, na dodatek prostaka, niczego po sobie nie pokazał. A jeśli miał kaca, a na pewno miał tak samo jak Joss, również niczego po sobie nie pokazał, minę miał skupioną jak zwykle, gdy zabrzmiały dwie tego dnia wiadomości, które teraz nazywali „ekstraniusami”.

Joss obydwie mu wręczył wieczorem, gdy zakończył przeprowadzkę. Kiedy znalazł się sam w swoim nowym pokoju, w pierwszej kolejności zdjął buty i skarpetki i stanął boso na dywanie na rozstawionych nogach, ze zwieszonymi rękami i zamkniętymi oczami. Tę właśnie chwilę wybrał sobie Nicolas Le Guern, urodzony w Locmarii w 1832 roku, aby usiąść na szerokim drewnianym łożu i powiedzieć mu cześć. Cześć, odparł Joss.

– Do diaska, dobrze rozegrane – zauważył starzec, opierając łokieć na poduszce.

– Prawda? – rzekł Joss, uchylając powiek.

– Tu masz lepiej niż tam. A nie mówiłem, że obwoływać wysoko może zająć?

– Od siedmiu lat mi to powtarzasz. Po toś przyszedł?

– Te ogłoszenia... – wolno rzekł antenat, drapiąc się po źle ogolonym policzku. – No wiesz, te „ekstraniusy”, jak je nazywasz, te, które dajesz jaśniepanowi... Na twoim miejscu bym je sobie odpuścił. To nic dobrego.

– Zostały opłacone, dziadku, i to sownie – odparł Joss, wzuwając buty. Stary wzruszył ramionami.

– Na twoim miejscu bym odpuścił.

– Znaczy?

– Znaczy, co słyszysz.

Nie mając pojęcia o wizycie Nicolasa Le Guerna na pierwszym piętrze własnego domu, Decambrais pracował w ciasnym gabinecie na parterze. Tym razem wydawało mu się, że jeden z najświeższych „ekstraniusów” odblokował jakąś zapadkę z lekkim stukiem, bardzo delikatnym, lecz może decydującym.

Tekst z porannej sesji stanowił ciąg anegdot będący tym, co Joss nazywał „opowieścią faceta ni przypiął, ni przyłatał”. No i właśnie, dumając Decambrais, chodzi tu o fragmenty z książki powyciągane ze środka, a początek pominięto. Dlaczego? Decambrais co rusz odczytywał te ustępy w nadziei, że ze znajomych, acz wymykających się fraz wyłoni się nareszcie nazwisko ich twórcy.

*W kościele z żoną, która z miesiąc albo i dwa w nim nie była. [...] Zastanawiam się, czy to zasługa zajęcej łapki, która ma mnie strzec przed wzdęciami, ale odkąd ją przy sobie noszę, nie miałem ani razu kolki.*

Decambrais z westchnieniem odłożył kartkę i wziął drugą, tę od zapadki i stuknięcia:

*Et de eis quae significant illud, est ut videas mures et animalia quae habitant sub terra fugere ad superficiem terrae et pati sedar, id est,*

*commoveri hinc inde sicut animalia ebria.*

Na szybko u góry napisał tłumaczenie tych słów z pytajnikiem w środku:

*A do rzeczy, które są tego znakiem, należy to, że zobaczysz, jak szczury i stworzenia mieszkające pod ziemią uciekają na powierzchnię i cierpią (?), znaczy, że wynoszą się z tych miejsc niczym zamroczone.*

Od godziny głowił się nad słowem „sedar”, które nie było łacińskie. Miał pewność, że to nie jest błąd w zapisie, osobnik ów był bowiem tak pedantyczny, że wielokropkiem zaznaczał wszelkie opustki, na które sobie pozwalał w oryginalnych tekstach. Skoro zatem delikwent wystukał „sedar”, znaczy, że „sedar” figurowało niewątpliwie w tekście napisanym w doskonałej łacinie średniowiecznej. Wspinając się na stary drewniany stołek, by dosięgnąć słownika, Decambrais nagle znieruchomiał.

Arabski. To słowo pochodziło z arabskiego.

Niemal podniecony wrócił do stołu i obie ręce położył na kartce, jakby chciał mieć pewność, że nie uleci. Arabski, łacina, mieszanka języków. Czym prędzej Decambrais odszukał wśród starszych ogłoszeń te, w których była mowa o ucieczce zwierząt ku powierzchni ziemi, łącznie z pierwszym tekstem po łacinie odczytanym przez Jossa poprzedniego dnia i zaczynającym się niemal identycznie: „Zobaczysz”.

*Zobaczysz zrodzone ze zgnilizny stworzenia mnożące się pod ziemią, takie jak robaki, ropuchy i muchy, a jeśli przyczyna tego jest podziemna, zobaczysz, jak gady zamieszkujące podziemia wychodzą na powierzchnię i porzucają swoje jaja, i czasami padają. Jeśli zaś przyczyna tego jest w powietrzu, podobnie będzie z ptactwem.*

Teksty kopiowane jeden z drugiego, czasami dosłownie. Różni autorzy roztrząsający tę samą ideę jeszcze w XVII wieku, ideę przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Na modłę mnichów, którzy na przestrzeni stuleci przepisywali dekrety należące do *auctoritas*. A zatem korporacja. Elitarna, wykształcona. Ale nie zakonna, co to, to nie. W tym nie było nic religijnego.

Z czołem wspartym na dłoni Decambrais wciąż rozmyślał, kiedy niczym piosenka rozbrzmiało w całym domu wołanie Lizbeth wzywającej wszystkich do stołu.

Zszedłszy do jadalni, Joss ujrzał stołowników hotelu Decambrais'go już na swoich miejscach, obytych z panującymi tu obyczajami, rozkładających serwetki wyjęte z drewnianych obrączek, każdej odmiennie oznaczonej. Wahał się, czy zejść na kolację już tego wieczoru – posiłek ów nie był obowiązkowy, szczególnie że odnotowano jego nieobecność poprzedniego dnia – ogarnęło go bowiem niezwykajne zakłopotanie. Przywykł mieszkać sam, jeść sam, spać sam i mówić do siebie, chyba że czasem wpadł na kolację do Bertina. W ciągu trzynastu lat spędzonych w Paryżu miał trzy przyjaciółki, każdą raczej krótko, jednakże nigdy się nie odważył żadnej zabrać do swojego pokoju i zaproponować jej miejsca na materacu położonym na podłodze. Mieszkania kobiet, nawet skromne, zawsze były przytulniejsze niż jego zapyziałe lokum.

Joss z wysiłkiem strząsnął z siebie zaściankowość, która jakby wróciła do niego z dawnych czasów młodości, agresywna i sztuczna. Lizbeth z uśmiechem podała mu jego osobistą obrączkę z serwetką. Kiedy uśmiechała się tak szeroko, ogarniało go nagle pragnienie, by przypaść do niej jak rozbitek, który w ciemnościach natyka się na skałę. Cudowna skała, krągła, gładka i ciemna, skała, której można być dozgonnie wdzięcznym. Dziwiło go to. Takiej burzy uczuć doświadczał jedynie w obecności Lizbeth, i to uśmiechniętej. Niewyraźny szmer stołowników powitał Jossa, który zajął miejsce po prawicy Decambrais'go. Lizbeth zasiadała na drugim końcu stołu, obsługując obecnych. Było tam także dwoje innych pensjonariuszy, niejaki Castillon z pokoju numer 1, emerytowany kowal, który przez pierwszą połowę życia parał się fachem prestidigitatora, objeżdżając lokale w całej Europie, oraz z pokoju numer 4 Évelyne Curie, drobna kobietka poniżej trzydziestki, szara myszka o łagodnej buzi z innej epoki, nachylona nad talerzem. Lizbeth uświadomiła Jossa, jak tylko wprowadził się do domu.

– Uważaj, marynarzu – pouczyła go, wciągnawszy dyskretnie do łazienki  
– żebyś mi tu nie narozrabiał. Z Castillonem możesz sobie pozwalać, to

byczor, który ma się za jajcarza, skóra na nim jak na słoniu, więc szkód nie narobisz. Nie przejmuj się, jak przy kolacji zauważysz, że zniknął ci zegarek, to silniejsze od niego, zawsze zwraca łup przy deserze. W tygodniu to zawsze kompot albo świeże owoce, zależy od pory roku, a w niedzielę babka grysikowa. Tu nie ma jedzenia z torebki, możesz wcinać z zamkniętymi oczami. Za to z dziewczyną ostrożnie. Mieszka tu bezpiecznie półtora roku. Zwiąła od chłopca, który przez osiem lat ją łał. Osiem lat, wyobrażasz sobie? Wygląda na to, że go kochała. W końcu wrócił jej rozum i wylądowała tutaj pewnego pięknego wieczoru. Ale uważaj, marynarzu. Facet szuka jej w całym mieście, żeby ją sprać i zabrać do domu. Pewnie, że trudno porównywać, ale tego typu faceci tak mają, wiele tu nie zwojujesz. Ten gość gotowy ją udusić, byle inni jej nie mieli, nie urodziłeś się wczoraj, wiesz, jak to działa. Dlatego nie znasz nazwiska Évelyne Curie, nigdy go nie słyszałeś. Tutaj wołamy na nią Éva, to nic nie mówi. Zrozumiano, marynarzu? Masz być delikatny. Ona niewiele mówi, często się wzdryga, czerwienieje, jakby ciągle się bała. Powoli dochodzi do siebie, ale na to trzeba czasu. Jak o mnie chodzi, znamy się trochę, dobra jestem dziewczyna, ale pieprzonych kawałów już nie mogę słuchać. To tyle. Idź do jadalni, zaraz jemy i lepiej, żebyś wiedział z góry: do kolacji nie więcej jak dwie butelki wina, bo Decambrais lubi wypić, więc muszę przystopować. Kto ma chętkę na więcej, idzie do Wikinga. A śniadanie od siódmej do ósmej, wszystkim tak pasuje prócz kowala, który wstaje późno, ale to jego sprawa. No, wiesz już wszystko, nie płacz mi się teraz pod nogami, przyszykuję ci obrączkę. Mam jedną z kurczakiem i jedną ze statkiem. Którą wolisz?

– Jaką obrączkę? – zdumiał się skołowany Joss.

– Na serwetkę. Rolujesz serwetkę i wkładasz w obrączkę. Pranie raz w tygodniu, znaczy białe w piątek, kolory we wtorek. Jak nie chcesz, żeby twoje rzeczy się prały z rzeczami kowala, masz pralnię dwieście metrów stąd. Jak chcesz prasowanie, musisz ekstra zapłacić Marie-Belle, która przychodzi do mycia okien. To co z tą obrączką?

– Kurczak – odparł zdecydowanie Joss.

– Faceci... – westchnęła Lizbeth, wychodząc. – Zawsze muszą zrobić na przekór.

Zupa, smażona wołowina, sery, gotowane gruszki. Castillon coś tam pogadywał, a Joss przezornie czekał, aż się oswoi z otoczeniem, jakby wpłynął na nowy akwen. Mała Éva jadła cichutko, tylko raz podniosła głowę, by poprosić Lizbeth o chleb. Lizbeth uśmiechnęła się do niej i wtedy Joss odniósł osobliwe wrażenie, że Éva miała ochotę przypaść jej do piersi. No chyba że on by ją ubiegł.

Decambrais przy kolacji praktycznie się nie odzywał. Lizbeth szepnęła Jossowi, gdy pomagał jej sprzątać ze stołu: „Jak taki jest, znaczy, że przy jedzeniu pracuje”. I faktycznie, zaraz po deserze Decambrais wstał od stołu, przeprosił wszystkich i udał się do gabinetu.

Oświeciło go z samego rana, ledwie się ocknął ze snu. Nazwisko wdarło mu się na usta, zanim jeszcze otworzył oczy, jakby przez całą noc czekało na jego przebudzenie, płonąć z niecierpliwości. Decambrais usłyszał własny szept: Awicenna.

Wstał, powtarzając je bez przerwy, by nie umknęło mu wraz z rozwiewającymi się oparami snu. Dla pewności zanotował je na kartce. Awicenna. Po czym obok dopisał: *Liber canonis. Kanon medycyny.*

Awicenna. Wielki Awicenna, perski lekarz i filozof żyjący w początkach XI wieku, autor dzieł tysiące razy kopiowanych na Wschodzie i Zachodzie. Łaciński przekład usiany arabskimi wtrętami. Nareszcie miał trop.

Uśmiechnięty Decambrais nasłuchiwał kroków Bretończyka na schodach. Zatrzymał go, kiedy szedł na dół.

– Dobrze pan spał?

Joss od razu zauważył, że coś się stało. Błada chuda twarz Decambrais’go, zwykle o trochę trupim wyglądzie, nabrała kolorów, jakby przypiekło ją słońce. Nie było na niej lekko cynicznego sztucznego uśmiechu, który zazwyczaj Decambrais obnosił – teraz po prostu promieniała.

– Mam, Le Guern, mam.

– Co?

– Naszego pedanta! Mam go, kurde! Niech pan zatrzyma dzisiejsze ekstraniusy, ja pędzę do biblioteki.

– Na dole pan będziesz, w gabinecie?

– Nie, no, nie mam wszystkich książek.

– Aha – rzekł Joss ździebko zaskoczony.

Decambrais w płaszczu i z teczką ustawioną między nogami zanotował poranne ogłoszenie „ekstra”:

*Po anomaliach w porach roku co do ich własności, a to że zima jest ciepła, zamiast być mroźna; lato chłodne, zamiast być ciepłe, podobnie z wiosną i jesienią, albowiem owa niestałość wskazuje na złą konstytucję i gwiazd, i powietrza [...].*

Wsunął kartkę do teczki, zaczekał kilka minut, by wysłuchać opowieści o katastrofie morskiej, po czym za pięć dziesiątą zszedł do tunelu metra.

# X

Tego czwartku Adamsberg zjawił się w biurze po Danglardzie, co było na tyle rzadkim zjawiskiem, że partner obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Inspektor twarz miał sponiewieraną jak facet, który niewiele pospał w nocy, ot, od piątej do ósmej mniej więcej. Zaraz też wyskoczył na kawę do pobliskiego baru.

Camille, wydedukował Danglard. Camille wczoraj wróciła. Danglard bez pośpiechu włączył komputer. On spał sam, jak zwykle. Przy swojej szpetocie, z twarzą nieforemną i ciałem ściekającym ku dołowi jak topiąca się świeczka, za koniec świata uważał, jeśli raz na dwa lata dotknął kobiety. Z tych ponurych myśli, które prowadziły go prosto do zgrzewki piwa, Danglard jak zwykle się otrząsnął, dokonując szybciotko przeglądu diaporamy twarzy swoich pięciorga dzieci. Piąte zresztą nie było jego z tymi jasnoniebieskimi oczami, lecz żona zostawiła mu wszystkie, odchodząc na preferencyjnych warunkach. To było dawno temu, osiem lat i trzydzieści siedem dni, wtedy widok Marie z tyłu, idącej powoli korytarzem w zielonym kostiumie, otwierającej drzwi i zatraskującej je za sobą, wrył mu się w mózgu na dwa długie lata i sześć tysięcy pięćset piw. Diaporama dzieci, dwóch bliźniaków, dwóch bliźniaczek i niebieskookiego malca, stała się wtedy jego obsesją, ostoją, kołem ratunkowym. Spędził tysiące godzin na przecieraniu marchewki na krem, praniu do śnieżnej białości, modelowym pakowaniu tornistrów, prasowaniu małym żelazkiem, czyszczeniu umywalek, aż lśniły bez jednej bakterii na powierzchni. Później ta narzucona sobie tyrania z wolna ustąpiła nieco, aż wróciła do stanu jeśli nie normalnego, to przynajmniej akceptowalnego i do konsumpcji około tysiąca czterystu piw na rok, acz wspomaganych białym winem w trudniejsze dni. Przetrwała jego świetlista więź z dziećmi, a tego, mówił sobie czasem w ponure poranki, nikt mu nie odbierze. Nikt zresztą nie miał takiego zamiaru.

Spodziewał się – nawet próby podejmował – że jakaś kobieta zostanie u niego i wykona przeciwieństwo tego, co zrobiła Marie, znaczy otworzy



drzwi i przodem spokojnie przejdzie ku niemu przez korytarz w żółtym kostiumie. Niestety, marzenia ściętej głowy. Kobiety zostawały u niego krótko, znajomości były przelotne. Nie domagał się kobiety takiej jak Camille, nie, nie, kobiety o napiętym czystym profilu, tak powabnym, że człowiek na gwałt się zastanawiał, czy go malować czy całować. Nie, nie domagał się gwiazdki z nieba. Tylko kobiety, zwyczajnej kobiety, nawet gdyby miała ściekać ku dołowi jak on, bo w sumie jakie to ma znaczenie?

Danglard zobaczył Adamsberga, który zmierzał w przeciwnym niż przedtem kierunku, po czym zniknął w swoim pokoju, zamknąwszy cicho drzwi. Ech, on też urodą nie grzeszył, a gwiazdka z nieba mu się dostała. Znaczący owszem, był przystojny, chociaż nic w nim z osobna, na logikę biorąc, nie powinno doprowadzić do takiego efektu. Żadnej symetrii w sobie nie miał, żadnej harmonii, nic imponującego. Efekt bałaganu był totalny, lecz ów bałagan generował uwodzicielski chaos, czasem wręcz oszołamiający, kiedy się ożywał. Danglard zawsze uważał takie rozdanie za niesprawiedliwe. Jego twarz także była równie jak u Adamsberga przypadkową zbieraniną cech, lecz w sumie rezultat wyszedł mało ciekawy. Adamsberg tymczasem, nie mając atutu na wejściu, dostał trójkę z dziesiątek.

Ponieważ już mając dwa i pół roku, Danglard ćwiczył czytanie i medytacje, nie był zazdrosny. Również dlatego, że miał diaporamę. Również dlatego, że mimo chronicznego niemal podenerwowania lubił tego faceta i nawet jego pysk, i wielki nos, i niezwykły uśmiech. Kiedy mu zaproponował przejście tutaj, do brygady, ani chwili się nie zastanawiał. Nonszalancja Adamsberga, bez wątplenia dlatego, że kompensowała niespokojną i niekiedy rygorystyczną nadpobudliwość umysłu Danglarda, stała mu się wręcz niezbędna do życia, zupełnie jak rozluźniająca zgrzewka piwa.

Danglard zapatrzył się na zamknięte drzwi. Adamsberg jakoś tam przymierzał się do sprawy z czwórkami i starał się nie zawracać głowy partnerowi. Danglard zostawił w spokoju klawiaturę, oparł się o krzesło

odrobinę zmartwiony. Od poprzedniego wieczoru zastanawiał się, czy nie poszedł fałszywą drogą. Bo te odwrócone czwórki już gdzieś widział. Przypomniawszy to sobie w łóżku, kiedy zasypiał – sam. Było to dawno, chyba w młodości, jeszcze zanim został gliniarzem, i nie w Paryżu. Ponieważ Danglard bardzo niewiele w życiu podróżował, w poszukiwaniu śladu mógł poszperać w pamięci, o ile rzecz jasna zostało w niej coś więcej niż wrażenie zatarte w trzech czwartych.

Adamsberg zamknął drzwi swojego biura, by w spokoju, nie czując słusznego podenerwowania partnera, obdzwonić dobre czterdzieści paryskich komisariatów. Danglard obstawiał artystę interwencyjnego, a on był innego zdania. Stąd do sprawdzenia wszystkich dzielnic Paryża był tylko krok, krok zbędny i nielogiczny, który Adamsberg wolał wykonać sam. Jeszcze z rana nie był co do tego przekonany. Przy śniadaniu ponownie przejrzał notes i pooglądał sobie tę czwórkę, jakby stawiał wszystko na jedną kartę, przeprosiwszy Camille. Spytał ją nawet, co o tym myśli. Ładne, powiedziała, tyle że zaraz po przebudzeniu Camille nic nie widziała, nie odróżniała kalendarza na ścianie od świętego obrazka, czego dowodziła jej odpowiedź. Nie powinna była powiedzieć „Ładne”, lecz „Potworne”. Odparł na to łagodnie: „Nie, Camille, to nie jest ładne”. I właśnie w tamtej chwili, mówiąc to zdanie, wygłaszając to zaprzeczenie, podjął decyzję.

Spowolniony nieco krótką nocą, z ciałem owładniętym błogim znużeniem, wybrał pierwszy numer z listy.

Około piątej zakończył obdzwanianie komisariatów – przez cały dzień chodził tylko raz, w porze lunchu. Camille zatelefonowała na jego komórkę, akurat gdy spożywał kanapkę na ławce na skwerku.

Zadzwoiła nie po to, aby cichym głosem skomentować ostatnią noc, nie, nie, to nie było w jej stylu. Camille nie szafowała słowami, ona pozwalała wypowiadać się swojemu ciału, a kto zrozumiał i co zrozumiał, jego sprawa, bo tego nigdy na pewno się nie wiedziało.

W notesie zapisał: Kobieta, inteligencja, pożądanie równa się Camille.

Przerwał i przeczytał tę linijkę. Słowa podniosłe i płaskie. Ale w zetknięciu z Camille wzbierały, jakby wypełniała je oczywistość. Niemal widział, jak nabrzmiwiają na papierze. Dobro. Równa się Camille. Strasznie ciężko mu było napisać słowo „miłość”. Długopis kreślił „m” i nieruchomiał przy „i”, jakby się bał ciągu dalszego. Długo to zahamowanie go intrygowało, aż za sprawą obcowania z nim zdołał, jak mu się zdawało, dosięgnąć sedna. Kochał miłość. Nie lubił rzeczy, które miłość za sobą pociągała. Bo miłość pociągała za sobą różne rzeczy, utopią jest bowiem przekonanie, że można żyć wyłącznie w łóżku choćby przez dwa dni. Pociągała całą spiralę rzeczy zaczynającą się od paru idei rzuconych ot tak i zakończoną murowaną budą, z której miłość rzekomo miała się nigdy nie wydostać. Miłość, która wybuchła gwałtownie jak słomiany ogień między dwojgiem drzwi pod gołym niebem i lądowała potem w czterech ścianach na palenisku kominka. A dla faceta pokroju Adamsberga spirala rzeczy pachniała przygnębiającą pułapką. Uciekał przed zapowiadającymi ją cieniami, wyczuwając je z dużym wyprzedzeniem dzięki zmysłowi przewidywania, którym obdarzone są zahartowane w boju ofiary wychwytyjące krok prześladowcy. W tej swojej ucieczce podejrzewał niekiedy, że Camille wyprzedza go o głowę. Camille i jej cykliczna nieobecność, ostrożny sentymentalizm, botki zawsze ustawione na linii startu. Ale Camille rozgrywała swoją partię skrycie, nie tak surowo i bardziej przyjaźnie. Toteż temu, kto nie poświęcił odpowiednio dużo czasu na zastanowienie, trudno było u niej wykryć nadrzędny instynkt, który pchał ją ku wolnemu powietrzu. I Adamsberg musiał niestety przyznać, że zaniedbywał rozmyślanie o Camille. Czasami zaczynał, lecz zaraz o tym zapominał, gdy inne myśli brały w nim górę, gdy przeskakiwał od jednej do drugiej, aż powstała mozaika obrazów, która zapowiadała u niego pojawienie się pustki.

W notesie otwartym na kolanach dokończył zdanie, stawiając kropkę po M przy wtórze hałasujących wiertarek, które wgryzały się w mur przy oknach. Camille... Zadzwoniła do niego nie po to, by nawzajem sobie powiedzieli coś miłego, lecz w prozaicznej sprawie: aby pogadać o tej czwórce, którą pokazał jej rano.

Adamsberg wstał i przestępując po drodze nad jakimś gruzem, poszedł do pokoju Danglarda.

– Masz w końcu ten dostęp do baz danych? – zapytał, żeby dowieść zainteresowania.

Danglard kiwnął głową i wskazał palcem monitor, na którym z dużą prędkością przemykały odciski palców powiększone jak zdjęcia odległych galaktyk.

Adamsberg obszedł stół i stanął na wprost Danglarda.

– Gdybym cię zapytał, w ilu budynkach w Paryżu wymalowano te odwrócone czwórki, co byś powiedział?

– Że w trzech – odparł Danglard.

Adamsberg podniósł ręce z wyprostowanymi palcami.

– W trzech plus dziewięć, razem w dwunastu. A pamiętając, że mało kto zgłosił to na policji, tylko strachliwi, bezrobotni i maniacy, co i tak daje sporo ludzi, można założyć, że ten twój artysta interwencyjny ozdobił ze trzydzieści budynków.

– Zawsze czwórkami? W takim samym kształcie i kolorze?

– W takim samym.

– Wszędzie jedne drzwi bez?

– Do sprawdzenia.

– Masz zamiar to zrobić?

– Chyba tak.

Danglard oparł ręce na udach.

– Widziałem już takie czwórki – powiedział.

– Camille też.

Danglard uniósł jedną brew.

– W otwartej książce na stole – rzekł Adamsberg. – U przyjaciela przyjaciółki.

– O czym ta książka?

– Camille nie wie. Przypuszcza, że historyczna, bo rzeczony gość jest w dzień sprzątaczką i mediewistą wieczorem.

– Normalnie nie jest na odwrót?

– Normalnie względem czego?

Danglard wziął stojącą na blacie butelkę piwa i pociągnął łyk.

– A ty gdzie ją widziałeś? – spytał Adamsberg.

– Nie pamiętam. To było gdzie indziej i dawno temu.

– Skoro ta czwórka pojawia się tu i tam, znaczy, że nie chodzi o twórczość artystyczną.

– Nie – zgodził się Danglard.

– Sztuka interwencyjna z założenia jest twórcza, nie?

– W zasadzie.

– Co robimy z tym twoim artystą interwencyjnym?

Danglard ściągnął usta.

– Usuwamy – odparł.

– Kto go zastąpi?

– Facet, o którym nic nie wiadomo.

Adamsberg nieostroźnie zrobił kilka kroków pośród gruzów i pobielł sobie swoje stare buty.

– Zdawało mi się, że zostaliśmy przeniesieni – zauważył Danglard. – Do brygady kryminalnej, wydział zabójstw.

– Pamiętam – przyznał Adamsberg.

– W tych dziewięciu budynkach popełniono zbrodnię?

– Nie?

– Było pobicie? Groźby karalne? Zastraszanie?

– Nie, dobrze wiesz, że nie.

– Więc dlaczego o tym mówimy?

– Ponieważ jest podejrzenie przemocy, Danglard.

– Z powodu czwórek na drzwiach?

– Tak. To cicha napaść. Poważna. – Adamsberg zerknął na zegarek. – Mam czas zabrać... – Wyjął notes, zajrzał do niego i zaraz go zamknął. – Zabrać Barteneau na oględziny paru budynków.

Kiedy Adamsberg poszedł po kurtkę rzuconą byle jak na krzesło, Danglard włożył swoją, starannie obciągnął jej poły. Nie mając wrodzonej urody, dbał o drugorzędne cechy świadczące o elegancji.

# XI

Decambrais wrócił dość późno i przed kolacją zdążył jedynie się zapoznać z wieczornym ogłoszeniem ekstra, które Joss mu odłożył.

*[...] skoro pojawiają się trujące grzyby, skoro pola i lasy okrywają się pajęczyną, gdy bydło choruje, a nawet pada na pastwisku, podobnie jak dzika zwierzyna po lasach, kiedy chleb szybko zaczyna pleśnieć; kiedy spotkać można na śniegu muchy, robaki albo komary świeżo wylęgnięte [...].*

Złożył kartkę, gdy Lizbeth obiegała dom, zwołując lokatorów do stołu. Decambrais z twarzą już nie tak promienną jak rano szybko położył dłoń Jossowi na ramieniu.

– Musimy pogadać – rzekł. – Wieczorem w Wikingu. Wolałbym, żeby nikt tego nie usłyszał.

– Połów się udał? – zapytał Joss.

– Tak, ale zrobiło się groźnie. To za duża sztuka dla nas.

Joss zrobił powątpiewającą minę.

– Naprawdę, Le Guern. Słowo Bretończyka.

Przy kolacji Joss, dzięki częściowo zmyślonej anegdocie z życia rodzinnego, zdołał przywołać uśmiech na twarz Évy i poczuł z tego powodu niejaką dumę. Pomógł Lizbeth sprzątnąć ze stołu, na poły z przyzwyczajenia, na poły z potrzeby poczucia jej bliskości. Zbierał się do wyjścia do Wikinga, gdy ją ujrzał schodzącą na dół w stroju wieczorowym, w błyszczącej czarnej sukni, która opinała jej dorodną postać. Minęła go szybko, uśmiechając się, a Jossowi jakby ktoś przywalił w splot słoneczny.

W Wikingu, przegrzanym i zadymionym, Decambrais usadowił się przy ostatnim stole w głębi i czekał na niego zamyślony przed dwoma kieliszkami calvadosa.

– Lizbeth gdzieś wyszła wystrojona, jak tylko pozmywała – oznajmił

Joss, siadając.

– Aha – rzekł na to Decambrais, nie okazując zdziwienia.

– Poszła w gości?

– Co wieczór z wyjątkiem wtorków i niedziel wychodzi w stroju wieczorowym.

– Spotyka się z kimś? – zaniepokoił się Joss.

Decambrais pokręcił głową.

– Śpiewa.

Joss zmarszczył brwi.

– Śpiewa – powtórzył Decambrais. – Występuje. W lokalu. Ma taki głos, że dech zapiera.

– A niech mnie!... Od kiedy?

– Odkąd się tu wprowadziła i nauczyłem ją solfeżu. Dla niej co wieczór w Saint-Ambroise sala jest pełna. Kiedyś, Le Guern, zobaczy pan jej nazwisko na afiszu. Lizbeth Glaston. Niech je pan pamięta, gdziekolwiek pan będzie.

– Raczej mi nie grozi, żebym je zapomniał. Do tego lokalu można iść? Można jej posłuchać?

– Damas chodzi co wieczór.

– Damas? Damas Viguiet?

– A któżby? Nie powiedział panu?

– Co rano pijemy razem kawę i nigdy słowem mi o tym nie pisnął.

– I słusznie, jest zakochany. Takimi rzeczami człowiek się nie dzieli.

– Kurde, Damas?... Przecież on ma raptem trzydziestkę.

– Lizbeth też. To, że Lizbeth jest gruba, nie znaczy, że nie ma trzydziestu lat.

Joss przez chwilę dumiał o ewentualnym związku Damasa z Lizbeth.

– Może im się udać? – zapytał. – Pan się znasz na takich życiowych sprawach.

Decambrais sceptycznie wydał usta.

– Męska fizjologia od dawna nie robi na Lizbeth wrażenia.

– Damas jest miły.

– To nie wystarczy.

– Czego Lizbeth oczekuje od faceta?

– Niewiele. – Decambrais łyknął calvadosa. – Nie jesteśmy tu po to, żeby gadać o miłości.

– Wiem. Chodzi o tę dużą sztukę, którą pan złowiłeś.

Twarz Decambrais’go spochmurniała.

– Aż tak źle? – zapytał Joss.

– Obawiam się, że tak.

Decambrais obrzucił wzrokiem sąsiednie stoliki i jakby go uspokoiła panująca w Wikingu wrzawa, gorsza niż gwar barbarzyńskiej załogi na pokładzie drakkaru.

– Zidentyfikowałem jednego z autorów – wyjaśnił. – To Awicenna, perski lekarz z jedenastego wieku.

– Aha – rzekł Joss, którego znacznie mniej obchodził jakiś tam Awicenna niż Lizbeth.

– Zlokalizowałem ten fragment w jego *Liber canonis*.

– Aha – powtórzył Joss. – Powiedz pan, byłeś nauczycielem jak ojciec?

– Skąd pan wie?

– A stąd – odparł Joss, strzelając palcami. – Ja też trochę znam się na życiowych sprawach.

– Może nudzi pana to, o czym gadam, Le Guern, ale dobrze by było, żeby pan posłuchał.

– Aha – powtórzył Joss, który nagle poczuł się jak w czasach, gdy miał lekcje ze starym Ducouëdikiem w szkole z internatem.

– Inni autorzy tylko przepisywali z Awicenny. Temat jest zawsze ten sam. Wszyscy krążą wokół niego, ale go nie nazywają, nie dotykają, jak sępy przybliżają się kręgiem do padliny.

– Do czego? – spyta Joss, pogubiwszy się nieco.

– Do tematu, no przecież mówię. Do jedyne go tematu wszystkich ekstraniusów. Do tego, co zapowiadają.

– A co zapowiadają?

W tej chwili Bertin postawił na stole dwa calvadosy, Decambrais zatem poczekał, aż wielki Normandczyk się oddali.

– Zarazę – powiedział, znizywszy głos.

– Jaką zarazę?

– TĘ zarazę.



– Straszłą chorobę z dawnych czasów?

– Ano. We własnej osobie.

Joss milczał przez chwilę. Czy ten inteligencik może pleść od rzeczy? Czy może robić sobie z niego jaja? Joss nie był w stanie zweryfikować całej tej historii z liberkanonismem, więc Decambrais mógł go do woli wpuszczać w kanał. Jako przezorny marynarz, badawczo spojrzął na twarz starego erudyty, po którym zdecydowanie nie było widać ochoty do żartów.

– Nie próbujesz pan robić mnie w konia?

– A po co?

– Żeby się zabawić w faceta, który wie wszystko, i w faceta, który nie wie nic. W bystrzaka i głupca, w oświeconego i nieoświeconego, w uka i nieuka. Tylko że jak tak się mamy bawić, ja też mogę zabrać pana na pełne morze, i to bez kapoka.

– Le Guern, nerwus z pana.

– Tak – przyznał Joss.

– Podejrzewam, że już niejednemu na tej ziemi dał pan po pysku.

– Na morzu też.

– Nigdy się nie zabawiałem w bystrzaka i głupca. Co to daje?

– Władzę.

Decambrais się uśmiechnął, wzruszył ramionami.

– Możemy kontynuować? – zapytał.

– Jak pan chcesz. Tylko co to właściwie mnie obchodzi? Przez trzy miesiące czytałem ogłoszenia faceta, który przepisywał Biblię. On zapłacił, ja przeczytałem. Nic więcej nie mam tu do zrobienia.

– Prawnie te ogłoszenia należą do pana. Jutro pójde z tym na policję, chcę pana uprzedzić. I wolałbym, żeby pan poszedł ze mną.

Joss wychylił do dna calvadosa.

– Na policję? Czyś pan oczadział? Gdzie tu miejsce dla gliniarzy? Bez przesady, to nie alarm.

– Skąd pan wie?

Joss powstrzymał słowa cisnące mu się na usta z powodu pokoju. Musiał ten pokój mieć nadal.

– Posłuchaj pan – zaczął, trzymając nerwy na wodzy. – Mamy tu gościa, który jak pan mówisz, zabawia się przepisywaniem jakichś starych kwitów

o zarazie. Świra, oszołoma. Jakbyśmy latali do glin za każdym razem, gdy jakiś czubek otworzy usta, nie byłoby czasu na kielicha.

– Po pierwsze – rzekł na to Decambrais, łyknąwszy połowę calvadosa – on nie tylko przepisuje teksty, ale też daje panu każdy do odczytania. Wypowiada się anonimowo w miejscu publicznym. Po drugie coraz bardziej się przybliży. Teraz jest w początkowych partiach tekstów. Jeszcze nie doszedł do ustępów, w których pojawia się słowo „zaraza” albo „choroba”, albo „śmierć”. Ciągłe kręci się przy początkach, ale posuwa się naprzód. Rozumie pan? P o s u w a s i ę. I właśnie to jest groźne. P o s u w a s i ę. Ku czemu?

– Ha, ku końcowi tekstu. Logiczne. Widział kto kiedy, żeby zaczynać książkę od końca?

– Kilka książek. A wie pan, co jest w nich na końcu?

– Przecież-em ich nie czytał, więc skąd mam wiedzieć?

– Dziesiątki milionów zmarłych. To jest na końcu.

– Boś se pan umanił, że ten świr zabije pół Francji?

– Tego nie powiedziałem. Twierdzę, że posuwa się ku śmiertelnemu zakończeniu, że pełnie. To nie to samo co czytanie *Baśni z tysiąca i jednej nocy*.

– Posuwa się, powiadasz pan. Mnie się zdaje, że raczej drepcze po placu. Od miesiąca morduje nas tymi historiami z robactwem a to od tej strony, a to od tamtej. Chcesz pan, to nazywaj to posuwaniem się naprzód.

– Tego jestem pewien. Pamięta pan inne jego ogłoszenia, takie opowieści z czyjegoś życia ni przypiął, ni przyłatał?

– Właśnie. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Facet je, bzyka, śpi i wszystko.

– Ten facet to Samuel Pepys.

– Nie znam.

– Już dokonuję prezentacji: Anglik, drobny szlachcic, który żył w siedemnastym wieku w Londynie. Nawiasem mówiąc, pracował w Urzędzie Marynarki.

– Ważniak z kapitanatu?

– Niezupełnie, ale nieważne. Ważne, że Pepys przez dziewięć lat prowadził dziennik, od tysiąc sześćset sześćdziesiątego do sześćdziesiątego

dziewiątego roku. Nasz czubek wrzucił do pańskiej skrzynki zapiski z czasu wielkiej epidemii dżumy w Londynie w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym roku. Siedemdziesiąt tysięcy ofiar. Rozumie pan? Codziennie jego ogłoszenia są bliższe daty wybuchu epidemii. Teraz jesteśmy tuż-tuż. To właśnie nazywam posuwaniem się naprzód.

Po raz pierwszy Jossa ogarnął niepokój. To, co gadał inteligencik, trzymało się kupy. Ale żeby zaraz lecieć z tym na policję?...

– Gliny nas wyśmieją, jak im powiemy, że jakiś świr dla jaj podsyła nam pamiętnik, który ma przeszło trzysta lat. Zamkną nas, bez dwóch zdań.

– Tego im nie powiemy. Uprzedzimy tylko, że jakiś wariat dla zabawy zapowiada śmierć ludzi w miejscu publicznym. Dalej będą musieli sami sobie radzić. A ja będę miał czyste sumienie.

– I tak nas wyśmieją.

– Jasne. Dlatego nie pójdziemy do pierwszego lepszego. Znam jednego gliniarza, który natrząsa się inaczej niż wszyscy i wyśmiewa z czego innego. Do niego uderzymy.

– P a n uderzysz, jak pan tak chcesz. Bo zdziwiłbym się mocno, gdyby moje doniesienie ich ucieszyło. Widzisz pan, nie mam czystej kartoteki.

– Ja też nie.

Joss bez słowa patrzył na Decambrais'go. No, no, czapki z głów. Czapki z głów przed jaśniepanem. Nie dość, że stary inteligencik jest Bretończykiem z północy, to jeszcze jakby zaliczył pakę. Stąd ani chybi fałszywe nazwisko.

– Ile? – zapytał zwięźle Joss, nie interesując się powodem jak przystało na prawdziwego dżentelmena morza.

– Pół roku – odparł Decambrais.

– Ja dziewięć miesięcy – rzekł na to Joss.

– Odsiedziane?

– Odsiedziane.

– Ja też.

Kubek w kubek tak samo. Po tej wymianie zdań obaj przez chwilę siedzieli dosyć poważni.

– No, dość tego dobrego – rzekł wreszcie Decambrais. – Idzie pan ze mną?

Joss się skrzywił bez przekonania.

– To tylko słowa. S ł o w a. Które nigdy nikogo nie zabiły. Inaczej wiadomo by było.

– Ależ jest wiadomo, Le Guern. Słowa zawsze zabijały.

– Od kiedy?

– Odkąd jak ktoś krzyczy „Zabić!”, tłum go wiesz. Od zawsze.

– W porządku – poddał się Joss. – A co, jak mnie pozbawią roboty?

– No co pan, Le Guern? Gliniarzy się pan boi?

Joss wyprostował się jak smagnięty.

– Też coś, Decambrais! Le Guernowie to może i prostacy, ale żaden nie miał pietra przed gliniarzami.

– To rozumiem.

## XII

– Co to za gliniarz, do którego pójdziemy? – zapytał Joss, gdy maszerowali przez boulevard Arago około dziesiątej rano.

– Taki jeden, spotkałem go dwa razy przy okazji tej... tych...

– Przejść – podpowiedział Joss.

– Właśnie.

– Dwa spotkania to niewiele, żeby rozgryźć człowieka.

– To pozwala wznieść się ponad i widok z góry był całkiem, całkiem. Najpierw go wziąłem za podejrzanego, a to dość dobry znak. Na pewno poświęci nam pięć minut. W najgorszym razie odnotuje nasze przyjście w rejestrze i zapomni o nim. W najlepszym zainteresuje się na tyle, że dopyta o parę szczegółów.

– Przedmiotowych.

– Przedmiotowych.

– Czemu miałyby się zainteresować?

– On lubi takie mętne albo mało ciekawe historie. To przynajmniej zarzucał mu przełożony, kiedy miałem z nim pierwszy raz do czynienia.

– Idziemy do jakiegoś nieopierzonego krawężnika?

– Ma pan z tym problem, kapitanie?

– Już mówiłem: mam gdzieś tę historię.

– To ani krawężnik, ani nieopierzony. Jest teraz młodszym inspektorem, kieruje wydziałem w kryminalnej. Wydziałem zabójstw.

– Zabójstw? Ha, to się ucieszy na widok dwóch takich z przeszłością.

– Kto wie?

– Jakim cudem niedojda dochrapał się inspektora, choćby i młodszego?

– Z tego co wiem, ma nosa do wszystkiego co mętne. Mówię „mętne”, ale można też powiedzieć „nieopisane”.

– Nie będziemy się wadzić o słowa.

– Lubię się wadzić.

– Zauważyłem.

Decambrais zatrzymał się przed wysoką bramą wjazdową.

– Jesteśmy – powiedział.

Joss obrzucił front wzrokiem.

– Ta ich łajba aż się prosi o solidny remont.

Decambrais oparł się o mur ze skrzyżowanymi rękami.

– I co? – zagadnął Joss. – Opuuszczamy?

– Umówieni jesteśmy za dziesięć minut. Wyznaczona godzina rzecz święta. Na pewno jest bardzo zajęty.

Joss oparł się o mur obok niego i razem czekali.

Minął ich człowiek ze wzrokiem wbitym w ziemię i rękami w kieszeniach, bez pośpiechu przeszedł przez bramę, nie spojrzawszy na dwóch ludzi podpierających ścianę.

– To chyba on – szepnął Decambrais.

– Ten mały brunet? Bez żartów. Stary podkoszulek, wymięta kurtka, nawet do fryzjera nie chodzi. Kwiciarz gdzieś na nabrzeżu w Narbonne to jeszcze, ale inspektor?...

– Mówię panu, że to on – upierał się Decambrais. – Poznałem go po chodzie. Ma kołyszący krok.

Decambrais patrzył na zegarek, aż upłynęło sześć minut, po czym pociągnął Jossa do remontowanego budynku.

– Pamiętam pana, Ducouëdic – powiedział Adamsberg, wprowadzając gości do swojego biura. – Znaczący nie, przejrzałem pańskie akta po telefonie i dopiero sobie pana przypomniałem. Swego czasu pogadaliśmy sobie trochę, nie bardzo nam wtedy szło. Zdaje się, że radziłem, by porzucił pan fach.

– Tak też zrobiłem – odparł Decambrais, podnosząc głos, by przekrzyczeć łoskot wiertarek, którego Adamsberg zdawał się nie zauważać.

– Znalazł pan coś po wyjściu z więzienia?

– Zająłem się doradztwem – wyjaśnił Decambrais, pomijając milczeniem zarówno podnajmowanie pokojów, jak i produkcję serwetek.

– Finansowym?

– Życiowym.

– Aha – rzekł Adamsberg w zamyśleniu. – Czemu nie? Ma pan klientów?

– Nie narzekam.

– Co ludzie panu opowiadają?

Joss zaczynał się zastanawiać, czy aby Decambrais nie rąbnął się w adresie i czy temu gliniarzowi zdarza się czasem popracować. Na biurku nie było komputera, poniewierala się za to kupa kartek, również na krzesłach i podłodze, pokrytych notatkami albo rysunkami. Inspektor nie usiadł, stał oparty o białą ścianę z rękami założonymi na wysokości pasa i z przechyloną głową patrzył z góry na Decambrais'go. Joss stwierdził, że jego oczy mają barwę i gęstość brunatnych śliskich glonów, które owijają się na śrubie statku, morskich, równie miękkich, ale też rozmytych, równie błyszczących, lecz bez połysku, niewyraźnych. Okrągłe kulki u tych wodorostów noszą nazwę pęcherzy ławnych i Joss doszedł do wniosku, że ta nazwa jak ulał pasuje do oczu inspektora. Pęcherze te kryły się pod gęstymi zmierzwionymi brwiami, które wyglądały jak dwa skalne nawisy. Orli nos i nieforemne rysy nadawały całej twarzy trochę zdecydowania.

– Ale ludzie radzą się głównie w sprawach uczuciowych – ciągnął Decambrais – bo to albo mają za dużo miłości, albo za mało, albo już nie mają, albo nie taką, jaką chcą, albo nie radzą sobie z nią z powodu tych wszystkich...

– Rzeczy – wpadł mu w słowo Adamsberg.

– Rzeczy – potwierdził Decambrais.

– Widzi pan, Ducouëdic – rzekł Adamsberg, odklejając się od ściany i miarowym krokiem przemierzając pokój – ta brygada zajmuje się zabójstwami. Więc jeśli ciągnie się za panem tamta sprawa z przeszłości, jeśli ktoś pana w taki czy inny sposób niepokoi, nie mogę...

– Nie – przerwał mu Decambrais. – Nie chodzi o mnie. Ale nie chodzi też o zbrodnię. W każdym razie jeszcze nie.

– Groźby?

– Może. Anonimowe ogłoszenia, które zapowiadają śmierć.

Rozbawiony Joss aż oparł łokcie na kolanach. Ha, inteligencik nie będzie miał łatwo z tymi swoimi mętnymi obawami.

– Odnoszą się do konkretnej osoby? – spytał Adamsberg.

– Nie. To zapowiedzi zagłady, katastrofy.

– Hm – mruknął Adamsberg, nadal chodząc tam i z powrotem. –

Kaznodzieja trzeciego tysiąclecia? Co głosi? Apokalipsę?

– Dżumę.

– O!... – powiedział Adamsberg i zamilkł na chwilę. – To trochę zmienia postać rzeczy. A jak to panu zapowiada? Listownie? Telefonicznie?

– Przez tego pana – wyjaśnił Decambrais, wskazując Jossa gestem odrobinę ceremonialnym. – Pan Le Guern jest z zawodu obwoływaczem po swoim praprapradziadku. Odczytuje lokalne wiadomości na zbiegu ulic Edgar-Quinet i Delambre. Sam lepiej to panu wytłumaczy.

Adamsberg odwrócił się do Jossa z niejakim zdudzeniem na twarzy.

– Mówiąc w skrócie – zaczął Joss – jak ktoś chce się z innymi czymś podzielić, zostawia mi wiadomość, a ja ją odczytuję. Żadna sztuka. Potrzebny dobry głos i systematyczność.

– No i? – rzekł Adamsberg.

– Codziennie, a teraz to dwa albo i trzy razy na dzień – podjął Decambrais – pan Le Guern znajduje krótkie teksty, które zapowiadają zarazę. Każdy anons przybliży nas do wybuchu epidemii.

– Rozumiem. – Adamsberg przysunął do siebie rejestr zgłoszeń niedbałym gestem dającym poniekąd do zrozumienia, że rozmowa dobiega końca. – Od kiedy?

– Od siedemnastego sierpnia – powiedział Joss.

Adamsberg zastygł w pół ruchu i szybko podniósł wzrok na Bretończyka.

– Jest pan pewien? – spytał.

I wtedy Joss zobaczył, że się pomylił. Nie co do daty pierwszego „ogłoszenia ekstra”, nie, lecz co do oczu inspektora. W toni jego wodorostowego spojrzenia zapłonęło bowiem jasne światełko, jakby maciupki ogieniek trawiący wypustki na pęcherzu pławnym. A więc ten ogieniek zapala się i gaśnie jak latarnia morska.

– Od siedemnastego sierpnia rano – powtórzył Joss. – Zaczął zaraz po okresie suchego doku.

Adamsberg zostawił rejestr i podjął swoją wędrówkę. Właśnie 17 sierpnia naznaczono czwórkami pierwszy budynek w Paryżu przy rue de Chaillot. Przynajmniej pierwszy zgłoszony budynek. Drugi był dwa dni później na Montmartrze.

– A następne ogłoszenie? – zapytał.



– Dwa dni później, dziewiętnastego – rzekł Joss. – I potem dwudziestego drugiego. Później ogłoszenia były częstsze. Prawie codziennie od dwudziestego czwartego, a od niedawna kilka razy na dzień.

– Można je zobaczyć?

Decambrais podał mu ostatnie zachowane kartki, które Adamsberg szybko przebiegł wzrokiem.

– Nie bardzo rozumiem – powiedział – dlaczego kojarzy się to panu z zarazą.

– Zidentyfikowałem te fragmenty – wyjaśnił Decambrais. – To cytaty ze starych prac na temat dżumy, na przestrzeni wieków powstały ich setki. Ogłoszeniodawca dotarł do znaków zapowiadających epidemię. Niedługo przejdzie do konkretów. Jest tuż-tuż. W ostatnim cytacie, dzisiejszym – rzekł Decambrais, wskazując jedną z kartek – tekst urywa się akurat przed słowem „dżuma”.

Adamsberg przeczytał uważnie ostatnią wiadomość:

*[...] że wielu się przemyka niczym cienie pod murami, że widać ciemny opar podnoszący się z ziemi niczym mgła, [...] kiedy dostrzec można u ludzi wielki brak zaufania, zazdrość, nienawiść i rozwiązłość [...]*

– Prawdę mówiąc – dodał Decambrais – moim zdaniem to nastąpi jutro. Czyli tej nocy dla ogłoszeniodawcy. Tak by wynikało z *Dziennika* Samuela Pepysa.

– Zbieranina chaotycznych opowieści z życia?

– Nie są chaotyczne. Wszystko się działo w tysiąc sześćset sześćdziesiątym piątym roku, kiedy w Londynie wybuchła wielka epidemia dżumy. Niebawem Samuel Pepys zobaczy pierwsze zwłoki. Jutro to będzie, jak sądzę. Jutro.

Adamsberg odłożył kartki na stół i westchnął.

– A co my zobaczymy pańskim zdaniem?

– Nie mam pojęcia.

– Pewnie nic – powiedział Adamsberg. – Tyle że to nieprzyjemne, prawda?

– Właśnie.

– Na wyobraźnię jednak działa.

– Wiem. Ostatnia epidemia dżumy we Francji wygasła w Marsylii w tysiąc siedemset dwudziestym drugim roku. Przeszła do legendy.

Adamsberg wsunął palce we włosy – może aby je przeczesać, pomyślał Joss – po czym zgarnął kartki i zwrócił je Decambrais’mu.

– Dziękuję – powiedział.

– Mogę je dalej czytać? – zapytał Joss.

– Jasne, w żadnym razie nie przerywać. I wpadnijcie powiedzieć mi, jak się sprawa rozwija.

– A jeżeli się nie rozwinie? – zaniepokoił się Joss.

– Rzadko bywa, żeby ktoś zaczął coś tak przemyślanego i przykrego i nie zdecydował się na konkretną demonstrację, choćby mało widoczną.

Adamsberg odprowadził ich obu do wyjścia i wolnym krokiem wrócił do biura. Ta sprawa była więcej niż przykra. Była paskudna. Związku z czwórkami nie widział żadnego oprócz zbieżności dat. Skłonny był jednak podążyć tą samą drogą rozumowania co Ducouëdic. Jutro ten Anglik, Pepys, zetknie się z pierwszym zmarłym na dżumę w Londynie, u zarania katastrofy. Nie siadając, Adamsberg szybko otworzył notes i odszukał otrzymany od Camille numer telefonu mediewisty, faceta, u którego widziała odwróconą czwórkę. Popatrzył na świeżo zamontowany zegar ścienny, który wskazywał pięć po jedenastej. Skoro ten człowiek był sprzątaczką, niewielka była szansa, że teraz zostanie go w domu. Zadzwoił, w słuchawce rozległ się męski głos, dość młody i ponaglący.

– Czy Marc Vandoosler? – zapytał Adamsberg.

– Nie ma go. Jest na trzeciej linii okopów z misją szorowanie z prasowaniem. Mogę mu zostawić wiadomość na kwaterze, jeśli pan chce.

– Będę wdzięczny – odparł lekko zaskoczony Adamsberg.

Usłyszał stukot odkładanej słuchawki, dźwięki szukania kartki i czegoś do pisania.

– Już jestem – rozległ się ponownie głos. – Z kim mam przyjemność?

– Młodszy inspektor Jean-Baptiste Adamsberg. Brygada kryminalna.

– O kurde... – Głos w słuchawce nagle spowaźniał. – Marc ma kłopoty?

– Skądże. Camille Forestier dała mi jego numer.

– Ach, Camille – rzekł po prostu ów człowiek, lecz wymówił imię

„Camille” takim tonem, że Adamsberg, który w zasadzie nie był zazdrosny, aż się wzdrygnął, choć raczej ze zdziwienia. Bardzo różne wypełnione ludźmi świąty otaczały Camille, on zaś nic o nich nie wiedział z powodu obojętności. Jeśli przypadkiem odkrywał jakiś ich fragment, nieodmiennie się zdumiewał, jakby natrafił na nieznaną kontynent. Kto mówił, że Camille nie panuje nad rozlicznymi terytoriami?

– Chodzi mi o rysunek – podjął Adamsberg – właściwie o znak graficzny, dość tajemniczy. Camille mówi, że widziała jego zdjęcie w jakiejś książce u Marca Vandooslera.

– To możliwe – przyznał głos. – Ale to na pewno nic nowego.

– Proszę?

– Marca obchodzi tylko średniowiecze – wyjaśnił rozmówca tonem odrobinę wzgardliwym. – Czasem tylko raczy zawiadzić o początek szesnastego wieku. Przypuszczam, że te czasy nie leżą w zakresie działań kryminalnej?

– Nigdy nic nie wiadomo.

– W porządku. Na czym polega zadanie?

– Jeśli pański kolega wie, co oznacza ten rysunek, bardzo by nam pomógł. Ma pan faks?

– Tak, pod tym samym numerem.

– Świetnie. Zaraz prześlę to panu. Jeśli Vandoosler ma jakieś informacje, prosiłbym o przesłanie ich.

– Tak jest. Oddział do dyspozycji. Rozkaz.

– Panie... – rzekł Adamsberg, gdy jego rozmówca już miał się rozłączyć.

– Devernois. Lucien Devernois.

– To pilne. A nawet bardzo pilne.

– Może pan liczyć, że załatwię to szybko, inspektorze.

I Devernois się rozłączył. Stropiony Adamsberg odłożył słuchawkę. Jedno, co mógł powiedzieć, to że ten odrobinę wyniosły Devernois nie patyczkuje się z policją. Może wojskowy.

Do wpół do pierwszej Adamsberg tkwił bez ruchu oparty o ścianę, wpatrzony w milczący faks. Potem ześlony poszedł się przejść i kupić coś do jedzenia. Byle co przy jednej z ulic, które dopiero poznawał w pobliżu

siedziby brygady. Kanapkę, pomidory, chleb, owoce, ciastko. W zależności od nastroju, w zależności od sklepu, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Umyślnie łąził ulicami z pomidorem w jednej ręce i bułką orzechową w drugiej. Kusiło go, by spędzić dzień na powietrzu i wrócić do biura dopiero nazajutrz. Tyle że Vandoosler mógł wrócić na lunch do domu. Czyli istniała szansa, że otrzyma od niego odpowiedź i wreszcie skończy z tymi spaczonymi fantazmatami. O piętnastej wszedł do swojego pokoju, rzucił kurtkę na krzesło i popatrzył na aparat. Przyszedł do niego faks – zadrukowana kartka spadła na podłogę.

*Szanowny Panie,*

*odwrócona czwórka, której rysunek mi Pan przesłał, jest symbolem używanym niegdyś w pewnych regionach na oznaczenie drzwi albo framug okiennych w okresie epidemii dżumy. Uważa się, że wywodzi się ze starożytności, ale ten znak przejęła kultura chrześcijańska, która widziała w nim krzyż skreślony bez odrywania ręki. To cyfra kupców, również drukarzy, ale przede wszystkim wierzone, że ma wartość talizmanu chroniącego przed dżumą. Zabezpieczano się przed zarazą, rysując ją na drzwiach domu.*

*Licząc, że te informacje wyczerpująco odpowiadają na Pańskie pytanie, przesyłam wyrazy poważania.*

*Marc Vandoosler*

Adamsberg oparł się o stół z głową zwieszoną i faksem w ręce. Odwrócona czwórka, talizman chroniący przed dżumą. Około trzydziestu budynków w mieście już oznaczonych, sterta wiadomości zostawionych w skrzynce tego obwoływacza. Jutro Anglik z 1665 roku ma się zetknąć z pierwszym trupem. Ze zmarszczoną brwią Adamsberg ruszył do biura Danglarda, depcząc po drodze gruz.

– Danglard, ten twój artysta interwencyjny oczadział.

Położył na stole kartkę z faksu, którą Danglard przeczytał z podejrzliwością na twarzy. I jeszcze raz od początku.

– Taaa... – powiedział. – Teraz przypominam sobie, gdzie widziałem tę czwórkę. Na balustradzie z kutego żelaza balkonu sądu handlowego w Nancy. Dwie czwórki, w tym jedna odwrócona.

– I co robimy z twoim artystą?

– Już mówiłem. Usuwamy go.

– I co jeszcze?

– Zastępujemy. Nawiedzonym, który boi się dzumy jak zarazy i chroni domy współobywateli.

– On się nie boi. Przepowiada plagę, przygotowuje ją. Krok po kroku. Rozstawia rekwizyty. Może odpalić jutro albo dziś w nocy.

Danglard od bardzo dawna znał Adamsberga i wiedział, że jego twarz z ponurej, zgaszonej jak ogień rzucony w wodę w okamgnieniu może się przemienić w rozpłomienioną. Wtedy pod śniadą cerą inspektora zaczynało płonąć światło włączane za sprawą jakiegoś tajemniczego triku. W chwilach tak intensywnych emocji Danglard wiedział, że każda opinia przeciwna lub sceptyczna, każdy logiczny dowód błędnych domniemywań Adamsberga wyparuje jak woda wylana na rozżarzone węgle. Toteż wołał je zachowywać na czasy spokojniejsze. Równocześnie Danglard w tych momentach doświadczał własnych paradoksów: irracjonalne przeświadczenia Adamsberga wstrząsały jego umocowaniem w świecie rzeczywistym i takie czasowe wyrzeczenie się rozsądnego myślenia przynosiło mu osobliwe odprężenie. Nie mógł się wtedy pohamować i niemal biernie słuchał jego wywodów unoszony chmurą idei, za które nie ponosił odpowiedzialności. Sposób mówienia Adamsberga, kiedy indziej działający Danglardowi na nerwy, pomagał mu wtedy w tej podróży za sprawą wolnego rytmu, niskich cichych dźwięków, powtarzanych sformułowań i mielenia ciągle tego samego. Tym bardziej że nieraz się przekonał, iż wyszedłszy od chaotycznych przypuszczeń, Adamsberg docierał do sedna prawdy.

W związku z powyższym Danglard bez mrugnięcia narzucił kurtkę, kiedy Adamsberg zabierał go na wędrowkę ulicami, aby mu zrelacjonować opowieść starego Ducouëdica.

Przed szóstą znaleźli się na placu Edgar-Quinet, by wysłuchać wieczornej sesji obwoływacza. Przedtem Adamsberg obszedł okolicę, zapamiętując punkty orientacyjne, chłonąc atmosferę tego miejsca, lokalizując dom Ducouëdica, niebieską skrzynkę przymocowaną do platana, sklep sportowy,

do którego wszedł Le Guern ze skrzynką, oraz bar Wiking – ten lokal Danglard natychmiast wypatrzył, postanowił więc w nim się rozsiąść i nie wychodzić. Adamsberg zapukał w szybę, aby dać mu znać, że Le Guern już przyszedł. Wysłuchanie ogłoszeń nic mu nie da, to wiedział. Pragnął jednak wyrobić sobie pełny obraz miejsca, z którego rozbrzmiewały ogłoszenia.

Zaskoczył go głos Bretończyka, potężny, melodyjny, bez trudu dochodzący do każdego zakątka placu. Ten głos, pomyślał, na pewno ma duży wpływ na gęstość zgromadzenia wokół faceta.

– Jeden – zaczął Joss, któremu nie umknęła obecność Adamsberga. – Sprzedam sprzęt pszczelarski z dwiema rodzinami. Dwa: Chlorofil produkuje się sam i drzewa wcale się tym nie chełpią. To tylko tytułem przykładu dla pyszałków.

Adamsberg się zdziwił. Nie zrozumiał drugiego ogłoszenia, publiczność jednak nie wyglądała na stropioną i czekała na ciąg dalszy. Na pewno siła przyzwyczajenia. Jak we wszystkim, tak i we właściwym słuchaniu należało mieć wprawę.

– Trzy – ciągnął Joss niewzruszenie. – Bratnia dusza poszukiwana, w miarę możliwości atrakcyjna, a jeśli nie, trudno. Cztery: Hélène, ciągle na ciebie czekam. Nigdy więcej nie podniosę na ciebie ręki. Zrozpaczony Bernard. Pięć: Sukinkot, który zniszczył mi dzwonek, niech się szykuje na przykrą niespodziankę. Sześć: 750 FZX 92, przebieg trzydzieści dziewięć tysięcy, nowe opony i hamulce, po pełnym przeglądzie. Siedem: Kim my jesteśmy, no naprawdę kim my jesteśmy? Osiem: Zlecę drobne misterne prace krawieckie. Dziewięć: Jeśli kiedyś będziemy musieli przenieść się na Marsa, polecicie tam beze mnie. Dziesięć: Sprzedam pięć kobiałek zielonej fasolki szparagowej. Jedenaście: Klonowanie człowieka? Moim zdaniem na świecie dość jest kretynów. Dwanaście...

Na Adamsberga usypiająco zaczynała działać wyliczanka obwoływacza. Obserwował grupkę słuchaczy: niektórzy notowali coś na karteczkach, inni bez ruchu patrzyli na Jossa z torbą czy siatką w ręce, jakby odpoczywali po dniu spędzonym w biurze. Le Guern przeszedł do lokalnej prognozy pogody na następny dzień, zerknąwszy szybko w niebo, i do prognozy rybackiej, nasilający się wiatr zachodni trzy do pięciu wieczorem, co wyraźnie wszystkim odpowiadało. Następnie wrócił do ogłoszeń, praktycznych

i metafizycznych, i Adamsberg się przebudził, gdy naraz ujrzał, że Ducouëdic prostuje się po ogłoszeniu numer 16.

– Siedemnaście – zaczął obwoływacz. – „Zaraza owa jest zatem obecna i gdzieś istnieje, a istnienie owo to dzieło stworzenia, albowiem nie jest niczym nowym, a nie istnieje nic, co by nie zostało stworzone”.

Le Guern zerknął szybko na Adamsberga, dając mu do zrozumienia, że to było ogłoszenie ekstra, po czym przeszedł do osiemnastki: „Ryzykownie jest sadzić bluszcz przy murze granicznym”. Adamsberg wysłuchał wszystkiego do końca, łącznie z czymś, czego się nie spodziewał, mianowicie z opowieścią o rejsie Louise Jenny, francuskiego parowca o wyporności 546 ton, który płynąc z ładunkiem wina, likierów, suszonych owoców i konserw, przewrócił się na Basse aux Herbes i osiadł na Pen Bras, cała załoga utonęła z wyjątkiem psa pokładowego. Po ostatniej wiadomości rozległy się pomruki satysfakcji bądź zawodu i część audytorium skierowała się do Wikinga. Obwoływacz zeskoczył z podwyższenia, które wziął pod pachę, zakończywszy wieczorną sesję. Dość stropiony Adamsberg odwrócił się do Danglarda, by zasięgnąć jego opinii, lecz Danglarda już obok nie było – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wrócił dopić drinka. Adamsberg istotnie znalazł go rozpartego przy barze w Wikingu z promienną miną.

– Znakomity calvados – oznajmił, wskazując palcem swój kieliszek. – Jeden z najlepszych, jakie piłem.

Czyjaś ręka spoczęła na ramieniu Adamsberga. Ducouëdic dał mu znak, aby poszedł z nim do stołu w głębi.

– Skoro zjawił się pan w okolicy – powiedział – lepiej, by pan wiedział, że tutaj nikt prócz obwoływacza nie zna mojego prawdziwego nazwiska. Rozumie pan? Tu jestem Decambrais.

– Momencik – rzekł na to Adamsberg, zapisując w notesie: „Dżuma, Ducouëdic, siwe włosy równa się Decambrais”. – Widziałem, że coś pan zapisał w czasie sesji – dodał, chowając notes do kieszeni.

– Ogłoszenie dziesiąte. Zamierzam kupić zieloną fasolkę szparagową. Trafiają się tu dobre produkty, w dodatku niedrogo. A jeśli chodzi o „ekstraniusa”...

– O „ekstraniusa”?

– Ogłoszenie tego czubka. Pierwszy raz pojawiła się nazwa dżumy, chociaż jeszcze zakamuflowana: „zaraza”. To jedna z nazw, jest wiele innych. Mór, zaraza morowa, czarna śmierć, choroba garbusów, plaga... Unikano podawania właściwej nazwy, tak się jej bano. Facet ciągle się przybliża. Prawie już ją nazwał, jest tuż-tuż.

Szczupła młoda blondynka z włosami zwiniętymi w węzeł na karku podeszła do Decambrais’go i nieśmiało dotknęła jego ramienia.

– O, Marie-Belle? – powiedział.

Dziewczyna wspięła się na palce i cmoknęła go w policzek.

– Dziękuję – rzekła, uśmiechając się. – Wiedziałam, że się panu uda.

– Drobiazg – odparł Decambrais, odwzajemniając uśmiech.

Dziewczyna kiwnęła głową i odeszła pod rękę z wysokim brunetem o włosach do ramion.

– Bardzo ładna – zauważył Adamsberg. – Za co panu dziękowała?

– Zmusiłem jej brata, żeby zaczął nosić sweter, ale proszę mi wierzyć, to nie było łatwe. Następny etap w listopadzie: kurtka. Już nad tym pracuję.

Adamsberg się poddał, nie próbował tego zrozumieć, czując, że to zahacza o meandry życia dzielnicy, które w ogóle go nie interesowało.

– Jeszcze jedno – odezwał się Decambrais. – Zauważyli pana. Na placu byli ludzie, którzy wiedzieli, że jest pan gliniarzem. Jak się dowiedzieli – dodał, obrzucając go wzrokiem z góry na dół – nie pojmuję.

– Od obwoływacza?

– Niewykluczone.

– To nic. Może nawet dobrze.

– Ten tam to pana partner? – spytał Decambrais, wskazując brodą Danglarda.

– Nadkomisarz Danglard.

– Bertin, ten wielki Normandczyk, który prowadzi bar, właśnie mu objaśnia odmładzające właściwości swojego calvadosa domowej roboty. Pański nadkomisarz tak grzecznie go słucha, że jeszcze kwadrans i odmłodnieje o piętnaście lat. Napomykam tylko o tym, żeby pana przestrzec. Wiem z doświadczenia, że to faktycznie wyjątkowy calvados, ale na drugi dzień do południa człowiek dosłownie do niczego się nie nadaje.



– Danglard często do niczego się nie nadaje przez całe przedpołudnie.

– A, to dobrze. Niemniej powinien wiedzieć, że to naprawdę szczególnie alkohol. Człowiek nie dość, że do niczego się nie nadaje, to jeszcze chodzi otumaniąły, ogłupiały, ze ślimaczym refleksem. Niesamowita przemiana.

– Boli?

– Nie. To jak wakacje.

Decambrais skinął mu głową i wyszedł, wołał bowiem nie ścisnąć ręki gliniarzowi przy wszystkich. Adamsberg zaś dalej obserwował Danglarda cofającego się w czasie, aż koło ósmej siłą posadził go przy stole, żeby zjadł coś pożywnego.

– Po co? – dopytywał z godnością Danglard, wodząc zamglonym wzrokiem.

– Żeby mieć czym rzygać w nocy. Inaczej boli brzuch.

– Bardzo dobry pomysł – zgodził się Danglard. – Jedzmy.

## XIII

Po wyjściu z Wikinga Adamsberg przywołał taksówkę, by odwieźć Danglarda do domu, potem kazał się wysadzić pod oknami Camille. Z chodnika widział oświetlone okno pracowni, którą miała na poddaszu. Oparty o maskę samochodu przez kilka minut wpatrywał się w to światło, czując, jak powieki mu ciężą. Ten absurdalny pracowity dzień rozplynie się w ciele Camille i niebawem z urojonej dżumy pozostaną tylko strzępy, a potem mgła, która wkrótce się rozwieje.

Wspiął się na siódme piętro i wszedł do środka po cichutku. Kiedy Camille komponowała, zostawiała uchylone drzwi, aby nie przerywać sobie w połowie taktu. Siedziała przy syntezatorze w słuchawkach na uszach, z palcami na klawiaturze. Uśmiechnęła się do niego i ruchem głowy dała mu do zrozumienia, że jeszcze nie skończyła. Adamsberg stał wsłuchany w dźwięki przesączające się przez słuchawki i czekał. Camille pracowała jeszcze jakieś dziesięć minut, po czym zdjęła słuchawki i wyłączyła sprzęt.

– Film przygodowy? – zapytał Adamsberg.

– Science fiction – odparła, wstając. – Serial. Mam zamówienie na sześć odcinków. – Podeszła do Adamsberga, położyła mu dłoń na ramieniu. – Facet nagle pojawia się na ziemi – zaczęła wyjaśniać. – Ma zdolności paranormalne, chce wszystkich wykończyć, nikt nie wie dlaczego. To pytanie chyba nikogo nie obchodzi. Chęć wykończenia ludzi nie wymaga więcej wyjaśnień niż chęć wypicia drinka. Chce mordować i już, to pewnik od samego początku. Znak szczególny faceta: nie poci się.

– Ja też – wyznał Adamsberg. – Science fiction. Jestem na początku pierwszego odcinka i nic nie rozumiem. Facet pojawił się na ziemi z zamiarem wykończenia wszystkich. Znak paranormalny: mówi po łacinie.

W środku nocy Adamsberg otworzył oczy, gdy Camille lekko się poruszyła. Zasnęła z głową na jego brzuchu, a on obejmował ją obiema rękami i obiema nogami. Mgliście go to intrygowało. Delikatnie się oswobodził,

zostawiając jej więcej miejsca.

## XIV

Po zmierzchu mężczyzna wszedł w krótką alejkę prowadzącą do zniszczonego domu. Na pamięć znał każdą nierówność bruku i każdą rysę na starych drewnianych drzwiach, w które załomotał pięć razy.

– To ty?

– Ja, Mané. Otwórz.

Starsza kobieta, wysoka i tęga, poprowadziła go z latarką do salonu z kuchnią. W sionce nie było światła. Tyle razy proponował starej Mané, że wyremontuje jej dom i podniesie komfort, lecz uparcie odrzucała jego ofertę.

– Później, Arnaud – mówiła. – Kiedy będziesz miał swoje pieniądze. Mam w nosie ten twój osławiony komfort. – Wskazywała swoje stopy obute w ciężkie czarne półbuty. – Wiesz, kiedy dostałam pierwszą parę butów? Jak miałam cztery lata. Do czwartego roku życia chodziłam boso.

– Wiem, Mané – odpowiadał. – Ale dach przecieka i przez to niszczyje podłoga na strychu. Nie chcę, żebyś kiedyś zobaczyła niebo przez sufit.

– O mnie się nie martw. Pilnuj swojego nosa.

Usiadł na kwiecistej kanapie, a Mané przyniosła grzane wino i talerz ciasteczek.

– Dawniej – powiedziała, stawiając przed nim talerz – mogłam ci piec ciastka na kozuchach z mleka. Ale teraz nie można dostać mleka, na którym robi się kozuch. Koniec, koniec. Możesz je trzymać i dziesięć dni otwarte, spleśnieje, ale kozucha nie uświadczysz. To już nie mleko, tylko zabiłona woda. Muszę zastępować kozuchy śmietaną. Muszę, Arnaud.

– Wiem, Mané – odparł Arnaud, nalewając wino do kieliszków, które staruszka wybierała z tych większych.

– Przez to bardzo zmienia się smak?

– Nie, są tak samo smaczne, naprawdę. Nie przejmuj się tak ciasteczkami.

– Masz rację, dość tych bzdur. I jak?

– Gotowe.

Usta Mané rozciągnęły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

– Ile drzwi?

– Dwieście pięćdziesiąt trzy sztuki. Coraz szybciej mi idzie. Wiesz, bardzo ładnie wychodzą, takie delikatne.

Uśmiech staruszki jeszcze się poszerzył, ale i złagodniał.

– Masz talent do wszystkiego, mój kochany. Odzyskasz te wszystkie talenty, przysięgam ci na ewangelię.

Arnaud również się uśmiechnął i przytulił głowę do obwisłych piersi starszej pani. Pachniała perfumami i oliwą z oliwek.

– Wszystkie, chłopcze – powtórzyła, głaszcząc go po włosach. – A oni szczeną co do jednego, w samotności jak wielcy panowie.

– Co do jednego – przytaknął Arnaud, mocno ściskając jej dłoń.

Staruszka wzdrygnęła się naraz.

– Masz pierścień? Masz go?

– Nic się nie bój – rzekł, prostując się. – Przełożyłem go tylko na drugą rękę.

– Pokaż.

Arnaud wysunął prawą rękę ozdobioną pierścieniem na środkowym palcu. Mané musnęła kciukiem diamencik błyszczący w oczku, po czym zsunęła pierścień z palca i przełożyła na lewą rękę.

– Noś go na lewej – poleciła – i nigdy nie zdejmuj.

– Dobra. Nie martw się.

– Na lewej, Arnaud. Na palcu serdecznym.

– OK.

– Czekaliśmy, czekaliśmy tyle lat. I doczekaliśmy się. Dziś wieczór... Dziękuję Bogu, że pozwolił mi dożyć tej nocy. A skoro to zrobił, znaczy, że tak chciał. Chciał, żebym tu była, abyś ty mógł dokonać dzieła.

– To prawda.

– Wypijmy, Arnaud. Za twoje wybawienie.

Staruszka uniosła kieliszek i trąciła się z Arnaudem. Sączyli przez chwilę wino, trzymając się za ręce.

– Dość tych dyrdymałów – powiedziała Mané. – Wszystko gotowe? Masz kod, znasz piętro? Ile tam jest osób?

– Mieszka sam.

– Chodź, dam ci je, nie można za bardzo przeciągać. Od dwóch dni je

głodzę, obsiadą go jak szarańcza. Weź rękawice.

Arnaud poszedł za nią do drabiniastych schodów prowadzących na strych.

– Żebyś nie spadła, Mané.

– Bez obaw. Chodzę tędy dwa razy dziennie.

Mané bez problemu weszła na strych, który rozbrzmiewał przenikliwymi piskami.

– Cicho, malutkie – poleciła. – Poświeć mi, Arnaud, na tę po lewej.

Arnaud skierował latarkę na dużą klatkę, w której kłębiło się ze dwadzieścia szczurów.

– Patrz na tego, który dogorywa w rogu. Nowe będę miała nie później niż jutro.

– Na pewno są zarażone?

– Po czubki uszu. Czy ty przypadkiem nie podważasz moich kompetencji? I to akurat w wielki wieczór?

– Jasne, że nie. Ale wołałbym, żebyś mi dała dziesięć zamiast pięciu. Byłaby większa pewność.

– Dam ci nawet piętnaście, jak chcesz. Będiesz przynajmniej spał jak suseł. – Staruszka schyliła się i podniosła nieduży płócienny worek, który leżał na ziemi przy klatce. – Padł na dzumę przedwczoraj – powiedziała, machając workiem Arnaudowi przed nosem. – Wyczeszemy mu pchły i hajda! Przyświeć mi.

Arnaud patrzył na Mané krzątającą się w kuchni przy zdechłym szczurze.

– Uważaj na siebie. A jak cię pogryzą?

– Mówię ci, nic się nie bój – burknęła Mané. – Jestem nasmarowana oliwą od stóp do głów. Uspokoileś się?

Dziesięć minut później wyrzuciła truchło do kosza i podała Arnaudowi grubą kopertę.

– Dwadzieścia dwie pchły – powiedziała. – Jak widzisz, masz na zapas.

Ostrożnie wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Idę, Mané.

– Otwórz ją szybko jednym ruchem i wsuń pod drzwi. Otwieraj bez obaw. Ty jesteś panem. – Staruszka ucisnęła go krótko. – Dość tych

dyrdymałów – dodała. – Twoja kolej. Niech Bóg ma cię w opiece. I uważaj na policję.

## XV

Adamsberg zjawił się w biurze około dziewiątej rano. Sobota była dniem przestoju: liczebność załogi ograniczona, warkot wiertarek ucichł. Danglard nie widział, pewnie słono płacił za kurację odmładzającą przeprowadzoną w Wikingu. W nim z poprzedniego dnia pozostało jedynie szczególne uczucie charakterystyczne dla nocy spędzonych z Camille, ociążałość w mięśniach ud i pleców, która będzie mu towarzyszyła mniej więcej do drugiej niczym stłumione echo ukryte w ciele. A potem przejdzie.

Przedpołudnie minęło mu na ponownym obdzwanianiu komisariatów. Nie zaszło nic godnego uwagi, nie było podejrzanego zgonu w budynkach oznaczonych odwróconymi czwórkami. Wniesiono natomiast trzy nowe skargi na zniszczenia w I, XVI i XVII dzielnicy. Znowu odwrócone czwórki, znowu trzyliterowy podpis, CLT. Zakończył telefoniczną rundkę, dzwoniąc do Breuila w centrali na quai des Orfèvres.

Breuil był facetem sympatycznym i skomplikowanym, estetą żartownisiem i utalentowanym kucharzem – te cechy charakteru sprawiały, że nie oceniał pochopnie bliźniego. W gmachu przy quai des Orfèvres, gdzie nominacja Adamsberga na szefa jednego z wydziałów zabójstw wywołała spore poruszenie ze względu na jego nonszalancję, styl ubioru i enigmatyczne sukcesy zawodowe, Breuil należał do nielicznych, którzy akceptowali inspektora takiego, jakim był, nie próbując na siłę go ucywilizować. Tolerancja ta była tym cenniejsza, że zajmował wpływowe stanowisko w prefekturze.

– W razie gdyby coś się działo w którymś z tych budynków – zakończył Adamsberg – bądź tak miły i daj mi znać. Obserwuję tę sprawę od kilku dni.

– Czyli mam cię informować?

– Właśnie.

– Możesz na mnie liczyć – odparł Breuil. – Ale na twoim miejscu tak bardzo bym się nie przejmował. Faceci, którzy uaktywniają się w porywach jak ten twój niedzielny malarz, to na ogół impotenci.

– Mimo wszystko się przejmuję. I obserwuję go.



- Skończyli montować kraty u ciebie?
- Jeszcze dwa okna zostały.
- Wpadnij dziś na kolację. Będzie krem ze szparagów z trybulą, zdziwisz się, jaki pyszny. Nawet ty.

Adamsberg z uśmiechem odłożył słuchawkę i z rękami w kieszeniach udał się na lunch. Blisko trzy godziny chodził pod dość szarym wrześnieowym niebem, tak że do biura wrócił późnym popołudniem.

Obcy funkcjonariusz poderwał się na jego widok.

- Sierżant Lamarre – przedstawił się od razu, szarpiąc guzik przy kurtce ze wzrokiem wbitym w ścianę naprzeciwko. – Był telefon do pana o trzynastej czterdzieści jeden. Niejaki Decambrais Hervé prosi, żeby zadzwonić pod ten numer – zakończył, podając mu kartkę.

Adamsberg obejrzał sobie Lamarre'a, próbując pochwycić jego spojrzenie. Sponiewierany guzik spadł na podłogę, funkcjonariusz jednak stał wyprostowany z rękami po bokach. Coś w jego wysokim wzroście, blond włosach i niebieskich oczach przypominało mu właściciela Wikinga.

- Jesteście Normandczykiem, Lamarre? – zapytał go Adamsberg.
- Tak jest, panie inspektorze. Urodzonym w Granville.
- Przeszliście do nas z żandarmerii?
- Tak jest, panie inspektorze. Stanałem do konkursu, żeby dostać przydział w stolicy.
- Możecie podnieść guzik, sierżancie – zasugerował Adamsberg. – I możecie usiąść.

Lamarre wykonał polecenie.

- Możecie też spróbować popatrzeć na mnie. Spójrzeć mi w oczy.

Grymas paniki przemknął przez twarz sierżantowi, który uparcie wpatrywał się w ścianę.

- To potrzebne w pracy – wyjaśnił Adamsberg. – Postarajcie się.

Funkcjonariusz powoli obrócił głowę do niego.

- Bardzo dobrze – pochwalił Adamsberg. – Nie ruszajcie się teraz. Patrzcie mi w oczy. Tutaj jesteście wśród gliniarzy. Wydział zabójstw jak żaden inny wymaga dyskrecji, naturalności i ludzkiego podejścia. Czekają was infiltracje, obserwacje, wypytywanie, śledzenie tak, żeby was nie widziano, będziecie musieli wzbudzać zaufanie, czasem nawet ocierać

komuś łyzy. Kiedy zachowujecie się tak jak teraz, sztywny jak kołek na wygonie, widać was na kilometr. Musicie trochę wyluzować, chociaż w jeden dzień to się nie uda. Ćwiczenie pierwsze: patrzcie na ludzi.

– Tak jest, panie inspektorze.

– W oczy im patrzcie, nie na czoło.

– Tak jest, panie inspektorze.

Adamsberg otworzył notes i na gorąco zanotował: Wiking, guzik, wzrok w ścianę równa się Lamarre.

Decambrais odebrał po pierwszym dzwonku.

– Wolałem pana uprzedzić, że nasz człowiek minął punkt krytyczny.

– To znaczy?

– Najlepiej przeczytam panu porannego i południowego ekstraniusa. Jest pan tam?

– Jestem.

– Pierwszy to ciąg dalszy *Dziennika* tego Anglika.

– Sepysa.

– Pepysa. Brzmi tak: „Dziś całkiem wbrew sobie zobaczyłem dwa czy trzy domy z czerwonym krzyżem na drzwiach i napisem: «Boże, zmiłuj się nad nami». Smutny widok, pierwszy tego rodzaju, jakim zobaczyłem, o ile pamiętam”.

– Nie idzie ku lepszemu.

– Łagodnie mówiąc. Takim czerwonym krzyżem znaczone drzwi domów, w których wybuchała zaraza, żeby ludzie je omijali. Czyli Pepys spotkał pierwszych zadżumionych. W zasadzie choroba od dawna już szalała na przedmieściach, tyle że Pepys, mieszkając w bogatej dzielnicy, nic jeszcze nie wiedział...

– A druga wiadomość? – przerwał mu Adamsberg.

– Jeszcze gorsza. Już czytam.

– Tylko powoli – poprosił Adamsberg.

– „*Siedemnasty sierpnia*. Pogłoski poprzedzają mór, wielu drży, spora liczba wszakże pokłada nadzieję na podstawie zapewnień osławionego doktora Rainsanta. Próżne starania: *czternastego września* dżuma wkroczyła do miasta. Najpierw uderzyła w *dzielnice Rousseau*, gdzie ciała

zmarłych na każdym kroku zaświadczać o jej obecności”. Ponieważ nie ma pan kartki przed oczami, dodam, że tekst jest usiany wielokropkami. Ten facet to jakiś maniak, nie utnie oryginalnego zdania, żeby tego nie zaznaczyć. Poza tym „siedemnasty sierpnia”, „czternasty wrześnie” i „dzielnica Rousseau” są napisane inną czcionką. Pewnie zmienił daty i miejsce w stosunku do oryginału i podkreślił odstępstwa inną czcionką. Moim zdaniem.

– A dziś mamy czternasty wrześnie, prawda? – zapytał Adamsberg, który nigdy nie miał pewności co do daty i zawsze był dzień czy dwa do przodu lub do tyłu.

– Właśnie. Tak że najzwyczajniej w świecie ten świr zawiadamia nas, że dżuma weszła dziś do Paryża i zabiła.

– Przy rue Jean-Jacques-Rousseau?

– Myśli pan, że to wskazówka co do miejsca?

– Mam przy tej ulicy budynek oznaczony czwórkami.

– Jakimi czwórkami?

Adamsberg uznał, że Decambrais wystarczająco głęboko siedzi w sprawie, by poznać drugą stronę działalności ogłoszeniodawcy. Przy okazji odnotował, że choć Decambrais jest dobrze wykształcony, najwyraźniej nie miał pojęcia o znaczeniu odwróconych czwórek, podobnie zresztą jak erudyta Danglard. Talizman nie był zatem tak znany, a facet, który go używał, musiał być piekielnie obryty.

– W każdym razie – zakonkludował Adamsberg – może pan dalej śledzić tę sprawę beze mnie tytułem dokumentacji dla swoich s p r a w ż y c i o w y c h. To będzie piękny eksponat do pańskiej kolekcji, tak samo zresztą jak w annałach obwoływacza. Ale jeśli chodzi o jakieś zbrodnicze elementy, to myślę, że można o nich zapomnieć. Facet wybrał inną ścieżkę, czysto symboliczną, jak by powiedział mój partner. Bo tej nocy na rue Jean-Jacques-Rousseau nic się nie stało, podobnie jak w innych oznaczonych budynkach. Za to nasz człowiek dalej maluje. Pomaluje, pomaluje, aż w końcu mu się znudzi.

– Ha, to i lepiej – rzekł Decambrais po chwili milczenia. – Proszę mi wierzyć, szczęśliwy jestem, że mogłem bliżej pana poznać, i proszę wybaczyć, że naraziłem pana na stratę czasu.

– Ależ nie ma o czym mówić. Stracony czas oceniam po jego prawdziwej wartości.

Adamsberg odłożył słuchawkę i uznał, że na tym może zakończyć sobotę w pracy. W rejestrze nie figurowało nic, co by nie mogło poczekać do poniedziałku. Zanim opuścił biuro, zajrzał do notesu, aby przy wyjściu zwrócić się po nazwisko do tego żandarma z Granville.

Na ulicy słońce wychynęło zza nieco lżejszych chmur i miasto odzyskiwało letni odrobinę ociężały wygląd. Adamsberg zdjął kurtkę, zarzucił ją na ramię i wolnym krokiem ruszył w stronę rzeki. Odnosił wrażenie, że paryżanie nie pamiętają, że mają rzekę. Choć Sekwana była mocno zanieczyszczona, chętnie nad nią uciekał, lubił jej niespieszny nurt, zapach jak wilgotnej bielizny i ptasie wrzaski.

Spokojnie idąc ku niej wąskimi uliczkami, pomyślał, że w sumie dobrze, iż Danglard w domu trzeźwieje po calvadosie. Sprawę czwórek wolał pogrzebać bez świadków. Danglard miał słuszość. Artysta interwencyjny czy maniak symboli, ten świr od czwórek obracał się w świecie, z którym nie mieli nic wspólnego. Adamsberg przegrał, miał to gdzieś, i dobrze. W sporach z partnerem nie kierował się nigdy dumą, był jednak rad, że rezygnacja ze sprawy dokonała się w samotności. W poniedziałek powie Danglardowi, że się pomylił, i sprawa odwróconych czwórek trafi na półkę anegdot w rodzaju gigantycznych biedronek z Nanteuil. Kto mu opowiedział tę historię? Fotograf, ten piegowaty facet. Jakże on się nazywa? Nie pamiętał.

## XVI

W poniedziałek Adamsberg oznajmił Danglardowi, że sprawa czwórek jest zamknięta. Jako człowiek oblatany, Danglard nie pozwolił sobie na żaden komentarz, kiwnął tylko głową.

We wtorek o czternastej piętnaście komisariat w I dzielnicy powiadomił inspektora telefonicznie, że pod numerem 117 przy rue Jean-Jacques-Rousseau znaleziono zwłoki.

Adamsberg bardzo, bardzo długo odkładał słuchawkę, tak jak robi się w nocy, kiedy nie chce się nikogo obudzić. Ale była pełnia dnia. On zaś nie starał się nie przerwać snu innych, lecz sam chciał zapaść w sen, bezgłośnie rzucić się w zapomnienie. Znał chwile, gdy własna natura dręczyła go tak bardzo, że modlił się o znalezienie kiedyś schronienia, w którym otumaniony i bezsilny mógłby się zwinąć w kłębek i więcej stamtąd nie wychodzić. Chwile takie, gdy okazywało się, że wbrew wszelkiemu rozsądkowi miał słuszość, nie były najprzyjemniejsze. Przytłaczały go na krótko, jakby naraz przygniótł go ciężar zgubnego daru ofiarowanego mu po narodzinach przez złą wróżkę, która zidiociała i nad jego kołyską wypowiedziała takie oto słowa: „Ponieważ nie zaprosiliście mnie na chrzciny – co nie dziwi, bo jego rodzice, biedni jak święty turecki, świętowali je w zapadłym kącie Pirenejów we dwoje, owinąwszy go w ciepły koc – no więc ponieważ nie zaprosiliście mnie na chrzciny, daję temu dziecku dar przeczuwania burdelu tam, gdzie inni jeszcze go nie dostrzegają”. Czy coś w tym guście, ale lepiej powiedziane, bo zła wróżka nie była jakimś nieukiem czy prostaczką, co to, to nie.

Chwile złego samopoczucia trwały krótko. Primo dlatego, że Adamsberg wcale nie zamierzał zwinąć się w kłębek, skoro bezwzględnie potrzebował przez pół dnia chodzić, a przez drugą połowę stać, secundo zaś dlatego, że wcale nie uważał się za obdarzonego jakimś darem. To, co przeczuł, kiedy zaczęła się sprawa z czwórkami, było w sumie całkowicie logiczne, nawet jeśli owa logika nie miała pięknej czytelności logiki Danglarda, nawet jeśli Adamsberg nie był w stanie pokazać jej nieuchwytnych trybików.

Wydawało mu się oczywiste, że odwrócone czwórki od początku pełniły rolę groźby, i to tak wyraźnej, jakby jej autor wypisał na drzwiach: „Jestem tutaj. Popatrzcie na mnie i miejcie się na baczności”. Wydawało mu się też oczywiste, że ta pogrożka zgęstniała i nabrała cech prawdziwego zagrożenia, kiedy Decambrais i Le Guern donieśli mu, iż tego samego dnia zaczęły się pojawiać zapowiedzi dżumy. I że ogłoszeniodawca upaja się tragedią, którą sam dyryguje. Równie oczywiste było to, że nie zawróci z tej drogi, że śmierć zapowiadana z taką melodramatyczną dokładnością ostatecznie zaowocuje trupem. Wszystko to było logiczne, tak logiczne, że Decambrais obawiał się tego równie mocno jak inspektor.

Adamsberga nie martwiła straszna inscenizacja, górnolotność autora wiadomości, a nawet jego złożoność. Jej dziwaczność miała w sobie coś klasycznego, modelowego dla rzadkiego rodzaju morderców dręczonych absurdalnie śmiesznym przerostem miłości własnej, ludzi wynoszących się na piedestał proporcjonalny do przeżywanego ponizenia i ambicji. Bardziej zagadkowe, a wręcz niezrozumiałe było wykorzystanie dawnej symboliki związanej z dżumą.

Inspektor z I dzielnicy miał pewność: według pierwszych doniesień funkcjonariuszy, którzy odkryli ciało, zwłoki były czarne.

– Lecimy, Danglard – powiedział Adamsberg, mijając biuro partnera. – Zbierz ludzi, mamy zwłoki. Patolog i technicy już tam jadą.

W takich chwilach Adamsberg mógł być względnie szybki, toteż Danglard czym prędzej zwołał ekipę i pognął za nim, nie doczekawszy się słowa wyjaśnienia.

Dwaj komisarze i sierżant już się usadowili z tyłu wozu, inspektor jednak przytrzymał Danglarda za rękaw.

– Momencik. Lepiej na razie nie mieszać w głowach tym jak im tam...

– Justin, Voisenet i Kernorkian – podpowiedział Danglard.

– Stało się. Ciało jest na rue Jean-Jacques-Rousseau. W budynku niedawno wymalowano na dziesięciorgu drzwiach odwrócone czwórki.

– Cholera – skomentował to Danglard.

– Mężczyzna około trzydziestki, biały.

– Dlaczego mówisz „biały”?

– Bo ciało jest czarne. Skóra jest czarna, poczerniała. Język też.

Danglard zmarszczył brwi.

– Dżuma – rzekł. – „Czarna śmierć”.

– Właśnie. Ale nie sądzę, żeby ten człowiek umarł na dżumę.

– Skąd ta pewność?

Adamsberg wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Bez przesady. Od lat we Francji nie ma dżumy.

– Zawsze można ją zaszczepić.

– Jeszcze trzeba by skądś zdobyć zarazki.

– To nie takie trudne. W instytutach badawczych roi się od yersinii, nawet w Paryżu, i to wiadomo gdzie. W tajnych zakamarkach gmachu trwa nieustająca walka. Wystarczy trochę sprytu i można korzystać.

– Co to są yersinie?

– To ich nazwisko rodowe. Nazwisko, imię: *Yersinia pestis*. Przydomek: pałeczka dżumy. Zawód: historyczny kiler. Liczba ofiar: kilkadziesiąt milionów. Motyw: kara.

– Kara... – mruknął Adamsberg. – Jesteś pewien?

– Na przestrzeni tysiąclecia nikt nigdy nie podał w wątpliwość, że dżumę zesłał na świat sam Pan Bóg jako karę za nasze grzechy.

– Coś ci powiem: nie chciałbym spotkać Pana Boga na ulicy ciemną nocą. To, co powiedziałaś, to prawda?

– Prawda. To d o p u s t B o ż y w pełnym tego słowa znaczeniu. Wyobraź sobie gościa, który łązi z czymś takim w kieszeni. Istna bomba.

– A jeśli tak nie jest, Danglard, jeśli tylko ktoś chce, byśmy myśleli, że jakiś gość płącze się po mieście z dopustem Bożym w kieszeni, to katastrofa. Niech to się wyda, a rozejdzie się jak ogień po łące. W perspektywie mamy kolektywną psychozę o zasięgu takim, że szkoda gadać.

Z samochodu Adamsberg zadzwonił na komisariat.

– Brygada kryminalna, komisarz Noël przy telefonie – rozległ się oschły głos.

– Noël, weźcie kogoś ze sobą, kogoś dyskretnego... albo nie, weźcie tę kobietę, tę brunetkę, taką powściągliwą...

– Komisarz Hélène Froissy?

– Właśnie. Skoczcie na plac u zbiegu Edgar-Quinet i Delambre. Sprawdźcie, ale na odległość, czy niejaki Decambrais jest w domu, mieszka na rogu rue de la Gaîté. Zostańcie tam do wieczornej sesji.

– Do sesji?

– Zrozumiecie, jak to zobaczycie. Faceta, który stanie na skrzyni o szóstej z minutami. Zostańcie tam, póki ktoś was nie zmieni, i miejcie oczy otwarte na wszystko. Zwłaszcza na publikę obwoływacza. Odezwę się później.

W pięciu weszli na piąte piętro, gdzie czekał na nich inspektor z I dzielnicy. Na każdej kondygnacji umyto drzwi, bez trudu jednak można było dostrzec szerokie czarne ślady po świeżej farbie.

– Inspektor Devillard – szepnął Danglard Adamsbergowi tuż przed piątym piętrem.

– Dzięki – odparł Adamsberg.

– Wygląda na to, że przejmujecie ten pasztet, Adamsberg? – rzekł Devillard, ściskając mu dłoń. – Rozmawiałem właśnie z górą.

– Owszem – przyznał Adamsberg. – Śledziłem sprawę, zanim się urodziła.

– Świetnie – powiedział Devillard, który wyglądał na przemęczonego. – Mam na głowie kradzież magnetowidów, dużą kradzież, i trzydzieści wybebeszonych fur w rejonie. Na ten tydzień to aż za wiele. Dobra, wiecie, o kogo chodzi?

– Nic nie wiemy.

Równocześnie Adamsberg popchnął drzwi mieszkania, by w jaśniejszym świetle obejrzeć ich stronę zewnętrzną. Były czyste, bez śladu farby.

– René Laurion, kawaler – zaczął Devillard, zaglądając do notatek – trzydzieści dwa lata, mechanik samochodowy. Praworządny obywatel, czysta kartoteka. Ciało znalazła sprzątaczką, która przychodzi raz w tygodniu, we wtorek rano.

– Ma pecha – zauważył Adamsberg.

– Owszem. Dostała ataku nerwowego, córka po nią przyjechała.

Devillard wręczył plik notatek Adamsbergowi, który w podziękowaniu kiwnął głową i podszedł do ciała. Technicy się odsunęli, przepuszczając go. Mężczyzna leżał nagi na wznak, z rozkrzyżowanymi rękami, na udach,



torsie, ramionach, twarzy miał z dziesięć czarnych jak sadza plam na skórze. Wysunięty z ust język także był czarny.

– Lipa, co? – zapytał inspektor lekarza sądowego.

– Niech pan się nie nabija – ofuknął go lekarz. – Nie zbadałem jeszcze ciała, ale ten gość nie żyje, i to od ładnych paru godzin. Został uduszony, co widać na szyi pod tym czarnym.

– Nie to miałem na myśli – spokojnie odparł Adamsberg. Wziął między palce troszkę czarnego proszku rozsypanego na podłodze, roztarł go, po czym oczyścił dłoń o spodnie. – Węgiel – mruknął. – Gościa natarto węglem.

– Na to wygląda – zgodził się jeden z techników.

Adamsberg rozejrzał się dokoła.

– Gdzie jego ubrania? – spytał.

– Starannie poskładane w sypialni – odparł Devillard. – Buty ustawione pod krzesłem.

– Nic nie zginęło? Nie było włamania?

– Nie. Albo Laurion otworzył mordercy, albo zamek sforsowano delikatnie wytrychem. Chyba skłaniamy się ku temu drugiemu. Jeśli to się potwierdzi, będziemy mieli łatwiej.

– Zawodowiec, hę?

– Właśnie. Artystycznego otwierania zamków nie uczą w szkole. Facet na pewno siedział, i to na tyle długo, żeby się przeskolić. A to znaczy, że ma kartotekę. Jeśli zostawił choć jeden odcisk palca, raz-dwa będziecie go mieli. Czego wam życzę, Adamsberg.

Trzej technicy krzatali się w milczeniu: jeden przy zwłokach, drugi przy zamku, trzeci przy sprzętach. Adamsberg powoli obszedł pokój, potem zwiedził łazienkę, kuchnię, niedużą schludną sypialnię. Włożywszy rękawiczki, mechanicznie otwierał drzwi szafy i stolika nocnego, szuflady komody i biurka, barek. Na stole kuchennym, jedynej strefie, gdzie panował niejaki nieład, zawiesił wzrok na grubej kopercie barwy kości słoniowej położonej w poprzek sterty listów i gazet. Została otwarta jednym pociągnięciem. Długo na nią patrzył, nie dotykając jej, czekał, aż na jego rozkaz pamięć podsunie mu stosowny obraz. Był niedaleko, to kwestia minuty, dwóch. O ile pamięć Adamsberga nie była zdolna poprawnie

rejestrować nazwisk, a także tytułów, godności, pisowni, składni i w ogóle wszystkiego, co się wiązało z pismem, o tyle przechodziła samą siebie w dziedzinie obrazów. Adamsberg był wybitnym wzrokowcem ogarniającym całość spektaklu życia, od światła przebijającego przez chmury po oberwany guzik przy rękawie Devillarda. I obraz wychynał, bardzo wyraźny. Obraz Decambrais'go, który siedząc naprzeciwko niego w biurze, wyjmował plik „ekstraniusów” z grubej koperty w kolorze kości słoniowej większego formatu, wyłożonej jasnopopielatą bibułą. To była taka sama koperta jak ta, którą miał przed oczami na stosie gazet. Skinął na fotografa, który zrobił kilka zdjęć, gdy tymczasem Adamsberg kartkował swój notes w poszukiwaniu jego nazwiska.

– Dzięki, Barteneau – powiedział.

Podniósł kopertę, zajrzał do środka. Była pusta. Przerzucił stertę poczty i sprawdził inne koperty: wszystkie rozerwano palcem i w każdej pozostała zawartość. W koszu pośród odpadków liczących co najmniej trzy dni znalazł dwie rozdarte koperty i kilka zmiętych kartek, lecz format żadnej nie pasował do koperty w kolorze kości słoniowej. Wyprostował się, w zamyśleniu opłukał rękawiczki pod kranem. Dlaczego ten człowiek zachował pustą kopertę? I dlaczego nie otworzył jej pospiesznie palcem jak wszystkie inne?

Wrócił do głównego pomieszczenia, gdzie technicy kończyli swoją robotę.

– Mogę już iść, inspektorze? – zapytał lekarz sądowy, wahając się między Devillardem i Adamsbergiem.

– Może pan – odpowiedział Devillard.

Adamsberg wsunął kopertę do plastikowego worka i oddał ją jednemu z nadkomisarzy.

– To ma iść z resztą do laboratorium – powiedział. – Z adnotacją, że pilne.

Opuścił budynek godzinę później, gdy zabierano zwłoki, zostawiwszy dwóch ludzi, by przepytali mieszkańców.

## XVII

O piątej po południu dwudziestów trzech funkcjonariuszy brygady kryminalnej zasiadło przed Adamsbergiem na krzesłach ustawionych pośród gruzu. Brakowało jedynie Noëla i Froissy, którzy czuwali na placu Edgar-Quinet, oraz dwóch oficerów wykonujących obowiązki na rue Jean-Jacques-Rousseau.

Adamsberg na stojąco przypinał pinezkami duży plan Paryża do świeżo pomalowanej ściany. W milczeniu, zerkając na listę trzymaną w ręce, wbił w niego czternaście szpilek z dużymi czerwonymi łebkami w miejscach, gdzie stały zgłoszone dotąd budynki, w których na drzwiach namalowano czwórki, a piętnastą z zielonym łebkiem oznaczył dom, w którym popełniono morderstwo.

– Siedemnastego sierpnia – zaczął – uaktywnił się facet, który umyślił sobie usunąć trochę ludzi. Nazwijmy go CLT. CLT nie rzuca się na oślep na pierwszego lepszego. Wcześniej przechodzi przez fazę przygotowawczą, która zajmuje mu prawie miesiąc, a na pewno ją też długo szykował. Zaczyna równocześnie na dwóch frontach. Front pierwszy: wybiera w Paryżu budynki i nocą na drzwiach wszystkich mieszkań maluje czarną cyfrę. – Włączył rzutnik i na białym murze pojawił się duży obraz odwróconej czwórki. – To specyficzna cyfra, lustrzane odwrócone do góry nogami odbicie czwórki o poszerzonej podstawie nóżki i z poziomą linią przekreśloną dwa razy. Wszystkie te cechy ma każdy malunek. W dole po prawej sprawca dodaje trzy duże litery: CLT. W odróżnieniu od czwórki są proste, bez zdobień. Obydwa motywy przedstawiane są na wszystkich drzwiach budynku o p r ó c z j e d n y c h. Wybór nieoznaczonych drzwi jest przypadkowy. Losowe wydają się także kryteria wyboru budynków. Położone są w jedenastu różnych dzielnicach, przy głównych alejach i przy bocznych dyskretnych uliczkach. Numery budynków też się zmieniają, są parzyste albo nieparzyste, budynki wzniesiono w różnych stylach i w różnych epokach, są zamożne albo zapuszczone. Można by sądzić, że CLT z rozmysłem zastosował maksymalną różnorodność. Jakby przez to

oznajmiał, że może dopaść każdego, że nikt mu nie umknie.

– A lokatorzy? – zapytał któryś komisarz.

– Później – rzekł Adamsberg. – Znaczenie odwróconej czwórki rozszyfrowaliśmy na sto procent: tej cyfry używano w dawnych czasach jako talizmanu, żeby się chronić przed zarażeniem dżumą.

– Przed jaką dżumą? – rozległ się czyjś głos.

Adamsberg bez trudu rozpoznał brwi sierżanta.

– Przed zwyczajną dżumą, Favre, nie ma ich nie wiadomo ile. Danglard, bądź tak dobry, przypomnij w trzech zdaniach.

– Dżuma dotarła na Zachód w tysiąc trzysta czterdziestym siódmym roku – wyjaśnił Danglard. – W ciągu pięciu lat przetoczyła się przez Europę od Neapolu po Moskwę, uśmierciła trzydzieści milionów ludzi. Ten straszny epizod w historii ludzkości nosi nazwę „czarnej śmierci”. Ta nazwa jest ważna dla śledztwa. Zaraza przyszła...

– Trzy zdania, Danglard – przerwał mu Adamsberg.

– Później wybuchła okresowo mniej więcej co dziesięć lat, pustosząc całe okolice, i dopiero w osiemnastym wieku odpuszcza. Nie wspominałem tu o wczesnym średniowieczu ani o czasach współczesnych, ani o Wschodzie.

– I bardzo dobrze, niczego więcej już nie wspominaj. To wystarczy, żeby każdy zrozumiał, o czym mówimy. O dżumie historycznej, która zabija człowieka w pięć do dziesięciu dni.

Po tych słowach przez zebranych przeszedł szmer. Adamsberg z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową czekał, aż na powrót zapanuje cisza.

– Czy ten człowiek z rue Jean-Jacques-Rousseau umarł na dżumę? – zapytał ktoś niepewnie.

– Już do tego przechodzę. Front drugi: również siedemnastego sierpnia CLT ogłasza publicznie swoją pierwszą wiadomość. Jego wybór pada na plac u zbiegu ulic Edgar-Quinet i Delambre, gdzie pewien człowiek odnowił wymarłą profesję obwoływacza publicznego, i to z niejakim sukcesem.

Po prawej podniosła się czyjaś ręka.

– Na czym to polega?

– Facet ma skrzynkę zawieszoną na drzewie dzień i noc, ludzie wrzucają do niej ogłoszenia, jak się domyślam, w zamian za drobne wynagrodzenie.

Trzy razy dziennie obwoływacz opróżnia skrzynkę i odczytuje publicznie ogłoszenia.

– Co za głupota – skomentował ktoś.

– Może, ale to działa – rzekł Adamsberg. – Taką samą głupotą jest sprzedawanie słów jak sprzedawanie kwiatków.

– Albo bycie gliną – dodał kto inny po lewej.

Adamsberg popatrzył na oficera, który to powiedział, niskiego szpakowatego człowieka w trzech czwartych wyłysiałego, szeroko uśmiechniętego.

– Albo bycie gliną – zgodził się. – Wiadomości od CLT są niezrozumiałe dla zwykłych ludzi i w ogóle dla ludzi. To wydruki komputerowe krótkich fragmentów dawnych książek, napisanych po francusku czy nawet po łacinie. Wrzucane są do skrzynki w dużych kopertach barwy kości słoniowej. Na miejscu pewien człowiek obeznany ze starymi tekstami zaniepokoił się tym na tyle, że postanowił przyjrzeć się temu bliżej.

– Nazwisko? Zawód? – spytał komisarz siedzący z otwartym notesem na kolanach.

Adamsberg zawahał się sekundę.

– Decambrais – rzekł. – Emeryt i doradca w sprawach życiowych.

– Czy tam wszyscy są rąbnięci? – zapytał ktoś.

– Możliwe – przyznał Adamsberg. – Ale to kwestia perspektywy. Póki się patrzy z dala, wszystko zawsze wydaje się w porządku. Kiedy jednak podejść bliżej i bez pośpiechu przyjrzeć się szczegółom, widać, że każdy jest mniej czy bardziej rąbnięty, i tam, i wszędzie indziej, i nawet w tej brygadzie.

– Nie zgodzę się – zaprotestował głośno Favre. – Trzeba naprawdę być chorym, żeby na placu czytać na głos jakieś bzdury. Niech koleś fundnie sobie bzykanko, a zaraz mu się przeczyszcza zwoje mózgowe. Na rue de la Gaîté za trzy stówki ma pranie z prasowaniem szarych komórek.

Rozległy się śmiechy. Adamsberg powiódł po zebranych spokojnym wzrokiem, który stopniowo uciszał wesołość, aż zatrzymał się na sierzancie.

– Powiedziałem, Favre, że w tej brygadzie są czubki.

– No wie pan... – zaczął Favre, zrywając się zaczerwieniony na nogi.

– Milczeć i siad – uciał Adamsberg.

Przywołany do porządku Favre opadł na krzesło jak pchnięty poleceniem. Adamsberg odczekał kilka sekund w milczeniu, ze skrzyżowanymi rękami.

– Kiedyś już prosiłem was, Favre, żebyście uruchomili myślenie – powiedział spokojnie. – Proszę o to po raz drugi. Na pewno macie mózg, poszukajcie go. Jak wam się nie uda go znaleźć, pójdziecie się popisywać z dala ode mnie i nie w tej brygadzie.

Po tych słowach Adamsberg przestał się interesować Favre'em, popatrzył na plan Paryża i podjął:

– Ten Decambrais zdołał odczytać znaczenie wiadomości zostawianych przez CLT. Wszystkie pochodzą z dawnych prac na temat dżumy i z dziennika pisanego w czasie epidemii. Przez miesiąc CLT poprzestawał na opisach znaków zapowiadających zarazę. Później przyspieszył i w ostatnią sobotę ogłosił, że dżuma jest w mieście, w „dzielnicy Rousseau”. Trzy dni później, czyli dzisiaj, znaleziono pierwsze zwłoki w budynku oznaczonym przedtem czwórkami. Ofiarą jest młody mechanik samochodowy, kawaler, spokojny, nienotowany. Ciało było nagie, skóra pokryta czarnymi plamami.

– „Czarna śmierć” – odezwał się ten, kto wcześniej dopytywał o przyczynę zgonu.

Adamsberg popatrzył na nieśmiałego młodego człowieka o rysach jeszcze krągłych i zielonych dużych oczach. Podniosła się siedząca obok niego kobieta o grubo ciosanej twarzy wyrażającej niezadowolenie.

– Inspektorze – zaczęła – dżuma to bardzo zakaźna choroba. Nie mamy pewności, że ten człowiek nie umarł na nią. A pan zabrał na miejsce czterech naszych ludzi, nie czekając na raport lekarza.

Adamsberg w zamyśleniu oparł brodę na dłoni zwiniętej w pięść. Niniejsze nadzwyczajne zebranie informacyjne przeradzało się w zapoznawcze połączone z dobywaniem broni i próbnymi prowokacjami.

– Dżumą – zaczął wyjaśniać – nie można się zarazić przez kontakt z chorym. To choroba gryzoni, głównie szczurów, przekazywana człowiekowi w wyniku pokąsania przez zainfekowane pchły. – Całą tę wiedzę Adamsberg świeżo zaczerpnął z encyklopedii, do której zajrzał wcześniej tego dnia. – Kiedy zabierałem tam tych czterech ludzi – ciągnął – było już pewne, że ofiara nie zmarła na dżumę.

– Skąd ta pewność? – dopytywała kobieta.

Danglard przyszedł w sukurs inspektorowi.

– Nadejście dżumy obwoływacz ogłosił w sobotę – powiedział. – Laurion zmarł w nocy z poniedziałku na wtorek, czyli trzy dni później. A musicie wiedzieć, że po zakażeniu śmierć następuje najwcześniej po pięciu dniach z wyjątkiem bardzo rzadkich przypadków. Było więc wiadomo, że nie mamy do czynienia z prawdziwym przypadkiem dżumy.

– Czemu nie? Mógł go zarazić wcześniej.

– Nie. CLT to szalenie. A szaleńcy nie oszukują. Jeśli zapowiada, że coś się stanie w sobotę, na pewno stanie się w sobotę.

– No może... – zgodziła się kobieta, siadając na poły uspokojona.

– Mechanik został uduszony – kontynuował Adamsberg. – Potem jego ciało natarto węglem drzewnym na pewno po to, żeby przywołać skojarzenie z objawami i nazwą choroby. CLT nie ma więc pałeczek dżumy. Nie jest nawiedzonym laborantem, który chodzi po mieście ze strzykawką w rękawie. Ten człowiek działa symbolicznie. Ale ewidentnie wierzy w to, co robi, i to mocno. Na drzwiach mieszkania ofiary nie namalował czwórki. Przypominam, że te czwórki to nie pogróżki, tylko o c h r o n a. Czyli jedynie ten, czyje drzwi pozostały czyste, jest narażony. CLT wybiera ofiarę z wyprzedzeniem, a drzwi innych mieszkańców oznacza symbolem. Troska o oszczędzenie innych dowodzi, że CLT jest przekonany, że zaraża prawdziwą dżumą. Nie uderza więc na oślep: zabija jedną osobę i zależy mu na uchronieniu innych ludzi, którzy w jego mniemaniu nie zasługują na zarazę.

– Wierzy, że zaraża dżumą, i dusi? – zapytał ktoś z prawej. – Skoro sam siebie tak oszukuje, to mamy chyba do czynienia z prawdziwym schizofrenikiem, nie?

– Niekoniecznie – odparł Adamsberg. – CLT manipuluje wyimaginowanym światem, który dla niego jest urządzony z sensem. To nie takie rzadkie: mnóstwo ludzi wierzy, że można odczytać przyszłość z kart albo z fusów po kawie. Tam, na ulicy naprzeciwko czy w tej brygadzie. Na czym polega różnica? Wielu innych umieszcza nad łóżkiem wizerunek Matki Boskiej w przekonaniu, że ten obrazek, namalowany przez człowieka i kupiony za parędziesiąt franków, będzie ich f a k t y c z n i e chronił.

Mówią do niego, opowiadają mu różne rzeczy. Na czym polega różnica? Granica, komisarzu, między ideą rzeczywistości a rzeczywistością to kwestia punktu widzenia, osoby, kultury.

– Są inni zagrożeni? – wtrącił szpakowaty oficer. – Czy wszyscy, których drzwi nie oznaczono symbolem, są narażeni na taki sam los jak Laurion?

– Tego należy się obawiać. Dziś postawimy strażę przed czystymi drzwiami w czternastu budynkach, w których namalowano czwórki. Ale nie o wszystkich wiemy, znamy tylko zgłoszone na policję. Na pewno w Paryżu jest ich jeszcze ze dwadzieścia, może więcej.

– Dlaczego nie wydamy komunikatu? – zapytała kobieta. – Powinniśmy ostrzec ludzi.

– Dobre pytanie. Komunikat mógłby wywołać panikę.

– Wystarczy tylko powiedzieć o czwórkach – zasugerował szpakowaty. – Nie trzeba podawać więcej informacji.

– Wszystko tak czy inaczej wycieknie – odparł Adamsberg. – A jeśli nie wycieknie, już CLT się postara, żeby wywołać strach. Tak robi od początku. Wybrał obwoływacza i nie mogło mu się trafić nic lepszego. Jego enigmatyczne ogłoszenia w każdej gazecie trafiłyby do kosza. Zaczął więc skromnie. Gdyby dziś wieczór mówiono o nim w mediach, byłby to dla niego królewski prezent. Ale to i tak tylko kwestia dni. Sam sobie załatwi taki prezent. Jeżeli będzie dalej robił swoje, jeżeli będzie zarażał czarną śmiercią, zapanuje powszechna psychoza.

– Jaka jest decyzja, inspektorze? – zapytał cicho Favre.

– Trzeba ratować ludzi. Opublikujemy komunikat z prośbą, żeby do komisariatów zgłosili się mieszkańcy domów oznaczonych czwórkami.

Zgodny szmer aprobaty oznaczał jednogłośnie zgodę członków brygady. Adamsberg czuł się zmęczony pozostawaniem w roli policjanta przez tak długi czas. Wolałby po prostu powiedzieć: „Do roboty, każdy radzi sobie sam”. Tymczasem musiał przedstawić fakty, odpowiedzieć na pytania, określić cel dochodzenia, rozdzielić zadania. W określonym porządku i odpowiednio autorytatywnie. Mignął mu przed oczami obraz siebie jako dziecka biegającego na golasa w słońcu po górskich ścieżkach i zastanowił się, co do diabła tutaj robi, pouczając dwadzieścioro troje dorosłych ludzi, którzy wodzą za nim wzrokiem jak za wahadłem zegara.



Ha, przypomniał sobie, co tutaj robi. Po mieście grasuje gość, który dusi ludzi, a on go szuka. Jego robota polega na tym, by nie pozwolić na zabijanie innych.

– Zadania na początek – podsumował, prostując się. – Jeden: ochrona potencjalnych ofiar. Dwa: sporządzenie profilu ofiar i poszukiwanie wszelkich związków między nimi. Rodzina, przedział wiekowy, płeć, status społeczno-zawodowy i tak dalej. Trzy: stała obserwacja placu Edgar-Quinet. I oczywiście poszukiwanie mordercy.

Powoli przeszedł dwa razy tam i z powrotem przez salę, po czym podjął:

– Co o nim wiemy? To może być kobieta, takiej ewentualności nie da się wykluczyć. Osobiście skłaniam się ku mężczyźnie. Te literackie popisy, pysznienie się wiedzą kojarzą się z męską pychą, z pragnieniem pokazania się, potrzebą demonstracji siły. Jeśli patolog potwierdzi uduszenie, będziemy mieli niemal stuprocentową pewność, że to mężczyzna. Mężczyzna dobrze, a nawet bardzo dobrze wykształcony, czytany. Nieźle sytuowany, skoro ma komputer i drukarkę. Może o upodobaniu do luksusu. Używa kopert o nietypowych wymiarach i drogich. Ma talent plastyczny, jest czysty, drobiazgowy. Na pewno podlega obsesjom. A więc jest lękliwy i przesądny. No i być może to były więzień. Jeśli laboratorium potwierdzi, że dokonano włamania, trzeba będzie pogrzebać także pod tym kątem. Przyjrzeć się byłym osadzonym o inicjałach CLT, jeśli oczywiście to jest podpis. Krótko mówiąc, nic nie wiemy.

– A ta dzuma? Dlaczego dzuma?

– Kiedy to zrozumiemy, będziemy go mieli.

Funkcjonariusze zaczęli wstawać, szurając krzesłami.

– Rozdziel zadania, Danglard, ja muszę się przejść dwadzieścia minut.

– Przygotować komunikat?

– Bardzo cię proszę. Zrobisz to lepiej niż ja.

Komunikat nadały w wieczornych wiadomościach wszystkie stacje telewizyjne. Zwięźle ułożony przez Adriena Danglarda apelował do mieszkańców bloków i kamienic, w których na drzwiach namalowano cyfrę cztery, aby pilnie zgłosili się do najbliższego komisariatu. Powód: poszukiwanie zorganizowanej grupy przestępczej.

Od dwudziestej trzydzięci w siedzibie brygady bez przerwy dzwoniły telefony. Jedna trzecia ekipy została w pracy, Danglard i Kernorkian udali się po prowiant i wino, które rozłożyli na warsztacie elektryków. O wpół do dziesiątej mieli czternaście nowych budynków z odwróconymi czwórkami, czyli razem dwadzieścia dziewięć. Adamsberg na planie miasta oznaczał ich położenie czerwonymi szpilkami. Zrobiono chronologiczną listę według kolejności pojawiania się czwórek. Lokatorzy dwudziestu ośmiu mieszkań, których drzwi nie oznaczono, zostali spisani – na pierwszy rzut oka ludzie od sasa do lasa: rodziny wielodzietne, kawalerowie i panny, kobiety, mężczyźni, młodzi, starzy, w średnim wieku, pełny przekrój wieku, płci, profesji i kategorii społecznych. Po jedenastej Danglard przyszedł do Adamsberga z informacją, że w każdym budynku przed zagrożonym mieszkaniem trzymają straż dwaj policjanci.

Adamsberg zwolnił funkcjonariuszy, którzy zostali po godzinach, rozstawił nocną ekipę i wziął samochód służbowy, aby zawadzić o plac Edgar-Quinet. Dwoje oficerów zmieniło już wcześniej poprzednią parę, teraz czuwał tam łysy facet z dobrze zbudowaną kobietą, która próbowała go atakować podczas zebrania. Dojrzał ich na ławce w swobodnych strojach, wyglądali na zagadanych, ale bacznie pilnowali skrzynki oddalonej o jakieś piętnaście metrów. Dyskretnie ich pozdrowił.

– Skupcie się na wielkości koperty – powiedział. – Przy odrobinie szczęścia w świetle tej latarni powinna być widoczna.

– Bez zatrzymania? – spytała kobieta.

– Tylko obserwujcie. Jeśli uznacie, że to nasz człowiek, idźcie za nim dyskretnie. Na klatce schodowej tamtego budynku są dwaj fotografowie. Będą pstrykali każdego, kto się zbliży do skrzynki.

– O której przyjdą zmiennicy? – zainteresowała się kobieta, ziewając.

– O trzeciej.

Adamsberg wszedł do Wikinga, gdzie zaraz wypatrzył Decambrais'go przy stole w głębi w towarzystwie obwoływacza i pięciu innych osób. Wraz z jego przybyciem rozmowy przycichły jak milknąca nierówno orkiestra. Zrozumiał, że wszyscy przy tym stole wiedzą, kim jest. Decambrais w tej sytuacji wybrał otwartość.

– Inspektor Jean-Baptiste Adamsberg – dokonał prezentacji. –

Przedstawiam panu Lizbeth Glaston, piosenkarkę, Damasa Viguiera z Roll-Ridera, jego siostrę Marie-Belle, Castellona, emerytowanego kowala, i Éwę, naszą sylfidę. Jossa Le Guerna już pan zna. Przysiądzie się pan na kieliszeczek calvadosa?

Adamsberg grzecznie odmówił, po czym dodał:

– Można na słówko, Decambrais?

Lizbeth bezceremonialnie złapała inspektora za rękaw, lekko go szarpiąc. Adamsberg od razu rozpoznał ów szczególny luz, nutę porozumienia, jakby wysiadawali na tych samych ławkach komisariatów, zblazowaną swobodę prostytutek wobec gliniarzy wykształconą w toku niezliczonych nalotów.

– Niech pan powie, inspektorze – rzekła, obrzucając wzrokiem jego strój – ukrywa się pan dzisiaj? To takie nocne przebranie?

– Nie, tak się ubieram na co dzień.

– Nie wysiła się pan. W policji widocznie panuje luz.

– Nie suknia zdoła człowieka, Lizbeth – wtrącił się Decambrais.

– Czasem tak – zauważyła Lizbeth. – Ten gość to luzak, nie szpanuje. Prawda, inspektorze?

– Przed kim miałbym szpanować?

– Przed kobitkami? – podsunął Damas z uśmiechem. – Trzeba mieć czym szpanować przed kobitkami.

– Bardzo śmieszne – z przekąsem powiedziała Lizbeth, a chłopak poczerwieniał aż po nasadę włosów. – Kobitki olewają szpan.

– Tak? – Damas zmarszczył brwi. – A czego nie olewają?

– Niczego – odparła Lizbeth, kładąc dużą czarną dłoń na stole. – Już im na niczym nie zależy. Prawda, Éva? Ani na miłości, ani na czułości, może tylko na kobiałce zielonej fasolki szparagowej. Więc sam widzisz. Przemyśl to.

Éva nic nie powiedziała, Damas natomiast spochmurniał, obracając kieliszek w palcach.

– Nie masz racji – odezwała się Marie-Belle drżącym głosem. – Miłości normalnie nikt nie olewa. Bo co innego mamy?

– No przecież mówię: zieloną fasolkę szparagową.

– Głupstwa pleciesz, Lizbeth – rzekła Marie-Belle na skraju łez, krzyżując ramiona. – Nie możesz zniechęcać innych tylko dlatego, że masz

złe doświadczenia.

– Sprawdź sama, słonko – odparła Lizbeth. – Ja ci nie zabronię... – I naraz wybuchnęła śmiechem, cmoknęła Damasa w czoło, zmierzwiła włosy Marie-Belle. – Uśmiechnij się, słonko. I nie wierz we wszystko, co mówi gruba Lizbeth. Gruba Lizbeth zgorzkniała. Dokucza wszystkim ze swoim koszarowym doświadczeniem. Masz rację, że się bronisz. To dobrze. Ale przyjmij jedną radę profesjonalistki: nie próbuj zdobyć za dużego doświadczenia.

Adamsberg odciągnął Decambrais'go na bok.

– Przepraszam pana – powiedział Decambrais – ale muszę śledzić te rozmowy. Jutro doradzam, rozumie pan. Muszę być na bieżąco.

– Zakochany, co? – zapytał Adamsberg ze średnim zainteresowaniem człowieka, który niewysoko gra na loterii.

– Damas?

– No. W piosenkarce?

– Trafiony, zatopiony. Z czym pan przyszedł?

– Stało się – odparł Adamsberg, zniżając głos. – Czarne zwłoki na rue Jean-Jacques-Rousseau. Znalezione dziś rano.

– Czarne?

– Ofiara uduszona, naga, wysmarowana węglem.

Decambrais zacisnął zęby.

– Wiedziałem – mruknął.

– Tak.

– Pilnujecie innych?

– Dwadzieścia osiem osób.

– Przepraszam. Nie wątpię, że zna się pan na swojej robocie.

– Potrzebne mi te ekstraniusy, Decambrais. Wszystkie, które są u pana, razem z kopertami, jeśli je pan zachował.

– Chodźmy.

Przeszli we dwóch przez plac do domu, gdzie Decambrais wprowadził Adamsberga do swojego zagraconego gabinetu. Musiał przestawić stos książek, aby posadzić inspektora.

– Proszę – rzekł, podając mu plik kartek i kopert. – Jeśli chodzi o odciski palców, to pewnie się pan domyśla, że nic z tego. Najpierw Le Guern

obracał kartki na wszystkie strony, potem ja. Moich odcisków nie trzeba pobierać, macie je w kartotece głównej.

– Potrzebne mi będą odciski Le Guerna.

– Też są w kartotece. Le Guern siedział czternaście lat temu, z tego co wiem, chodziło o jakąś kłótnię w Guilvinec. Jak pan widzi, usłudźni z nas ludzie, oszczędzamy wam roboty. Bez proszenia jesteśmy w waszych komputerach.

– Czy tu u was każdy za coś siedział?

– Są takie miejsca, mają swojego ducha. Przeczytam panu niedzielno-ekstraniusa. Był tylko jeden: „Wieczorem, wróciwszy na kolację, dowiaduję się, że dżuma pojawiła się w City”. Wielokropek. „W urzędzie dla dokończenia listów, zajęty porządkowaniem swoich interesów i spraw majątkowych, na wypadek gdyby Pan Bóg postanowił powołać mnie do Siebie. Niech się dzieje Jego wola!”

– Ciąg dalszy *Dzienników Anglika* – domyślił się Adamsberg.

– Zgadza się.

– Sepysa.

– Pepysa.

– A wczorajsze?

– Nie było ani jednej.

– Hm... Zwalnia.

– Nie sądzę. To dzisiejsza wiadomość: „Dopust jest zawsze w gotowości i na rozkazy Pana Boga, który go zsyła i odwołuje, kiedy mu się podoba”. Ten tekst świadczy raczej, że gość nie składa broni. Proszę zwrócić uwagę na „zawsze w gotowości” i „kiedy mu się podoba”. On trąbi. Szydź.

– Chełpi się wszechmocą – rzekł Adamsberg.

– Co świadczy o infantylności.

– Nic z tego nie wyciągniemy. – Adamsberg pokręcił głową. – Nie jest głupi. Przy policji postawionej na nogi nie wskaże więcej miejsca. Musi mieć swobodę działania. Wskazał „dzielnicę Rousseau”, by mieć pewność, że powiążemy pierwszą zbrodnię z zapowiedzią dżumy. Teraz prawdopodobnie nie będzie taki gadatliwy. Decambrais, niech pan mnie powiadamia na bieżąco o każdej jego wiadomości.

I inspektor się pożegnał, wychodząc z plikiem wiadomości pod pachą.

## XVIII

Nazajutrz około drugiej komputer wypłuł nazwisko.

– Mam jednego – rzekł Danglard dość głośno, wyciągając rękę ku kolegom.

Zbiegło się z dziesięciu agentów, którzy stanęli za nim wpatrzeni w monitor. Od rana Danglard szukał kogoś o inicjałach CLT w kartotece, inni analizowali informacje o dwudziestu ośmiu zagrożonych mieszkaniach, daremnie szukając jakichś zbieżności. Laboratorium przysłało pierwsze wyniki badań: zamek został profesjonalnie sforsowany. W mieszkaniu znaleziono odciski palców tylko ofiary i sprzątaczkę. Węgiel drzewny użyty do poczernienia skóry zamordowanego pochodził z gałęzi jabłoni, a nie z dostępnych w handlu worków napełnianych mieszanką różnych drzew leśnych. A koperty barwy kości słoniowej można było dostać w każdym lepiej zaopatrzonym sklepie papierniczym za trzy dwadzieścia sztuka. Kopertę otwarto gładkim ostrzem. Zawierała tylko papierowy pył i nieżywego malutkiego owada. Czy przekazać go do opinii entomologa? Adamsberg zmarszczył brwi, po czym kiwnął głową.

– Christian Laurent Taveniot – przeczytał Danglard nachylony do monitora. – Trzydzieści cztery lata, urodzony w Villeneuve-les-Ormes. Osadzony dwanaście lat temu za pobicie i zranienie w więzieniu w Périgueux. Dostał półtora roku i dodatkowe dwa miesiące za napaść na strażnika.

Danglard przewinął akta na monitorze i każdy wyciągnął szyję, by zobaczyć twarz CLT: pociągłą o niskim czole, z szerokim nosem, o blisko osadzonych oczach. Danglard szybko przeczytał resztę informacji z kartoteki:

– Przez rok po wyjściu z pudła bezrobotny, potem stróż nocny na złomowisku. Zamieszkały w Levallois, żonaty, dwoje dzieci.

Danglard zerknął pytająco na Adamsberga.

– Wykształcenie? – spytał inspektor z powątpiewaniem w głosie.

Danglard poklikał na klawiaturze.

– W wieku trzynastu lat skierowany na przysposobienie zawodowe. Oblewa egzamin na dekarza-cynkarza. Rzuca szkołę, utrzymuje się z zakładów bukmacherskich i składa motorynki, które sprzedaje po cichu. Aż do tej awantury, kiedy o mało nie zabił jednego z klientów, któremu przyłożył motorynką. Potem trafił do pudła.

– Rodzice?

– Matka: robotnica w wytwórni kartonów w Périgueux.

– Rodzeństwo?

– Starszy brat, stróż nocny w Levallois. Przez niego znalazł pracę.

– Nie zostaje dużo czasu na studia. Nie bardzo widzę, jak Christian Laurent Taveniot miałby znaleźć czas i chęci na naukę łaciny.

– Samouk? – zasugerował ktoś.

– Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby facet, który wyładowuje złość, waląc na odlew motorynką, miał odreagowywać za pośrednictwem starofrancuskiego. Musiałby w ciągu dziesięciu lat diametralnie zmienić metodę działania.

– Więc? – zagadnął zawiedziony Danglard.

– Niech dwaj nasi go odwiedzą. Ale nie wierzę, że to on.

Danglard uścił komputer i poszedł za Adamsbergiem do jego pokoju.

– Mam kłopot – oznajmił.

– Co się dzieje?

– Złapałem pchły.

Adamsberg się zdumiał. Pierwszy raz Danglard, człowiek dyskretny i wstydlivy, dzielił się z nim problemem natury higienicznej.

– Porozstawiaj płytki na pchły co dziesięć metrów, stary, wyjdź na dwie godziny, po powrocie wywietrz. Działa bardzo dobrze.

Danglard pokręcił głową.

– To pchły od Lauriona – uściślił.

– Kto to jest Laurion? – spytał Adamsberg z uśmiechem. – Jakiś dostawca?

– Kurde, René Laurion, ten wczorajszy trup.

– A, wybac. Wypadło mi z głowy nazwisko.

– To sobie je zapisz, na Boga. Oblazły mnie pchły u Lauriona. Zaczęło mnie swędzieć wieczorem jeszcze tutaj, w pracy.

– Ale o co ci chodzi, Danglard? Co na to poradzę? Facet nie był tak czysty, na jakiego wyglądał. Albo złapał je w warsztacie? Co ci zrobię?

– O rany! – zdenerwował się Danglard. – Sam nie dalej jak wczoraj mówiłeś na zebraniu: dzuma jest przenoszona przez ukąszenia pcheł.

– Ach, rozumiem – załapał Adamsberg, spoglądając tym razem na partnera.

– Coś ci dzisiaj długo schodzi.

– Mało spałem. Jesteś pewny, że to pchły?

– Potrafię odróżnić ukąszenie pchły od komara. Pogryzły mnie w pachwinie i pod pachami, krosty wielkości paznokcia. Odkryłem to dopiero dziś rano, nie zdążyłem sprawdzić u dzieci.

Adamsberg uświadomił sobie, że Danglard jest naprawdę mocno zaniepokojony.

– Stary, czego ty się boisz? Co się dzieje?

– Laurion umarł na dzumę, a ja złapałem pchły u niego. W ciągu doby muszę coś zrobić, inaczej może być za późno. Z dziećmi też.

– No co ty, dałeś się nabrać? Nie pamiętasz, że Laurion umarł na i m i t a c j ę dzumy?

Adamsberg poszedł zamknąć drzwi i przysunął sobie krzesło bliżej partnera.

– Pamiętam – przyznał Danglard. – Ale CLT w tej swojej manii symboli dbał o każdy szczegół i wypuścił nawet pchły w mieszkaniu. To nie przypadek. W jego chorym umyśle te pchły roznoszą dzumę. I nie mam żadnej, ale to żadnej pewności, że nie są faktycznie zarażone.

– Gdyby były, czemu by sobie dodawał roboty i dusił Lauriona?

– Bo osobiście chce zadawać śmierć. Nie jestem strachliwy, ale pokąsanie przez pchły, które wypuścił gość z obsesją dzumy, wcale mnie nie śmieszy.

– Kto tam był z nami wczoraj?

– Justin, Voisenet i Kernorkian. Ty. Lekarz. Devillard i ludzie z Pierwszej dzielnicy.

– Masz je dalej? – zapytał Adamsberg, biorąc do ręki telefon.

– Co?

– Pchły.



– Na pewno. Chyba że rozlazły się po całej brygadzie.

Adamsberg wybrał numer laboratorium prefektury.

– Mówi Adamsberg – zaczął. – Pamięta pan owada, którego znaleźliście w pustej kopercie?... Tak, właśnie. Dajcie go do entomologa, to absolutny priorytet... Trudno, niech muchy odłoży na później. Stary, to naprawdę pilne, mamy przypadek dżumy... Tak, migiem, i powiedzcie mu, że wysyłam mu inne, żywe. Niech uważa. I nie puszczaj mi pary z ust na ten temat. – Odkładając słuchawkę, rzekł do Danglarda: – A ty włącz pod prysznic i wszystkie ciuchy włóż do plastikowej torby. Pojadą do analizy.

– I co? Będę latał goły przez cały dzień?

– Pójdę kupić ci coś w zamian – odparł Adamsberg, wstając. – Lepiej, żebyś nie roznosił żyjątek po całym mieście.

Danglard za mocno był przejęty ukąszeniami pcheł, żeby się martwić, jakie ubranie przyniesie mu Adamsberg. Przez głowę przemknęła mu jednak fala niepokoju.

– Pospiesz się, Danglard. Wysyłam do ciebie ekipę dezynsekcyjną, tu też zrobią co trzeba. I ostrzegę Devillarda.

Przed wyjściem na zakupy Adamsberg zadzwonił do historyka-sprzątaczkę Marca Vandooslera. Na szczęście był w domu, spożywał właśnie późny lunch.

– Pamięta pan tę sprawę z czwórkami, którą z panem konsultowałem? – zapytał Adamsberg.

– Tak – odparł Vandoosler. – Potem słyszałem komunikat w wiadomościach, a dziś rano czytałem gazety. Piszą, że znaleziono zwłoki, a jeden dziennikarz się zarzeka, że kiedy wynoszono ciało, spod przykrycia wystawała ręka. Z czarnymi plamami.

– Cholera!... – zaklął Adamsberg.

– Inspektorze, czy ciało było czarne?

– Zna się pan na dżumie? – spytał Adamsberg w odpowiedzi. – Czy tylko na cyferkach?

– Jestem mediewistą – przypomniał Vandoosler. – Pewnie, że znam się na dżumie.

– Dużo jest takich jak pan?

– Dżumologów? Powiedzmy, że dzisiaj pięciu. Nie mówię tu o biologach.

Mam dwóch kolegów na południu, ale zajmują się raczej medyczną stroną zagadnienia. Jednego w Bordeaux, specjalizuje się w owadach przenoszących chorobę. Jest jeszcze historyk, bada problem od strony demograficznej na uniwersytecie w Clermont.

– A pan? W czym pan się specjalizuje?

– W bezrobociu.

Pięciu, pomyślał Adamsberg, to niewiele na cały kraj. Dotąd tylko Marc Vandoosler znał symbolikę czwórek. Historyk, zna się na literaturze i dżumie, na pewno też na łacinie, warto go wypytać.

– Niech mi pan powie, jak przebiega ta choroba? W przybliżeniu.

– Średnio trzy do pięciu dni inkubacji, ale czasem dzień albo dwa, i pięć do siedmiu dni choroby z pełnymi objawami. Mniej więcej.

– Łatwo uleczalna?

– Tak, jeśli terapię się zacznie zaraz po pojawieniu się objawów.

– Chyba będzie mi pan potrzebny. Moglibyśmy się spotkać?

– Gdzie? – nieufnie zapytał Vandoosler.

– U pana?

– W porządku – zgodził się Vandoosler po wyraźnej chwili wahania.

Facet zachowuje się z rezerwą. Ale dużo ludzi zachowuje się z rezerwą, wiedząc, że gliniarz nawiedzi ich w domu, właściwie wszyscy. To nie czyni z Vandooslera automatycznie CLT.

– Będę za dwie godziny – oznajmił Adamsberg.

Odłożył słuchawkę i pognął do marketu przy placu d'Italie. Rozmiar Danglarda oceniał na 48–50, piętnaście centymetrów i ze trzydzieści kilo więcej niż on. Musi mieć czym zasłonić brzuch. Szybko złapał z wieszaka skarpetki, dzinsy i duży T-shirt, czarny, bo biały pogrubia, jak słyszał, deseń w paski też. Kurtki nie brał, bo przy tej pogodzie Danglardowi zawsze było gorąco z powodu piwa.

Danglard czekał w łazience owinięty w ręcznik. Adamsberg podał mu nowe ubrania.

– Ciuchy posyłam do laboratorium – powiedział, zabierając duży worek na śmiecie, do którego Danglard wrzucił swoją odzież. – Nie panikuj, Danglard. Masz jeszcze dwa dni inkubacji, nie ma gwałtu. W tym czasie dostaniemy wyniki badań. Nasza sprawa ma priorytet.

– Dzięki – wymamrotał Danglard, wyjmując z torby T-shirt i dżinsy. –

O rany, mam się w to ubrać?

– Będzie świetnie leżało, zobaczysz.

– Będę wyglądał jak kretyn.

– Czy ja wyglądam jak kretyn?

Danglard nie odpowiedział, zajrzał na dno torby.

– Nie kupiłeś slipków.

– Zapomniałem, świat się od tego nie zawali. Pij mniej piwa do wieczora.

– Praktycznie.

– Dzwoniłeś do szkoły? Żeby sprawdzili dzieci?

– Jasne.

– Pokaż te ukąszenia.

Danglard podniósł rękę i Adamsberg ujrzał trzy duże krosty pod pachą.

– Bezdyskusyjnie to pchły – przyznał.

– Nie boisz się, że ciebie też obleżą? – spytał Danglard, widząc, że inspektor obraca workiem na wszystkie strony, aby go zawiązać.

– Nie. Nieczęsto się boję. Poczekam, aż umrę, i wtedy będę się bał, co mam sobie marnować życie? Szczerze mówiąc, jedyny raz tak naprawdę się bałem, kiedy sam zjeżdżałem na wznak prawie pionowo po lodowcu. Wtedy strach mnie brał na myśl, że spadnę, i na widok cholernych kozic z boku, które gapiły się i spojrzeniem tych swoich wielkich brązowych oczu mówiły: „Aleś ty głupi. Nie uda ci się”. Bardzo szanuję, co mówią kozice wzrokiem, ale opowiem ci to innym razem, Danglard, jak nie będziesz taki spięty.

– Proszę cię – odparł Danglard.

– Muszę wpaść do tego historyka-sprzątaczk-dzumologa, Marca Vandooslera. Mieszka przy rue Chasle, to niedaleko. Zerknij, czy mamy coś na niego, i wszystkie telefony z laboratorium przekierowuj na moją komórkę.

## XIX

Na rue Chasle Adamsberg stanął przed zaniedbanym domkiem, wysokim i wąskim, jakimś cudem ocalałym w sercu Paryża, oddzielonym od ulicy pasem ugoru zarośniętego wysokimi trawami, przez które przedarł się z niejaką satysfakcją. Ironicznie uśmiechnięty starszy mężczyzna otworzył mu drzwi, człowiek o sympatycznej mordzie, która w przeciwieństwie do oblicza Decambrais'go jasno dowodziła, że jej właściciel raczej jeszcze nie skończył z rozkoszami życia. W ręce trzymał drewnianą łyżkę, którą wskazał Adamsbergowi drogę.

– Proszę się rozgościć w refektarzu – powiedział.

Inspektor wszedł do dużego pomieszczenia o trzech wysokich łukowatych oknach, z długim drewnianym stołem, przy którym facet w krawacie krzątał się ze szmatą i woskiem, fachowo kolistymi ruchami polerując blat.

– Lucien Devernois – przedstawił się, odłożywszy szmatę. Uścisk dłoni miał mocny, mowę gromką. – Marc będzie gotowy za minutkę.

– Proszę wybaczyć zamieszanie – rzekł starzec – o tej porze Lucien woskuje stół. Nic na to nie poradzimy, taki jest rozkaz.

Adamsberg usiadł na jednej z drewnianych ław, powstrzymując się od komentarzy, a stary z urzędu zajął miejsce naprzeciwko z miną człowieka, który szykuje się na przyjemne chwile.

– Co to, panie Adamsberg? Nie poznajemy już starych znajomych? – zaatakował z wyraźną uciechą. – Nie witamy się? Jak zwykle nie przestrzegamy żadnych zasad?

Oniemiały Adamsberg wpatrzył się w starca z natężeniem, przywołując obrazy ukryte w zakamarkach pamięci. To nie było wczoraj, na pewno nie. Jak nic zejdzie z dziesięć minut, nim obraz się wyłoni. Facet ze szmatą, ten Devernois, spowolnił ruchy i zerkał na nich, raz na jednego, raz na drugiego.

– Widzę, żeśmy się nie zmienili – ciągnął starzec ze szczerym uśmiechem. – Co nie przeszkodziło panu dochrapać się więcej niż starszego

aspiranta. Trzeba przyznać, że odnosił pan niewąskie sukcesy, Adamsberg. Sprawa Carrérona, Somma, Valandry, osławione trofea rycerskie. Nie wspominając o ostatnich dokonaniach: Le Nermord, rzeź w Mercantour, sprawa pani Vinteuil... Gratulacje, inspektorze. Śledziłem pańską karierę, jak pan widzi.

– Dlaczego? – spytał Adamsberg, mając się na baczności.

– Bo zastanawiałem się, czy pozwolą panu żyć czy też pójdzie pan na odstrzał. Z tym swoim wyglądem dzikiego kopru, który wyrósł na trawniku, z nadmiernym spokojem i obojętnością wadził pan wszystkim, Adamsberg. Chcę wierzyć, że wie pan o tym lepiej niż ja. Raził pan w policyjnym grajdołku jak kula bilardowa wśród srebrnej zastawy. Nie pozwalał się pan kontrolować i nikt nie był w stanie tego robić. Tak, zastanawiałem się, czy pozwolą panu się wybić. Przemknął pan jakoś i bardzo dobrze. Ja nie miałem takiego szczęścia. Dopadli mnie i wysiudali.

– Armand Vandoosler... – wyszeptał Adamsberg, dostrzegając pod rysami starca energiczną twarz inspektora młodszego o dwadzieścia trzy lata, złośliwego, egocentrycznego i ceniącego rozkosze życia.

– Trafił pan.

– W departamencie Hérault – ciągnął Adamsberg.

– Taaa... Zniknięcie dziewczyny. Świetnie pan sobie wtedy poradził, aspirancie. Złapali gościa w porcie w Nicei.

– I zjedliśmy kolację pod arkadami.

– Ośmiornicę.

– Ośmiornicę.

– Należę wina – zdecydował Vandoosler, podnosząc się. – To trzeba oblać.

– Marc to pański syn? – spytał Adamsberg, biorąc kieliszek wina.

– Bratanek i chrześniak. Daje mi schronienie na górze, bo to dobry chłopak. Musi pan wiedzieć, Adamsberg, że pozostałem taki upierdliwy jak pan jest niezależny. Chyba nawet jestem bardziej upierdliwy. A pan jest bardziej niezależny?

– Nie wiem.

– Już w tamtych czasach o wielu rzeczach pan nie wiedział i nie wyglądało na to, żeby się pan tym martwił. Czego pan teraz nie wie i szuka

w tym domu?

– Mordercy.

– Co łączy z nim mojego bratanka?

– Dżuma.

Vandoosler Starszy pokiwał głową. Złapał kij od szczotki i dwa razy stuknął w sufit w miejscu, gdzie tynk był już mocno nadwerężony uderzeniami.

– Tłoczmy się tu we czterech – wyjaśnił. – Jedno uderzenie na Świętego Mateusza, dwa na Świętego Marka, trzy na Świętego Łukasza tu obecnego ze szmatą i cztery na mnie. Siedem uderzeń zwołuje wszystkich ewangelistów. – Zerknął na Adamsberga, odstawiając kij od szczotki. – Nie zmienił się pan, he? Nic pana nie rusza?

Adamsberg uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

Do refektarza wszedł Marc. Obszedł stół, uściśnął dłoń inspektorowi i zerknął zakłopotany na wuja.

– Widzę, że przejąłeś inicjatywę – powiedział.

– Przykro mi, Marc. Dwadzieścia trzy lata temu byliśmy razem na ośmiornicach.

– Okopowa zażyłość – mruknął Lucien, składając szmatę.

Adamsberg obserwował dżumologa, Vandooslera Młodszego. Szczupły, nerwowy, o czarnych sztywnych włosach, miał w rysach twarzy coś indiańskiego. Ubrany był od stóp do głów na ciemno z wyjątkiem paska ciut tandetnego, na palcach nosił srebrne pierścienie. Inspektor zwrócił uwagę, że na nogach ma czarne cholewiaste buty z kłami, bardzo podobne do tych, które nosiła Camille.

– Jeśli chce pan rozmawiać na osobności – powiedział do Adamsberga – obawiam się, że będziemy musieli pójść gdzie indziej.

– Nie, nie ma potrzeby – odparł Adamsberg.

– Ma pan jakiś problem z dżumą?

– Właściwie ze znawcą dżumy.

– Z tym, który maluje te czwórki?

– Tak.

– Ma to związek z wczorajszym morderstwem?

– A jak pan sądzi?

– Moim zdaniem tak.

– Dlaczego?

– Z powodu czarnej skóry. Tyle że czwórka ma chronić przed dżumą, a nie sprowadzać ją.

– Więc?

– Więc przypuszczam, że ofiara nie była chroniona.

– Zgadza się. Wierzy pan w moc tej cyfry?

– Nie.

Adamsberg popatrzył w oczy Vandooslerowi. Wydawał się szczery i jakby lekko dotknięty.

– Tak samo jak nie wierzę w amulety, pierścionki, turkusy, szmaragdy, rubiny i w setki innych talizmanów, które wymyślono, żeby się chronić przed zarazą. Oczywiście talizmanów dużo kosztowniejszych niż zwykła czwórka na drzwiach.

– Ludzie nosili pierścionki jako talizmany?

– Nosił ten, kogo było na nie stać. Bogaci rzadziej umierali na dżumę, bo chroniły ich solidne domy, w których nie buszowały szczury. Nie zdawali sobie z tego nawet sprawy. Najbardziej był narażony prosty lud. Dlatego tym mocniej wierzone w moc kamieni szlachetnych: biedacy nie nosili rubinów i umierali. *Nec plus ultra* był diament, ochrona najdoskonalsza: „Diament noszony na lewej ręce uważa się za strzegący przed wszelkim złem mogącym nadejść”. Tym sposobem majątni mężczyźni w dowód miłości nabrali zwyczaju obdarowywania narzeczonej diamentem, aby chronić ją przed zarazą. Zwyczaj został, chociaż nikt już nie pamięta, skąd się wziął, tak samo jak nikt nie pamięta, co oznacza czwórka na drzwiach.

– Morderca pamięta. Gdzie mógł to znaleźć?

– W książkach – odparł Marc Vandoosler z lekkim zniecierpliwieniem. – Panie inspektorze, jeśli przedstawi mi pan problem, może zdołam panu pomóc.

– Najpierw muszę zapytać, gdzie pan był w nocy z poniedziałku na wtorek około drugiej nad ranem.

– To godzina zabójstwa?

– Mniej więcej.

Lekarz sądowy ustalił, że zgon nastąpił około pierwszej trzydzieści,

Adamsberg wolał jednak zostawić sobie margines.

Vandoosler założył sztywne włosy za uszy.

– Dlaczego ja? – spytał.

– Przykro mi. Mało kto wie, co oznaczają odwrócone czwórki na drzwiach, mało kto.

– Marc, to logiczne – wtrącił się Vandoosler Starszy. – Taka robota.

Marc zniechęcony machnął ręką, po czym wstał, wziął kij od szczotki i raz uderzył w sufit.

– Zejście Świętego Mateusza – wyjaśnił Starszy.

Czekali w ciszy naruszanej jedynie szczękaniem naczyń, które zmywał Lucien nie interesujący się rozmową.

Minutę później do refektarza wszedł postawny blondyn, szeroki jak drzwi, ubrany tylko w grube płócienne spodnie ściągnięte w pasie sznurkiem.

– Ktoś mnie wzywał? – zapytał tubalnym głosem.

– Mathias, kurczę, co robiłem w poniedziałek koło drugiej nad ranem? – zapytał Marc. – To ważne, nikt nie podpowiada.

– Wróciłeś późno z prasowaniem, koło dziesiątej. Lucien podał ci kolację i potem poszedł do swojego pokoju z Élodie.

– Z Émilie – poprawił Lucien, odwracając się. – To jednak straszne, że nie potraficie wbić sobie do głów jej imienia.

– Zagraliśmy dwie partyjki w karty z chrzestnym – ciągnął Mathias. – Wygrał trzysta dwadzieścia franków i poszedł spać. Wzięłeś się za prasowanie pani Boulain, później pani Druyet. O pierwszej, jak składałeś deskę, przypomniałeś sobie, że rano masz dostarczyć dwa komplety pościeli. Postanowiłem ci pomóc i we dwóch prasowaliśmy na stole. Ja wziąłem stare żelazko. Skończyliśmy składać o wpół do trzeciej, zapakowaliśmy każdy komplet osobno. Kiedy szliśmy na górę, minęliśmy się z chrzestnym, który schodził się wysikać.

Mathias podniósł głowę.

– Jest prehistorykiem – skomentował Lucien od zlewu. – Skrupulant, można na nim polegać.

– Mogę już iść? – zapytał Mathias. – Bo jestem w trakcie rekonstrukcji.

– Tak – odparł Marc. – Dzięki.



– Co za rekonstrukcja? – zagadnął Adamsberg.

– Skleja w piwnicy paleolityczne narzędzia z krzemienia – wyjaśnił Marc Vandoosler.

Adamsberg pokiwał głową, nie rozumiejąc. Rozumiał natomiast, że nie ogarnie kilkoma pytaniami funkcjonowania tego domu, podobnie jak jego mieszkańców. To niewątpliwie wymagało pełnoetatowej praktyki, lecz nie należało do niego.

– Oczywiście Mathias mógł skłamać – odezwał się Marc Vandoosler. – Ale jak pan chce, może nas pan spytać osobno o kolor pościeli. Dat nie miał możliwości zmienić. Tego dnia rano wziąłem pościel od pani Toussaint, avenue do Choisy dwadzieścia dwa, może pan sprawdzić. W ciągu dnia wyprałem ją i wysuszyłem, prasowaliśmy w nocy. Odniosłem następnego dnia. Dwa jasnoniebieskie prześcieradła w muszelki, dwa w kolorze róż indyjski po jednej stronie, popielate po drugiej.

Adamsberg pokiwał głową. Służbowe alibi nie do podważenia. Facet zna się na pościeli.

– W porządku – rzekł. – Streszczę panu sprawę.

Ponieważ Adamsberg mówił powoli, dwadzieścia pięć minut zajęło mu przedstawienie sprawy czwórek, obwoływacza i morderstwa popełnionego poprzedniego dnia. Obaj Vandooslerowie słuchali uważnie. Marc często kiwał głową, jakby potwierdzał fakty w miarę opowieści.

– Siewca dżumy – podsumował. – Jego macie na karku. I zarazem protektor. Czyli gość, który uważa się za pana zarazy. Pojawiali się tacy w przeszłości, ale przede wszystkim wymyślano ich tysiącami.

– To znaczy? – spytał Adamsberg, otwierając notes.

– Ilekroć dżuma wybuchała – zaczął Marc – ludzie tak się bali, że oprócz Boga, komet i morowego powietrza, których nie dało się ukarać, szukano odpowiedzialnych za to na ziemi. Siewców dżumy. Oskarżano ludzi, że rozsiewają plagę za pomocą maści, driakwi i różnych preparatów, którymi smarują kołatki, zamki, poręcze, fasady. Każdemu, kto nieopatrznie dotknął jakiegoś budynku, groziła śmierć. Mnóstwo ludzi zawisło wtedy na szubienicy. Nazywano ich siewcami, smarowaczami, oliwiarzami, ale w całej historii ludzkości nikt nigdy nie zadał sobie pytania, jaki interes miałby człowiek, robiąc coś takiego. Ma pan tutaj siewcę, to nie ulega

wątpliwości. Ale nie sieje zarazy na oślep, prawda? Atakuje jedną osobę, a inne chroni. Jest Bogiem, posługuje się dopustem bożym. Jako Bóg wybiera tych, których powołuje do siebie.

– Szukaliśmy związku między wytypowanymi. Na razie zerowy rezultat.

– Skoro jest siewca, jest też nosiciel. Znaleźliście ślady jakiegoś smarowidła na drzwiach bez czwórki? Albo na zamkach?

– Nie szukaliśmy tego. Po co nosiciel, skoro on dusi?

– Przypuszczam, że w swojej logice nie czuje się mordercą. Gdyby chciał osobiście zabijać, nie potrzebowałby wprowadzać dżumy. Posługuje się zarazą jako pośrednikiem, którego stawia między sobą a swoimi ofiarami. Zabija więc dżuma, nie on.

– Stąd ogłoszenia.

– Tak. Ostentacyjnie wprowadza na scenę dżumę i wskazuje ją jako jedyne odpowiedzialnego za to, co się stanie. I koniecznie potrzebuje do tego nosiciela.

– Pchły – podsunął Adamsberg. – Mojego partnera wczoraj w mieszkaniu ofiary oblażyły i pogryzły pchły.

– Jezu, pchły? Były pchły u zamordowanego? – Marc podniósł się nagle, wcisnął pięści w kieszenie spodni. – Jakie pchły? – zapytał nerwowo. – Kocie?

– Nie mam pojęcia. Kazałem zawieźć ubrania do laboratorium.

– Jeśli to pchły kocie albo psie, nie ma się czego bać – mówił Marc, chodząc wzdłuż stołu tam i z powrotem. – Nie nadają się. Ale jeżeli chodzi o pchły szczurze, jeżeli koleś naprawdę zainfekował pchły szczurze i wypuszcza je, kurczę, to katastrofa.

– Naprawdę są takie groźne?

Marc popatrzył na Adamsberga, jakby inspektor go pytał o niedźwiedzie polarne.

– Zadzwoń do laboratorium – oświadczył Adamsberg.

Odszedł na stronę, by zatelefonować, a Marc dał znak Lucienowi, by nie hałasował tak bardzo, układając talerze.

– Tak, właśnie... – mówił Adamsberg. – Skończył pan?... Jak się nazywa?... Niechże pan przeliteruje, do diabła!

W notesie zapisał N, potem O i dalej miał problem. Marc wyjął mu

długopis z ręki i dokończył słowo: *Nosopsyllus fasciatus*. Po czym wyrysował na końcu pytajnik. Adamsberg kiwnął głową.

– W porządku, już mam tę nazwę – powiedział do entomologa.

Marc dopisał w notesie: „Nosicielki pałeczek?”.

– Proszę je oddać do badania bakteriologicznego – dodał Adamsberg. – Szukamy pałeczek dżumy. Proszę powiedzieć, że to na zapalenie płuc, mam pogryzionego człowieka. I na litość, nie zgubcie tego w laboratorium... Tak, pod ten numer. Przez całą dobę. – Schował komórkę do wewnętrznej kieszeni kurtki. – W ubraniach mojego partnera były dwie pchły. Ale nie ludzkie. To...

– *Nosopsyllus fasciatus*, pchły szcurze – dokończył Marc.

– W kopercie, którą znaleźliśmy u ofiary, też była pchła. Nieżywa. Tego samego gatunku.

– A więc tak je wprowadza.

– Tak – zgodził się Adamsberg, krążąc po refektarzu. – Otwiera kopertę i wypuszcza je w mieszkaniu. Nie wierzę jednak, żeby te cholerne pchły były zainfekowane. Myślę, że facet pozostaje w sferze symboliki.

– Ale posuwa się do zdobycia pcheł szcurzych. A to nie jest łatwe.

– Sądzę, że się zgrywa i dlatego zabija sam. Bo wie, że te pchły nie zabijają.

– Pewności nie ma. Lepiej by było pozbierać wszystkie pchły u tego Lauriona.

– Tylko jak to zrobić?

– Najprościej pójść do mieszkania z dwiema świnkami morskimi, żeby pięć minut pobiegały po pokojach. Pozbierają na siebie wszystko, co się tam pałęta. Później szybko świnki do worka i do laboratorium. Zaraz potem dezynsekcja lokalu. Świnek nie wolno tam trzymać za długo, bo pchły zaraz po ukąszeniu lubią przeskoczyć na co innego. Trzeba je złapać w trakcie lunchu.

– Rozumiem – rzekł Adamsberg, notując strategię postępowania. – Dzięki za pomoc.

– Jeszcze dwie sprawy – powiedział Marc, odprowadzając go do drzwi. – Proszę mieć świadomość, że pański siewca dżumy wcale nie jest takim dobrym dżumologiem. Jego erudycja jest ograniczona.

– Zrobił błąd?

– Tak.

– Gdzie?

– Węgiel, „czarna śmierć”. To obrazowe, ale jest pomieszaniem pojęć. *Pestis atra* znaczy „straszna śmierć”, a nie „czarna śmierć”. Ciała zadżumionych nigdy nie były czarne. Zdarzały się sine plamy, ale rzadko. To dość późny mit, powszechnie wyznawany ludowy przesąd. Wszyscy w niego wierzą, tyle że to nieprawda. Jeśli pański morderca czerni ciało ofiary, myli się. Popęnia wręcz karygodny błąd.

– Aha – rzekł na to Adamsberg.

– Niech pan się nie da omotać, inspektorze – powiedział Lucien, wychodząc z pomieszczenia. – Marc jest drobiazgowy jak wszyscy mediewiści. Wdaje się w szczegóły, a nie zauważa sedna.

– Którym jest?...

– Ależ przemoc, inspektorze. Ludzka przemoc.

Marc się uśmiechnął i odsunął, by przepuścić Luciena w drzwiach.

– Czym się zajmuje pański przyjaciel? – zapytał Adamsberg.

– Jego podstawowe zajęcie to działanie wszystkim na nerwy, ale za to nie płacą. Tym się zajmuje z własnej dobrej i nieprzymuszonej woli. Poza tym jest nowożytnikiem, specjalistą od pierwszej wojny światowej. Jak widać, mamy tu konflikt epok.

– No tak. A druga rzecz, którą chciał mi pan powiedzieć?

– Szukacie człowieka o inicjałach CLT, tak?

– To ważny trop.

– Dajcie sobie spokój. CLT to po prostu skrót osławionego elektwarza z trzech przysłówków.

– Proszę?

– Praktycznie każda praca o dżumie cytuje tę maksymę jako najlepszą radę: *Cito, longe fugeas et tarde redeas*. Czyli: „Uciekaj szybko, daleko i wróć późno”. Innymi słowy, wiej jak najszybciej i jak najdłużej trzymaj się z dala. To osławiony „lek z trzech przysłówków”: szybko, daleko, późno. Po łacinie: *Cito, longue, tarde*. CLT.

– Może mi pan to zapisać? – poprosił Adamsberg, podając mu notes.

Marc zaczął pisać.

– CLT to rada pańskiego mordercy udzielana ludziom, których równocześnie chroni czwórkami – rzekł, zwracając notes inspektorowi.

– Dużo bardziej wolałbym, żeby to były inicjały – wyznał Adamsberg.

– Nie dziwię się. Da mi pan znać, co wyszło z pchłami?

– Tak bardzo pana interesuje dochodzenie?

– Nie o to chodzi – odparł Marc z uśmiechem. – Ale mógł pan przynieść na sobie nosopsyllusy. A w takim razie mogą być też na mnie. I na innych.

– Rozumiem.

– Jest inny lek na dżumę. Szybko wyłap i dobrze się umyj. SDU.

Wychodząc, Adamsberg natknął się na postawnego blondyna, którego zatrzymał, by zadać mu pytanie.

– Jeden komplet był beżowy – odparł Mathias – a po drugiej stronie szary, drugi niebieski w muszle świętego Jakuba.

Adamsberg lekko ogłuszony wyszedł z domu przy rue Chasle przez zapuszczony ogród. Na świecie są ludzie, którzy wiedzą mnóstwo niesamowitych rzeczy. Którzy uważali w szkole z jednej strony, z drugiej zaś później cysternami pakowali sobie wiedzę do głowy. Wiedzę nie z tego świata. Ludzie, którzy trawią życie na zajmowaniu się siewcami, maściami, łacińskimi pchłami i elektwarzami. I był święcie przekonany, że to tylko ułamek cystern wiedzy nagromadzonej w głowie Marca Vandooslera. Wiedzy, która chyba nie pomaga mu lepiej niż innym radzić sobie w życiu. Chociaż dzisiaj pomoże, i to bardzo.

## XX

Laboratorium przesłało do siedziby brygady nowe faksy, z którymi Adamsberg szybko się zapoznał: na „ekstraniusach” nie było żadnych odcisków palców oprócz odcisków Decambrais’go i obwoływacza zidentyfikowanych na wszystkich kartkach.

– Zdziwiłbym się, gdyby siewca pozwolił sobie zostawić odciski na wiadomościach – powiedział Adamsberg.

– Czemu się wykosztowuje na takie koperty? – zapytał Danglard.

– To kwestia rytuału. Siewca uważa, że każdy jego czyn jest znaczący. Nie będzie przecież zostawiał ogłoszeń w pospolitej kopercie. Chce je oddawać w kosztownym opakowaniu, bo to niezwykle wyrafinowany akt. Nie jakaś tam robota pierwszego lepszego, takiego jak ty czy ja. Wyobrażasz sobie, że słynny kucharz podaje ci wykwintne vol-au-vent na plastikowym talerzu? No, i z nim jest tak samo. Koperta jest odpowiednia do czynu: wyszukana.

– Odciski palców Le Guerna i Ducouëdica – rzekł Danglard, odkładając faks. – Dwóch byłych więźniów.

– Tak. Krótko siedzieli. Dziewięć miesięcy i pół roku.

– Dość czasu, żeby nawiązać przydatne znajomości – zauważył Danglard, zajadłe drapiąc się pod pachą. – Praktyki w zamkach można nabrać po wyjściu z paki. Jakie zarzuty?

– Le Guern pobicie i zranienie z zamiarem pozbawienia życia.

Danglard gwizdnął.

– Ładnie. To nie byle co. Czemu nie dostał więcej?

– Okoliczności łagodzące: armator, którego pobił, dopuścił do przegnicia kadłuba statku, który w końcu zatonął. Dwaj marynarze zginęli. Le Guern wyskoczył ze śmigłowca ratunkowego oszalały z bólu i rzucił się na niego.

– Armator dostał wyrok?

– Nie. Ani on, ani faceci z kapitanatu, którzy go kryli, bo posmarował im łapy zgodnie z ówczesnym zeznaniem Le Guerna. Armator szepnął słówko koledze armatorowi, ten następnemu i Le Guern był spalony we wszystkich

bretońskich portach. Nie udało mu się zaciągnąć na żaden statek. Trzydzieści lat temu goły jak święty turecki wylądował przed dworcem Montparnasse.

– Ma poważne powody, żeby całemu światu mieć za złe, nie uważasz?

– Niby tak, to choleryk i człowiek pamiętliwy. Ale zdaje się, że René Laurion nigdy nie postawił nogi w żadnym kapitanacie.

– Może wybiera ofiary zastępcze. Bywało i tak. A w sumie Le Guernowi najłatwiej by było wysyłać wiadomości do siebie, nie? Zauważ, że odkąd wzięliśmy pod obserwację plac i Le Guern pierwszy się o tym dowiedział, nie było więcej ekstraniusów.

– Nie on jeden wie, że mamy plac na oku. W Wikingu o dziewiątej wieczór wszyscy już wyczuli pismo nosem.

– Jeśli morderca nie jest stamtąd, to jak się dowiedział?

– Zabił, więc domyślał się, że gliny nie popuszczą. Wypatrzył naszych ludzi na ławce.

– Czyli zasadniczo prowadzimy obserwację na darmo?

– Prowadzimy obserwację dla zasady. I z innych powodów.

– A ten Decambrais-Ducouëdic za co siedział?

– Za próbę gwałtu na nieletniej w szkole, w której uczył. Cała ówczesna prasa na niego napadła. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat o mało nie został zlinczowany na ulicy. Musiał dostać ochronę policyjną do samego procesu.

– Sprawa Ducouëdica, pamiętam. Dziewczynka napadnięta w łazience. Kto by pomyślał, patrząc na niego, hę?

– Przypomnij sobie jego obronę, Danglard. Trzej uczniowie ze starszej klasy napadli na dwunastolatkę w porze przerwy śniadaniowej. Ducouëdic przyłożył chłopakom, i to porządnie, po czym złapał małą, żeby ją stamtąd zabrać. Była półnaga, wrzeszczała mu na rękach, kiedy niósł ją korytarzem. To widziały inne dzieci. A tamte chłopaki przedstawiły odwrotną wersję wydarzeń: Ducouëdic gwałcił dziewczynkę, oni interweniowali, a Ducouëdic ich pobił i zabrał małą, żeby z nią uciec. Słowa jednego człowieka przeciwko świadectwu innych. I było po Ducouëdiku. Przyjaciółka go rzuciła, koledzy się odsunęli. Niepewność rodzi pustkę, Danglard, i potrafi długo trwać. Dlatego Ducouëdic każe się nazywać Decambrais. Życie tego gościa skończyło się, kiedy miał pięćdziesiąt dwa lata.

– W jakim wieku mogą być dzisiaj ci trzej chłopcy? Pewnie mają ze trzydzieści dwa, trzydzieści trzy lata. Jak Laurion, nie?

– Laurion chodził do szkoły w Périgueux. Ducouëdic uczył w Vannes.

– Może wybierać ofiary zastępcze.

– Teraz?

– A co? Nie znasz starców, którzy nienawidzą całego pokolenia?

– Znam aż za wielu.

– Trzeba poszperać wokół tych dwóch. Decambrais ma świetną lokalizację do wysyłania wiadomości i jak najlepsze kwalifikacje do pisania ich. W końcu to on odkrył ich znaczenie. Na podstawie jednego arabskiego słowa, które naprowadziło go prosto na *Liber canonis* Awicenny. Mocne, co?

– Tak czy siak, szperać trzeba. Głowę dam, że morderca przychodzi na sesje obwoływacza. Zaczął tam, bo nie miał żadnego innego wyboru, to jasne. Ale też dlatego, że od dawna znał skrzynkę i cały mechanizm. Działalność obwoływacza, która nam wydaje się głupia, dla niego, podobnie jak dla mieszkańców okolicy, przeciwnie, jest nośnikiem wiadomości. Co do tego mam pewność. I jestem przekonany, że siewca przychodzi ich wysłuchać, że jest na każdej sesji.

– Nie widzę uzasadnienia – sprzeciwił się Danglard. – W dodatku to dla niego niebezpieczne.

– Zgoda, uzasadnienia brak, mimo to myślę, że on jest wśród słuchaczy. Dlatego nie przerywamy obserwacji placu.

Adamsberg przeszedł z biura do głównej sali i stanął przed planem Paryża. Agenci śledzili go wzrokiem, lecz inspektor zdał sobie sprawę, że wszyscy z zainteresowaniem obserwują nie jego, lecz Danglarda w luźnym czarnym T-shircie. Podniósł prawą rękę i spojrzenia wróciły do niego.

– O osiemnastej ewakuujemy budynek, w którym przeprowadzona będzie dezynsekcja. Po przyjsciu do domu każdy wchodzi pod prysznic, myje się łącznie z głową i wrzuca wszystkie ubrania, powtarzam: w s z y s t k i e, do prania w temperaturze sześćdziesięciu stopni. Powód: wytepienie pcheł potencjalnie obecnych w odzieży.

Na twarzach pojawiły się uśmiechy, rozległy się poszeptywania.

– To rozkaz – dodał Adamsberg – który obowiązuje wszystkich,



a szczególnie trzy osoby, które były ze mną u Lauriona. Czy ktoś z obecnych został od wczoraj pogryziony?

Jedna ręka powędrowała w górę, Kernorkiana, na którego inni spojrzeli z niejakim zaciekawieniem.

– Komisarz Kernorkian – przedstawił się.

– Niech pan się nie martwi, komisarzu, ma pan towarzystwo. Nadkomisarz Danglard też został pogryziony.

– W sześćdziesięciu stopniach! – rozległ się czyjś głos. – No to już po koszuli...

– Albo wyprać, albo spalić – rzekł Adamsberg. – Kto się nie zastosuje do rozkazu, ryzykuje ewentualne zachorowanie na dżumę. Zaznaczam: ewentualne. Jestem przekonany, że pchły, które morderca wypuścił u Lauriona, nie są zarażone i pełnią tylko rolę symbolu jak cała reszta. Ale ten środek ostrożności obowiązuje wszystkich. Pchły gryzą głównie nocą, dlatego proszę, żeby kąpiel i pranie zrobić zaraz po powrocie do domu. Potem należy przeprowadzić regularną dezynsekcję, środki owadobójcze są do pobrania w szatni. Noël i Voisenet, jutro sprawdzicie alibi tych czterech badaczy. – Podał im kartkę z nazwiskami. – To dżumolodzy, więc osoby podejrzane. Wy... – wskazał uśmiechniętego szpakowatego.

– Komisarz Mercadet – przedstawił się oficer, unosząc się lekko z krzesła.

– Mercadet, sprawdzicie, jak to było z pościelą niejakiej pani Toussaint przy avenue de Choisy.

Adamsberg pierwszemu z brzegu podał kartkę, którą przekazywano z ręki do ręki, aż trafiła do Mercadeta. Następnie wskazał zielonookiego człowieka o pucioławatej lękliwej twarzy oraz sztywnego sierżanta z Granville.

– Sierżant Lamarre – powiedział były żandarm, stając wyprostowany.

– Sierżant Estalère – powiedział pucioławaty.

– Obejdziecie wszystkie dwadzieścia dziewięć budynków i jeszcze raz pooglądacie drzwi, na których nie było czwórek. Szukamy maści, tłuszczu, czegoś, czym posmarowano zamek, dzwonek albo klamkę. Zachowajcie ostrożność, wkładajcie rękawiczki. Kto pracował nad tymi dwudziestoma dziewięcioma osobami?

Podniosły się cztery ręce: Noëla, Danglarða, Justina i H  l  ne Froissy.

– Mamy co ? S  jakie  powi zania?

–  adnego – odpar  Justin. – Statystyczne metody nic nie dały.

– Przesłuchania na rue Jean-Jacques-Rousseau?

– Zero. Nikt nie zauważył obcej osoby w budynku. S siedzi nic nie słydzeli.

– Kod przy wej ciu?

– Łatwizna. Używane cyfry s  tak wytarte,  e nie da si  ich odczyta . To daje sto dwadzie cia kombinacji, kt re mo na wypr bowa  w sze c minut.

– Kto wypytywa  mieszka c w pozostałych budynk w? Czy cho  jedna osoba mog a zobaczy  tego, kto malowa  czw rki?

Rudowłosa o topornej twarzy zdecydowanym ruchem podniosła r k .

– Komisarz Retancourt – powiedzia a. – Nikt nie widzia  malarza. Na pewno dzia a w nocy, a p dzel nie robi hałasu. Jak ma wpraw , zajmuje mu to nie wi cej jak p ł godziny.

– Kody?

– Na wielu s  ślady po modelinie. Przykleja j , a potem szuka t stych ślad w.

– Wi zienna sztuczka – zauważył Justin.

– Ka dy mo e na to wpa c – doda  No l.

Adamsberg spojrze  na zegar na  cianie.

– Za dziesie  sz sta – powiedzia . – Zbieramy si .

O trzeciej nad ranem Adamsberga obudzi  telefon z laboratorium bakteriologicznego.

– Pałeczek brak – oznajmi  zm czony m ski g os. – Wynik negatywny. Nie by y zara one ani pchły z ubrania, ani z koperty, ani  aden z dwunastu osobników zebranych u Lauriona. Zdrowiutki, czy ciutki jak  za.

Adamsbergowi na chwil  ulży o.

– Wszystko to pchły szczurze?

– Tak. Pi c samc w, dziesie  samic.

– Świetnie. Macie ich pilnowa  jak oka w g owie.

– One nie żyją, inspektorze.

– Za kwiatki i wieńce dzi kujemy. Trzymajcie je w prob wce.

Usiadł na łóżku, zapalił lampkę i poczochnął sobie włosy. Zadzwoił do Danglarða i Vandooslera, aby ich poinformowaó o wyniku badań. Następnie wybierał po kolei numery pozostałych dwudziestu szeóciu agentów brygady, a na koniec lekarza sądowego i Devillarda. Nikt nie był zły, że został przebudzony w órodku nocy. Adamsbergowi mylili się funkcjonariusze, a notesu nie uzupełnił. Brakowało mu czasu na zajmowanie się swoją przypominajką, nie miał nawet kiedy zadzwonió do Camille, aby się z nią umówió. Odnosił wrazenie, że siewca dżumy ledwie pozwala mu się przespaó.

O siódmej trzydzieóci odebrał telefon na ulicy, w drodze do pracy, idąc piechotą z dzielnicy Marais.

– Inspektor Adamsberg? – usłyszał zdyszany głos. – Mówi sierżant Gardon z nocnej zmiany. Dwa ciała na ulicy w Dwunastej dzielnicy, jedno na rue de Rottembourg, drugie kawałek dalej, na boulevard Soult. Leżą gołe na chodniku wysmarowane węglem drzewnym. Dwaj mężczyźni.

## XXI

W południe obydwie ciała zabrano do kostnicy, na miejscu przywrócono ruch. Ponieważ zwłoki spektakularnie wystawiono na widok publiczny, już nie było nadziei, że poczernione trupy ujdą uwagi mieszkańców. Wieczorem tę informację przemieliły dzienniki telewizyjne, nazajutrz wszystko będzie opisane w prasie. Tożsamości ofiar nie można było ukryć, wkrótce więc ten i ów skojarzy, że jeden z tych mężczyzn mieszkał przy rue Poulet, a drugi przy avenue de Tourville. W naznaczonych odwróconymi czwórkami budynkach, w których tylko drzwi ich mieszkań pozostały czyste. Dwaj mężczyźni, trzydzieści jeden i trzydzieści sześć lat, jeden ojciec rodziny, drugi żyjący w związku partnerskim. Trzy czwarte agentów brygady kryminalnej rozproszyło się po stolicy: jedni szukali świadków tam, gdzie zostawiono ciała, inni po raz kolejny udali się w miejsce zamieszkania ofiar, by wypytać ich bliskich, tropiąc wszelkie informacje mogące wskazać na jakieś związki łączące tych dwóch z Reném Laurionem. Reszta ekipy tkwiła przy komputerach, sporządzając raporty i wprowadzając świeże dane.

Ze schyloną głową, oparty o ścianę swojego pokoju blisko okna, za którym mógł przez nowe kraty obserwować nieustający ruch życia toczącego się na chodniku, Adamsberg próbował zebrać w całość bardzo ciężką teraz masę danych odnoszących się do morderstw oraz inne szczegóły „przedmiotowe”. Wydawało mu się, że ta masa jest zbyt wielka jak na umysł jednego człowieka, w każdym razie jak na jego mózg, tak że nie mógł już ogarnąć jej skrajów, przytłaczała go. Pośród treści „ekstraniusów”, ogłoszeń drobnych z placu Edgar-Quinet, kartotek więziennych Le Guerna i Ducouëdica, lokalizacji naznaczonych czwórkami budynków, tożsamości ofiar, ich sąsiadów, krewnych, pośród węgla, pcheł, kopert, analiz laboratoryjnych, telefonów od patologa, cech charakterystycznych zabójcy nie był już w stanie ogarnąć wszystkich otwartych ścieżek i gubił się. Po raz

pierwszy odnosił wrażenie, że słuszność ma Danglard wierzący w swój komputer, a nie on płaczący się z zadartą głową w zawierusze.

Dwie ofiary jednej nocy, dwaj mężczyźni naraz. Ponieważ policja pilnowała ich drzwi, morderca zwyczajnie wywabił ich na zewnątrz, by dokonać egzekucji, ominął zatem przeszkodę w sposób równie prosty jak swego czasu Niemcy, którzy pokonali nieprzebytą linię Maginota samolotami, skoro Francuzi blokowali drogi. Dwaj sierżanci, którzy trzymali straż przed mieszkaniem ofiary z rue de Rottembourg, Jeana Viarda, widzieli, jak wychodził o dwudziestej trzydzięści. Nie można zakazać facetowi wyjścia na spotkanie, prawda? Zwłaszcza że na tym Viardzie w ogóle nie zrobił wrażenia „pieprzony burdel z czwórkami”, jak wyjaśnił agentowi pełniącemu wartę. Drugi mężczyzna, François Clerc, opuścił mieszkanie o dziesiątej, żeby się przejść, jak wyjaśnił. Ciężyli mu gliniarze za drzwiami, było ciepło, chciał wyskoczyć na drinka. Nie można zakazać facetowi wyjścia na drinka, prawda? Obaj zostali uduszeni, tak jak Laurion, w odstępie około godziny. Seryjne morderstwa. Później zwłoki przewieziono, na pewno razem, jakimś samochodem, w którym je rozebrano i umazano węglem. Na koniec morderca porzucił ciała na ulicy w XII dzielnicy, na obrzeżach Paryża, razem ze wszystkimi ich rzeczami. Siewca wolał nie ryzykować, że ktoś go zobaczy, bo tym razem nie ułożył ciał na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami. Leżały w pozycji, w jakiej porzucono je w pośpiechu. Adamsberg podejrzewał, że konieczność odstępiania od rytuału na ostatnim etapie rozżłościła mordercę. W środku nocy nikt niczego nie zauważył. Choć Paryż ma dwa miliony mieszkańców, w tygodniu o czwartej nad ranem może być równie wyludniony jak górską wioska. Stolica czy nie, ludzie śpią tak samo przy boulevard Soult jak w Pirenejach.

Jedyna nowość godna odnotowania dotyczyła płci i wieku ofiar: sami mężczyźni, wszyscy po trzydziestce. Cóż, można było liczyć na coś precyzyjniejszego w charakterze wspólnego mianownika. Reszta nijak do siebie nie pasowała. Jean Viard nie harował fizycznie na przedmieściach jak pierwszy zamordowany. On był wytworem najlepszych dzielnic, inżynierem informatykiem żonatym z prawniczką. François Clerc, skromniejszego statusu, tęgi i barczysty, pracował jako dostawca u dużego

handlarza win.

Nie odrywając się od ściany, Adamsberg zadzwonił do lekarza sądowego, który trudził się właśnie przy ciele Viarda. Czekając, aż go poproszą do telefonu, zajrzał do notesu, by sprawdzić nazwisko lekarza. Romain.

– Romain, mówi Adamsberg. Przepraszam, że przeszkadzam. Potwierdza pan uduszenie?

– Na sto procent. Morderca posługuje się czymś mocnym, pewnie grubą plastikową żyłką. Na karku jest dość wyraźny ślad po mocnym ucisku. Może chodzić o coś w rodzaju opaski zaciskowej. Morderca tylko ciągnie jeden koniec na prawo, to nie wymaga dużej siły. Udoskonalił zresztą technikę, kiedy poszedł w hurtowe zabijanie: każda ofiara została potraktowana dużą dawką gazu łzawiącego. Zanim gość się pozbierał, morderca założył mu opaskę na szyję. To metoda szybka i pewna.

– Czy Laurion miał na ciele ślady ukąszeń? Ukąszeń owadów?

– Kurde, nie wpisałem tego do raportu. Jakoś nie wydawało mi się to ważne. Miał pod pachą dość świeże krosty po ukąszeniach pcheł. Viard też je ma, na wewnętrznej stronie uda i na szyi, trochę starsze. Trzeciej ofiary jeszcze nie zdążyłem obejrzeć.

– Czy pchły mogą ugryźć zmarłego?

– Nie, w żadnym razie. Uciekają, jak tylko wyczują oznaki stygnięcia ciała.

– Dziękuję, Romain. Niech pan zbada ciała na obecność pałeczek dżumy, tak jak Lauriona. Nigdy nic nie wiadomo.

Adamsberg wsunął komórkę do kieszeni, przycisnął palce do oczu. Pomylił się więc. Zabójca nie podrzucił koperty z pchłami w chwili, kiedy przyszedł zabić. Upłynęło trochę czasu między wypuszczeniem pcheł a morderstwem, ponieważ owady zdążyły pogryźć ofiarę. W wypadku Viarda nawet sporo czasu, lekarz bowiem powiedział, że ślady były dość stare.

Krążył po pokoju z rękami założonymi za plecy. Siewca trzyma się zatem dość szalonego protokołu: najpierw pod drzwi mieszkania przyszłej ofiary wsuwa rozerwaną kopertę z pchłami, a po jakimś czasie wraca z węglem drzewnym w kieszeni i tym razem włamuje się do środka, by udusić delikwenta. Działanie rozkłada na dwie raty. Po pierwsze pchły, po drugie

morderstwo. Pominąwszy malowanie czwórek na drzwiach i ogłoszenia przygotowujące grunt. Adamsberg czuł, jak wzbiera w nim bezsilność. Tropy się plątały, umykała mu ścieżka, którą należało pójść, kierujący się rytuałem morderca oddalał się od niego, stawał się niepojęty. Pod wpływem impulsu inspektor wybrał numer Camille i po półgodzinie wyciągnął się na jej łóżku nagi pod ubraniem, a potem nagi bez ubrania. Camille położyła się na nim i Adamsberg zamknął oczy. W minutę zapomniał, że dwudziestu siedmiu ludzi z jego brygady patroluje ulice albo ślęczy przy komputerach.

Dwie i pół godziny później docierał do placu Edgar-Quinet pogodzony ze sobą, otulony i niemal ochraniany lekkim drżeniem ud.

– Miałem do pana dzwonić – powiedział Decambrais, wychodząc mu naprzeciw z progu swego domu. – Wczoraj nic nie było, ale dzisiaj jest jedna.

– Moi ludzie nie widzieli, żeby ktoś wrzucił kopertę do skrzynki.

– Przyszła pocztą. Zmienił metodę, teraz nie ryzykuje, nie przychodzi tu. Idzie na pocztę.

– Na jaki adres przyszła?

– Do Jossa Le Guerna, tutaj.

– Zna nazwisko obwoływacza?

– Dużo ludzi je zna.

Adamsberg poszedł za Decambrais'm do jego ustronia i otworzył dużą kopertę.

*Wieść rozchodzi się z nagłą, rychło potwierdzona, że dzuma wybuchła w mieście na dwóch ulicach jednocześnie. Mówiono, że obydwa [...] znaleziono ze wszystkimi wyraźnymi oznakami choroby morowej.*

– Le Guern odczytał to?

– Tak, w południe. Kazał pan kontynuować.

– Teraz, gdy facet przystąpił do działania, teksty są bardziej zrozumiałe. Jakie wrażenie zrobiło to na słuchaczach?

– Wywołało poruszenie, pytania i dużo gadania w Wikingu. Chyba był tu jakiś dziennikarz. Wypytywał bez końca Jossa i innych. Nie wiem, skąd się

wziął.

– Pogłoski go tu ściągnęły, Decambrais. To było nieuchronne. Po ekstraniusach z ostatnich dni, po wtorkowym komunikacie policji i pierwszych zwłokach koło musiało się zamknąć. Musiało. Do prasy trafiło może jakieś oświadczenie od samego siewcy, który chciał wzbudzić burzę.

– Wykluczyć się nie da.

– Nadana wczoraj – zauważył Adamsberg, obracając kopertę. – W Pierwszej dzielnicy.

– Zapowiedziany zgon dwóch osób – przypomniał Decambrais.

– To już się stało – odparł Adamsberg, patrząc na niego. – Usłyszy pan wieczorem w telewizji. Dwaj mężczyźni, każdy rzucony na chodnik jak worek, nagi, umazany na czarno.

– Dwaj naraz – rzekł Decambrais głucho. Zaciśnął usta, aż na białej skórze pojawiło mu się mnóstwo drobnych zmarszczek.

– Jak pan myśli, czy ciała zadzumionych czernieją?

Decambrais zmarszczył brwi.

– Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, a zwłaszcza w historii medycyny. Dlatego tyle mi zeszło, zanim rozgryzłem „ekstraniusy”. Ale wiem na pewno, że lekarze z epoki nigdy o tym nie wspominają. Mówią o powiększonych węzłach chłonnych, plamach, ropniach, zgorzeli, ale nie o szernieniu skóry. To weszło do zbiorowej pamięci dużo później, wie pan, przez mylne zrozumienie pewnych pojęć.

– Aha.

– To bez znaczenia, bo błąd przetrwał i dotąd na dzumę mówi się „czarna śmierć”. Dla mordercy ta nazwa ma kapitalne znaczenie, bo sieje strach. A on chce zrobić wrażenie, działać na wyobraźnię mocnymi ideami, obojętne, czy są prawdziwe czy nie. „Czarną śmiercią” wali jak z armaty.

Adamsberg usiadł w Wikingu, dość spokojnym późnym popołudniem, i poprosił roślego Bertina o kawę. Przez szybę miał rozległy widok na cały plac. Kwadrans później zadzwonił do niego Danglard.

– Jestem w Wikingu – rzekł Adamsberg.

– Uważaj na tego calvadosa – przestrzegł Danglard. – Jest bardzo szczególny. Idzie do głowy w mgnieniu oka.



– Ja już nie mam głowy. Zgłupiałem. Otumanił mnie, zamroczył. Chyba załatwił.

– Calvados?

– Siewca dżumy. CLT. Przy okazji, Danglard, daj sobie spokój z tymi inicjałami.

– Z Christianem Laurentem Taveniotem?

– Zostaw go – mówił Adamsberg, otworzywszy notes na stronie zapisanej przez Vandooslera. – CLT to elektwarz trzech przysłówków.

Adamsberg czekał na reakcję partnera, lecz się jej nie doczekał. Danglard również czuł, że to go przerasta. Jego oświecony umysł tonął.

– *Cito, longe, tarde* – przeczytał Adamsberg. – Spadaj stąd, i to na długo.

– Cholera – powiedział Danglard po chwili. – *Cito, longe fugeas et tarde redeas*. Że też nie pomyślałem o tym wcześniej.

– Przestaliśmy myśleć, nawet ty. Załatwił nas.

– Kto ci o tym powiedział?

– Marc Vandoosler.

– Mam informacje o tym Vandooslerze.

– Jego też zostaw. Jest poza podejrzeniami.

– Wiesz, że jego wuj był gliniarzem i wyleciał z policji pod koniec kariery?

– Tak. Kiedyś jadłem z nim ośmiornice.

– Aha. A wiesz, że jego bratanek, ten Marc, maczał palce w paru sprawach?

– Kryminalnych?

– Tak, ale po stronie śledczych. Łebski facet.

– Zauważyłem.

– Dzwonię teraz w związku z alibi czterech dżumologów. Wszystko w porządku, nie ma się do czego przyczepić, życie rodzinne bez zarzutu.

– A to pech.

– No. Nikt nam nie zostaje.

– A ja nic nie widzę. Intuicja mi zdechła, stary.

Danglarda powinno ucieszyć to wyznanie. Tymczasem ze zdziwieniem stwierdził, że ubolewa z tego powodu, i zapragnął wesprzeć Adamsberga, by nie schodził z tej drogi, choć on ją gromił jak żadną inną.

– Nie zdechła, nie zdechła – oświadczył z mocą. – Na pewno coś przeczuwasz, chociaż jedną rzecz.

– No może jedną – przyznał po chwili Adamsberg. – Ciągłe to samo.

– Czyli?

Adamsberg omiół wzrokiem plac. Zaczynały się tam gromadzić grupki ludzi, inni wychodzili z baru, czekając na sesję Le Guerna. Przy wielkim platanie robiono zakłady o to, czy dziś będzie o załodze, która utonęła czy przeżyła katastrofę morską.

– Wiem, że on tu jest – powiedział.

– Tu, czyli gdzie?

– Na tym placu. On tu jest.

Adamsberg nie miał w domu telewizora, toteż w razie potrzeby szedł do odległego o sto metrów, rozbrzmiewającego muzyką i przesiąkniętego zapachem guinnessa irlandzkiego pubu, gdzie Enid, kelnerka, którą znał od dawna, pozwalała mu popatrzeć na miniodbiornik umieszczony pod kontuarem. Za pięć ósma pchnął zatem drzwi Czarnych Wód Dublinu i wsunął się za bar. Czarne wody – właśnie co najmniej od tego rana czuł się jak zanurzony w czarnych wodach. Podczas gdy Enid szykowała mu ogromnego ziemniaka ze skwarkami – gdzie Irlandczycy zdobywają takie gigantyczne ziemniaki, było pytaniem, które można sobie zadawać, mając wolny czas, czyli wtedy, gdy siewca dżumy nie zaprzęta człowiekowi całej głowy – Adamsberg oglądał z przyciszonym dźwiękiem wieczorne wiadomości. Mniej więcej czegoś równie alarmującego się obawiał.

Prezenter informował, że w nocy z poniedziałku na wtorek i ze środy na czwartek w Paryżu zamordowano trzech mężczyzn w nadzwyczaj niepokojących okolicznościach. Wszystkie ofiary mieszkały w budynkach naznaczonych namalowanymi na drzwiach odwróconymi czwórkami, których dotyczył komunikat prefektury policji nadany w wieczornych wiadomościach dwa dni wcześniej. Znaczenie tych cyfr, na którego temat policja nie chciała się dotąd wypowiadać, było już znane dzięki temu, że AFP otrzymała krótką wiadomość od tego, kto je namalował. Do anonimowej informacji należało podchodzić bardzo ostrożnie, nie było też gwarancji, że jest autentyczna. Jej autor potwierdzał, że trzej mężczyźni

umarli na dżumę, i zapewniał, że od dawna ostrzegał ludność stolicy przed zarazą za pomocą ogłoszeń odczytywanych publicznie na placu u zbiegu ulic Edgar-Quinet i Delambre. Takie wyznanie z całą pewnością pochodziło od człowieka niezrównoważonego. Co prawda na zwłokach znaleziono oznaki świadczące o zgonie z powodu czarnej śmierci, prefektura policji zapewniała jednak, że ci ludzie są ofiarami seryjnego zabójcy, który pozbawił ich życia przez uduszenie. Adamsberg z ust prezentera usłyszał swoje nazwisko.

Dalej pokazano zbliżenie naznaczonych drzwi ze stosownymi wyjaśnieniami, wypowiedzi mieszkańców, widok na plac Edgar-Quinet, następnie inspektora Brézillona we własnej osobie, sfilmowanego w biurze przy quai des Orfèvres. Brézillon z całą powagą zapewnił, że wszystkie osoby zagrożone przez szaleńca są pod ochroną sił porządkowych i że pogłoski o dżumie to czysty wymysł człowieka aktualnie poszukiwanego, ponieważ czarne plamy na ciałach ofiar powstały przez potarcie skóry kawałkiem węgla drzewnego. Zamiast zakończyć news tymi uspokajającymi słowami, puszczono krótki dokument o dawnych epidemiach dżumy we Francji pełen potwornych zdjęć i komentarzy.

Adamsberg lekko przybity poszedł na swoje miejsce przy stoliku i zabrał się do jedzenia ogromniastego ziemniaka, zupełnie go nie widząc.

W Wikingu pogłósniono telewizor, a Bertin przyspieszył porę podania ciepłej kolacji i grzmiącego uderzenia w gong. Joss, pozostający w centrum powszechnego zainteresowania, opędał się jak mógł od pytań przy stałym wsparciu Decambrais'go, który nie tracił zimnej krwi, i Damasa, który choć nie wiedział, jak mógłby się przydać, czuł, że sytuacja zrobiła się napięta i mocno skomplikowana, toteż nie odstępował lewego boku Jossa. Marie-Belle zalała się łzami, wprawiając Damasa w panikę.

– Jest dżuma? – zawołała podczas wiadomości, tym okrzykiem wyrażając niepokój każdego, choć nikt nie odważył się wygłosić go tak naiwnie.

– Toś nie słyszała? – odezwała się Lizbeth swym donośnym głosem. – Kolesie nie kojfnęli na dżumę, tylko ktoś ich udusił. Nie słyszałaś? Trzeba słuchać uważnie, Marie-Belle.

– A skąd wiadomo, że ten waźniak z prefektury nie robi nas w balona? –

odezwał się facet przy barze. – Myślisz, Lizbeth, że jak w mieście wybuchnie dzuma, zaraz nam to grzecznie powiedzą w dzienniku? Myślisz, że dzielą się wszystkim, co wiedzą? To tak jak z tym, co pakują do kukurydzy i do mięsa... Myślisz, że nam o tym mówią?

– A co my robimy? – dodał kto inny. – Żremy tę ich kukurydzę.

– Ja przestałam – oznajmiła jakaś kobieta.

– Boś nigdy nie jadła – uzupełnił jej mąż. – Nie lubisz kukurydzy.

– Robią stale jakieś głupie doświadczenia – podjął temat ktoś przy barze – to i nie da się wykluczyć, że ktoś wywinął jakiś numer i zaraza im uciekła. O, a wodorosty... wiesz, skąd są wodorosty?

– No – odparł ten drugi. – Trudno je teraz dostać. To tak jak z kukurydzą i wołowiną.

– Trzy trupy, wyobrażasz sobie? Ciekawe, jak to zatrzymają. Głowę dają, że sami nie wiedzą.

– Myślisz? – włączył się gość siedzący na końcu baru.

– Do jasnej anielki! – wrzasnęła Lizbeth, starając się przekrzyczeć gwar rozmów. – Tych koleśi ktoś udusił!

– Bo nie mieli czwórki na drzwiach – zauważył jeden z gości, podnosząc palec. – Nie byli chronieni. Kuźwa, nie tłumaczyli tego w telewizji? Przyśniło nam się czy co?

– Ha, w takim razie znaczy, że nic im nie uciekło, tylko jakiś gostek to roznosi.

– Uciekło, uciekło, tylko gościu próbuje chronić ludzi i ostrzega ich. Robi, co może.

– No to czemu o niektórych zapomniał? I czemu namalował czwórki tylko w paru budynkach?

– Przestań, ten gostek to nie Pan Bóg. Ma tylko dwie ręce. Sam sobie namaluj czwórki, jak masz pełne gacie.

– Cicho, do diabła! – krzyknęła znowu Lizbeth.

– Co się stało? – nieśmiało spytał Damas, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– Daj spokój, Lizbeth – rzekł Decambrais, biorąc ją pod rękę. – Odbija im. Trzeba mieć nadzieję, że przez noc się uspokoją. Idziemy do domu na kolację, zbierz naszych.

Kiedy Lizbeth zwoływała swoje owieczki, Decambrais oddaliwszy się od kontuaru, zadzwonił do Adamsberga.

– Inspektorze, robi się gorąco – powiedział. – Ludzie tracą głowę.

– Tutaj też – odparł Adamsberg siedzący przy stoliku w irlandzkim pubie.

– Kto sieje oglądalność, zbiera panikę.

– I co teraz?

– Będziemy powtarzać do znudzenia, że ci trzej zostali zamordowani.

A co tam u was mówią?

– Lizbeth niejedno widziała, to i zachowuje spokój. Le Guern średnio się przejmuje, próbuje tylko bronić swojego miejsca pracy, ale trzeba by większej burzy, żeby go wzruszyć. Bertin wydaje mi się dość wzburzony, Damas nic nie rozumie, a Marie-Belle wpadła w histerię. Reszta zajmuje takie stanowisko, jakiegośmy się spodziewali: wszystko przed nami ukrywają, nic nam nie mówią, a pory roku się poprzesuwały. W zimie ciepło zamiast mrozu, w lecie zimno zamiast upałów, to samo z wiosną i jesienią.

– Będzie pan miał kupę roboty, doradco.

– Pan też, inspektorze.

– Ja już nawet nie odróżniam kupy od roboty.

– Jak pan zamierza to ugryźć?

– Zamierzam iść spać, Decambrais.

## XXII

Od ósmej rano w piątek wydziałowi zabójstw przydzielono wsparcie w postaci dwunastu ludzi, zainstalowano również piętnaście dodatkowych aparatów telefonicznych, aby obsłużyć połączenia przekierowywane do brygady z przeciążonych komisariatów dzielnicowych. Kilka tysięcy paryżan domagało się odpowiedzi na pytanie, czy policja podała prawdę w sprawie tych zmarłych, czy należy zachowywać środki ostrożności i jakie są zalecenia. Prefektura poleciła wszystkim komisariatom traktować poważnie każdy telefon i rozmawiać z osobna ze wszystkimi panikarzami, którzy są pierwsi do mącenia wody.

Poranna prasa nic nie robiła, by uśmierzyć rosnące niepokoje. Adamsberg rozłożył przed sobą największe tytuły i przeglądał jeden po drugim. Gazety przedstawiały z grubsza treść wieczornego dziennika telewizyjnego uzupełnioną o komentarze i zdjęcia, wiele na pierwszej kolumnie zamieściło reprodukcję odwróconej czwórki. Niektóre dodawały wagi wydarzeniu, inne, ostrożniejsze, starały się zachować umiar w treści tytułów. Wszystkie jednak przezornie cytowały w całości wypowiedź inspektora Brézillona. I wszystkie publikowały treść dwóch ostatnich „ekstraniusów”. Adamsberg przeczytał obydwie, starając się wejść w skórę człowieka, który widzi je pierwszy raz w konkretnym kontekście, czyli z trzema poczernionymi trupami na zakończenie:

*Dopust jest zawsze w gotowości i na rozkazy Pana Boga, który go zsyła i odwołuje, kiedy mu się podoba.*

*Wieść rozchodzi się z nagłą, rychło potwierdzona, że dżuma wybuchła w mieście na dwóch ulicach jednocześnie. Mówiono, że obydwaj [...] znaleziono ze wszystkimi wyraźnymi oznakami choroby morowej.*

W tych kilku wierszach było dość treści, aby poruszyć najbardziej łatwowiernych, czyli osiemnaście procent populacji, ponieważ osiemnaście procent bało się wejścia w rok 2000. Adamsberga zdziwiło, że prasa tak

rozdmuchała tę sprawę, zaskoczyło go również, że tak szybko sprawa wybuchła, chociaż obawiał się tego właśnie, odkąd zapowiedziano pierwszy zgon. Dżuma, zaraza minionych czasów, pokryta kurzem, pogrzebana w mrokach historii, odżywała pod dziennikarskim piórem niemal tak samo silna jak ongiś.

Zerknął na zegar ścienny, na polecenie szefostwa szykując się do konferencji prasowej o dziewiątej. Nie lubił ani rozkazów, ani konferencji prasowych, był jednak świadom, że okoliczności tego wymagają. Uspokoić ludzi, pokazać zdjęcia ze śladami po uduszeniu na szyi ofiar, zdementować pogłoski – takie były rozkazy. Ze wsparciem przybył lekarz sądowy, którego zdaniem sytuacja była jeszcze pod kontrolą, pod warunkiem że nie będzie kolejnego morderstwa albo szczególnie przerażającego „ekstraniusa”. Adamsberg słyszał dobiegający zza drzwi gwar rozmów coraz większej grupy dziennikarzy.

O tej samej porze Joss kończył swoją rybacką prognozę pogody przed zdecydowanie większą niż zwykle gromadką słuchaczy i przystępował do odczytania „ekstraniusa”, który przyszedł rano pocztą. Inspektor zapowiedział kategorycznie: czytanie ma się odbywać normalnie, nie wolno przeciąć żadnej nici wiążącej nas z siewcą. W dość ciężkiej ciszy Joss zapowiedział ogłoszenie numer 20:

*Krótką a prosta rozprawa o dżumie. Z opisem objawów i skutków onejż, a także metod postępowania i remediów stosowanych, zarówno zapobiegawczych, jak i leczniczych trzy kropki. I rozpozna, iż dotknięty został rzeczoną dżumą, gdy stwierdzi powiększone węzły chłonne w pachwinie, powszechnie zwane dymienicą, gdy dostanie gorączki i doświadczy zamroczeń, bólów głowy i napadów wariacji wszelakich, i zobaczy plamy pojawiające się na skórze, powszechnie zwane sińcami albo krwiakami, w większości barwy granatowej, sinej lubo czarnej, rozszerzające się coraz bardziej. Kto pragnął będzie ustrzec się zarażenia, zadba o umieszczenie na swoich drzwiach talizmanu w postaci krzyża na czworo rozwidlonego, który na pewno odsunie morowe powietrze od jego domu.*

W chwili gdy Joss z trudem kończył czytać ten przydługi opis, Decambrais wybierał numer telefonu Adamsberga, by niezwłocznie przekazać mu treść wiadomości.

– Sprawa się całkiem rozkręciła – podsumował. – Facet skończył z zapowiedziami. Opisuje zarazę, jakby faktycznie wybuchła w mieście. Chodzi mi po głowie tekst z początku siedemnastego wieku.

– Niech pan jeszcze raz przeczyta końcówkę – poprosił Adamsberg. – Powoli.

– Macie tam u siebie jakichś ludzi? Słyszę gwar.

– Ze sześćdziesięciu dziennikarzy, którzy się niecierpliwią. A co u was?

– Słuchaczy więcej niż zwykle. Właściwie mały tłum, dużo nowych twarzy.

– Proszę spisać dawnych stałych słuchaczy. Niech pan sporządzi listę bywalców tak dokładną, jak tylko da pan radę.

– Skład się zmienia w zależności od sesji.

– Niech pan zrobi co w pańskiej mocy. Niech panu pomogą ci, którzy mieszkają albo pracują przy placu. Restaurator, chłopak ze sklepu z rolkami, jego siostra, ta piosenkarka, obwoływacz... wszyscy, którzy wiedzą.

– Myśli pan, że on tu jest?

– Tak sądzę. W tym miejscu zaczął i tego miejsca się trzyma. Każdy ma jakąś słabość, Decambrais. No niech pan przeczyta jeszcze raz końcówkę.

– „Kto pragnął będzie ustrzec się zarażenia, zadba o umieszczenie na swoich drzwiach talizmanu w postaci krzyża na czworo rozwidłonego, który na pewno odsunie morowe powietrze od jego domu”.

– Wezwanie, żeby ludzie sami malowali czwórki na swoich drzwiach. Zaczyna wprowadzać ferment.

– Właśnie. Powiedziałem, że tekst kojarzy mi się z siedemnastym wiekiem, ale odnoszę wrażenie, że po raz pierwszy dla potrzeb sprawy mamy do czynienia z fragmentami wymyślonymi. Niby pasują, myślę jednak, że to podróbka. Coś jest nie tak ze stylem pod koniec.

– Na przykład?

– Ten „krzyż na czworo rozwidłony”. Nigdy się nie spotkałem z takim sformułowaniem. Autor umyślnie wskazuje czwórkę, nie chce, żeby ktoś się



pomylił, ale sądzę, że w całości sam napisał ten ustęp.

– Jeśli ogłoszenie zostało wysłane równocześnie do prasy i do Le Guerna, będziemy się mieli z pyszna.

– Momencik, panie inspektorze, posłucham o katastrofie.

Na dwie minuty zapadła cisza, po czym Decambrais wrócił do telefonu.

– I co? – spytał Adamsberg.

– Wszyscy uratowani – odparł Decambrais. – Jak pan obstawiał?

– Wszyscy uratowani.

– Przynajmniej taki zysk z dzisiejszego dnia.

Kiedy Joss zeszkakiwał z podwyższenia i ruszał na kawę do Damasa, Adamsberg wszedł do sali konferencyjnej i wspiął się na nieduże podwyższenie, które wyszykował Danglard. Obok niego stanął lekarz sądowy, projektor był gotowy do działania. Do dziennikarzy zgromadzonych z nastawionymi mikrofonami inspektor powiedział:

– Słucham państwa pytań.

Półtorej godziny później konferencja prasowa się zakończyła. Nieźle przebiegła, Adamsberg bowiem, spokojnie odpowiadając na pytania, zdołał rozwiać jedną po drugiej wszelkie wątpliwości, które narosły wokół trzech ofiar. Mniej więcej w połowie natrafił na wzrok Danglarda i z jego napiętej twarzy wywnioskował, że coś się stało. Większość agentów wydziału dyskretnie się porozchodziła. Zaraz po konferencji Danglard wszedł do biura i zamknął za sobą drzwi.

– Zwłoki na avenue de Suffren – oznajmił. – Upchnięte pod furgonetką razem z ciuchami zwiniętymi w kłęb. Odkryto je, dopiero jak kierowca ruszył o dziewiątej piętnaście.

– Cholera – powiedział Adamsberg, opadając na krzesło. – Mężczyzna? Około trzydziestki?

– Kobieta. Poniżej trzydziestki.

– Jedyne powiązanie przypadło. Mieszkała w którymś z tych pieprzonych budynków?

– Numer czternaście z wykazu, rue du Temple. Czwórki w nim

namalowano dwa tygodnie temu, pominięto tylko drzwi mieszkania ofiary na drugim piętrze po prawej.

– Co wiemy?

– Nazywa się Marianne Bardou. Samotna, rodzice w Corrèze, weekendowy kochanek w Mantes, drugi sporadycznie na wieczory w Paryżu. Była sprzedawczynią w luksusowych delikatesach przy rue du Bac. Ładna, wysportowana, zapisana do kilku klubów fitness.

– Domyślam się, że nie spotykała w nich Lauriona ani Viarda, ani Clerca?

– Powiedziałbym ci o tym.

– Wyszła z domu wczoraj wieczorem? Powiedziała coś agentowi, który jej pilnował?

– Jeszcze nie wiemy. Voisenet i Estalère poszli do domu. Mordent i Retancourt są na avenue de Suffren, czekają na ciebie.

– Już nie wiem, kto jest kim, Danglard.

– To twoi podwładni, mężczyźni i kobiety.

– Młoda kobieta. Uduszona. Naga. Skóra poczerniona?

– Jak u innych ofiar.

– Zgwałcona?

– Raczej nie.

– Avenue de Suffren, dobry wybór. W nocy jeden z najbardziej wyludnionych zakątków miasta. Bez nerwów można spokojnie wyładować i czterdzieści ciał. Jak sądzisz, dlaczego wepchnął ją pod furgon?

– Miałem czas to przemyśleć. Musiał ją tam zostawić wieczorem, ale nie chciał, żeby zwłoki znaleziono przed świtem. Albo ze względu na tradycję, bo dawniej z samego rana zbierano na wózki ciała wystawione na ulicę, albo żeby odkrycia dokonano dopiero po sesji obwoływacza. Czy było dziś ogłoszenie, które zapowiadało jej śmierć?

– Nie. Zawierało rady, jak się ustrzec przed zarazą. Zgadnij jakie.

– Czwórki?

– Czwórki. Do wyrysowania własnoręcznie.

– Siewca jest za bardzo zajęty zabijaniem, tak? Nie ma czasu malować znaków na drzwiach? Ceduje to na innych?

– Nic z tych rzeczy – powiedział Adamsberg, wstając i narzucając kurtkę.

– Chce nas zmylić. Wyobraź sobie, że tylko co dziesiąty paryżanin posłucha rady i umieści na swoich drzwiach czwórkę. Nie odróżnimy wtedy autentycznych siewcy od namalowanych prywatnie. Trudne to nie jest, wszystkie gazety je zamieszczały, wystarczy dokładnie przekopiować.

– Grafolog raz-dwa oddzieli prawdziwe od fałszywych.

Adamsberg pokręcił głową.

– Nie, nie, Danglard, to nie takie proste, kiedy ma się do czynienia z pięcioma tysiącami czwórek namalowanych przez pięć tysięcy rąk. A to na pewno liczba niedoszacowana. Mnóstwo ludzi posłucha tej rady. Ile to będzie osiemnaście procent z dwóch milionów?

– Te osiemnaście procent to kto?

– Naiwni, strachliwi, przesądni. Ci, którzy boją się zaćmień, nowego tysiąclecia, przepowiedni i końca świata. Przynajmniej tak odpowiadają w sondażach. Ile to będzie?

– Trzysta sześćdziesiąt tysięcy.

– No właśnie, można się spodziewać liczby tego rzędu. Jeśli dojdzie do tego strach, będziemy mieli straszny pasztet. A skoro nie da się odróżnić prawdziwych czwórek, nie da się też odróżnić prawdziwych nieoznaczonych drzwi. Nie będziemy w stanie chronić ludzi. I siewca będzie sobie poczynał, jak mu się spodoba, nie będzie się natykał na gliniarza na każdym piętrze. Będzie nawet mógł malować czwórki w blasku dnia, nie przejmując się szyframi przy wejściu. Bo nie aresztujemy przecież tysięcy ludzi, którzy postanowią namalować czwórkę na swoich drzwiach. Rozumiesz, Danglard, czemu on to robi? Manipuluje opinią publiczną, bo chce się pozbyć policji. Jest przebiegły, Danglard, przebiegły i pragmatyczny.

– Przebiegły? Nic go nie zmuszało do malowania tych cholernych czwórek. Nic go nie zmuszało do wskazywania ofiar. Sam na siebie zastawił pułapkę.

– Chciał, by ludzie zrozumieli, że tu chodzi o dżumę.

– Wystarczyłoby, żeby namalował czerwony krzyż po fakcie.

– Prawda. Ale on roznosi dżumę selektywnie, nie na wszystkich. Wybiera ofiary i zdecydowanie chroni przed zarażeniem innych z jej otoczenia. To też pragmatyczne działanie, przemyślane.

– Przemysłane w świecie jego szaleństwa. Mógł zabijać bez wprowadzania na scenę tej przeklętej ponadczasowej dżumy.

– On nie chce zabijać osobiście. Chce, żeby ludzie b y l i z a b i j a n i. Chce być czynnikiem, który kieruje nieszczęściem. Dla niego to na pewno wielka różnica. Nie czuje się odpowiedzialny.

– Kurde, ale dżuma?! To śmieszne. Skąd się wziął ten gość? Z jakiego świata? Z jakiego grobu?

– Już ci mówiłem, Danglard: kiedy to zrozumiemy, będzie nasz. Co do śmieszności, jasne, masz słuszość. Ale nie lekceważ staruszki dżumy. Ma ciągle krzepę i interesuje już dużo więcej ludzi, niżby należało. Może i jest śmieszna w tych swoich łachmanach, nikogo jednak nie bawi. Jest śmieszna, lecz groźna.

Jadąc samochodem na avenue de Suffren, Adamsberg zadzwonił do entomologa z prośbą, by udał się ze świnką morską na rue du Temple, do mieszkania nowej ofiary. Wcześniej znaleziono pchły *Nosopsyllus fasciatus* w mieszkaniach Jeana Viarda i François Clerca, czternaście sztuk u pierwszego i dziewięć u drugiego, plus kilka w zwiniętych ubraniach, które siewca zostawił przy zamordowanych. Wszystkie pchły były zdrowe. Wszystkie wyszły z dużej koperty barwy kości słoniowej rozciętej jednym pociągnięciem noża.

Następnie Adamsberg zadzwonił do AFP. Żeby każdy, kto otrzyma taką kopertę, natychmiast skontaktował się z policją. I żeby pokazano kopertę w południowych wiadomościach telewizyjnych.

Z przykrością obejrzał nagie ciało dziewczyny oszpecone uduszeniem, niemal w całości usmarowane węglem i smarem z furgonetki, z żalną kupką zwiniętych obok ubrań. Zamknięto ulicę, by uniknąć gapiów, lecz przewinęły się tam już setki osób. Nie dało się powstrzymać rozchodzenia się wieści. Adamsberg ze smutkiem wbił pięści w kieszenie. Stracił zdolność przewidywania, nie potrafił zrozumieć tego mordercy, wyczuć go, przeniknąć, siewca tymczasem odwrotnie, dowodził doskonałej skuteczności, obwieszczając swoje ogłoszenia, panując nad prasą i mordując ofiary, gdzie chciał i kiedy chciał mimo szerokiego zaangażowania policji mającej go otaczać ze wszystkich stron. Adamsberg

był zły na siebie, że nie zdołał zapobiec śmierci czworga ludzi, chociaż jego czujność się obudziła długo przed faktem. Właściwie kiedy? Po drugiej wizycie Maryse, znerwicowanej matki dzieciom. Wyraźnie pamiętał chwilę, gdy po raz pierwszy zrodził się w nim niepokój. Nie wiedział natomiast, kiedy zgubił trop, kiedy zbłądził we mgle, kiedy poczuł, że fakty go przerastają i ogarnia bezsilność.

Patrzył na młodą Marianne Bardou, póki ciała nie załadowano do karetki przysłanej z kostnicy, rzucał jakieś krótkie polecenia, z roztargnieniem słuchał raportów swoich ludzi, którzy ściągali z rue du Temple. Kobieta nie wyszła z domu poprzedniego wieczoru, zwyczajnie nie wróciła z pracy. Bez przekonania kazał dwóm oficerom odwiedzić jej pracodawcę, po czym pieszo ruszył do siedziby brygady. Szedł długo, grubo ponad godzinę, zбочył w końcu na Montparnasse. Gdybyż tylko zdołał sobie przypomnieć, kiedy się pogubił.

Dotarłszy na rue de la Gaîté, wolno skierował się do Wikinga. Zamówił kanapkę i usiadł przy stoliku z widokiem na plac – przy stoliku, przy którym nikt nie chciał siadać, ponieważ należało być dość niskim, żeby nie uderzyć w atrapę dziobu drakkara zawieszzonego na ścianie. Ledwie zdążył napocząć kanapkę, Bertin wstał i zniemacka uderzył w miedzianą płytę nad barem. Huknęło, jakby piorun trzasł. Zaskoczony Adamsberg ujrzał, jak gołębie na placu wzbijają się w powietrze z głośnym furkotem skrzydeł, równocześnie do lokalu wlał się tłum klientów – wśród nich Le Guern, którego inspektor przywołał gestem. Obwoływacz bez pytania zajął miejsce naprzeciw niego.

– Masz pan doła? – zagadnął Joss.

– Dół to delikatnie powiedziane. Tak to widać?

– Ano... Zszedłeś pan z kursu?

– Lepiej bym tego nie ujął.

– Trzy razy mi się to przytrafiło i krążyliśmy jak sieroty we mgle, ledwie unikając katastrofy i zaraz wpadając znowu w opały. Dwa razy urzędnienia same się rozregulowały. Ale za trzecim razem ja po nieprzespanej nocy popełniłem błąd przy pomiarze sekstantem. Wystarczy się trochę przemęczyć i zaraz człowiek strzela byka, robi błąd. Karygodny.

Adamsberg poderwał się nagle i Joss dostrzegł w jego wodorostowych

oczach taki sam błysk jak wtedy w biurze, gdy rozmawiali pierwszy raz.

– Niech pan to powtórzy, Le Guern. Niech pan powtórzy dokładnie to samo.

– To z sekstantem?

– Tak.

– No więc z sektantem to tak... Jak się człowiek rąbnie, popełnia grubą błąd, karygodny.

Adamsberg w skupieniu, w bezruchu, wpatrzył się w jakiś punkt na stole z jedną ręką wyciągniętą, jakby nakazywał milczenie obwoływaczowi. Joss nie śmiał się odezwać, obserwował tylko kanapkę lekko zgniecioną w palcach inspektora.

– Wiem – powiedział w końcu Adamsberg, podnosząc głowę. – Wiem, kiedy przestałem rozumieć, kiedy przestałem go widzieć.

– Kogo?

– Siewcę dżumy. Przestałem go widzieć, zgubiłem kurs. Ale teraz wiem, kiedy to się stało.

– To ważne?

– Tak ważne jak naprawienie błędu z sekstantem i powrót do miejsca, gdzie pan się zgubił.

– A, skoro tak, to faktycznie ważne – zgodził się Joss.

– Muszę iść – rzekł Adamsberg, kładąc banknot na stole.

– Uwaga na drakkar – ostrzegł Joss. – Można sobie rozwalić łeb.

– Jestem niski. Był dziś rano ekstranius?

– Dalibyśmy znać... Idziesz pan szukać tego miejsca? – zapytał jeszcze Joss, gdy Adamsberg już otwierał drzwi.

– Zgadza się, kapitanie.

– Naprawdę wiesz pan, gdzie on jest?

Adamsberg wskazał palcem swoje czoło i wyszedł.

Stało się to przy okazji błędu. Kiedy Marc Vandoosler powiedział mu o błędzie. Właśnie wtedy Adamsberg się pogubił. Teraz idąc, usiłował sobie przypomnieć słowa Vandooslera. Przywoływał z pamięci obrazy, całkiem świeże, razem z dźwiękiem. Vandooslera stojącego przy drzwiach w tym swoim błyszczącym pasku, wymachującego szczupłą dłonią ozdobioną

srebrnymi pierścieniami, trzema srebrnymi pierścieniami. Tak, chodziło o węgiel, przy tym byli. „Jeśli pański morderca czerni ciało ofiary, myli się. Popęlnia wręcz karygodny błąd”.

Adamsberg odetchnął z ulgą. Usiadł na pierwszej napotkanej ławce, zapisał w notesie uwagę Marca Vandooslera i dokończył kanapkę. Nadal nie wiedział, w którą stronę się obrócić, ale odnalazł przynajmniej punkt. Punkt, w którym jego sekstant nawalił. I wiedział, że odtąd jest szansa, iż mgła się rozproszy. Poczuł ogromną wdzięczność do marynarza Jossa Le Guerna.

Spokojnie dotarł do siedziby brygady, obrzucając wzrokiem pierwsze strony gazet, ilekroć mijał kiosk. Wieczorem albo jutro, jeżeli siewca prześle kolejną wiadomość do AFP, kolejny odcinek swojej zabójczej „Krótkiej a prostej rozprawy o dżumie”, i kiedy rozejdzie się wieść o czwartej ofierze, żadna konferencja prasowa nie zdoła już powstrzymać rozprzestrzeniającej się pogłoski. Siewca siał i wygrywał na każdym kroku.

Wieczorem, jutro.

## XXIII

– To ty?

– Tak, ja, Mané. Otwórz – powiedział niecierpliwie mężczyzna.

Zaraz po wejściu chwycił w ramiona staruszkę i przytulił, obracając ją łagodnie w tę i we w tę.

– To działa, Mané, działa! – cieszył się.

– Jak muchy, padają jak muchy.

– Zwijają się i padają, Mané. Pamiętasz? Dawniej zarażeni wariowali, zdzierali z siebie szaty i biegli do rzeki, żeby się utopić. Albo rozbijali się o mur.

– Chodź, Arnaud – rzekła staruszka, ciągnąc go za rękę. – Nie będziemy stali po ciemku.

Przy świetle latarki zaprowadziła go do salonu.

– Usiądź, upiekłam ci ciastka. Wiesz, dziś nie ma już kozucha z mleka, muszę dodawać śmietanę, muszę, Arnaud. Nalej sobie wina.

– Dawniej pozbywano się zarażonych w ten sposób, że wyrzucano ich przez okno, tylu ich było, i potem leżeli na ulicy jak stare materace. Smutne, hę? Rodzice, bracia, siostry...

– To nie są twoi bracia i siostry. To dzikie bestie, które nie zasługują, by chodzić po świecie. Później, dopiero później odzyskasz siły. Albo oni, albo ty. I teraz to ty.

Arnaud się uśmiechnął.

– Wiesz, że kręcą się w kółko i słabną w kilka dni?

– Dopust boży spada na nich w biegu. Mogą dalej biec. Sądzę, że teraz już wiedzą.

– Pewnie, że wiedzą, i drżą, Mané. Teraz ich kolej – odparł Arnaud, wychylając kieliszek.

– Dość tych dyrdymałów. Przyszedłeś po materiał?

– Potrzebuję ich dużo. Przyszła chwila dostawy, Mané, wiesz, rozkręcam się.

– Ale materiał to nie byle co, hę?



Na strychu staruszka szła między klatkami pośród pisków i drapania.

– No, no – mamrotała – może byście przestały się awanturować? Czy Mané nie daje wam dobrze zjeść? – Wzięła solidnie zawiązany woreczek i podała go Arnaudowi. – Masz. Powiesz, jak poszło.

Schodząc po drabinie przed Mané i asekurując ją, Arnaud wzruszony niósł w wyciągniętej ręce martwego szczura. Fachura z tej Mané jak mało kto. Jest najlepsza. Bez niej by sobie nie poradził. Obracając pierścień na palcu, pomyślał, że owszem, on jest panem i udowadnia to, ale bez niej straciłby jeszcze z dziesięć lat życia. A życia bardzo teraz potrzebował, i to szybko.

Arnaud opuścił stary dom nocą, w kieszeniach niosąc pięć kopert, w których wierciły się osobniki *Nosopsyllus fasciatus* z istic torpedowym ładunkiem w aparatach gębowych. Mówił do siebie cicho, idąc w ciemnościach brukowaną ulicą. Aparat gębowy. Żuwaczki. Ryjek, rurka ssąca, wstrzyknięcie. Arnaud lubił pchły i oprócz Mané nie miał nikogo, z kim mógłby do woli omawiać szczegóły ich przebogatej anatomii. Ale nie pcheł kocich, nie ma mowy. To niekompetentne owady, którymi gardził. Mané też nimi gardziła.

## XXIV

Tej soboty wszystkich agentów brygady kryminalnej, którzy mogli wziąć godziny nadliczbowe, poproszono, by stawili się w pracy, tak że z wyjątkiem trzech funkcjonariuszy nieobecnych z powodów rodzinnych ekipa Adamsberga, wzmocniona dwunastoma oficerami, była w komplecie. Adamsberg zjawił się już o siódmej i bez złudzeń zapoznał się z ostatnimi wynikami badań laboratoryjnych, po czym zabrał się za przeglądanie gazet, których stos przyniesiono mu na stół. W miarę możliwości starał się zastępować słowo „biurko” słowem „stół”, które wprowadzie też go nie zachwycało, ale przynajmniej ciążyło trochę mniej. „Biurko” kojarzyło mu się z kratami, kanciastymi kształtami, duszną atmosferą. W „stole” słyszał szelest piasku, widział obłóści, bajkę. Stół pływał, biurko ciążyło.

Na owym stole porozkładał ostatnie wnioski techników, które nic nowego nie wnosiły. Marianne Bardou nie została zgwałcona, jej pracodawca utrzymywał, że przebrała się na zapleczu, bo była umówiona, lecz nie powiedziała gdzie, pracodawca miał mocne alibi, podobnie jak obaj kochankowie Marianne. Zmarła uduszona około dziesiątej wieczorem, potraktowano ją gazem łzawiącym tak jak Viarda i Clerca. Poszukiwanie pałeczek dżumy dało wynik negatywny. Na ciele brak ukąszeń pcheł, tak samo jak na ciele François Clerca. Ale w jej mieszkaniu znaleziono dziewięć osobników *Nosopsyllus fasciatus*, z badania na obecność bakterii wynik negatywny. Użyty węgiel drzewny: jabłoń. Na żadnych drzwiach nie wykryto śladu maści, tłuszczu czy innej substancji.

Było wpół do ósmej, ze wszystkich stron zaczynały się rozlegać dzwonki czterdziestu trzech telefonów brygady. Adamsberg wcześniej kazał odłączyć swoją linię, do dyspozycji miał jedynie komórkę. Przyciągnął do siebie stertę gazet i zatroskał się na widok pierwszej strony pisma na samym wierzchu. Poprzedniego wieczoru, po nadaniu w informacjach o ósmej wiadomości o „czarnej śmierci”, uprzedził inspektora Brézillona, że jeżeli siewca zacznie rozsyłać do prasy swoje dobre rady „zapobiegawcze i lecznicze”, nie będą w stanie chronić potencjalnych ofiar.

– Może po kopertach się rozpozna zagrożonych? – rzekł w odpowiedzi Brézillon. – Na takim rozwiązaniu nie zogniskowaliśmy uwagi.

– Może zmienić koperty. Nie wspominając o żartownisiach albo ludziach, którzy z zemsty będą wsuwali koperty pod drzwi.

– A po pchłach? – podsunął inspektor Brézillon. – Niechby każdy pogryziony przez pchły oddawał się pod ochronę policji.

– Niekoniecznie gryzą – wyjaśnił Adamsberg. – Clerc i Bardou nie byli pogryzieni. W takim wypadku groziłoby nam też, że zjawią się tysiące przerażonych ludzi pogryzionych przez ludzkie, kocie albo psie pchły, a naprawdę zagrożeni nam przemkną.

– A przy tym wywołalibyśmy powszechną panikę – ponuro dodał Brézillon.

– Prasa już nad tym pracuje – powiedział Adamsberg. – Nic na to nie poradzimy.

– Macie poradzić – sucho zakończył Brézillon.

Adamsberg odłożył wtedy słuchawkę ze świadomością, że jego świeża nominacja na szefa kryminalnej wisi na włosku i jest w fachowych rękach siewcy dzumy. Utrata posady, przejście do innej pracy – tym się niezbyt przejmował. Ale możliwość zgubienia wątku teraz, gdy wreszcie doszedł, w którym miejscu się zabłąkał, gnębiła go w najwyższym stopniu.

Porozkładał gazety i musiał zamknąć drzwi, aby się odgrodzić od przeraźliwych dzwonek telefonicznych, które co rusz rozbrzmiewały w sali konferencyjnej, angażując wszystkich agentów.

„Krótka a prosta rozprawa” siewcy widniała na pierwszej stronie wszystkich dzienników obok zdjęcia ostatniej ofiary, z tekstem w ramce na temat dzumy, a całość opatrywały tytuły podsycające strach: „Czarna śmierć czy seryjny zabójca?”, „Powrót dopustu bożego?”, „Morderstwa czy zaraza?”, „Czwarty podejrzany zgon w Paryżu”.

I tym podobne.

Mniej ostrożni niż poprzedniego dnia dziennikarze w kilku artykułach podejmowali temat, który już nazywano „oficjalną tezą o uduszeniu”. Niemal wszędzie wymieniano dowody, które Adamsberg podał poprzedniego dnia na konferencji prasowej, po czym podawano je w wątpliwość i rozwijano własne domniemania. Poczerniona skóra zwłok

bez wątpienia skłaniała nawet najlepsze pióra do snucia szalonych domysłów i budziła dawne lęki niczym Śpiącą Królowę po blisko trzech wiekach snu. A przecież ta czerń była tylko „karygodnym błędem”. Karygodnym błędem, który mógł popchnąć miasto w otchłań szaleństwa.

Adamsberg znalazł nożyczki i zaczął wycinać artykuł, który niepokoił go bardziej niż inne. Któryś agent, prawdopodobnie Justin, zapukał i otworzył drzwi.

– Szefie – powiedział zdyszany – pojawiło się mnóstwo czwórek w okolicy placu Edgar-Quinet. Ciągną się od Montparnasse’u do avenue du Maine i wzdłuż boulevard Raspail. Podobno naliczono już dwieście do trzystu takich budynków, jakiś tysiąc drzwi. Favre i Estalère są na rekonesansie. Estalère nie chce być w parze z Favre’em, mówi, że działa mu na nerwy, co robimy?

– Zmieńcie go, idźcie z Favre’em.

– Działa mi na nerwy.

– Sierżancie... – zaczął Adamsberg.

– Komisarz Voisenet – poprawił oficer.

– Voisenet, nie mamy czasu zajmować się nerwami Favre’a, Estalère’a ani waszymi.

– Rozumiem, szefie. Zajmiemy się tym później.

– Właśnie.

– Rozsyłamy patrole?

– To jak opróżnianie łyżką morza. Fala nadciąga. Spójrzcie. – Podsunął w jego stronę gazety. – Rady siewcy są opublikowane w każdym dzienniku na pierwszej stronie: malujcie sami czwórki, żeby uniknąć zarażenia.

– Widziałem, szefie. To katastrofa. Nie damy rady. Pewność jest tylko co do tych dwudziestu dziewięciu pierwszych budynków, poza tym nie wiadomo, kogo chronić.

– Do ochrony zostało dwadzieścia pięć budynków, Voisenet. Były telefony w sprawie kopert?

– Ponad sto tylko do nas. Nie nadążamy.

Adamsberg westchnął.

– Niech ludzie dostarczą nam te cholerne koperty. I dopilnujcie, żeby zostały sprawdzone. Może trafi się jakaś autentyczna.

- Mamy dalej patrolować?
- Tak. Spróbujcie oszacować skalę tego. Statystycznie.
- Przynajmniej dzisiaj w nocy nie było morderstwa. Te dwadzieścia pięć osób rano było całych i zdrowych.
- Wiem, Voisenet.

Adamsberg na szybko zaczął wycinać artykuł, który w masie innych wyróżniał się zrównoważoną i dojrzałą treścią. Był to ostatni element, którego brakowało, aby podłożyć ogień pod beczkę prochu, strumień benzyny chluśnięty do żarzącego się paleniska. Nosił enigmatyczny tytuł: „Choroba nr 9”.

### CHOROBA NR 9

*Prefektura policji ustami inspektora Pierre’a Brézillona zapewnia, że cztery tajemnicze zgony, do których doszło w tym tygodniu w Paryżu, to dzieło seryjnego mordercy. Ofiarom zadano podobno śmierć przez uduszenie, a prowadzący dochodzenie młodszy inspektor Jean-Baptiste Adamsberg przedstawił mediom bardzo przekonujące zdjęcia śladów uduszenia. Wszystkim jednak wiadomo już dzisiaj dzięki anonimowemu informatorowi, że zgony te należy także kłaść na karb dżumy, strasznej zarazy, która ongiś pustoszyła świat.*

*W obliczu takiej dwoistości pozwalamy sobie z powątpiewaniem odnieść się do fachowych wywodów przedstawicieli naszych służb porządkowych, cofając się o osiemdziesiąt lat. Paryż wymazał ze swej pamięci historię ostatniej epidemii dżumy, choć wybuchła w stolicy nie tak dawno, mianowicie w roku 1920. Trzecia w historii pandemia dżumy zaczęła się w Chinach w 1894 roku, przetoczyła się przez Indie, gdzie pochłonęła dwanaście milionów ofiar, i dotarła do Europy Zachodniej, do wszystkich portów, do Lizbony, Londynu, Porto, Hamburga, Barcelony... i do Paryża za pośrednictwem barki, która przyплыnęła z Hawru i opróżniła ładownie na nabrzeżu w Levallois. Tak jak wszędzie w Europie, w Paryżu także choroba długo się tliła, aż po kilku latach wygasła. Niemniej zabrała dziewięćdziesiąt sześć osób, głównie na północnych i wschodnich przedmieściach miasta, w zbiorowiskach nędznych gałganiarzy mieszkających*

w zapuszczonych barakach. Zaraza przedostała się nawet do miasta i w ścisłym centrum pochłonęła około dwudziestu ofiar.

Rzecz w tym, że podczas całej epidemii francuski rząd utrzymywał ją w tajemnicy. Poddano szczepieniu narażone grupy ludności, lecz prasy nie raczono poinformować, dlaczego naprawdę podejmowane są te wyjątkowe środki ostrożności. Wydział epidemiologiczny prefektury policji w licznych pismach wewnętrznych nalegał na konieczność ukrywania zarazy przed społeczeństwem, zarazy, którą dyskretnie nazywano „chorobą nr 9”. Czytamy zatem w notatce z roku 1920 sporządzonej ręką sekretarza generalnego: „Pewną liczbę przypadków choroby nr 9 zarejestrowano w Saint-Ouen, Clichy, Levallois-Perret oraz w XIX i XX dzielnicy. [...] Zwracam uwagę na ściśle tajny charakter niniejszej noty i na konieczność dbania, by nie wzbudzić strachu wśród ludności”. Dzięki przeciekowi dziennik „L’Humanité” ujawnił prawdę w wydaniu z 3 grudnia 1920 roku: „Senat poświęcił wczorajsze posiedzenie chorobie nr 9? Czymże jest choroba nr 9? O godzinie wpół do czwartej z ust pana Gaudina de Villaine dowiedzieliśmy się, że chodzi o dżumę”...

Nie jest naszym zamiarem oskarżanie przedstawicieli sił porządkowych o fałszowanie faktów ani dzisiaj, ani niegdyś, aby ukryć przed nami rzeczywistość. To krótkie przywołanie historii ma jedynie przypomnieć obywatelom, że państwo ma swoje prawdy, których prawda nie zna i że w każdej epoce potrafiło manipulować sztuką obłudy.

Adamsberg w zamyśleniu opuścił rękę z groźnym artykułem. Dżuma w roku 1920 w Paryżu. Pierwszy raz o tym słyszał. Wybrał numer Vandooslera.

– Czytałem gazety – rzekł Marc Vandoosler, nim inspektor zdążył się odezwać. – Zmierzamy do katastrofy.

– Zmierzamy – potwierdził Adamsberg. – Ta dżuma w dwudziestym roku to prawda czy ściema?

– Stuprocentowa prawda. Dziewięćdziesiąt sześć przypadków, w tym trzydzieści cztery zakończone śmiercią. Nędzarze z przedmieść i parę osób

z miasta. Szczególnie groźnie było w Clichy, całe rodziny chorowały. Dzieci zbierały zdechłe szczury w śmietnikach.

– Dlaczego choroba się nie rozprzestrzeniła?

– Szczepienia i profilaktyka. Ale najważniejsze, że szczury wydawały się odporne. To była agonia ostatniej dżumy w Europie. Zdarzały się jeszcze pojedyncze przypadki w Ajaccio w czterdziestym piątym roku.

– To prawda, że policja zataiła sprawę? To prawda z „chorobą numer dziewięć”?

– Prawda, panie inspektorze, przykro mi. Nie mogę, niestety, zaprzeczyć.

Adamsberg rozłączył się i zaczął krążyć po pokoju. Epidemia z roku 1920 kołatała mu się po głowie z lekkim szcękaniem, jaki wydaje mechanizm otwierający ukryte drzwi. Nie tylko odnalazł swój punkt wyjścia, ale wydawało mu się również, że może się zapuścić za te uchylone drzwi, wejść na schody na poły spróchniałe – na schody historii. W kieszeni zadzwoniła mu komórka, musiał więc wysłuchać Brézillona, który wychodził z siebie po przejrzeniu porannych gazet.

– Co ma znaczyć ta przewalanka o ukrywaniu sprawy przez policję? – wrzeszczał. – Co mają znaczyć te dyrdymały o dżumie w dwudziestym roku? Hiszpanka była, owszem! Macie to zdementować, i to migiem!

– Nie mogę, panie inspektorze. To wszystko prawda.

– Jaja sobie robicie, Adamsberg? A może chcecie wrócić na te swoje górskie hale?

– Panie inspektorze, to nie ulega wątpliwości. Była dżuma, panowała w dwudziestym roku, odnotowano dziewięćdziesiąt sześć przypadków zachorowań, w tym trzydzieści cztery skończyły się śmiercią, a i policja, i rząd ukrywały to przed społeczeństwem.

– Postawcie się na ich miejscu, Adamsberg!

– Ależ stawiam się, panie inspektorze.

Zapadła cisza, po czym Brézillon trzasnął słuchawką.

Justin albo Voisenet, któryś z nich, popchnął drzwi pokoju. Voisenet.

– Nasila się, szefie. Stale dzwonią. Całe miasto wie, ludzie mają pietra, malują czwórki na drzwiach. Nie wiemy, gdzie się obrócić.

– Nie próbujcie się obracać. Dajcie się ponieść.

– Tak jest, szefie.

Znowu zadzwoniła komórka Adamsberga, który na powrót zajął swoje stałe miejsce pod ścianą. Minister? Sędzia? Im bardziej rosło napięcie innych, tym większa beztroska jego ogarniała. Odkąd odnalazł swój punkt, wszystko stało się prostsze.

Dzwonił Decambrais. On pierwszy tego dnia nie powiedział, że czytał gazety i że zanoszą się na katastrofę. Decambrais wciąż skupiał się na „ekstraniuszach”, które otrzymywał z wyprzedzeniem, zanim dotarły do AFP. Siewca ewidentnie dawał lekkie fory obwoływaczowi, jakby pragnął nadal zapewniać mu przywilej pierwszeństwa, z którego korzystał od początku, albo w dowód wdzięczności, że Le Guern bez sarkania służył mu dotąd jako odskocznia.

– Poranny ekstraniusz – rzekł Decambrais. – Wymaga zastanowienia. Długi jest, niech pan weźmie coś do pisania.

– Mam.

– „Minęło bowiem siedemdziesiąt lat” – zaczął Decambrais – „odkąd nie doświadczyli strasznych skutków owej zarazy i handlowali w pełni swobodnie, kiedy”, wielokropek, „przyplłynął”, wielokropek, „statek załadowany bawełną i innymi towarami”. Znowu wielokropek. Sygnalizuję te wielokropki, bo są w tekście.

– Wiem. Niech pan czyta dalej powoli.

– „Jednakże udzielona pasażerom zgoda na wejście do miasta z bagażami i obcowanie z mieszkańcami przyniosły niebawem okropne skutki: albowiem od”, wielokropek, „panowie medycy”, wielokropek, „przybyli do Ratusza, by uprzedzić panów Rajców, że wezwani z rana”, wielokropek, „do chorego młodzieńca nazwiskiem Eissalene, marynarza, stwierdzili, że prawdopodobnie jest dotknięty Zarazą”.

– To wszystko?

– Nie, jest ciekawe zakończenie o stanie ducha rządzących miastem, może się spodobać pańskim przełożonym.

– Słucham.

– „Ostrzeżenie owo wystraszyło Rajców; i jakby w przewidywaniu nieszczęść i zgroźń, co na nich spadną, pogrążyli się naraz w wielkim przygnębieniu, które z łatwością pozwalało dostrzec, jaka nadzwyczajna boleść ich ogarnęła. W istocie nie powinno dziwić, iż lęk przed



nadciągającą Dzumą takim strachem przejął ich umysły, ponieważ Święte Księgi mówią, że z trzech plag, które Pan Bóg zesłał ongiś na swój Lud, plaga Dzumy jest najsroźsza i najtrudniejsza do zdzierzenia...”.

– Nie wiem, czy mój szef jest bardzo przygnębiony – skomentował Adamsberg. – Raczej skłonny jest gnębić innych.

– Wyobrażam sobie. Znam ten ból. Ktoś musi polecieć. Boi się pan o swój stołek?

– Jeszcze nie wiem. Co pan sądzi o dzisiejszej wiadomości?

– Jest długa. A jest długa, bo jej przyświecają dwa cele: ma usprawiedliwić strach ludności, uzasadniając obawy rządzących, i zapowiedzieć kolejne zgony. I to precyzyjnie. Mam co do tego pewien pomysł, panie inspektorze, ale nie jestem pewien, muszę to jeszcze sprawdzić. Nie jestem specjalistą.

– Dużo ludzi zebrało się koło Le Guerna?

– Jeszcze więcej niż wczoraj. W porze sesji robi się coraz ciasniej.

– Le Guern powinien płacić placowe. Przynajmniej ktoś miałby zysk.

– Niech pan uważa, panie inspektorze. Przestrzegam przed takimi żartami w obecności Jossa. Bo Le Guernowie to może i prostytutki, ale nie złodzieje.

– To pewne?

– Tak w każdym razie twierdzi jego świętej pamięci praprapradziad. Odwiedza go od czasu do czasu. Nie bardzo rodzinnie, ale jednak dość regularnie.

– A pan namalował już czwórkę na swoich drzwiach? – zapytał Adamsberg.

– Chce mnie pan obrazić? Jeśli ktoś ma dać odpór śmiertelnej fali przesądu, na pewno będę to ja, Ducouëdic, słowo Bretończyka. Ja i Le Guern. I Lizbeth. Gdyby chciał pan do nas dołączyć, powitamy serdecznie w kwartecie.

– Pomyślę.

– Kto ulega przesądom, ten daje dowód naiwności – ciągnął Decambrais, który dosiadł swojego konika. – Kto jest naiwny, poddaje się manipulacji, a manipulacja oznacza klęskę. To największa plaga ludzkości, pochłonęła więcej ofiar niż wszystkie epidemie dzumy razem wzięte. Niech pan spróbuje złapać tego siewcę, zanim nas wyrolują. Nie wiem, czy ten

człowiek jest świadom swoich czynów, ale popełnia wielki błąd, sprowadzając paryski lud poniżej swojego poziomu.

Adamsberg zakończył połączenie, uśmiechając się w zamyśleniu. „Świadom swoich czynów”. Decambrais trącił strunę, która brzęczała w Adamsbergu od poprzedniego dnia i wzdłuż której zaczynał pomalutku kroczyć. Z tekstem „ekstraniusa” przed oczami zadzwonił do Vandooslera, akurat kiedy Justin/Voisenet otworzył drzwi i na migi dał mu znać, że namalowane czwórki widnieją już na drzwiach w siedmiuset budynkach. Adamsberg mrugnięciem potwierdził przyjęcie informacji, obliczając, że w tym tempie przed wieczorem takich budynków będzie kilka tysięcy.

– Vandoosler? Jeszcze raz Adamsberg. Ma pan chwilkę? Przeczytałbym panu poranny ekstranius. Niewiele czasu panu zajmę.

– Proszę czytać.

Marc uważnie słuchał, gdy inspektor powoli opisywał nieszczęście, które rychło spadnie na miasto za pośrednictwem młodego Eissalene’a.

– I co? – rzekł Adamsberg, skończywszy, jakby konsultował słownik. Nie dopuszczał możliwości, że cysterna Marca Vandooslera nie objaśni mu tajemnicy nowej wiadomości.

– Marsylia – powiedział Marc zdecydowanie. – Dżuma dociera do Marsylii.

Adamsberg spodziewał się jakiegoś numeru ze strony siewcy, ponieważ jego tekst opisywał nowe ognisko zarazy, lecz nie przypuszczał, że sprawa wyjdzie poza Paryż.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent. Tu chodzi o statek Grand Saint-Antoine, który dwudziestego piątego maja tysiąc siedemset dwudziestego roku dotarł do wysepek przy zamku If. Przyplłynął z Syrii i Cypru z ładunkiem zainfekowanych bel bawełny, w trakcie rejsu choroba zdążyła zdziesiątkować załogę. Brakujące tu nazwiska lekarzy to Peissonelowie ojciec i syn, oni podnieśli alarm. To znany tekst, epidemia zresztą też, bo zabrała blisko połowę mieszkańców miasta.

– A ten chłopak, ten Eissalene, u którego byli lekarze... wie pan, gdzie go znaleźli?

– Przy placu Linche, dzisiaj to plac de Lenche, za północnym nabrzeżem

Starego Portu. Pierwotne ognisko epidemii spustoszyło rue de l'Escale. Tej ulicy już nie ma.

– Dopuszcza pan możliwość pomyłki?

– W żadnym razie. To Marsylia. Mogę panu przesłać kopię tekstu oryginalnego, jeśli chce pan mieć potwierdzenie.

– Nie trzeba. Bardzo panu dziękuję.

Adamsberg wyszedł z biura poruszony. Odszukał Danglarda, który wraz z trzydziestoma innymi agentami próbował zapanować nad telefonami od mieszkańców i oszacować rosnącą siłę burzy przesądu. Sala konferencyjna śmierdziała piwem i przede wszystkim potem.

– Niedługo – powiedział Danglard, odkładając słuchawkę i notując jakąś liczbę – w całym mieście nie dostaniesz jednej puszki farby.

Popatrzył na Adamsberga, na czole kroplił mu się pot.

– Marsylia – rzekł Adamsberg, podsuwając mu przed oczy tekst „ekstraniusa”. – Siewca startuje. Przejedziemy się, Danglard.

– O rany... – jęknął Danglard, szybko przebiegając tekst wzrokiem. – Przybicie Grand Saint-Antoine.

– Znasz ten fragment?

– Teraz, jak powiedziałeś, rozpoznaję go. Nie wiem, czybym od razu na to wpadł.

– Jest bardziej znany niż inne?

– Jasne. To była ostatnia epidemia we Francji, ale okrutna.

– Nie ostatnia – zauważył Adamsberg, podając mu artykuł o „chorobie nr 9”. – Przeczytaj to, a zrozumiesz, dlaczego dzisiaj nie znajdziesz choćby jednego paryżanina, który by wierzył słowu policjanta.

Danglard przeczytał i pokręcił głową.

– Katastrofa – powiedział.

– Nie używaj tego słowa, Danglard, błagam. Połącz mnie z wydziałem w Marsylii, rejon Starego Portu.

– Rejon Starego Portu to Masséna – mruknął Danglard, który znał szefów prefektur i wydziałów w całym kraju równie dobrze jak stolice okręgów. – Przyzwoity gość, nie taki brutal jak jego poprzednik, którego w końcu zdegradowali za pobicie Arabów z zamiarem okaleczenia. Masséna go

zastąpił, jest w porządku.

– I dobrze – powiedział Adamsberg. – Bo trzeba będzie połączyć siły.

Pięć po szóstej Adamsberg zajął miejsce na placu Edgar-Quinet, aby wysłuchać wieczornej sesji, która nie wniosła nic nowego. Odkąd siewca musiał pocztą przysyłać wiadomości obwoływaczowi, możliwości czasowe mocno mu się ograniczyły. Adamsberg wiedział o tym i przyszedł na plac tylko po to, aby obejrzeć sobie twarze ludzi, którzy się gromadzili wokół Le Guerna. Tłum był znacznie gęstszy niż w poprzednich dniach, toteż wiele osób wyciągało szyję, by zobaczyć, jak właściwie wygląda ten „obwoływacz”, za którego pośrednictwem podano zapowiedź zarazy. Dwaj agenci, którzy stale pilnowali placu, mieli równocześnie czuwać nad bezpieczeństwem Le Guerna, w razie gdyby podczas sesji publiczność zaczęła okazywać mu wrogość.

Adamsberg ustawił się oparty o pień drzewa dość blisko podwyższenia, a Decambrais opowiadał mu o znajomych obecnych na placu. Wcześniej już sporządził listę około czterdziestu osób, które podzielił na trzy grupy: wytrwałych, wiernych i niestałych, dodając do nazwisk „przedmiotowe”, jak mawiał Le Guern, opisy wyglądu fizycznego. Podkreślił na czerwono nazwiska tych, którzy przy okazji „Kartki z historii Francji” zawierali zakłady o to, jak się zakończy przedstawiana katastrofa u wybrzeży Bretanii, na niebiesko szybkich, którzy spieszyli do pracy zaraz po zakończeniu sesji, na żółto maruderów, którzy zostawali pogadać na placu lub w Wikingu, na fioletowo bliskich znajomych nie związanych z godzinami targowymi. Zrobił to porządnie i klarownie. Z kartką w dłoni dyskretnie wskazywał inspektorowi poszczególne twarze warte zapamiętania.

– Carmella, austriacki trójmasztowiec o wyporności czterystu pięciu ton, wypłynął bez ładunku z Bordeaux do Cardiff. Poszedł na dno na Gazck-ar-Vilers. Załoga w liczbie czternastu ludzi uratowana – zakończył Joss i zeskoczył z podwyższenia.

– Szybko, niech pan patrzy – rzekł Decambrais. – Wszyscy, którzy wyglądają na zdziwionych, wszyscy, którzy marszczą brwi, wszyscy, którzy nic nie rozumieją, to nowi.

– Niebiescy – zauważył Adamsberg.

– Właśnie. Ci, którzy dyskutują, kręcą głową, gestykulują, to stali słuchacze.

Decambrais zostawił inspektora, spieszył się bowiem, aby pomóc Lizbeth obrać zieloną fasolkę szparagową, której kilka kobiałek tanio kupili, Adamsberg zaś poszedł do Wikinga, gdzie wsunął się pod dziobem drakkaru na miejsce przy stoliku, który uważał już za swój. Ci, którzy obstawiali katastrofę morską, zgromadzili się przy barze i pieniądze przechodziły z rąk do rąk przy akompaniamencie hałaśliwych rozmów. Listę zakładów prowadził Bertin, żeby nie było szachrowania. Z racji boskiego pochodzenia powszechnie uważano, że Bertin to człowiek pewny, odporny na przekupstwo.

Adamsberg zamówił kawę i zapatrzył się na profil Marie-Belle, która pilnie pisała list przy sąsiednim stole. Była delikatną dziewczyną, można by ją nawet uznać za piękność, gdyby natura dała jej usta wyraźniej zarysowane. Włosy miała takie jak brat, gęste i kręcone, opadające na ramiona, tyle że czyste i jasne. Uśmiechnęła się do niego i wróciła do pisania. Siedziała z nią młoda kobieta imieniem Éva, która próbowała jej pomagać. Nie była taka ładna, bo niewątpliwie nie była taka wolna, twarz miała spokojną i poważną, oczy podkrążone sino – tak Adamsberg wyobrażał sobie dziewiętnastowieczną heroinę zamkniętą na prowincji w domu wyłożonym drewnianą boazerią.

– Będzie dobrze? Myślisz, że zrozumie? – spytała Marie-Belle.

– Jest dobrze – rzekła Éva – tylko trochę krótko.

– Napisać, jaka u nas pogoda?

– No na przykład.

Marie-Belle wróciła do pisania, mocno ściskając długopis w palcach.

– „Przeziębł” pisze się przez „rz”, nie przez „sz”.

– Jesteś pewna?

– Tak mi się zdaje. Poczekaj, zobaczę.

Éva napisała słowo kilka razy na luźnej kartce, po czym zmarszczyła brwi niezdecydowana.

– Sama już nie wiem. Pomyliło mi się.

Marie-Belle odwróciła głowę do Adamsberga.

– Panie inspektorze – zagadnęła nieśmiało – „przeziębł” pisze się przez „rz” czy przez „sz”?

Pierwszy raz w życiu zasięgnano rady Adamsberga w kwestii ortograficznej, a on nie potrafił odpowiedzieć.

– W zdaniu: „Ale Damas się nie przeziębł” – uściśliła Marie-Belle.

– Zdanie tu nie ma nic do rzeczy – rzekła cicho Éva wciąż pochylona nad swoją kartką.

Adamsberg wyjaśnił, że nie zna się na ortografii, czym Marie-Belle wyraźnie się przejęła.

– Ale pan jest policjantem – zaproponowała.

– Tak to już jest.

– Uciekam – powiedziała Éva, dotykając ręki Marie-Belle. – Obiecałam Damasowi, że pomogę mu zrobić kasę.

– Dzięki – odparła Marie-Belle. – To miłe, że mnie zastąpisz. Bo przez ten list na nic nie będę miała czasu.

– Ach, dla mnie to rozrywka – rzekła Éva.

Zniknęła cichutko, a Marie-Belle zaraz się odwróciła do Adamsberga.

– Panie inspektorze, mam mu powiedzieć o tym... o tej zarazie? Czy lepiej nic nie mówić?

Adamsberg wolno pokręcił głową.

– Nie ma żadnej zarazy.

– A te czwórki? I czarne ciała?

Adamsberg znów pokręcił głową.

– Morderca wystarczy z naddatkiem. Ale dżumy nie ma. Ani śladu.

– Można panu wierzyć?

– Na ślepo.

Marie-Belle uśmiechnęła się i tym razem całkiem rozluźniła.

– Boję się, że Éva się zakochała w Damasie – powiedziała, marszcząc brwi, jakby Adamsberg, skoro rozwiązał sprawę dżumy, mógł teraz rozwikłać wszystkie komplikacje w jej życiu. – Doradca mówi, że to dobrze, że życie do niej wraca, że trzeba jej zostawić swobodę. Ale ja tym razem się z nim nie zgadzam.

– Bo?

– Bo Damas się kocha w grubej Lizbeth, dlatego.

– Nie lubi pani Lizbeth?

Marie-Belle wyduła usta, lecz zaraz się opanowała.

– Dzielna z niej dziewczyna – powiedziała – ale strasznie jest głośna. Nawet ja się jej trochę boję. W każdym razie tutaj Lizbeth jest normalnie nietykalna. Doradca mówi, że jest jak drzewo, które daje schronienie setkom ptaków. Proszę bardzo, tylko że to drzewo diabelnie wali po uszach. A poza tym Lizbeth wszędzie się rządzi. Wszyscy faceci pełzają u jej stóp. Bo normalnie z jej doświadczeniem...

– Jest pani zazdrosna? – spytał Adamsberg z uśmiechem.

– Doradca mówi, że tak, ale ja nie zdaję sobie z tego sprawy. Wkurza mnie tylko, że Damas przesiaduje tam całąmi wieczorami. Trzeba przyznać, że jak się słucha śpiewu Lizbeth, człowiek normalnie dostaje się pod jej urok. Damasa naprawdę wzięło i nie zauważa Évy, bo ona nie robi szumu. Pewnie, że Éva jest normalnie dość nudna, ale to po tym, co przeżyła. – Marie-Belle obrzuciła Adamsberga inkwizytorskim spojrzeniem, sprawdzając, czy coś wie o Évie czy nie. Wyraźnie nic nie wiedział. – Mąż tłukł ją latami – wyjaśniła, nie mogąc się oprzeć pokusie. – Uciekła od niego, ale on jej szuka, bo chce ją zabić, wyobraża sobie pan? Jak to możliwe, że policja nie zabije wcześniej jej męża? Nikt nie może znać nazwiska Évy, to rozkaz doradcy, i biada temu, kto by w tym grzebał. On zna jej nazwisko, ale ma prawo, bo to doradca.

Adamsberg dawał się nieść rozmowie, od czasu do czasu zerkając, co się dzieje na placu, który z wolna pustoszał. Le Guern mocował skrzynkę na noc do platana. Zgiełk telefonów, który zdawał się ciągnąć za inspektorem aż tutaj, przycichał powoli. Im głupsza stawała się ta pogawędka, tym bardziej się rozluźniał. Zaczynał mieć powyżej uszu intensywnych rozważań.

– W porządku – mówiła Marie-Belle, odwróciwszy się całkiem twarzą do niego – dla Évy to dobrze, bo nie mogła po tym znieść facetów. To jej otwiera oczy. Przy Damacie uczy się, że są lepsi mężczyźni niż ten gnój, który ją lał. I dobrze też dlatego, że kobieta bez mężczyzny to normalnie o tyłek roztrząść. Lizbeth w to nie wierzy, mówi, że miłość to ściema, żeby wszystko się kręciło. Mówi nawet, że to bzdety, więc sam pan widzi.

– Była prostytutką? – spytał Adamsberg.

– Skądże! – odparła Marie-Belle zszokowana. – Co pan wygaduje?

Adamsberg pożałował, że zadał to pytanie. Niewinność Marie-Belle przerastała jego przewidywania, co było tym bardziej relaksujące.

– Ano, taki ma pan fach – stwierdziła Marie-Belle ze smutkiem. – To wszystko wykoślawia.

– Obawiam się, że tak.

– A pan wierzy w miłość? Rozpytuję o to na prawo i lewo, bo tutaj zdanie Lizbeth to świętość.

Ponieważ Adamsberg milczał, Marie-Belle pokiwała głową.

– Normalnie z tym wszystkim, czego się pan naogląda... – rzekła. – Ale doradca jest za miłością, choćby i była bzdetem. Mówi, że lepszy dobry bzdet niż pierdzenie w stołek. I to prawda, jak chodzi o Évę. Więcej w niej życia, odkąd wieczorem robi kasę z moim bratem. Tyle że Damas kocha się w Lizbeth.

– Tak – zgodził się Adamsberg, bez przykrości zauważając, że mieli w kółko ten sam temat. Im dłużej będą go mleć, tym mniej będzie musiał mówić i tym dłużej nie będzie pamiętał o siewcy i setkach drzwi, które także w tej chwili zdobione są odwróconymi czwórkami.

– A Lizbeth nie kocha się w Damacie. Więc Évie normalnie będzie przykro, Damas też się zmartwi, a Lizbeth to nie wiem.

Marie-Belle zaczęła się zastanawiać nad jakąś inną kombinacją, która by odpowiadała wszystkim.

– A pani? – zagadnął Adamsberg. – Jest pani w kimś zakochana?

– Och... – Marie-Belle porumieniała i postukała w swój list. – Mam dwóch braci, a to dość facetów, którymi trzeba się zajmować.

– Pisała pani do brata?

– Młodszego. Mieszka w Romorantin i cieszy się z wieści. Piszę do niego co tydzień, dzwonię. Chciałabym, żeby przyjechał do Paryża, ale on się boi Paryża. I on, i Damas nie są za bardzo zaradni. Zwłaszcza mały. Muszę mu wszystko mówić, co ma zrobić, nawet z dziewczynami. Chociaż to ładny chłopak, jasny blondyn. Ale nie, czeka, aż go popchnę, inaczej sam palcem nie kiwnie. No więc normalnie muszę się nimi zajmować, póki się nie pożenią. Mam co robić, zwłaszcza jeśli Damas chce latami na darmo czekać na Lizbeth. Kto go potem pocieszy? Doradca mówi, że nie muszę się nim



zajmować.

– Ma rację.

– A on się dobrze zajmuje ludźmi. Przez cały dzień drzwi u niego się nie zamykają i nikt tam nie wyrzuca kasy w błoto. Jego rady to nie byle co. Ale mimo wszystko nie mogę zostawić braci.

– Nie ma przeszkód, żeby równocześnie kogoś pokochać.

– Są, są – stanowczo odrzekła Marie-Belle. – Normalnie przy pracy w sklepie mało się widuję z ludźmi. Tu, przy placu, nikt mi nie wpadł w oko. Doradca mówi, żebym się rozejrzała gdzieś dalej.

Zegar w lokalu wybił wpół do ósmej i Marie-Belle zerwała się na nogi. Szybko włożyła list do koperty, nalepiła znaczek i wsunęła ją do torebki.

– Przepraszam, panie inspektorze, ale muszę lecieć. Damas czeka.

Wybiegła z Wikinga, a Bertin przyszedł zebrać naczynia.

– Gaduła – powiedział, jakby tłumaczył Marie-Belle. – Nie trzeba wierzyć we wszystko, co mówi o Lizbeth. Jest zazdrosna, bo się boi, że Lizbeth zabierze jej brata. Ludzka rzecz. Lizbeth to kobieta, która jest ponad to wszystko, ale nie każdy to rozumie. Zostaje pan na kolację?

– Nie – odparł Adamsberg, podnosząc się. – Mam robotę.

– Niech pan powie – zagadnął Normandczyk, idąc za nim do drzwi – trzeba w końcu malować te czwórki czy nie?

– Podobno jest pan synem boga gromu? – odparł Adamsberg, odwracając się do niego. – Czy to tylko plotki, które usłyszałem na placu?

– Jestem – zapewnił Bertin, unosząc podbródek. – Po Toutinach ze strony matki.

– No to niech pan nie maluje czwórek, jeśli nie chce pan, żeby słynni przodkowie wykopali pana ze swojego grona.

Bertin zamknął za nim drzwi z brodą wciąż wysoko uniesioną i solennym postanowieniem, że póki żyw, żadna czwórka nie pojawi się na drzwiach Wikinga.

Pół godziny później Lizbeth zwołała lokatorów na kolację. Decambrais postukał w kieliszek nożem, prosząc o ciszę – uważał to za dość prostackie, acz niekiedy konieczne. Castillon takie przywołanie do porządku doskonale rozumiał i reagował na nie w mgnieniu oka.

– Nie mam zwyczaju narzucać zachowania swoim gościom – Decambrais wolał to określenie zamiast zbyt konkretnego terminu „lokatorzy” – którzy w swoich pokojach są władcami – zaczął. – Zważywszy jednak na wyjątkowe okoliczności, usilnie proszę wszystkich, by nie ulegali kolektywnemu amokowi i powstrzymali się przed malowaniem na drzwiach znaków ochronnych. Coś takiego okryłoby hańbą ten dom. Szanując jednak wolność osobistą każdego, nie będę się sprzeciwiał, jeżeli ktoś z was będzie sobie życzył ochrony tej czwórki. Ale będę wdzięczny, jeśli ta osoba przeniesie się gdzie indziej, póki będzie trwało to szaleństwo, w które stara się nas wciągnąć siewca dżumy. Chcę wierzyć, że nikt z was nie pisze się na taki projekt.

Powiódł wzrokiem po siedzących w milczeniu przy stole. Odnotował, że Éva jest niezdecydowana, Castillon uśmiecha się zuchowato, choć wcale nie jest spokojny, Joss ma to w nosie, a Lizbeth się pieni na samą myśl, że ktoś miałby umieścić czwórkę na terenie jej podległym.

– Czyli załatwione – odezwał się Joss, który mocno zgłodniał. – Przegłosowane.

– No ale gdyby pan nie czytał wiadomości tego diabła... – powiedziała do niego Éva.

– Ja tam diabła się nie boję, paniusiu – odparł Joss. – Fale to co innego, od nich ciarki latają po grzbiecie. Ale diabła, czwórki i cały ten bajzel możesz sobie pani wsadzić do kieszeni i nakryć chusteczką. Słowo Bretończyka.

– Racja – przytaknął Castillon, którego przemowa Jossa postawiła do pionu.

– Racja – powtórzyła Éva cichutko.

Lizbeth nic nie dodała, tylko rozlała zupę, nikomu nie żałując.

## XXV

Adamsberg liczył, że niedziela i ograniczona podaż prasy przygaszą ogień. Ostatnie szacunkowe dane z poprzedniego wieczoru zmartwiły go, choć nie zdziwiły: cztery do pięciu tysięcy budynków w Paryżu oznaczono odwróconą czwórką. Z drugiej strony niedziela dawała czas paryżanom na zajęcie się drzwiami, toteż liczba ta mogła dramatycznie wzrosnąć. W sumie wszystko zależało od pogody. Jeśli 22 września będzie ładnie, ludzie wyjadą z miasta i cała historia trochę przycichnie. Jeśli będzie pochmurno, duch podupadnie w narodzie i drzwi na tym ucierpią.

Ledwie się obudził, jeszcze z łóżka najpierw popatrzył w okno. Padało. Przedramionami zasłonił oczy i umocnił się w postanowieniu, że jego noga dziś nie postanie w brygadzie. Dyżurna ekipa potrafi go znaleźć, jeżeli siewca znów uderzył w nocy mimo wzmocnionych straży wystawionych w dwudziestu pięciu budynkach oznaczonych na początku.

Po prysznicu położył się w ubraniu na łóżku i czekał ze wzrokiem utkwionym w sufit, błędząc myślami. O wpół do dziesiątej wstał, uznawszy, że dzień jest wygrany przynajmniej na tym froncie. Siewca nie zabił.

Udał się na umówione poprzedniego dnia spotkanie z psychiatrą, doktorem Ferezem, który czekał na nabrzeżu na wyspie Świętego Ludwika. Adamsberg nie mógł znieść myśli, że miałby się zamknąć z nim w jego gabinecie wciśnięty w krzesło, toteż wymógł na nim, że pogadają na dworze, patrząc na wodę. Ferez nie zwykł naginać się do woli swoich pacjentów, Adamsberg jednak nie był pacjentem, a kolektywne emocje, które wzbudził człowiek od czwórek, intrygowały go od pierwszych chwil.

Adamsberg zobaczył Fereza z daleka, bardzo wysokiego, leciutko przygarbionego mężczyznę pod dużym szarym parasolem, o kwadratowej twarzy, wysokim czole, głowie otoczonej wianuszkami siwych włosów, które połyskiwały na deszczu. Poznał go dwa lata wcześniej przy okazji jakiejś kolacji, acz zapomniał, u kogo się odbyła. Człowiek ten – który do wszystkiego podchodził z lekką flegmą, okazywał powściągliwe zadowolenie z życia i w stosunku do innych przejawiał dyskretną rezerwę,

potrafiąc ją w jednej chwili przemienić w prawdziwą uwagę, jeśli go o to poproszono – zmodyfikował dość utrwalone wyobrażenia, jakie Adamsberg miał o tej profesji. I odtąd zasięgał porady Fereza, ilekroć jego intuicyjne zrozumienie zachowań bliźnich natrafiało na mur w postaci niedostatku wiedzy medycznej.

Adamsberg, który nie miał parasola, przyszedł na spotkanie przemoczony. Ferez o mordercy i jego obsesjach wiedział tylko tyle, ile podały media, wysłuchał więc dodatkowych szczegółów, nie odrywając od inspektora wzroku. W pozbawionej wyrazu masce, którą jako lekarz z zawodowego obowiązku automatycznie przywdziewał, żywym blaskiem jarzyły się jasne oczy wpatrzone w usta rozmówcy.

– Moim zdaniem – rzekł Adamsberg po trzech długich kwadransach opowieści, której lekarz ani razu nie przerwał – trzeba przede wszystkim wyjaśnić, dlaczego morderca ucieka się do dżumy. Nie posługuje się przecież jakąś banalną ideą, którą znają wszyscy, jak na przykład... – Urwał, szukając słów. – Na przykład modny temat, który nikogo nie zaskoczy...

Znowu przerwał. Miewał czasem problemy z trafnym nazwaniem po imieniu pewnych rzeczy. Ferez w żaden sposób nie próbował mu pomóc.

– No na przykład jak apokalipsa na przełomie tysiącleci albo fantasy heroiczna.

– Tak – potwierdził Ferez.

– Albo jak oklepane strachy wampiryczne, chrystologiczne czy solarne. Coś takiego mogłoby służyć jako czytelna przykrywka dla mordercy, który chce zrzucić z siebie odpowiedzialność za swoje czyny. Mówiąc „czytelna”, mam na myśli, że zrozumiała dla wszystkich, współczesna. Ten człowiek występowałby wtedy jako Władca Bagien, wysłannik Słońca czy Kosmosu i każdy od razu by pojął, że jakiemuś świrowi odwaliło albo został podpuszczony przez jakąś sektę. Czy wyrażam się jasno?

– Proszę kontynuować. Nie chce pan skorzystać z mojego parasola?

– Dzięki, zaraz przestanie padać... Ale przez tę dżumę siewca wyszedł poza swoje czasy. Jest anachroniczny, „groteskowy”, jak mówi mój partner. Jest groteskowy, bo mu się wszystko pomieszało, bo ta dżuma wpada w naszą epokę jak Piłat w credo. Siewca się nie zbłąźnił, chodzi swoimi

ścieżkami, których nikt inny nie zna. Czy nadal wyrażam się jasno?

– Proszę kontynuować – powtórzył Ferez.

– W dodatku ta dżuma, chociaż taka archaiczna, budzi historyczne lęki, wcale nie takie małe, jak by się wydawało, ale to osobny temat. Mnie na wątrobie leży oderwanie tego faceta od epoki, niezrozumiały wybór wątku, o którym nikt, absolutnie nikt nie ma pojęcia. I musimy ogarnąć właśnie to co niezrozumiałe. Nie twierdzą, że nie ma paru ludzi oblatanych w tym temacie... z historycznego punktu widzenia oczywiście. Sam znam jednego. Ale niech mnie pan poprawi, jeśli się mylę: choćby człowiek całkiem się uzależnił od przedmiotu swoich badań, nie może tak bardzo nim przesiąknąć, żeby ten przedmiot stał się siłą sprawczą serii morderstw.

– To prawda. Przedmiot badań pozostaje poza osobowością impulsywną, zwłaszcza jeśli późno się nim zajęto. To aktywność, nie popęd.

– Nawet jeżeli ta aktywność przeobraża się w szaleństwo?

– Nawet wtedy.

– Z wyboru siewcy wykluczam więc wszelką motywację natury intelektualnej, wykluczam też przypadek. To nie jest człowiek, który sobie powiedział: okej, biorę dopust boży, to da efekt gromu z jasnego nieba. To nie jest żartowniś ani mistyfikador. Niemożliwe. Siewca nie ma takiego dystansu. On w to mocno wierzy. Odwrócone czwórki maluje z prawdziwym uczuciem, jest zanurzony w swojej sprawie po uszy. Wykorzystuje dżumę instynktownie, bez cienia właściwego kontekstu kulturowego. Wisi mu, czy będzie rozumiany czy nie. On rozumie, to mu wystarcza. Wykorzystuje dżumę, bo tak trzeba. Do tego doszedłem.

– Dobrze – przytaknął mu Ferez cierpliwie.

– Skoro siewca tak postępuje, znaczy, że dżuma jest w nim, głęboko zakorzeniona. Co oznacza, że to sprawa...

– Rodzinna – dokończył Ferez.

– Właśnie. Zgadza się pan?

– Co do tego nie ma wątpliwości. Bo nie widzę innego wyjścia.

– Świetnie – rzekł Adamsberg z ulgą, czując, że w zakresie słownictwa najgorsze ma za sobą. – Z początku – podjął – myślałem, że facet się zaraził w młodości w jakim dalekim kraju, miał pecha, przeżył traumę, sam nie wiem... Ale nie byłem zadowolony.

– I? – zachęcił go Ferez.

– I łamałem sobie głowę, szukając, w jaki sposób w dzieciństwie można odczuwać skutki dramatu, który zakończył się w początkach osiemnastego wieku. Doszedłem do jedynego logicznego wniosku: że siewca ma dwieście sześćdziesiąt lat. Nadal nie byłem zadowolony.

– Nieźle. Interesujący pacjent.

– Potem się dowiedziałem, że w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku w Paryżu panowała dżuma. W n a s z y m wieku, i to już mocno zaawansowanym. Wiedział pan o tym?

– Nie – przyznał Ferez. – Słowo daję.

– Dziewięćdziesiąt sześć przypadków zachorowań, trzydziestu czterech zmarłych, większość na ubogich przedmieściach. I tak sobie myślę, doktorze, że właśnie jego rodzina doświadczyła tego koszmaru, częściowo przez niego przeszła, może pradziadowie. Że ten dramat utrwalił się w postaci mitu rodzinnego.

– To się nazywa widmo rodzinne – wtrącił lekarz.

– Aha. Utrwalił się i tym sposobem dżuma wsączyła się w umysł dziecka za pośrednictwem przetrzebienia przodków, o czym stale opowiadano. Chłopca moim zdaniem. Stała się więc naturalną częścią jego życia, jego...

– Otoczenia psychicznego.

– Właśnie. Jest elementem naturalnym, a nie wydumaną starą figurą historyczną, jak my na to patrzymy. Znajdę nazwisko siewcy wśród trzydziestu czterech ofiar dżumy z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku.

Adamsberg przystanął, skrzyżował ręce i popatrzył na lekarza.

– Niezły pan jest, inspektorze – rzekł Ferez z uśmiechem. – I jest pan na dobrej drodze. Ale do widma rodzinnego niech pan doda jakieś gwałtowne perturbacje, które pozwoliły mu się zainstalować w siewcy. Widma zawsze wiją gniazdo w pęknięciach.

– Rozumiem.

– Obawiam się jednak, że zmartwię pana. Nie szukałbym siewcy w rodzinie przetrzebionej przez dżumę, tylko w rodzinie oszczędzonej. A tu ma pan tysiące możliwości, nie trzydzieści cztery.

– Dlaczego w oszczędzonej?

– Bo pański siewca posługuje się dżumą jako narzędziem mocy.

– No i?

– Tak by nie było, gdyby dżuma jego rodzinę pokonała. Wtedy by jej nienawidził.

– No właśnie, tak myślałem, że gdzieś popełniam błąd – powiedział Adamsberg, znowu ruszając naprzód z rękami założonymi z tyłu.

– To nie błąd, tylko zboczenie w złym kierunku. Bo skoro siewca używa dżumy jako instrumentu władzy, to znaczy, że choroba swego czasu dała władzę jego rodzinie. Dom musiał zostać oszczędzony jakby cudem w dzielnicy, gdzie wszyscy inni umierali. I być może rodzina drogo zapłaciła za ten cud. Szybko wezbrała nienawiść wobec tych, którzy wyszli cało, potem zaczęto ich podejrzewać o korzystanie z jakiejś tajemnej siły, a na koniec oskarżono o rozsiewanie zarazy. Wie pan, wiecznie to samo. Nie zdziwiłbym się, gdyby tę rodzinę wytykano palcami, lżono i grożono jej, aż wszyscy musieli porzucić dom i uciec, żeby sąsiedzi nie rozszarpali ich żywcem.

– Jak rany!... – prychnął Adamsberg, kopiąc w kępkę trawy pod drzewem. – Ma pan słuszność.

– To jedna z możliwości.

– Właściwa. Mit rodzinny opowiada o cudzie, jakim było przetrwanie wszystkich, a potem o postawieniu pod pręgierzem i izolacji. Mitem jest uniknięcie dżumy, ba! zapanowanie nad nią. Ci ludzie mogli być dumni z tego, co im zarzucano.

– Tak jest zazwyczaj. Niech pan powie komuś, że jest głupi, a usłyszy pan w odpowiedzi, że jest z tego dumny. Zwykły odruch obronny niezależny od oskarżenia.

– Widmo to ich odmienność, panowanie nad dopustem bożym, którego ciągle się uczą.

– Jeśli chodzi o siewcę, inspektorze, niech pan nie zapomina: rozbita rodzina, strata ojca albo matki, poczucie porzucenia, a więc ogromna słabość. To najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, dlaczego chłopiec tak mocno się uczeplił siły rodzinnej chluby, dla niego jedyne źródła mocy. Na pewno ciągle rozpamiętywanej przez dziadka. Skutki dramatycznych wydarzeń przenoszą się na co drugie pokolenie.

– Po tym nie znajdę go w urzędzie stanu cywilnego – rzekł Adamsberg,

znęcając się nad wciąż tą samą kępką trawy. – Dżumy uniknęły setki tysięcy ludzi.

– Przykro mi.

– Trudno, doktorze. Bardzo mi pan pomógł.



## XXVI

Adamsberg szedł w górę boulevard Saint-Michel chodnikiem, nad którym znowu świeciło słońce. Kurtkę niósł w ręce, żeby przeschła. Nie próbował walczyć z punktem widzenia Fereza, wiedział bowiem, że lekarz ma słuszność. Siewca tym samym stawał poza jego zasięgiem, chociaż inspektor już myślał, że ma go w garści. Jedyłą nadzieją pozostawał plac Edgar-Quinet, ku któremu Adamsberg się kierował. Prawnik łachmaniarzy z roku 1920 był na placu – ten wniosek ciągle do niego wracał. Był tam albo często przychodził mimo zagrożenia. W sumie czego miał się bać? Czuł się panem sytuacji i udowodnił to w takiej chwili swojego życia, kiedy tego potrzebował. Nie wystraszy go dwudziestu ośmiu gliniarzy – jego, który władał dopustem bożym i jednym ruchem dłoni mógł go zatrzymać. Dlatego tych dwudziestu ośmiu gliniarzy to po prostu jak dwadzieścia osiem ptasich gówien.

I wszystko wskazywało na to, że siewca nie bez kozery się pyszni. Paryżanie byli mu posłuszni, sumiennie malowali talizman na drzwiach. A dwudziestu ośmiu gliniarzy pozwalało, by trup ścielił się gęsto. Już były cztery ofiary, a on nie miał zielonego pojęcia, jak zapobiec następnym. No chyba że stanie na skrzyżowaniu i będzie patrzył, choć nie wiedział nawet, czego wypatrywać, a przy okazji wysuszy sobie kurtkę i nogawki spodni.

Dotarł do placu w chwili, gdy rozbrzmiał grzmiący gong Normandczyka. Teraz Adamsberg wiedział, w czym rzecz, toteż przyspieszył kroku, by załapać się na gorące danie. Zasiadł do niego przy stole z Decambrais'm, Lizbeth, Le Guernem, melancholijną Éwą i ludźmi, których nie znał. Jakby na rozkaz, najwyraźniej wydany przez Decambrais'go, starano się mówić o wszystkim oprócz siewcy. Za to przy sąsiednich stołach Adamsberg słyszał rozmowy właśnie na ten temat, przy czym niektórzy zdecydowanie popierali punkt widzenia podejrzliwego dziennikarza: gliniarze ich okłamują. Te zdjęcia uduszonych – śmiech bierze, za kogo oni ich mają? Za

kompletnych kretynów? Tiaaa, rzekł na to ktoś, ale skoro te trupy umarły na dzumę, ciekawym, jak to się stało, że miały czas się rozebrać, zanim strzeliły kopytami, i ładnie poskładały swoje rzeczy? Albo jak wlażyły pod furgon? Jak to wytłumaczysz, jeśli łaska? To ci się kojarzy z dzumą czy bardziej z morderstwem? Słuszna uwaga, pomyślał Adamsberg i obejrzał się, by popatrzeć na inteligentną poważną twarz grubej kobiety w obcisłej kwiecistej bluzce. Nie mówię przecie, że to proste, odparł z przejęciem siedzący naprzeciw niej rozmówca. To wcale nie tak, wtrącił kto inny, chudy człowiek o miękkim głosie. Mamy tu jedno i drugie równocześnie. Oni pomarli na dzumę, ale ktoś chce, żebyśmy o tym wiedzieli, więc ich wynosi z domu i rozbiera, by każdy zobaczył co i jak i miał rozeznanie. To nie oszust. On próbuje pomóc. Aha, podjęła kobieta, tylko czemu nie gada jakoś jasno? A w ogóle nigdy nie miałam zaufania do faceta, który się kryje. Kryje się, bo nie może się ujawnić, ciągnął ten o miękkim głosie, w miarę mówienia rozwijając swoją teorię. Gościu robi w laboratorium i wie, że jakoś wypuścili dzumę, ktoś rozbił próbkę czy coś. Nie może o tym mówić, bo laboratorium ma prikaz cicho siedzieć, żeby się nie rozeszło wśród narodu. Rząd nie lubi, jak naród podskakuje. Dlatego mordy w kubeł. Gościu chce, żeby ludzie to zrozumieli, ale nie wiedzieli, że wyszło od niego. Czemu? zainteresowała się kobieta. Boi się, że straci posadę? Jeśli dlatego ten twój dobroczyńca nie chce puścić pary z gęby, to wybac, André, ale dupek z niego.

Przy kawie Adamsberg odszedł od stołu, by odebrać telefon od komisarza Mordenta. Liczbę budynków oznaczonych czwórkami szacowano teraz na jakieś dziesięć tysięcy. Nie, nie, dotąd nie zgłoszono kolejnej ofiary, więc mogą chwilowo odetchnąć. Czy wobec tego można nie odbierać telefonów od panikarzy? Zwłaszcza że dzisiaj dyżuruje raptem sześć osób. Pewnie, powiedział Adamsberg. To super, rzekł Mordent. Pocieszające dla Adamsberga było to, że sprawa ostro ruszała też w Marsylii, będą więc mieli towarzystwo. Masséna poprosił, by przyjechał do niego.

Adamsberg zamknął się w toalecie i przysiadł na opuszczonej desce, aby doń zadzwonić.

– Zaczyna się, kolego – powiedział Masséna. – Radio nadało wiadomość

od tego twojego świra, dziennikarze ją skomentowali i proszę, masz, coś chciał.

– To nie jest m ó j świr, Masséna – rzekł Adamsberg dość kategorycznie. – Teraz jest także twój. Zawrzyjmy spółkę.

Masséna milczał przez chwilę, oceniając kolegę.

– Zawrzyjmy – zgodził się. – Nasz świr dotknął czułego punktu, bo tutaj dżuma to stara rana, ale niewiele trzeba, żeby ją otworzyć. Zawsze w czerwcu arcybiskup odprawia mszę wotywną, żeby zażegnać epidemię. Mamy tu ciągle pomniki i ulice ku czci kawalera Roze’a czy biskupa Belsunce’a. Tych nazwisk nie zapomniano, bo marsylczycy nie mają głowy do dupy i pamiętają.

– Kim byli ci ludzie? – spytał Adamsberg spokojnie.

Masséna, cholerykiem, prawdopodobnie powodowała instynktowna niechęć do wszystkiego co paryskie, co Adamsberg miał w głębokim poważaniu, ponieważ nie był paryżaninem, a nawet gdyby był, miałby to w poważaniu równie głębokim. Dla niego nie było istotne, czy jest tu czy gdzie indziej. A Masséna był zaczepny tylko z pozoru, tak że najwyżej z kwadrans mu zajmie zerwanie z niego tej fasady.

– Ci ludzie, kolego, tyrali dzień i noc, pomagając szaraczkom w czasie wielkiej zarazy tysiąc siedemset dwudziestego roku, kiedy urzędnicy miejscy, notable, lekarze i księża tłumnie brali nogi za pas. Cóż, byli bohaterami.

– Strach przed śmiercią jest normalny. Masséna. Nie było cię tam.

– Słuchaj, nie będziemy przerabiali historii. Chcę ci tylko wytłumaczyć, że w Marsylii zaraza, którą przywłókł Grand Saint-Antoine, zaczyna się znowu w przyspieszonym tempie.

– Nie powiesz chyba, że wszyscy marsylczycy wiedzą, kim był ten Roze i Belsain.

– Belsunce, kolego.

– Belsunce.

– Nie wszyscy wiedzą – zgodził się Masséna. – Ale wszyscy znają historię tamtej dżumy, wymarcia miasta, muru prowansalskiego. Tutaj dżumę każdy ma w jakimś zakamarku głowy.

– Zdaje się, że tutaj też. Na dzisiaj mamy około dziesięciu tysięcy

naznaczonych budynków. Trzeba się tylko modlić, żeby zabrakło farby.

– U nas po jednym przedpołudniu naliczyłem blisko dwieście w samej dzielnicy Starego Portu. Policz sobie, ile to będzie w skali miasta. Jasny gwint, kolego, odwaliło tym ludziom czy co?

– Robią to, żeby się chronić. Jeśli policzysz tych, którzy noszą miedzianą bransoletkę, króliczą łapkę, medalik ze świętym Krzysztofem, wodę z Lourdes albo odpukują w niemalowane drewno, że nie wspomnę o krzyżykach, bez trudu dojdiesz do czterdziestu milionów.

Masséna westchnął.

– Dopóki robią to sami – ciągnął Adamsberg – to nic takiego. Czy masz jakiś pomysł, co by ci mogło wskazać autentyczny malunek? Czwórkę namalowaną osobiście przez siewcę?

– Trudno będzie. Ludzie kopiują jedni od drugich. Wiesz, często zapominają o rozwidleniu podstawy albo poziomą kreskę przekreślają raz, zamiast dwa razy, ale połowa robi to sumiennie. Diabelnie te czwórki przypominają oryginał. I jak tu się w nich rozeznąć?

– A charakterystyczne koperty były?

– Nie.

– Macie budynki, w których tylko jednych drzwi nie oznaczono?

– Mamy, mamy. Ale mamy też kupę ludzi, którzy nie wariują i nie chcą u siebie malować tych bzdetów. Mamy też wstydliwych, którzy rysują malutką czwórkę u dołu drzwi. Czyli robią to, nie robiąc, dyskretnie, albo nie robią, robiąc, jak tam chcesz. Nie mogę zbadać wszystkich drzwi przez lupę. Ty badasz?

– U nas jest maksymalne nasilenie, to główne zajęcie weekendowe. Nie panujemy nad tym.

– W ogóle?

– Prawie. Kontroluję sto metrów kwadratowych z pięciuset pięćdziesięciu milionów metrów powierzchni miasta. Mam nadzieję, że na tym kawałku zobaczę siewcę, który teraz, gdy rozmawiamy, być może krąży gdzieś po Starym Porcie.

– Masz jego rysopis? Choćby przypuszczalny?

– Nic nie mam. Nikt go nie widział. Nie wiem nawet, czy to mężczyzna.

– Więc czego ty wypatrujesz na tej kontrolowanej przestrzeni, kolego?

Ektoplazmy?

– Wrażenia. Zadzwońię wieczorem, Masséna. Trzymaj się.

Od dłuższej chwili ktoś dobijał się do drzwi toalety, szarpiąc wściekle za klamkę. Adamsberg niewzruszony wyszedł, mijając się z niesamowicie zniecierpliwionym człowiekiem, który pilnie pragnął wysikać cztery wypite piwa.

Poprosił Bertina, by pozwolił mu zostawić kurtkę na oparciu krzesła do wyschnięcia, sam zaś poszedł przejść się po placu. Odkąd inspektor w ostatniej chwili podbudował słabnącą odwagę Normandczyka, ratując go być może przed pośmiewiskiem i ostateczną utratą boskiego autorytetu u klienteli, Bertin poczuwał się do dozgonnej dlań wdzięczności. Z dziesięć razy powtarzał, że może zostawić kurtkę, nad którą on będzie pieczołowicie czuwał, nalegał nawet, że pożyczy inspektorowi zielony sztormiak, nim wyjdzie na wiatr i deszcz, które Joss zapowiedział w czasie południowej sesji. Na to Adamsberg przystał, by nie urazić dumnego potomka Thora.

Całe popołudnie włóczył się po obrzeżach placu, wędrówkę przerywając czasem, by wpaść na kawę do Wikinga albo zadzwonić. Przewidywał, że do wieczora liczba oznaczonych budynków dojdzie do piętnastu tysięcy w Paryżu i około czterech tysięcy w Marsylii, gdzie w istocie fala wezbrała jak tsunami. Adamsberg umartwiał się ciągle, naciągając do granic swoje duże możliwości powstrzymywania się od reakcji, aby walczyć z tą coraz większą falą. Choćby go powiadomiono, że odwróconych czwórek jest dwa miliony, nawet by nie mrugnął. Całym sobą się rozluźnił, odprężył. Całym sobą – z wyjątkiem wzroku, który nie stracił niczego z ostrości.

Wsparł się ospale o platan i czekał na wieczorną sesję obwoływacza z rękami luźno zwieszonymi po bokach, ginąc w o wiele za dużym sztormiaku Normandczyka. W niedzielę Le Guern przesunął sesje na trochę późniejszą godzinę, toteż dochodziła siódma, kiedy ustawił skrzynię na chodniku. Adamsberg niczego się nie spodziewał tym razem, w niedzielę bowiem listonosz nie chodził. Zaczynał jednak rozpoznawać twarze w grupkach, które zbierały się wokół podwyższenia. Wyjął listę sporządzoną przez Decambrais'go i sprawdzał nowych znajomych, w miarę jak ściągali. Za dwie siódma Decambrais stanął w drzwiach swego domu,

Lizbeth przepchnęła się przez tłumek na swoje zwykłe miejsce, Damas wyszedł przed sklep w swetrze i stanął oparty o opuszczoną żelazną roletę.

Joss z determinacją zaczął sesję, jego potężny głos niósł się z jednego końca placu na drugi. Adamsberg w słabym już słońcu z przyjemnością słuchał kolejnych niewinnych ogłoszeń. Spędziwszy beczynn timer popołudnie, pozwoliwszy odprężyć się ciało i umysłowi, odpoczął po porannej treściwej rozmowie z Ferezem. Pod względem wigoru osiągnął stan gąbki kołysanej przez falę, właśnie taki, jakiego czasami szukał.

Pod koniec sesji, gdy Joss przystępował do opowieści o katastrofie morskiej, Adamsberg się wzdrygnął, jakby ostry kamień mocno uderzył w gąbkę. Niemal go to zabolalo i wprawilo w oniemiaenie, obudziło jego czujność. Nie był w stanie określić, skąd się wzięło. Jakiś obrazek go uderzył, bez dwóch zdań, kiedy niemal przysypiał oparty o pień platana. Fragment obrazka dostrzeżonego gdzieś na placu wpadł mu w oczy na ułamek sekundy.

Adamsberg się wyprostował, szukając wokół widoku, który by nawiązywał do tego, co nim wstrząsnęło. Po chwili na powrót oparł się o drzewo w pozycji dokładnie takiej jak ta, w której stał, gdy doszło do zderzenia. Z tego miejsca jego pole widzenia ciągnęło się od domu Decambrais'go przez rue du Montparnasse do sklepu Damasa i obejmowało na wprost około jednej czwartej publiczności obwoływacza. Adamsberg zacisnął usta. Kawał przestrzeni i sporo ludzi, a tłum już zaczynał się rozpraszać. Pięć minut później Joss odchodził ze swoją skrzynią, plac pustoszał. Wszystko uciekało. Adamsberg zamknął oczy z głową wzniesioną ku białemu niebu w nadziei, że obrazek wróci sam z siebie, bezcielesny. Niestety, obrazek wpadł na dno jego studni niczym anonimowy kapryśny kamień zdenerwowany może, iż nie obdarzył go większą uwagą w tej króciutkiej chwili, kiedy raczył przed nim przemknąć niczym spadająca gwiazda, i mogą upłynąć nawet miesiące, zanim zdecyduje się wychynąć na powierzchnię.

Strapiony Adamsberg w milczeniu zszedł z placu przekonany, że pozwolił się wymknąć swojej jedynej szansie.

Dopiero u siebie w domu, rozbierając się, spostrzegł, że wrócił w zielonym sztormiaku Normandczyka, a jego stara czarna kurtka schnie

dalej pod dziobem drakkaru. Znak, że on również pokłada ufność w boskiej ochronie Bertina. Albo – co bardziej prawdopodobne – że położył lagę na wszystkim.

## XXVII

Camille wspięła się na czwarte piętro wąskimi schodami, które prowadziły do mieszkania Adamsberga. Po drodze odnotowała, że lokator z trzeciego po lewej ozdobił swoje drzwi gigantyczną czarną czwórką. Umówili się z Jeanem-Baptiste'em, że zejdą się wieczorem i razem spędzą noc, lecz nie wcześniej jak o dziesiątej z powodu trudnych do przewidzenia atrakcji, które za dnia siewca fundował brygadzie.

Zmartwienie sprawiał jej kociak pod pachą. Godzinami chodził za nią po ulicach. Camille go pogłaskała i zostawiła, potem próbowała zgubić, lecz kocię uparcie dreptało za nią, mknąc do utraty tchu, byle ją dogonić. Przeszła w końcu przez plac, żeby skończyć z tym śledzeniem. Zostawiła zwierzaka za drzwiami, kiedy wstąpiła do siebie na kolację, i zastała go na klatce, gdy wychodziła. Kociak dzielnie podjął pościg, nie odstępując na krok swojego celu. Dotarłszy pod dom Adamsberga, mając tego dość i nie wiedząc, co zrobić ze zwierzęciem, które ją wybrało, podniosła je i wetknęła pod pachę. Biało-szarą kulkę leciutką jak kłębek waty, o okrągłutkich niebieskich ślepkach.

Pięć po dziesiątej Camille otworzyła drzwi, które Adamsberg zostawiał prawie zawsze otwarte, i nie zastała nikogo ani w dużym pokoju, ani w kuchni. Naczynia obsychały w zlewie, stąd wywnioskowała, że Jean-Baptiste zasnął, czekając na nią. Dołączy do niego, nie budząc go z pierwszego snu, o który zawsze dbała, kiedy prowadził intensywne dochodzenie, i położy głowę na jego brzuchu na noc. Zrzuciła plecak i bluzę, postawiła kociaka na ławce i po cichutku poszła do sypialni.

W ciemnym pokoju Jean-Baptiste nie spał. Ujrawszy go z tyłu nagiego, odcinającego się brązem od białej pościeli, Camille potrzebowała chwili, aby zrozumieć, że kocha się z jakąś dziewczyną.

Dojmujący ból przeszył jej czoło, jakby między oczy trafił ją odłamek pocisku, i po rozbłysku przed oczami przez sekundę myślała, że już nigdy



niczego nie zobaczy. Nogi się pod nią ugięły, opadła w mroku na drewniany kufer, który służył do wszystkiego, a tego wieczoru leżało na nim ubranie tamtej dziewczyny. Przed nią poruszały się ciała dwojga ludzi nieświadomych jej milczącej obecności. Camille patrzyła na nich oniemiała. Widziała gesty Jeana-Baptiste'a, rozpoznawała je, każdy jego ruch był znajomy. Błysk, który utkwiał między jej brwiami niczym rozgrzane do czerwoności wiertło, zmusił ją do zamknięcia oczu. Widok przejmujący, widok zwyczajny, rana i banał. Camille spuściła wzrok.

Nie płacz, Camille.

Oderwawszy spojrzenie od tych dwojga na łóżku, wpatrzyła się w jakiś punkt w podłodze.

Uciekaj, Camille. Uciekaj szybko, daleko i długo.

*Cito, longe, tarde.*

Chciała wstać, lecz spostrzegła, że nogi nie są w stanie jej udźwignąć. Jeszcze niżej opuściła wzrok i mocno się skupiła na czubkach swoich stóp. Na czarnych skórzanych botkach, którym uważnie się przyglądała: kwadratowym czubkom, klamrze z boku, zakurzonym załamaniem, obcasowi ściętemu od chodzenia.

Botki, Camille, patrz na botki.

Patrzę na nie.

Szczęście, że nie zdjęła butów. Bosa i bezbronna nie byłaby w stanie nigdzie pójść. Może zostałyby tutaj, jak przymurowana do kufra, z tym wiertłem wbitym w czoło. Z wiertłem niewątpliwie do betonu, nie do drewna. Patrz na botki, bo masz je na nogach. Patrz na nie uważnie. I biegnij, Camille.

Było jednak za wcześnie. Jej uda spoczywały na drewnianym wieku kufra niczym dwie opuszczone flagi. Nie podnoś głowy, nie patrz.

Oczywiście, że wiedziała. Zawsze tak było. Zawsze były dziewczyny, dużo innych dziewczyn na okres dłuższy lub krótszy zależnie od wytrzymałości dziewczyny, Adamsberg bowiem zostawiał wszystko swojemu biegowi aż do samoistnego rozwiązania. Oczywiście, że zawsze były inne, dziewczyny, które niczym syreny pływały po rzece, wiły się na jej brzegach. „Wzruszają mnie”, lakonicznie mawiał Jean-Baptiste. Tak, Camille o tym wszystkim wiedziała, o chwilach zaćmienia, o utajonych

okresach, o wszystkim, co wrzało gdzieś tam, daleko. Raz odwróciła się i odeszła. Wyrzuciła z pamięci Jeana-Baptiste'a Adamsberga i przeludnione brzegi jego świata, świata kipiącego dramatami, które ze zbyt bliska ją dotykały. Odeszła na kilka lat, Adamsberga zaś pochowała z honorami należnymi tym, których się kochało.

Aż kiedyś ostatniego lata pojawił się za jakimś zakrętem, a martwa o nim pamięć za sprawą dość chytrej sztuczki przywróciła mu dostęp do nietkniętej rzeki w jej górnym biegu. Camille na pół gwizdka obdarzyła go na powrót zaufaniem, jedną nogą weszła w ten związek, na próbę pozostając w karkołomnym rozkroku i czasami wahając się, co dla niej lepsze: objęcia wolności czy Jeana-Baptiste'a. Aż do niniejszego wieczoru, gdy ów nieprzewidziany cios wbił jej to coś w czoło. Z powodu zwykłej pomyłki w datach. W kwestii dat Jean-Baptiste nigdy nie był specjalnie skrupulatny.

Uporczywe wpatrywanie się w botki sprawiło, że wróciła jej w nogi niejaka sztywność. Na łóżku ruchy ustawały. Camille podniosła się cichutko i obesza kufer. Wymykała się za drzwi, gdy dziewczyna usiadła na łóżku i krzyknęła. Camille usłyszała szelesty wywołane przez spłoszone ciała, Jeana-Baptiste'a zeskakującego na podłogę i wykrzykującego jej imię.

Uciekaj, Camille.

Robię, co mogę. Camille złapała bluzę i plecak, zauważyła kociaka zostawionego na ławie, złapała go na ręce. Słyszała, że dziewczyna coś mówi, pyta. Uciec stąd, szybko uciec. Pędem pokonała schody i długo biegła ulicami. Zdyszana zatrzymała się przed pustym parkiem, przeszła przez ogrodzenie i skuliła się na ławce z podkurczonymi nogami, rękami obejmując botki. Wiertło wbite w czoło powoli się wysuwało.

Usiadł obok niej jakiś chłopak o farbowanych włosach.

– Źle się dzieje – rzekł łagodnie.

Pocałował ją w skroń i odszedł cicho.

## XXVIII

Danglard nie spał, kiedy już po północy ktoś delikatnie zapukał do jego drzwi. W podkoszulku siedział z piwem przed telewizorem, nie oglądając programu, przerzucał w tę i z powrotem swoje notatki na temat siewcy i jego ofiar. To nie mógł być przypadek. Facet je wybierał, musi istnieć między nimi jakiś związek. Godzinami przesłuchiwał ich rodziny, szukając najmniejszego punktu styczności, a teraz wertował notatki, starając się go wypatrzeć.

O ile w dzień Danglard był elegancki, o tyle wieczorem łąził w domowych łachach zapamiętanych z dzieciństwa, w stroju takim, w jakim chodził jego ojciec: w grubych barchanowych spodniach, w podkoszulku, nieogolony. Cała piątka dzieci spała, toteż przemknął cicho przez korytarz do drzwi wejściowych. Myślał, że zobaczy Adamsberga, tymczasem ujrzał córkę królowej Matyldy, wyprostowaną, niemal sztywną, lekko zadyszana, z czymś pod pachą, jakby kociakiem.

– Obudziłam cię, Adrien? – zapytała Camille.

Danglard pokręcił głową i zaprosił ją do środka, gestem prosząc o ciszę. Camille nie zastanowiła się, czy u Danglarda nie ma przypadkiem dziewczyny czy kogoś takiego, po prostu usiadła zgnębiona na zniszczonej kanapie. Danglard w świetle zobaczył, że płakała. Bez słowa wyłączył telewizor i otworzył piwo, które przysunął jej do ręki. Camille opróżniła duszkiem pół butelki.

– Niedobrze, Adrien – powiedziała z westchnieniem, odstawiając butelkę.

– Adamsberg?

– Tak. Nie wyszło nam.

Wypiła resztę piwa. Danglard wiedział dlaczego. Po płaczu trzeba uzupełnić w organizmie płyny, które wyparowały. Schylił się i z ledwie napoczętej zgrzewki przy fotelu wyjął kolejną butelkę, otworzył ją i popchnął ku Camille po niskim gładkim stoliku takim ruchem, jakim z nadzieją posuwa się pionek szachowy.

– Widzisz, Adrien, są różne rodzaje poletek – powiedziała Camille,

wyciągając rękę. – Swoje, które się uprawia, i cudze, które się odwiedza. Mnóstwo rzeczy można na nich zobaczyć, lucernę, rzepak, len, zboże, ale też ugory porośnięte pokrzywami. Nigdy się nie zbliżam do pokrzyw, nie wyrywam ich. Nie są moje, rozumiesz, tak samo jak reszta. – Opuściła rękę i uśmiechnęła się. – Ale bywa, że się zapędzisz, zrobisz fałszywy krok. I niechący się oparzysz.

– Piecze cię?

– To nic, przejdzie.

Wzięła drugą butelkę i wypła kilka łyków, ale już wolniej. Danglard ją obserwował. Camille była bardzo podobna do swojej matki, królowej Matyldy, po niej odziedziczyła kwadratowy podbródek, smukłą szyję, lekko szpiczasty nos. Ale cerę miała bardzo jasną i usta ciągle dziecięce o uśmiechu odmiennym od zniewalającego uśmiechu Matyldy. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, Camille osuszyła drugą butelkę.

– Kochasz go? – zapytał w końcu Danglard.

Camille oparła łokcie na kolanach i z uwagą wpatrzyła się w niedużą zieloną butelkę na niskim stoliku.

– To bardzo niebezpieczne – powiedziała cicho, kręcąc głową.

– Wiesz, Camille, w dniu, kiedy Pan Bóg stworzył Adamsberga, był po wyjątkowo źle przespanej nocy.

– Tak? – Camille podniosła wzrok. – Nie wiedziałam.

– Właśnie. Nie dość, że źle spał, to jeszcze zabrakło mu materiału. I bezmyślnie zwrócił się do swego szanownego kolegi, żeby mu coś pożyczył.

– Znaczący... do kolegi z dołu?

– Jasne. A kolega wykorzystał okazję i raz-dwa dostarczył Mu to i owo. I Pan Bóg zamroczony po bezsennej nocy nierozważnie wszystko wymieszał. Z tej gliny stworzył Adamsberga. To był naprawdę niezwykły dzień.

– Nie miałam pojęcia.

– W każdej dobrej książce to znajdziesz – wyjaśnił Danglard z uśmiechem.

– I co Bóg dał Jeanowi?

– Intuicję, łagodność, urodę i zwinność.

– A co mu dał diabeł?

– Obojętność, łagodność, urodę i zwinność.

– Cholera.

– Słusznie. Ale dotąd nie wiadomo, w jakich proporcjach przymulony Pan Bóg wymieszał składniki. To jedna z największych współczesnych tajemnic teologicznych.

– Nie będę się do tego mieszała.

– Nic dziwnego, bo powszechnie znany jest fakt, że kiedy Pan Bóg majstrował ciebie, przespał wcześniej siedemnaście godzin i był w znakomitej formie. Przez cały dzionek z sercem modelował cię pracowicie.

Camille się uśmiechnęła.

– A jak było z tobą, Adrien? W jakiej formie był Pan Bóg, kiedy ciebie majstrował?

– Wcześniej przez cały wieczór chlał z kumplami, Rafaelem, Michałem i Gabrielem, i to coś mocnego. Ta anegdota jest mniej znana.

– Efekt mógł być super.

– Nie, Pan Bóg dostał dygotek. Dlatego moje kształty są rozmyte, nieostre, niewyraźne.

– I wszystko jasne.

– No widzisz, jakie to proste?

– Przejdę się, Adrien.

– Jesteś pewna?

– Masz lepszy pomysł?

– Złam go.

– Nie lubię łamać ludzi, zostają im ślady.

– Słusznie. Mnie raz złamano.

Camille pokiwała głową.

– Musisz mi pomóc, Adrien. Zadzwoń do mnie jutro, jak Jean-Baptiste przyjdzie do pracy. Wpadnę wtedy do siebie i spakuję rzeczy.

Camille wzięła trzecią butelkę piwa i sporo upiła.

– Gdzie się podziejesz? – zapytał Danglard.

– Nie mam pojęcia. Gdzie może być miejsce?

Danglard wskazał swoje czoło.

– A tak – rzekła Camille z uśmiechem. – Ale z ciebie jest stary filozof, a ja nie mam twojej mądrości. Adrien?

– Tak?

– Co mam z nim zrobić? – Wyciągnęła rękę i pokazała mu włochatą kulkę. Kociaka. – Chodził za mną dzisiaj. Przypuszczam, że chciał mi pomóc. Jest malutki, ale bystry i bardzo śmiały. Nie mogę go zabrać, jest za delikatny.

– Chcesz, żebym się zaopiekował tym kotem? – Danglard złapał kociaka za skórę na karku, przyjrzał mu się i stropiony postawił go na podłodze. – Lepiej by było, gdybyś została. Będzie mu cię brakowało.

– Kociakowi?

– Adamsbergowi.

Camille dopiła trzecie piwo i bezgłośnie odstawiła butelkę na stół.

– Nie – powiedziała. – On nie jest delikatny.

Danglard nie próbował jej przekonywać. Po przykrym zdarzeniu nie jest źle połączyć. Przechowa jej kota, będzie miał pamiątkę, równie przyjemną i ładną jak Camille, choć oczywiście nie tak wspaniałą.

– Gdzie będziesz spała? – zapytał.

Camille wzruszyła ramionami.

– Tutaj – zdecydował Danglard. – Rozłożę ci kanapę.

– Nie trudź się, Adrien. Położę się na takiej, jaka jest, bo będę spała w butach.

– A czemu? Będzie ci niewygodnie.

– Nie szkodzi. Teraz już zawsze będę spała w butach.

– To niezbyt higieniczne – zauważył Danglard.

– Lepiej jakoś się trzymać, niż zachowywać higienę.

– Wiesz, Camille, że górnolotność nigdy nikomu nie rozwiązała problemów?

– Tak, wiem. Głupia strona mojej natury zmusza mnie czasem do górnolotności. Albo do dolnolotności.

– Nic nie wyrośnie na górnolotności, dolnolotności czy monolotności.

– A na czym coś wyrośnie? – spytała Camille, zdejmując jednak botki.

– Na sensolotności.

– Dobrze – odparła. – Kupię sobie.

Położyła się na kanapie na wznak z otwartymi oczami. Danglard poszedł do łazienki, skąd przyniósł ręcznik i zimną wodę.

– Zrób sobie okład, niech opuchlizna zejdzie.

– Adrien, czy Panu Bogu zostało coś z tej gliny, kiedy skończył Jeana-Baptiste’a?

– Odrobinę.

– Co z niej zrobił?

– Parę dość trudnych drobiazgów, jak na przykład skórzane podeszwy. Do chodzenia świetne, ale ślizgają się na pochyłości i jak tylko popada. Dopiero całkiem niedawno człowiek poradził sobie z tym odwiecznym problemem, przylepiając do podeszew kauczuk.

– Nie można okleić kauczukiem Jeana-Baptiste’a.

– Żeby się na nim nie przejechać? Ano, nie można.

– Co jeszcze Pan Bóg zrobił?

– Wiesz, niewiele tej gliny mu zostało.

– Co zrobił?

– Kule bilardowe.

– No widzisz, takie kule trudno zrobić.

Camille zasnęła, Danglard zaś odczekał pół godziny, po czym zdjął jej z oczu zimny kompres i zgasił górne światło. Przyglądał się jej w półmroku. Oddałby dziesięć miesięcy picia piwa, żeby móc jej dotknąć, kiedy Adamsberg zapominał ją pocałować. Wziął do rąk kota, podniósł go na wysokość swojej twarzy i wpatrzył się w jego ślepką.

– Głupie są przykre zdarzenia – powiedział do niego. – Zawsze bardzo głupie. A my we dwóch kawałek drogi przebedziemy razem. Poczekamy na nią, może wróci. Prawda, kuleczko?

Zanim Danglard położył się spać, przystanął przed telefonem, wahając się, czy uprzedzić Adamsberga. Miał do wyboru: zdradzić Camille albo zdradzić Adamsberga. Długą chwilę medytował przed mrocznymi drzwiami tej alternatywy.

Kiedy Adamsberg ubierał się w pośpiechu, by pobiec za Camille, dziewczyna lękliwie zasypywała go pytaniami o to, odkąd zna tamtą, dlaczego jej o niej nie powiedział, czy sypia z nią, czy ją kocha, o czym

myśli, dlaczego chce ją gonić, kiedy wróci, dlaczego nie zostaje, ona nie chce być sama. Adamsberg kołowacizny od tego dostawał i nie potrafił udzielić żadnej odpowiedzi. Zostawił dziewczynę w mieszkaniu pewny, że zastanie ją po powrocie z nietkniętym kłębowiskiem pytań. Przypadek Camille z innego powodu był upierdliwy, Camille bowiem nie przejmowała się samotnością. Tak bardzo się nie przejmowała, że potrafiła się błąkać po mieście z byle powodu.

Szybkim krokiem szedł ulicami w za dużym sztormiaku Normandczyka, w którym zimno mu było po plecach. Znał dobrze Camille. Odfrunie, i to szybko. Kiedy Camille wbiła sobie do głowy, że zmieni otoczenie, było ją równie trudno zatrzymać, jak dogonić ptaka naszprycowanego helem albo jej matkę, królową Matyldę, gdy pływała w morzu. Camille odchodziła, by pożyć we własnych rejonach, znużona nagle przestrzenią, której kręte ścieżki niefortunnie się splątały. Teraz z pewnością szykuje botki, składa syntezator, zamyka torbę z narzędziami. Camille bardzo liczyła na tę torbę, że jej pomoże przetrwać w życiu, dużo bardziej niż na niego – jemu nie ufała, i słusznie.

Wyszedł zza zakrętu i spojrzał w jej okno. Ciemno. Sapiąc, przysiadł na masce jakiegoś samochodu i skrzyżował ręce na brzuchu. Camille nie wróciła do siebie i na pewno odfrunie, nie oglądając się do tyłu. Tak właśnie było, gdy wychodziła połączyć. Wtedy nigdy nie wiedział, kiedy ją znowu zobaczy, za pięć lat, za dziesięć lub nigdy, to także było możliwe.

Powoli wrócił do siebie niezadowolony. Gdyby siewca nie zaabsorbował tak mocno jego myśli, gdyby nie zajął mu tyle czasu, nie doszłoby do tego. Bez słowa padł na łóżko zmęczony, dziewczyna tymczasem, mocno rozżalona, wróciła do niespokojnego wypytywania.

- Błagam, ucisz się – powiedział.
- To nie moja wina – zbuntowała się.
- Zgadza się, moja – przyznał Adamsberg, zamykając oczy. – Ale ucisz się albo wyjdź.
- Jest ci obojętne, co zrobię?
- Wszystko mi jedno.



## XXIX

O dziewiątej Danglard wszedł do biura Adamsberga dość niespokojny, zwłaszcza że wiedział, iż nic, dosłownie nic nie zdoła wpłynąć na refleksyjne usposobienie inspektora, który z rzeczywistością utrzymywał kontakt na tyle ograniczony, na ile się dało. Adamsberg istotnie siedział przy stole, przeglądając stertę gazet, które krzyczały dość przytłaczającymi tytułami, lecz nie wydawał się specjalnie przejęty, minę miał beznamiętną jak zwykle, może nieco odległą.

– Osiemnaście tysięcy budynków z czwórką – rzekł Danglard, kładąc mu notatkę na stole.

– Dobrze.

Danglard stał w miejscu, nic nie mówiąc.

– Wczoraj o mało nie złapałem tego gościa na placu – powiedział Adamsberg głosem trochę zgaszonym.

– Siewcę? – zdumiał się Danglard.

– Siewcę we własnej osobie. Ale mi się wymknął. Wszystko mi się wymyka, Danglard – dodał, podnosząc wzrok i szybko wymieniając spojrzenie z partnerem.

– Zobaczyłeś coś?

– Nie. Właśnie nic.

– Nic? No to jak możesz mówić, że o mało nie złapałeś gościa?

– Bo go wyczułem.

– Co wyczułeś?

– Nie wiem.

Danglard się poddał. Zawsze wolał zostawiać Adamsberga samego, kiedy wkraczał na muliste obszary, na mokradła, w których nogi grzęzną w miękkim błocie, a woda walczy o lepsze z ziemią. Oddalił się, i to aż do wejścia do budynku, by zadzwonić do Camille, cały czas doznając wstydliwego uczucia, że jest jak szpieg w brygadzie.

– Możesz iść – powiedział cicho. – Jest tutaj, zawałony robotą aż po czubek wieży Eiffla.

– Dzięki, Adrien. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia, Camille.

Ze smutkiem zakończył połączenie, poszedł do swojego pokoju, machinalnie włączył komputer, który ciut za wesoło pomrukiwał pośród jego ponurych myśli. Głupi komputer, nie umie się dostosować do nastroju. Półtorej godziny później zobaczył Adamsberga mijającego jego pokój względnie szybkim krokiem. Danglard natychmiast zadzwonił do Camille, aby ją uprzedzić, że może się spodziewać wizyty. Ale Camille już odpłynęła w siną dal.

Adamsberg znowu pocałował klamkę, lecz tym razem się nie wahał. Wyjął wytrych i otworzył zamek. Jeden rzut oka na pracownię wystarczył mu, by zrozumieć, że Camille zniknęła. Nie było syntezatora, nie było torby hydraulika ani plecaka. Łóżko posłane, lodówka opróżniona, prąd wyłączony. Usiadł na krześle, by rozejrzeć się po opustoszałym domu i pomyśleć. Rozglądał się, nie myśląc. Prawie trzy kwadransy później wyrwała go z zadumy komórka.

– Dzwonił Masséna – rzekł Danglard. – W Marsylii mają zwłoki.

– Dobrze – powiedział Adamsberg tak samo jak z rana. – Zaraz będę. Załatw mi bilet na pierwszy samolot.

Około drugiej, szykując się do wyjścia z budynku brygady, w którym wrzało, Adamsberg postawił torbę przy drzwiach biura Danglarda.

– Jadę – powiedział.

– Tak – rzekł Danglard.

– Brygada na twojej głowie.

– Tak.

Adamsberg szukał słów i jego wzrok padł na stopy Danglarda częściowo zasłaniające okrągły koszyk, w którym spało malutkie równie okrągłe kocię.

– A to co?

– Kot.

– Przynosisz kota do roboty? Uważasz, że ten burdel, który tu mamy, to za mało?

– Nie mogę go zostawić w domu. Jest za mały, sika byle gdzie i czasem ma problem z jedzeniem.

– Danglard, powiedziałeś kiedyś, że nie chcesz zwierzaka w domu.

– Mówi się jedno, robi się drugie.

Danglard wypowiadał się zwięźle, odrobinę wrogo, ze wzrokiem utkwionym w monitor, toteż Adamsberg bez trudu rozpoznał niemą dezaprobatę, którą partner czasami mu okazywał. Z powrotem przeniósł spojrzenie na koszyk i wtedy wyłonił mu się wyraźny obraz. Pleców odchodzącej Camille z bluzą pod jedną pachą, a pod drugą z biało-szarym kociakiem, na którego wtedy, w pośpiechu, nie zwrócił uwagi.

– Ona ci go zostawiła, tak? – zapytał.

– Tak – przyznał Danglard, nie odrywając oczu od monitora.

– Jak się wabi? – Adamsberg przysunął sobie krzesło i usiadł z łokciami opartymi o kolana. – Wyniosła się.

– Tak – powtórzył Danglard i tym razem obrócił głowę, spoglądając w oczy Adamsberga, ze zmęczenia pozbawione wyrazu.

– Powiedziała ci gdzie?

– Nie.

Przez chwilę panowała cisza.

– Doszło do drobnej kolizji – wyjaśnił Adamsberg.

– Wiem.

Adamsberg kilkakrotnie palcami obu rąk przeczesał włosy, powoli, jakby ścisnął sobie głowę, po czym wstał i bez słowa opuścił budynek.

# XXX

Masséna odebrał kolegę z lotniska w Marignane i zawiózł go prosto do kostnicy, gdzie przetransportowano zwłoki. Adamsberg chciał je zobaczyć, Masséna bowiem nie był w stanie ocenić, czy mają do czynienia z naśladowcą czy nie.

– Znaleźliśmy go w mieszkaniu nagiego – wyjaśnił Masséna. – Zamek artystycznie sforsowano. Czyściutka robota. Chociaż były dwa porządne nowiutkie rygle.

– Technika ta sama co u nas na początku – skomentował Adamsberg. – Na klatce nie wystawiliście posterunku?

– Człowieku, miałem cztery tysiące budynków na głowie.

– Tak, to jego mocna strona. W parę dni unicestwił nadzór policyjny. Imię, nazwisko, inne dane?

– Sylvain Jules Marmot, trzydzieści trzy lata. Zatrudniony w porcie, w doku remontowym.

– W doku, przy statkach – powtórzył Adamsberg. – Miał jakieś związki z Bretanią?

– Skąd wiesz?

– Nie wiem, zastanawiam się.

– Jako siedemnastolatek pracował w Concarneau. Tam się wyuczył zawodu. Nagle wszystko rzucił i wyjechał do Paryża, gdzie utrzymywał się z drobnych prac stolarskich.

– Mieszkał tu sam?

– Tak. Jego partnerka jest mężatką.

– Dlatego siewca zabił go w mieszkaniu. Jest świetnie poinformowany. Tu nie ma przypadku, Masséna.

– Może, ale nie ma też żadnych punktów wspólnych między Marmotem a waszymi czterema ofiarami. Z wyjątkiem jego pobytu w Paryżu między dwudziestym a dwudziestym siódmym rokiem życia. Nie zaprzętaj sobie głowy przesłuchaniami, całość akt przesłałem wam do brygady.

– Tam musiało do niego dojść, w Paryżu.

– Do czego?

– Do ich spotkania. Te pięć ofiar musiało się znać, ich ścieżki w taki czy inny sposób kiedyś się skrzyżowały.

– Nie, kolego, sądzę, że siewca wpuszcza nas w kanał. Pozwala nam wierzyć, że te zabójstwa coś znaczą, żebyśmy zeszli z kursu. Nietrudno się dowiedzieć, że Marmot mieszkał sam. Cała dzielnica o tym wie. Tutaj każdy wie życie jak na dłoni.

– Oberwało mu się gazem łzawiącym?

– Dostał hojnie prosto w twarz. Porównamy próbkę z gazem z Paryża, żeby wiedzieć, czy go przywiózł czy kupił w Marsylii. Byłoby coś na początek.

– Nie rozmarzaj się tak, Masséna. Facet jest superinteligentny. Przewidział wszystko, całą reakcję łańcuchową, jak chemik. I dobrze wie, jaką substancję chce otrzymać. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to naukowiec.

– Naukowiec? Myślałem, że widzisz go w branży literackiej.

– Jedno nie wyklucza drugiego.

– Rąbnięty naukowiec?

– Ma w głowie widmo od tysiąc dziewięćset dwudziestego roku.

– Kurde, chłopie, to on ma osiemdziesiąt lat?

Adamsberg się uśmiechnął. W bezpośrednim kontakcie Masséna był dużo bardziej wylewny niż przez telefon. Za bardzo nawet, bo niemal każde swoje słowo podkreślał zamaszystymi gestami, a to chwycił kolegę za rękę, a to klepał go po plecach, w samochodzie zaś po udzie.

– Dawałbym mu raczej od dwudziestu do czterdziestu lat.

– To nie widełki wiekowe, chłopie, tylko wielkie widły.

– Ale możliwe też, że ma osiemdziesiąt lat. Jego technika mordowania nie wymaga siły. Odurzenie gazem i duszenie linką, prawdopodobnie opaską zaciskową, jakiej używają elektrycy do spinania wiązek kabli. Skuteczne w stu procentach i dziecinnie łatwe w obsłudze.

Masséna zwolnił w pewnej odległości od kostnicy, szukając miejsca w cieniu. Tutaj słońce jeszcze mocno grzało, ludzie chodzili porozpinani albo zażywali chłodu w cieniu, siedząc na schodach przed domem z miską obieranych jarzyn na kolanach. W Paryżu Bertin pewnie wyciągnął

sztormiak, żeby się osłonić przed ulewnym deszczem.

Ściągnięto prześcieradło, którym nakryte były zwłoki, i Adamsberg dokładnie obejrzał ciało. Plamy z węgla drzewnego miały podobne rozmiary jak na paryskich ofiarach, niemal w całości pokrywały brzuch, ręce i uda, zabarwiony też był język. Adamsberg przejechał palcem po ranie, później wytarł go o spodnie.

– Posłany do analizy – powiedział Masséna.

– Ma ukąszenia?

– Dwa. Tutaj – odparł Masséna, wskazując wewnętrzną stronę uda.

– A pchły?

– Siedem zebranych w mieszkaniu techniką, którą mi podsunąłeś. Praktyczna i skuteczna. Insekty poszły do badania.

– Koperta w kolorze kości słoniowej?

– Była, w koszu. Nie rozumiem, czemu do nas nie zadzwonił.

– Bał się.

– No właśnie.

– Bał się policji. Bardziej bał się policji niż mordercy. Myślał, że sam się obroni, założył dwa dodatkowe rygły. Jak leżały jego ubrania?

– Na kupie w sypialni. Straszny bałaganiarz był z Marmota. Ale kiedy się mieszka samemu, jakie to ma znaczenie?

– Dziwne. Siewca rozbiera ofiary i starannie składa ubrania.

– Nie musiał go rozbierać. Marmot spał nago. Tutaj na ogół tak się śpi.

Z powodu upałów.

– Mogę zobaczyć dom, w którym mieszkał?

Adamsberg wszedł do otynkowanego na czerwono zaniedbanego budynku niedaleko Starego Portu.

– Z kodem do drzwi nie było problemu, hę?

– Pewnie już dawno domofon jest zepsuty – odparł Masséna.

Miał ze sobą mocną latarkę, ponieważ oświetlenie na klatce schodowej także nie działało. W jej świetle Adamsberg uważnie oglądał każde drzwi piętro po piętrze.

– I co? – spytał Masséna, kiedy doszli na samą górę.

– Cóż, odwiedził was. To jego robota, bez dwóch zdań. Cienka kreska,

szybkie swobodne pociągnięcie, umieszczenie prostopadłych... to jego ręka. Można nawet powiedzieć, że się nie spieszył. W tych domach ludzie jakoś szczególnie zwracają uwagę na bliźnich, prawda?

– Znaczy tutaj – zaczął Masséna – czy to w dzień, czy w nocy, jak facet maluje coś na drzwiach, wszyscy mają to gdzieś, a ten dom jest w takim stanie, że tylko by mu to pomogło. A tyle ludzi malowało w tym samym czasie co on, że co ryzykował? Może się przejdziemy, kolego?

Adamsberg popatrzył na niego zaskoczony. Pierwszy raz spotkał gliniarza, który tak jak on lubił chodzić.

– Mam tu w zatoczce łódkę. Popływamy? To pomaga zebrać myśli, nie? Ja często tak robię.

Pół godziny później weszli na pokład Edmonda Dantèsa, niedużej motorówki, która dobrze trzymała się na falach. Półnagi Adamsberg stał na dziobie z zamkniętymi oczami, rozkoszując się ciepłym wietrzykiem. Masséna, również półnagi, zajmował miejsce przy sterze na rufie. Ani jeden, ani drugi nie próbował zbierać myśli.

– Wyjeżdżasz wieczorem? – krzyknął Masséna.

– Jutro rano. Chciałbym połączyć po porcie.

– Aha. W Starym Porcie też dobrze zbiera się myśli.

Na czas przejażdżki po morzu Adamsberg wyłączył swoją komórkę i kiedy zeszli na ląd, sprawdził pocztę głosową. Przywołanie do porządku przez inspektora Brézillona mocno zaniepokojonego cyklonem przetaczającym się przez stolicę, telefon od Danglarda z ostatnimi danymi o budynkach oznaczonych czwórkami, telefon od Decambrais’go, który przeczytał „ekstranius” przysłany w poniedziałkowy poranek:

*Zagnieżdżyła się w pierwszych dniach w ubogich dzielnicach, wilgotnych i brudnych. Przez czas jakiś nieznacznie się szerzy. Zdaje się nawet, jakoby zniknęła. Wszelako po kilku zaledwie miesiącach rozzuchwalona poczyną wolno zrazu się posuwać ulicami gęsto zamieszkanymi przez zamożnych ludzi, aż w końcu zhardziała pokazuje się we wszystkich dzielnicach, rozsiewając swą śmiertelną truciznę. Jest wszędzie.*

Adamsberg zapisał tekst w notesie, po czym powoli go czytając, nagrał się na sekretarkę Marca Vandooslera. Znowu pogrzebał w komórce, irracjonalnie szukając jeszcze jednej wiadomości, bo może gdzieś się ukryła... Ale niczego więcej nie było. Camille, proszę.

Wieczorem, po obfitej kolacji w towarzystwie Massény, z którym pożegnał się serdecznym uściskiem i obietnicą, że muszą się jeszcze koniecznie spotkać, Adamsberg szedł południowym nabrzeżem w jasnych światłach górującej nad portem bazyliki Notre-Dame-de-la-Garde. Mijając kolejne statki, patrzył na ich odbicia w czarnej wodzie, dokładne aż po czubek masztu. Przyklęknął, wrzucił do wody kamyk i wprawił w drżenie to odbicie, przez które jakby przebiegł długi dreszcz. Księżycowy blask uwiesił się maleńkimi refleksami na poruszających się drobnych falach. Adamsberg znieruchomiał, wszystkimi pięcioma palcami jednej dłoni oparty o ziemię. Siewca był w pobliżu.

Podniósł ostrożnie głowę i baczny wzrokiem obrzucił spacerowiczów, licznych tego wieczoru, korzystających z ciepła po gorącym dniu, przechadzających się niespiesznie. Przyjrzał się parom i kilku grupkom młodzieży. Nie było ani jednego samotnego mężczyzny. Wciąż klęcząc, przepatrywał nabrzeże metr po metrze. Nie, na nabrzeżu go nie było. W ogóle tam był, lecz gdzie indziej. Oszczędnym ruchem Adamsberg rzucił drugi kamyk, równie mały jak poprzedni, do gładkiej czarnej wody. Odbicie zadrżało, księżyc znowu na krótko rozświetlił refleksami brzegi drobnych fal. Tam był, w wodzie, i to w wodzie rozświetlonej. W malutkich rozbłyskach, które uderzały w oczy i znikwały. Adamsberg pewniej przyklęknął na nabrzeżu, oburącz oparty o ziemię, wzrokiem sięgając pod biały kadłub statku. Siewca w rozbłyskach. Adamsberg czekał bez ruchu. I wtedy obraz, który inspektor zgubił poprzedniego dnia na placu, zaczął się wynurzać wolno niczym mech odrywający się od kamienistego dna i niespiesznie wypływający na powierzchnię. Adamsberg ledwie oddychał, oczy miał zamknięte. W rozbłysku, obraz był w rozbłysku.

Naraz wyłonił się cały. Rozbłysk podczas sesji Jossa, pod koniec. Ktoś się poruszył i coś zabłysło, mocno i krótko. Flesz? Zapalniczka? Nie, jasne, że nie. To był o wiele mniejszy błysk, króciuteńki i biały, taki jak na falach



tego wieczoru, i o wiele bardziej ulotny. Poruszył się z dołu do góry, wyszedł z dłoni, był jak spadająca gwiazda.

Adamsberg stanął i głęboko odetchnął. Miał go. Błysk diamentu rzucony przy ruchu ręki podczas sesji obwoływacza. Błysk siewcy chronionego przez króla talizmanów. Poprzedniego wieczoru był gdzieś w pobliżu Le Guerna z diamentem na palcu.

Rankiem w hali odlotów lotniska w Marignane otrzymał odpowiedź od Vandooslera.

– Przez całą noc szukałem tego cholernego fragmentu – powiedział Marc.  
– Wersja, którą mi pan podał, jest zmodernizowana, przerobiona w dziewiętnastym wieku.

– No i? – spytał Adamsberg, wciąż wierząc w zasoby cysterny Vandooslera.

– Troyes. Tekst oryginalny z tysiąc pięćset siedemnastego roku.

– Troyes?

– Dżuma w mieście Troyes. Facet ciąga was po kraju.

Adamsberg zaraz zadzwonił do Massény.

– Dobre wieści, możesz odetchnąć – powiedział. – Siewca wam odpuszcza.

– Co się dzieje?

– Przenosi się do Troyes.

– Biedak.

– Siewca?

– Inspektor.

– Spadam, Masséna, zapowiadają mój lot.

– Jeszcze się zobaczymy, kolego, na pewno się zobaczymy.

Adamsberg zadzwonił jeszcze do Danglarda, by przekazać mu tę samą wieść i poprosić o pilne skontaktowanie się z zagrożonym miastem.

– Będzie nas ganiał po całej Francji?

– Danglard, siewca nosi na palcu diament.

– Kobieta?

– Niewykluczone, może, nie wiem.

Adamsberg wyłączył komórkę na czas lotu, włączył ją ponownie, ledwie

wysiadł na lotnisku Orly. Sprawdził pocztę głosową – pusta. Wrzucił aparat do kieszeni, zaciskając usta.

## XXXI

Kiedy miasto Troyes szykowało się do ofensywy, Adamsberg prosto z lotniska pojechał do siedziby brygady, po czym udał się na plac Edgar-Quinet. Zaraz przypadł do niego Decambrais z grubą kopertą w ręce.

– Ten pański specjalista zidentyfikował wczorajszą wiadomość? – zapytał.

– Troyes. Epidemia z tysiąc pięćset siedemnastego.

Decambrais przejechał dłonią po policzku, jakby sprawdzał stan zarostu.

– Siewca zasmakował w podróżach – zauważył. – Jeśli będzie odwiedzał wszystkie miejsca, w których kiedyś wybuchła zaraza, przez trzydzieści lat będziemy jeździli po Europie, wyjąwszy parę miejscowości na Węgrzech i we Flandrii. Komplikuje rzeczy.

– Upraszcza. Przegrupowuje swoich ludzi.

Decambrais popatrzył na niego pytająco.

– Moim zdaniem nie jeździ po kraju dla przyjemności – wyjaśnił Adamsberg. – Jego oddział się rozproszył, teraz go zagania.

– Jego oddział?

– Skoro ludzie się rozproszyli – ciągnął Adamsberg, nie odpowiadając na pytanie – znaczy, że sprawa miała miejsce dość dawno temu. Ludzie z jakiejś bandy czy grupy winni czemuś. Siewca ich zbiera po kolei i na każdego zsyła dopust boży. Wybór nigdy nie jest przypadkowy, co do tego mam pewność. On wie, do czego dąży, a ofiary zostały zlokalizowane dawno temu. Bez dwóch zdań teraz już rozumieją, że są zagrożone. Bez dwóch zdań wiedzą, kim jest siewca.

– Gdzie tam, inspektorze, przecież szukaliby u was ochrony.

– Nie, nie. Przez ten występki, którego się dopuścili. To by było przyznanie się do winy. Facet z Marsylii to zrozumiał, założył dodatkowe dwa rygle w mieszkaniu.

– Jaki znowu występki?

– A skąd mam wiedzieć? Była jakaś śmierdząca sprawa. Teraz pokrzywdzony odpłaca pięknym za nadobne. Kto sieje smród, zbiera pchły.

– Gdyby tak było, już dawno by pan znalazł punkty wspólne.

– Są dwa. Wszystkie ofiary, niezależnie od płci, są z tego samego pokolenia. I wszystkie mieszkały w Paryżu. Dlatego mówię o grupie, bandzie – wyjaśnił Adamsberg i wyciągnął rękę.

Decambrais podał mu dużą kopertę koloru kości słoniowej. Inspektor wyjął z niej najnowszą wiadomość:

*Epidemia owa ustała nagle w sierpniu 1630 roku i wszystko [...] nadzwyczajnie się z tego ucieszyło; nieszczęściem spokój ów trwał krótko. Był ponurym zwiastunem nawrotu tak strasznego, że od października 1631 roku aż do końca 1632 [...].*

– A jak z budynkami? – zagadnął Decambrais, gdy Adamsberg wybierał numer Vandooslera. – Gazety piszą o osiemnastu tysiącach w Paryżu i czterech tysiącach w Marsylii.

– To dane z wczoraj. Dziś mamy dwadzieścia dwa tysiące, lekko licząc.

– Co za bieda!

– Vandoosler? Mówi Adamsberg. Dyktuję dzisiejszą wiadomość. Już można?

Kiedy inspektor czytał „ekstraniusa” do telefonu, Decambrais patrzył na niego z podejrzliwą miną i odrobiną zazdrości.

– Poszuka i oddzwoni – rzekł Adamsberg, rozłączając się.

– Zdolny, co?

– Bardzo – potwierdził Adamsberg z uśmiechem.

– Jeśli na podstawie tego fragmentu znajdzie panu miasto, powiem, że jest więcej niż zdolny. Powiem, że to prorok. Albo sprawca. Wtedy wystarczy panu puścić psy gończe jego śladem.

– Już dawno to zrobiłem, Decambrais. Gość jest poza podejrzeniami. Miał doskonale pościelowe alibi na noc pierwszego morderstwa, później co wieczór dostawał anioła stróża. Nocuje w domu i wychodzi z rana do sprzątnia.

– Do sprzątnia? – powtórzył Decambrais zakłopotany.

– Jest gosposiem.

– I specjalistą od dżumy?

– Pan dobrze robi serwetki.

- Tym razem nie znajdzie – z urazą w głosie rzekł po chwili Decambrais.
- Znajdzie.

Staruszek przecesał siwe włosy, poprawił granatowy krawat i wrócił do swego mrocznego gabinetu, gdzie nie miał żadnego rywala.

Gromki piorun Normandczyka przetoczył się przez plac, toteż w padającym kapuśniaczkę ruszono w stronę Wikinga, a więc w kierunku przeciwnym niż gołębie.

– Przepraszam, Bertin – powiedział Adamsberg. – Pojechałem z pańskim sztormiakiem do Marsylii.

– Kurtka wyschła. Moja żona ją odprasowała.

Bertin wyjął spod kontuaru i wręczył inspektorowi równiutko złożone czyste zawiniątko. Płócienna kurtka od dnia zakupu nigdy tak pięknie nie wyglądała.

– Te, Bertin, dogadzasz teraz glinom? Oni cię dymają, a ty wołasz o jeszcze?

Rosły Normandczyk obejrzał się na tego, który to powiedział drwiąco ze złośliwą miną, wsuwając rąbek papierowej serwetki za oszywkę przy byczej szyi, nim zabrał się do jedzenia.

Syn Thora opuścił swe stanowisko za kontuarem i ruszył prosto do jego stołu, roztrącając krzesła po drodze, a gdy dotarł do tego człowieka, chwycił go za koszulę i odepchnął mocno. Ponieważ facet głośno zaprotestował, Bertin dał mu dwa razy po pysku, zaciągnął do drzwi i wyrzucił na ulicę.

– I nie próbuj tu więcej przychodzić! W Wikingu nie ma miejsca dla takich gnojków jak ty!

– Nie masz prawa, Bertin! – wrzasnął wyrzucony, z trudem podnosząc się z ziemi. – To lokal publiczny! Nie masz prawa wybierać sobie klientów!

– Wybieram gliniarzy i wybieram gości – odparł Bertin i zatrzasnął drzwi. Następnie szeroką dłonią przejechał po jasnych włosach, by odgarnąć je do tyłu, i z godnością niewzruszony zajął swe miejsce za kontuarem.

Adamsberg przesunął się na prawo, pod dziób drakkaru.

– Zje pan lunch? – zapytał Bertin.

– Zjem i posiedzę do sesji obwoływacza.

Bertin pokiwał głową. Gliniarzy lubił tak jak każdy inny, lecz ten stolik u niego należał do Adamsberga *ad vitam aeternam*.

– Nie pojmuję, czego pan szuka na tym placu – mówił Normandczyk, zamasyście przecierając ścierką stół. – Piekielnie nudno by było, gdyby nie Joss.

– Właśnie – zgodził się Adamsberg. – Czekam na jego sesję.

– W porządku – powiedział Bertin. – Ma pan pięć godzin do przeczekania, ale co kto lubi.

Adamsberg położył swoją komórkę przy talerzu i obrzucił ją roztargnionym wzrokiem. Camille, do licha, zadzwońże. Wziął do ręki aparat, obrócił go w jedną stronę, w drugą. Potem go pstryknął lekko. Telefon okręcił się wokół własnej osi jak na kółeczku. Nawet gdyby miał to kółeczko, Adamsbergowi było wszystko jedno. Zadzwońże. A zasadniczo wszystko mi jedno.

Marc Vandoosler odezwał się późnym popołudniem.

– Nie było łatwo – rzekł tonem człowieka, który przez cały dzień szukał igły w stogu siana.

Wierzący w niego Adamsberg czekał na ciąg dalszy.

– Châtellerault – kontynuował Vandoosler. – Późny opis wydarzeń.

Adamsberg przekazał tę informację Danglardowi.

– Châtellerault – zanotował Danglard. – Inspektorowie Levelet i Bourrelot. Ostrzegę ich.

– Są czwórki w Troyes?

– Jeszcze nie. Dziennikarze nie zdołali rozszyfrować wiadomości jak w odniesieniu do Marsylii. No, na razie, muszę lecieć. Kulka właśnie rujnuje świeże tynki.

Adamsberg się rozłączył i potrzebował chwili, aby zrozumieć, że ostatnie zdanie Danglaroda dotyczyło kota. Po raz piąty tego dnia popatrzył swojej komórce prosto w oczy, twarzą w twarz.

– Zadzwoń – szepnął. – Rusz się. To był wypadek i będą następne. Nie powinnaś się tym przejmować, bo co ci to da? To moje wypadki i moje historie. Zostaw mi je. Zadzwoń.

– Czy to cudo rozpoznaje głos? – zapytał Bertin, stawiając przed nim ciepłe danie. – Samo odpowiada?

- Nie – rzekł Adamsberg. – Nie odpowiada.
- Z takich cacuszek nie zawsze człowiek jest zadowolony.
- Ano nie.

Adamsberg spędził popołudnie w Wikingu, gdzie spokój zakłócił mu jedynie Castillon, a później Marie-Belle, która przez pół godzinki dostarczała mu rozrywki gadaniem tego samego naokoło. Pięć minut przed sesją obwoływacza zajął pozycję, równocześnie z Decambrais'm, Lizbeth, Damasem, Bertinem, Castillonem, którzy ustawili się na zwykłych miejscach, oraz z melancholijną Éwą, którą dostrzegł w cieniu słupa ogłoszeniowego. Tłum słuchaczy, zwarty jak wcześniej, gromadził się wokół podwyższenia.

Adamsberg oderwał się od swojego platanu i podszedł jak najbliżej obwoływacza. Z napięciem wodził oczami kolejno po znajomych, oglądając dłonie każdego, wypatrując czujnie choćby najdrobniejszego ruchu, któremu by towarzyszył błysk. Joss odczytał osiemnaście ogłoszeń, a Adamsberg niczego nie zauważył. W trakcie rybackiej prognozy pogody ktoś podniósł rękę, przejechał nią po czole i Adamsberg zarejestrował. Zarejestrował błysk.

Zaskoczony wycofał się pod platan. Dłuższą chwilę stał bez ruchu oparty o pień niepewny, pełen wahania.

Potem wolnym ruchem wyjął z odprasowanej kurtki telefon.

– Danglard – wyszeptał – bierz dwóch ludzi i przyjeżdżaj na plac, ale migiem. Ruchy, nadkomisarzu. Mam siewcę.

– Kto to? – zapytał Danglard, zrywając się i dając znak Noëlowi i Voisenetowi, aby szli z nim.

– Damas.

Kilka minut później radiowóz zajechał na plac, wyskoczyli z niego trzej ludzie i skierowali się ku Adamsbergowi, który czekał na nich pod platanem. Wzbudziło to niejaki zainteresowanie tych, którzy zwlekali z odejściem, tocząc jeszcze dyskusje, zwłaszcza że najwyższy z gliniarzy niósł na ręce białoszarego kociaka.

– Jest w sklepie – powiedział cicho Adamsberg. – Robi kasę z Éwą i Marie-Belle. Nie ruszajcie kobiet, bierzcie tylko jego. Uwaga, może być niebezpieczny, ma atletyczną budowę, sprawdźcie broń. Tylko na litość, w razie czego żeby mi nie było żadnej nawalanki. Noël, wy idziecie ze mną. Tam jest drugie wyjście na boczną uliczkę, z niego korzysta obwoływacz. Danglard i Justin, zostajecie od frontu.

– Voisenet – sprostował Voisenet.

– Zostajecie od frontu – powtórzył Adamsberg, odrywając się od pnia platana. – Idziemy.

Na widok skutego kajdankami Damasa prowadzonego w otoczeniu czterech policjantów i wsadzanego do radiowozu wszystkich mieszkańców placu dosłownie zamurowało. Éva biegła za nimi aż do samochodu, który ruszył tuż przed nią, tak że została na ulicy, oburącz trzymając się za głowę. Marie-Belle zalana łzami padła w ramiona Decambrais'mu.

– Odbiło mu – powiedział Decambrais, tuląc dziewczynę. – Kompletnie mu odbiło.

Nawet Bertin, który całą scenę widział z okien Wikinga, zachwiał się w uwielbieniu, jakim darzył inspektora Adamsberga.

– Damas... – szepnął. – Zupełnie powariowali.

W ciągu pięciu minut cały plac zgromadził się w Wikingu, gdzie w dramatycznej pełnej buntu atmosferze rozgorzały zawzięte dyskusje.



## XXXII

Damas zachowywał absolutny spokój, na jego twarzy nie pojawił się nawet cień zmartwienia czy zdziwienia. Bez protestu dał się zatrzymać, wsadzić do samochodu i dowieźć na komisariat, nie powiedział ani słowa, nie zrobił zaciętej miny. Tak spokojnego podejrzanego Adamsberg w życiu przed sobą nie widział.

Danglard przysiadł na brzegu stołu, Adamsberg ze skrzyżowanymi rękami oparł się o ścianę, Noël i Voisenet stali w rogach pokoju inspektora. Favre zajął miejsce przy stoliku w kącie, gotów spisywać przysłuchanie. Damas, siedzący dość swobodnie na krześle, odrzucił do tyłu długie włosy i czekał, skute ręce złożywszy na kolanach.

Danglard wyszedł dyskretnie, by odnieść Kulkę do koszyka, przy okazji poprosił Mordenta i Mercadeta, by przynieśli dla wszystkich coś do picia i jedzenia plus pół litra mleka, jeśli łaska.

– Dla podejrzanego? – zapytał Mordent.

– Dla kota – cicho odparł Danglard. – Wdzięczny byłbym, jakbyście nalali mu do miski. Będę zajęty przez cały wieczór, może nawet przez noc.

Mordent zapewnił, że może na niego liczyć, po czym Danglard wrócił do pokoju przesłuchań, gdzie zajął pozycję na brzegu stołu.

Adamsberg właśnie zdejmował kajdanki Damasowi, co Danglard uznał za przedwczesne, zważywszy, że w oknie jeszcze nie było kraty, a oni nie mieli pojęcia, jak ten człowiek reaguje. Niemniej tym się nie przejął. Martwiło go natomiast, że aresztowali człowieka, nie mając jednego nawet dowodu, że jest siewcą dżumy. Łagodny wygląd Damasa całkowicie zresztą temu przeczył. Szukali przecież erudyty, intelektualisty. A Damas był prostym chłopakiem, wręcz niezbyt rozgarniętym. Wykluczone, żeby ktoś, kogo obchodziły głównie własne osiągnięcia fizyczne, mógł wysyłać tak zawiłe wiadomości obwoływaczowi. Danglard ze strachem się zastanawiał, czy aby Adamsberg pomyślał o tym, zanim podjął pochopną może decyzję o tym niewiarygodnym aresztowaniu. Przygryzał wewnątrz policzków przepełniony obawami. W jego mniemaniu Adamsberg laź prosto na mur.

Inspektor zdążył się porozumieć z prokuratorem i uzyskać nakazy przeszukania sklepu Damasa oraz jego mieszkania przy rue de la Convention. Sześciu ludzi przed kwadransem pojechało w oba te miejsca.

– Damas Viguiet... – zaczął Adamsberg, zerknąwszy do jego zniszczonego dowodu osobistego. – Jest pan oskarżony o zamordowanie pięciu osób.

– Czemu? – rzekł na to Damas.

– Bo jest pan oskarżony – powtórzył Adamsberg.

– Aha. Znaczy mówi pan, że zabiłem jakichś ludzi?

– Pięć osób – potwierdził Adamsberg, rozkładając mu przed oczami zdjęcia ofiar i wymieniając kolejno ich nazwiska.

– Nikogo nie zabiłem – powiedział Damas, patrząc na fotografie. – Mogę już iść? – dodał zaraz, podnosząc się.

– Nie. Jest pan zatrzymany. Ma pan prawo wykonać jeden telefon.

Damas ze zdumieniem na twarzy popatrzył na inspektora.

– Ja dzwonię, kiedy chcę i gdzie chcę – zauważył.

– Te pięć osób – mówił Adamsberg, wskazując po kolei zdjęcia – w tym tygodniu uduszono. Cztery w Paryżu i jedną w Marsylii.

– Aha – skomentował Damas, siadając na powrót.

– Czy pan je rozpoznaje.

– Pewnie.

– Gdzie pan widział tych ludzi?

– W gazecie.

Danglard stanął i wyszedł, zostawiając drzwi otwarte, by słyszeć dalszy ciąg tego żalostnego początku przesłuchania.

– Niech pan pokaże ręce – rozkazał Adamsberg, zbierając zdjęcia ze stołu. – Nie, nie tak, odwrotnie.

Damas posłusznie wykonał polecenie: pokazał inspektorowi wyciągnięte dłonie zwrócone wnętrzem do góry. Adamsberg chwycił jego lewą rękę.

– Czy to diament?

– Tak.

– Czemu pan go odwraca?

– Żeby się nie zniszczył, jak naprawiam deski.

– Dużo jest wart?

– Sześćdziesiąt dwa tysiące franków.  
– Skąd pan go ma? Rodzinna pamiątka?  
– Za tyle sprzedałem maszynę, prawie nową yamahę 1000 R1. Kupiec tym zapłacił.

– Mężczyźni nieczęsto noszą na palcu diamenty.

– Ja noszę. Bo mam.

Danglard stanął w drzwiach i kiwnął na Adamsberga, by wyszedł do niego.

– Dzwonili chłopcy po rewizji – powiedział cicho. – Nic. Ani worka z węglem drzewnym, ani hodowli pcheł, ani jednego szczura żywego czy martwego, ani pół książki i w sklepie, i w domu z wyjątkiem paru powieści w wydaniu kieszonkowym.

Adamsberg potarł kark.

– Dajże spokój – rzekł Danglard z naleganiem w głosie. – Brniesz w ślepy zaułek. Ten facet nie jest siewcą.

– Jest.

– Diament to żaden dowód, nie ośmieszaj się.

– Faceci nie noszą diamentów, Danglard. A on nosi diament na serdecznym palcu lewej ręki i chowa kamień w dłoni.

– Żeby się nie zniszczył.

– Pieprzenie, nic nie uszkodzi diamentu. Diament to kamień chroniący przed dżumą, najlepszy talizman. Jest w rodzinie faceta od tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. On kłamie, Danglard. Nie zapominaj, że ma dostęp do skrzynki obwoływacza trzy razy dziennie.

– Kurde, ten człowiek w życiu nie przeczytał ani jednej książki – niemal uniósł się Danglard.

– Kto wie?

– Widzisz w tym chłopaku łacinnika? Nie żartuj!

– Nie znam żadnych łacinników, więc nie mam takich jak ty wyobrażeń.

– A Marsylia? Jak się znalazł w Marsylii? Wiecznie przecież siedzi w tym swoim sklepie.

– Nie siedzi w niedzielę ani przed południem w poniedziałek. Po wieczornej sesji obwoływacza miał dość czasu, żeby wskoczyć w pociąg dwadzieścia po ósmej. I wrócić do Paryża o dziesiątej rano.

Danglard prawie zły wzruszył ramionami i poszedł do swojego komputera. Skoro Adamsberg chce brnąć w ślepy zaułek, niech sobie brnie, ale bez niego.

Oficerowie przynieśli jedzenie i Adamsberg na swoim biurku podał pizzę w kartonach. Damas jadł z apetytem i zadowoloną miną. Adamsberg spokojnie poczekał, aż wszyscy się najedzą, potem odstawił pudełka koło kosza na śmieci i przy zamkniętych drzwiach podjął na powrót przesłuchanie.

Pół godziny później Danglard zapukał do drzwi. Wyglądało na to, że złość częściowo z niego opadła. Wzrokiem dał znak Adamsbergowi, by do niego wyszedł.

– Nie ma Damasa Viguiera w ewidencji ludności – rzekł cichym głosem.

– Ten facet nie istnieje. Jego papiery są fałszywe.

– A nie mówiłem? On łże. Sprawdź jego odciski, na pewno siedział. Zaczniemy od początku. Ten, kto otworzył drzwi mieszkania Lauriona i w Marsylii, wiedział, jak się do tego zabrać.

– Baza odcisków mi padła. Od tygodnia powtarzam, że ta cholerna baza doprowadza mnie do białej gorączki.

– Leć do centrali, stary, ale migiem. Zadzwoń stamtąd.

– Kurde, na tym placu wszyscy noszą fałszywe nazwiska.

– Decambrais powiada, że są miejsca, które mają swojego ducha.

– Nie nazywa się pan Viguiier? – rzekł Adamsberg, na powrót zajmując miejsce pod ścianą.

– To nazwisko do prowadzenia sklepu.

– I do dokumentów – zauważył Adamsberg, pokazując mu jego dowód. – Fałszerstwo i posługiwanie się fałszywymi dokumentami.

– Przyjaciel mi je zrobił, tak wolę.

– Bo?

– Bo nie lubię nazwiska ojca. Jest za bardzo znane.

– Niech pan powie.

Po raz pierwszy Damas w milczeniu zacisnął usta.

- Nie lubię go – oświadczył w końcu. – Wołają mnie Damas.
- Cóż, no to poczekamy na to nazwisko – zapowiedział Adamsberg.

Adamsberg wyszedł się przejść, zostawiając Damasa pod pieczęią swoich ludzi. Czasem bardzo łatwo wyczuć, kiedy ktoś kłamie, a kiedy mówi prawdę. Damas mówił prawdę, utrzymując, że nikogo nie zabił. Adamsberg słyszał ją w jego głosie, widział w oczach, czytał z ust i czoła. Nadal jednak był przekonany, że ma do czynienia z siewcą. Po raz pierwszy w obliczu podejrzanego czuł się rozdarty na dwie części nie do pogodzenia. Zadzwoił do swoich ludzi, którzy nadal przeszukiwali sklep i mieszkanie Damasa. Rewizja nic nie dała. Godzinę później Adamsberg wrócił do biura, zapoznał się z faksem Danglerda i przepisał go sobie do notesu. Tylko trochę się zdziwił na widok Damasa śpiącego na krześle twardym snem człowieka, który nie ma nic na sumieniu.

– Już prawie godzinę tak śpi – powiedział Noël.

– Obudź się, Arnaudzie Damasio Heller-Deville. Opowiem ci twoją historię.

Damas otworzył oczy i zaraz je zamknął.

– Znam ją.

– Twoim ojcem jest przedsiębiorca lotniczy Heller-Deville?

– Był – odparł Damas. – Dzięki Bogu dwa lata temu roztrzaskał się w prywatnym samolocie. Nie życzę pokoju jego duszy.

– Dlaczego?

– Bo tak – powiedział Damas, któremu usta lekko drżały. – Nie ma pan prawa mnie wypytywać o niego. Może pan zapytać o wszystko inne. O wszystko inne.

Adamsberg pomyślał o słowach doktora Fereza i zostawił tę sprawę.

– Siedziałeś pięć lat we Fleury, wyszedłeś dwa i pół roku temu – powiedział, zerkając do notatek. – Oskarżony o zabójstwo z premedytacją. Twoja dziewczyna wyleciała z okna.

– Wskoczyła.

– Jak nakręcony powtarzałeś to na procesie. Sąsiedzi byli świadkami. Przez wiele tygodni słyszeli u was karczemne awantury. Parę razy chcieli już wzywać policję. O coście się tak kłócili, Damas?

– Szajbę miała. Wiecznie darła pysk. Wyskoczyła z okna.

– Nie jesteś w sądzie, Damas, twojego procesu nie można wznowić.

Możesz zmienić płytę.

– Nie.

– Wypchnąłeś ją?

– Nie.

– Heller-Deville, czy w zeszłym tygodniu zabiłeś czterech mężczyzn i kobietę? Czy udusiłeś ich?

– Nie.

– Znasz się na zamkach u drzwi?

– Coś tam się nauczyłem.

– Ci ludzie cię skrzywdzili? Zabiłeś ich? Tak jak swoją dziewczynę?

– Nie.

– Co robił twój ojciec?

– Kasę.

– A matka co robiła?

Damas znowu zacisnął usta.

Zadzwoił telefon – na linii był sędzia śledczy, który chciał mówić z Adamsbergiem.

– I co? Mówi? – zapytał.

– Nie. Idzie w zaparte – odparł Adamsberg.

– Są widoki, że przemówi?

– Gdzie tam!

– Przeszukanie?

– Zero.

– Niech pan się pospieszy, Adamsberg.

– Nie. Chcę dostać nakaz aresztowania, panie sędzio.

– Nie ma mowy. Nie ma pan ani cienia dowodu. Albo zmusi go pan do mówienia, albo go pan zwolni.

– Viguier to nie jest jego prawdziwe nazwisko, dowód ma podrobiony. Nazywa się Arnaud Damas Heller-Deville, pięć lat odsiadki za zabójstwo. To nie wystarczy jako domniemanie winy?

– Tym bardziej nie wydam nakazu. Dobrze pamiętam sprawę Hellera-Deville'a. Został skazany, bo zeznania świadków zrobiły wrażenie na

sądzie. Ale jego wersja zdarzeń była tak samo prawdopodobna jak wersja oskarżenia. Nie ma mowy, żebym zrzucił na niego winę za dżumę tylko dlatego, że siedział w pudle.

– Zamki sforsował ktoś, kto się na tym zna.

– Na tym placu ma pan byłych więźniów na pęczki, jeśli się nie mylę? Ducouëdic i Le Guern mają tyle samo za uszami co Heller-Deville. A według raportów resocjalizacja w odniesieniu do wszystkich przebiegła znakomicie.

Sędzia Ardet był człowiekiem stanowczym, a zarazem wrażliwym i ostrożnym – to rzadkie połączenie cech tego wieczoru wcale nie urządziło Adamsberga.

– Jeżeli go wypuścimy – rzekł inspektor – za nic nie ręczę. Będzie znowu zabijał albo wymknie nam się z rąk.

– Nie wystawię nakazu – oświadczył stanowczo sędzia. – Chyba że zdobędzie pan dowody przed dziewiętnastą trzydzieści jutro. Dowody, Adamsberg, nie mgliste przeczucia. Dowody. Na przykład zeznanie. Dobranoc, inspektorze.

Adamsberg odłożył słuchawkę i długo trwał w milczeniu, którego nikt nie ośmielił się przerwać. Stał oparty o ścianę albo krążył po pokoju ze spuszczoną głową, założonymi rękami. Danglard widział po skórze na policzkach, po chmurnym czole, jak rozświetla go osobliwe światło koncentracji. Ale choćby nie wiadomo jak się skupiał, nie znajdzie szczeliny, dzięki której Arnaud Damas Heller-Deville by pękł. Damas bowiem może i zabił swoją dziewczynę, może i używał podrobionych dokumentów, ale nie był siewcą. Jeśli ten gość o pustym spojrzeniu zna łącinę, to on, Danglard, zje własną koszulę. Adamsberg wyszedł, aby zadzwonić, potem wrócił do pokoju.

– Damas... – podjął, przysuwając sobie krzesło i siadając blisko zatrzymanego. – Rozsiewasz dżumę. Od ponad miesiąca wrzucasz wiadomości do skrzynki Le Guerna. Hodujesz szcurze pchły, które wypuszczasz pod drzwiami swoich ofiar. Te pchły roznoszą dżumę, są zarazone i gryzą ludzi. Na zwłokach są ślady ich śmiertelnych ukąszeń, ciała są poczerniałe. Cała piątka ofiar umarła na dżumę.

– No – przytaknął Damas. – Tak pisali w gazetach.

– Ty malujesz na drzwiach czarne czwórki. Ty podrzucasz pchły. Ty zabijasz.

– Nie.

– Musisz zrozumieć jedno, Damas. Pchły, które przenosisz, skaczą na ciebie tak samo jak na innych. A nieczęsto zmieniasz ubranie i nieczęsto się myjesz.

– Myłem włosy w tamtym tygodniu – zaprotestował Damas.

I znowu Adamsberg zachwiał się w swoim przekonaniu w obliczu niewinnego spojrzenia chłopaka. W oczach miał taką samą prostoduszność jak Marie-Belle, dość prząsną.

– Na pewnonosisz na sobie zadżumione pchły. Ale jesteś chroniony, masz diament. Więc pchły nic ci nie zrobią. Ale co by było, gdybyś nie miał diamentu, Damas?

Damas zacisnął palce na pierścieniu.

– Jeżeli jesteś bez winy – mówił dalej Adamsberg – nie musisz się przejmować, bo przecież nie masz na sobie pcheł. Rozumiesz? – Milczał przez chwilę, wypatrując drobnych zmian na twarzy Damasa. – Daj mi pierścień – powiedział na koniec.

Damas ani drgnął.

– Na dziesięć minut tylko – nalegał Adamsberg. – Oddam ci go, przysięgam. – Wyciągnął rękę i czekał. – Zdejmij pierścień, Damas.

Damas trwał w bezruchu tak samo jak wszyscy obecni w pokoju. Danglard obserwował, jak twarz mu tężeje. Coś zaczynało się dziać.

– Daj mi go – powtórzył Adamsberg z ręką wciąż wyciągniętą. – Czego się boisz?

– Nie mogę go zdjąć. Ślubowałem. Dziewczynie, która wyskoczyła z okna. To był jej pierścionek.

– Zwrócę ci go. No daj.

– Nie – powiedział Damas, chowając lewą dłoń pod udo.

Adamsberg wstał i zaczął chodzić.

– Boisz się, Damas. Wiesz, że jak tylko zdejmiesz pierścień z palca, pchły cię pogryzą i przekażą ci bakcyła. I że umrzesz jak inni.

– Nie. Ślubowałem.

Kłapa, pomyślał Danglard, zwieszając ramiona. Świetny pomysł, ale



klapa. Za słaba ta historia z diamentem. Szkoda.

– W takim razie rozbieraj się – polecił Adamsberg.

– Co?

– Ściągaj ciuchy. Wszystkie. Danglard, przynieś worek.

Jakiś człowiek, nieznany Adamsbergowi, wetknął głowę przez drzwi.

– Martin – przedstawił się. – Dział entomologii. Wzywał mnie pan.

– A, zaraz coś dostaniecie, minutkę. Damas, rozbieraj się.

– Przy tych ludziach?

– Przeszkadzają ci? Wyjdźcie – rzekł Adamsberg do Noëla, Voiseneta i Favre'a. – Krępujcie go.

– Czemu miałbym się rozbierać? – zapytał Damas wrogim głosem.

– Potrzebne mi twoje ciuchy i chcę cię obejrzeć. Więc rozbieraj się, do cholery.

Marszcząc czoło, Damas wolno wykonał polecenie.

– Włóż wszystko do worka – rozkazał Adamsberg.

Kiedy Damas stanął nagi, tylko z pierścieniem na palcu, Adamsberg zawiązał worek i wyszedł z nim do Martina.

– Pilne. Szukajcie tych...

– *Nosopsyllus fasciatus*.

– Właśnie.

– Teraz?

– Teraz, i to migiem.

Adamsberg wrócił do pokoju, w którym Damas stał ze spuszczoną głową. Inspektor podniósł mu jedną rękę, drugą.

– Rozsuń nogi, tak na trzydzieści centymetrów. – Adamsberg pociągnął za skórę na udach z jednej strony, z drugiej. – Usiądź, to wszystko. Przyniosę ci ręcznik.

Adamsberg po chwili wrócił z szatni z zielonym ręcznikiem kąpielowym, który Damas chwycił skwapliwie.

– Nie jest ci zimno?

Damas pokręcił głową.

– Jesteś pogryziony przez pchły, Damas. Masz dwie krosty pod prawą pachą, jedną w lewej pachwinie i trzy w prawej. Nie boisz się, bo masz pierścień.

Damas owinięty w wielki ręcznik trzymał opuszczoną głowę.

– I co na to powiesz?

– W sklepie są pchły.

– Ludzkie pchły?

– Tak. Na zapleczu nie jest za czysto.

– Szczurze pchły, o czym wiesz lepiej niż ja. Poczekamy z godzinę i wszystkiego się dowiemy. Martin zadzwoni. To specjalista dużej klasy, wiesz. Szczurzą pchlę poznaje na pierwszy rzut oka, mówię ci. Możesz się przespać, jak chcesz. Przyniosę ci koce.

Wziął Damasa pod rękę i zaprowadził do celi. Damas wciąż był spokojny, lecz już nie taki obojętny i zdziwiony. Miał na twarzy zatroskanie i napięcie.

– Cella jest nowa – powiedział Adamsberg, podając mu dwa koce. – A prycza czysta.

Damas bez słowa się położył, Adamsberg zaś zamknął kratę. Wrócił do swojego pokoju niezadowolony. Dopadł siewcę, miał słusność, ale sprawiło mu to przykrość. A przecież ten człowiek w tydzień zamordował pięć osób. Adamsberg zmusił go, by sobie je przypomniał, by znowu zobaczył twarze swoich ofiar, w tym młodej kobiety wepchniętej pod ciężarówkę.

Czekali ponad godzinę w milczeniu, Danglard bowiem nie śmiał jeszcze się wypowiedzieć. Nic nie wskazywało na to, że w ubraniu Damasa są pchły zarażone dżumą. Adamsberg z twarzą trochę ściągniętą bazgrał coś na kartce położonej na kolanie. Było w pół do drugiej nad ranem. Martin zadzwonił dziesięć po drugiej.

– Dwie sztuki *Nosopsyllus fasciatus* – oznajmił powściągliwie. – Żywe.

– Dzięki, Martin. Są absolutnie bezcenne. Nie pozwólcie im się rozejść, bo nasze dochodzenie szlag trafi.

– Bezcenni – poprawił entomolog. – To samce.

– O, przepraszam. Nie chciałem nikogo urazić. Proszę ciuchy odesłać do nas, żeby podejrzany mógł się ubrać.

Pięć minut później sędzia, wyrwany z pierwszego snu, zgodził się wystawić nakaz aresztowania.

– Miałeś słusność – rzekł Danglard, podnosząc się z trudem

z podkrążonymi oczami i znużony na ciele. – Ale sprawa wisiała na włosku.

– Taki włoszek bywa mocniejszy, niż nam się wydaje. Wystarczy pociągać za niego delikatnie, ale równo.

– Zwracam uwagę, że Damas jeszcze nic nie powiedział.

– Powie. Zrozumiał, że przegrał. Jest diabelnie sprytny.

– Niemożliwe.

– Tak, tak, Danglard. Tylko zgrywa głupiego. A że jest diabelnie sprytny, bardzo dobrze się zgrywa.

– Jeżeli ten gość zna łacinę, zjem swoją koszulę – oświadczył Danglard, wychodząc.

– Smacznego!

Danglard wyłączył komputer, wziął koszyk, w którym spał kociak, i niosąc go pod pachą, pożegnał agentów z nocnej zmiany. Na dole minął się z Adamsbergiem, który wynosił z szatni łóżko polowe i koc.

– Kurde, będziesz tu spał?

– Na wypadek, gdyby mu się zebrało na zwierzenia – odparł Adamsberg.

Danglard poszedł swoją drogą, nie komentując tego. Bo i co tu było komentować? Wiedział, że Adamsberg nie bardzo ma ochotę wracać do swojego mieszkania, w którym wciąż jeszcze unosiły się opary przykrego wydarzenia. Jutro będzie lepiej. Adamsberg należał do ludzi, którzy wyjątkowo szybko potrafili się podnieść po ciosie.

Adamsberg rozłożył łóżko polowe, rzucił na nie koc zwinięty w kłęb. Miał siewcę, miał go w odległości dziesięciu kroków. Człowieka od czwórek, człowieka od siejących postrach „ekstraniusów”, człowieka od szcurzych pcheł, człowieka od dżumy, człowieka, który dusił swoje ofiary i mazał je węglem. Mazanie węglem, ów gest na zakończenie, było jego karygodnym błędem.

Zdjął kurtkę i spodnie, komórkę położył na krześle. Zadzwoń, na miłość boską!

## XXXIII

Ktoś skorzystał z dzwonka nocnego, naciskając kilkakrotnie na znak, że mu pilno. Sierżant Estalère otworzył bramę i wpuścił zlanego potem człowieka w byle jak zapiętym garniturze i koszuli rozchełstanej, odsłaniającej gęste czarne owłosienie na piersi.

– Pan się pospieszy – rzekł przybysz, czym prędzej chroniąc się na terenie siedziby brygady kryminalnej. – Chcę złożyć doniesienie. O mordercy, o tym kolesiu od dżumy.

Estalère nie śmiał obudzić szefa, obudził zatem nadkomisarza Danglarda.

– Kurde, Estalère – burknął Danglard leżący w łóżku – czemu do mnie dzwonicie? Obudźcie Adamsberga, śpi w swoim biurze.

– No właśnie, panie nadkomisarzu. Jak się okaże, że to nic ważnego, boję się, że inspektor mi nawtyka.

– Znaczy, że mnie się tak nie boicie, Estalère?

– Nie tak bardzo, panie nadkomisarzu.

– I błąd. Widujecie Adamsberga od półtora miesiąca. Widzieliście kiedy, żeby komuś nawtykał?

– Nie, panie nadkomisarzu.

– I nie zobaczycie, choćbyście czekali dziesięć lat. W odróżnieniu ode mnie, bo ja już zaczynam wam wtykać, sierżancie. Obudźcie go, do cholery. On i tak nie potrzebuje dużo snu. A ja tak.

– Tak jest.

– Moment, Estalère. Czego chce ten facet?

– Jakiś panikarz, boi się, że moderca go zamorduje.

– Od dawna się wam powtarza, że panikarzami nie zawracamy sobie głowy. Teraz jest ich w mieście ze sto tysięcy. Wywalcie go za bramę i dajcie się wyspać inspektorowi.

– Mówi, że jego przypadek jest wyjątkowy – zaznaczył Estalère.

– Każdy panikarz ma się za wyjątkowego. Inaczej by nie panikował.

– No nie, on mówi, że pogryzły go pchły.

– Kiedy? – zapytał Danglard, siadając na łóżku.

– Dziś w nocy.

– W porządku, Estalère, obudźcie Adamsberga. Ja też już jadę.

Adamsberg ochlapał sobie twarz i tors zimną wodą, poprosił Estalère'a, by przyniósł mu kawę – automat zainstalowano poprzedniego dnia – przesunął nogą łóżko polowe w głąb pokoju.

– Wprowadźcie mi tu tego człowieka – powiedział do sierżanta.

– Jestem Estalère – przedstawił się młody funkcjonariusz.

Adamsberg kiwnął głową i wyjął notes. Teraz, gdy siewcę trzymał w celi, może wreszcie uda mu się zająć tą gromadą obcych ludzi, którzy składają się na jego brygadę. Zapisał: Okrągła twarz, zielone oczy, strachliwy równa się Estalère. I za jednym zamachem dodał: Entomolog, pchły, grdyka równa się Martin.

– Jak on się nazywa? – zapytał.

– Roubaud Kévin – odparł sierżant.

– Wiek?

– Koło trzydziestki – rzekł Estalère.

– Został pogryziony tej nocy, tak twierdzi, zgadza się?

– Tak. I spanikował.

– Nieźle.

Estalère wprowadził Roubauda Kévina do biura Adamsberga, w lewej ręce niosąc kubek z kawą bez cukru. Inspektor nie słodził. Estalère w przeciwieństwie do Adamsberga lubił różne drobiazgi życiowe, lubił o nich pamiętać i udowadniać, że ich nie zapomniał.

– Nie posłodziłem – oznajmił, stawiając kubek na stole i sadzając Roubauda Kévina na krześle.

– Dzięki, Estalère.

Przybyły gmerał palcami w gęstym owłosieniu swojej piersi, był nerwowy, czuł się nieswojo. Śmierdział potem, a jego pot śmierdział winem.

– Wcześniej nie miał pan pcheł? – zapytał Adamsberg.

– Nigdy.

– Jest pan pewien, że pogryzły pana tej nocy?

– Niecałe dwie godziny temu, to mnie obudziło. Dlatego zaraz do was

przyleciałem.

– Czy na drzwiach w budynku są namalowane czwórki?

– Na dwojgu. Strażniczka wyrysowała flamastrem na szybie portierni i facet na piątym po lewej na drzwiach.

– W takim razie to nie on. I to nie są te pchły. Może pan spokojnie wracać do domu.

– Jaja pan sobie robi? – Roubaud Kévin podniósł głos. – Żądam ochrony.

– Siewca maluje czwórki na wszystkich drzwiach oprócz jednych, pod którymi wpuszcza pchły – dobitnie rzekł Adamsberg. – To inne pchły. Czy ostatnio był ktoś w pana mieszkaniu? Ktoś ze zwierzęciem?

– Był – odparł Roubaud nachmurzony. – Dwa dni temu wpadł kolega ze swoim kundlem.

– No właśnie. Proszę wrócić do domu i położyć się spać. Wszyscy zdrzemniemy się jeszcze z godzinkę, dobrze nam to robi.

– Nie. Nie chcę.

– Skoro tak się pan przejmuje – powiedział Adamsberg, wstając – proszę wezwać kogoś do dezynsekcji i po ptakach.

– To nic nie da. Morderca mnie wybrał, zabije mnie z pchłami czy bez. Żądam ochrony.

Adamsberg wrócił do stołu, po czym cofnął się pod ścianę i uważnie przyjrzał się Kévinowi Roubaudowi. Około trzydziestki, porywczy, zmartwiony, miał coś zagadkowego w dużych ciemnych, lekko wylupiastych oczach.

– No dobra – rzekł Adamsberg. – Wybrał pana. W budynku nie ma ani jednej oryginalnej czwórki, ale pan wie, że pana wybrał.

– Pchły – burknął Roubaud. – Pisali w gazetach. Wszystkie ofiary miały pchły.

– A pies pańskiego kolegi?

– Nie, odpada.

– Skąd pan wie?

Ton inspektora się zmienił, co Roubaud wyczuł i skulił się na krześle.

– Pisali w gazetach – powtórzył.

– Nie, Roubaud, chodzi o coś innego.

Zjawił się Danglard, było pięć po szóstej. Adamsberg dał mu znak, by

usiadł. Nadkomisarz cichutko przeszedł od drzwi i usadowił się przy komputerze.

– No co jest? – Kévin Roubaud odzyskał pewność siebie. – Ktoś mi grozi, jakiś świr próbuje mnie zabić, a wy mnie się czepiacie?

– Czym pan się zajmuje na co dzień? – zapytał Adamsberg łagodniejszym tonem.

– Pracuję w dziale wykładowców w dużym sklepie meblowym za Gare de l'Est.

– Jest pan żonaty?

– Rozwiedziony od dwóch lat.

– Dzieci?

– Dwoje.

– Mieszkają z panem?

– Z matką. Wolno mi je odwiedzać w weekendy.

– Kolacje jada pan w lokalu? U siebie? Umie pan gotować?

– Zależy – odparł Roubaud lekko stropiony. – Czasem robię sobie jakąś zupę i na drugie mrożonkę. Czasem idę do baru. Restauracje są za drogie.

– Lubi pan muzykę?

– Tak – przyznał Roubaud nieco pogubiony.

– Ma pan wieżę, telewizor?

– Tak.

– Ogląda pan futbol?

– Jasne.

– Zna się pan na piłce?

– Nie najgorzej.

– Oglądał pan mecz Nantes–Bordeaux?

– Tak.

– Niezły, co? – rzekł Adamsberg, który go nie oglądał.

– Rzecz gustu – stwierdził Roubaud, krzywiąc się. – Grali rozlaźle i skończyli remisem. Już po pierwszej połowie to było wiadome.

– Oglądał pan wiadomości w przerwie?

– Tak – przyznał Roubaud machinalnie.

– Czyli wie pan – powiedział Adamsberg, siadając naprzeciw niego – że wczoraj wieczór zgarnęliśmy siewcę?

– Tak mówili – szepnął Roubaud poruszony.

– W takim razie czego pan się boi?

Kévin Roubaud zagryzł wargę.

– Czego pan się boi? – powtórzył Adamsberg.

– Nie mam pewności, czy to naprawdę on – wyznał Roubaud z wahaniem.

– Tak? Zna się pan na mordercach?

Roubaud zupełnie wciągnął do ust dolną wargę, palce trzymając w owłosieniu na piersi.

– Ktoś mi grozi, a wy mnie się czepiacie? – powtórzył. – To było do przewidzenia. Jak potrzebujesz czegoś od glin, pakują cię do pudła, bo tylko to potrafią. Było radzić sobie samemu. Człowiek chce pomóc wymiarowi sprawiedliwości i proszę, jaki efekt.

– Ależ pomoże pan, Roubaud, i to bardzo.

– Czyżby? Chyba pana pojebało, inspektorze.

– Nie zgrywaj cwaniaka, Roubaud, boś na to za cienki w uszach.

– Czyżby?

– Ano. Ale jak nie chcesz pomóc, wrócisz grzecznie do siebie. Do siebie, słyszysz? Jak spróbujesz się ulotnić, sprowadzimy cię do domu. I potrzymamy tam, póki śmierć cię nie dopadnie.

– Odkąd to gliniarze mi dyktują, gdzie mam iść?

– Odkąd mnie wkurzasz. Ale idź, jesteś wolny. Spadaj.

Roubaud nie ruszył się z miejsca.

– Boisz się, he? Boisz się, żeby cię nie udusił opaską zaciskową jak innych? Wiesz, że nie zdołasz się obronić. Wiesz, że cię dopadnie, gdziekolwiek będziesz, w Lyonie, Nicei czy Berlinie. Jesteś celem. I wiesz, dlaczego nim jesteś. – Adamsberg wysunął szufladę i rozłożył przed Roubaudem zdjęcia pięciu ofiar. – Wiesz, że do nich dołączysz, he? Znasz ich wszystkich i dlatego się boisz.

– Odwał się pan ode mnie – burknął Roubaud, odwracając głowę.

– No to idź. Zjeżdżaj stąd.

Upłynęły dwie długie minuty.

– No dobra – zdecydował się Roubaud.

– Znasz ich?



– Tak i nie.

– Wyjaśnij.

– Powiedzmy, że spotkałem ich kiedyś wieczorem, dawno temu, jakieś siedem, osiem lat. Poszliśmy na drinka.

– Aha. Poszliście na drinka i dlatego teraz ktoś was po kolei ukatrupia. Kévin Roubaud pocił się, zapach jego potu unosił się w całym pokoju.

– Chcesz kawy?

– Poproszę.

– Coś zjesz?

– Chętnie.

– Danglard, każ Estalère'owi przynieść.

– I fajki – dodał Kévin Roubaud.

– Mów – polecił Adamsberg, gdy Roubaud krzepił się mocno posłodzoną kawą z mlekiem. – W ilu odbyło się to spotkanie?

– W siódemkę – szepnął Roubaud. – Spotkaliśmy się w knajpie. Słowo.

Adamsberg zajął w jego ciemne oczy i zobaczył, że wraz z tym „słowo” przemknęło przez nie odrobinę prawdy.

– Coście zrobili?

– Nic.

– Roubaud, mam siewcę w celi. Jak chcesz, wsadzę cię razem z nim, zamknę oczy i więcej o tym nie będziemy mówili. Za pół godziny będziesz martwy.

– Powiedzmy, żeśmy potarmosili jednego takiego.

– Dlaczego?

– Stare czasy. Zapłacono nam, żeby facet coś wygadał, i tyle. Zakosił towar i chodziło o to, żeby go oddał. Tośmy go potarmosili, taka była umowa.

– Umowa?

– No, ktoś nas wynajął. Ot, drobna robota.

– Gdzieście go „potarmosili”?

– Na siłowni. Dostaliśmy adres, nazwisko gościa i nazwę knajpy, w której mieliśmy się zejść. Bośmy się nie znali.

– Nikt się nie znał?

– Nikt. Było nas siedmiu i nikt się nie znał. Skaptował nas osobno. Spryciarz.

– Gdzie was skaptował?

Roubaud wzruszył ramionami.

– W miejscach, gdzie można znaleźć chłopaków, którzy chętnie kogoś potarmoszą za kasę. Żadna sztuka. Mnie znalazł w takiej mordowni przy rue Saint-Denis. Słowo, że od wieków nie tykam się takich spraw. Słowo, inspektorze.

– Kto cię znalazł?

– Nie wiem, wszystko się odbywało na piśmie. Jedna dziewczyna mi przekazała list. Na bajeranckim papierze, czysty... Kupiłem to.

– Od kogo był list?

– Nie mam pojęcia, słowo, nigdy się nie dowiedziałem, kto nas wynajął. Cwany gość, naprawdę. Żebyśmy się przypadkiem nie domagali więcej.

– Czyli spotkaliście się w siódemkę i poszliście do ofiary.

– Tak.

– Kiedy to było?

– Siedemnastego marca, we czwartek.

– I dopadliście go na siłowni. Co było potem?

– Cholera, już mówiłem. – Kévin Roubaud wiercił się na krześle. – Potarmosiliśmy koleś.

– Skutecznie? Powiedział, co miał powiedzieć?

– Tak. W końcu zadzwonił. Wygadał wszystko.

– O co chodziło? O kasę? Narkotyki?

– Nie bardzo zrozumiałem, słowo. Szef musiał być zadowolony, bo nie słyszeliśmy o nim więcej.

– Dobrze zapłacił?

– No.

– Potarmosiliście, hę? I facet wszystko wygadał? A nie powiedziałbyś raczej, żeście go torturowali?

– Potarmosiliśmy trochę.

– I po ośmiu latach ofiara miałaby wyrównywać rachunki?

– Tak myślę.

– Za potarmoszenie? Jaja sobie ze mnie robisz, Roubaud. Wracasz do

chaty.

– To prawda – zapewnił Roubaud, chwytając się krzesła. – Cholera, czemu byśmy mieli ich torturować? Oni mieli pietra, szczali po nogach na sam nasz widok.

– Oni?

Kévin Roubaud znowu przygryzł dolną wargę.

– Było ich kilku? Szybciej, Roubaud, czuję, że czas nagli.

– Była też dziewczyna – wyszeptał Roubaud. – Nie mieliśmy wyboru. Jak przyszedliśmy po kolesia, był z laską, i co z tego? Zabraliśmy oboje.

– Potarłosiliście też dziewczynę?

– Troszkę. Ja nie, przysięgam.

– Kłamiesz. Wyjdź stąd, nie chcę dłużej na ciebie patrzeć. Spadaj i niech się z tobą dzieje, co chce, Roubaud, ja umyвам ręce.

– To nie ja – wyszeptał Roubaud – przysięgam. Nie jestem jakimś zwyrodnialcem. Ciut nerwowy, jak mnie zaczepiają, ale nie taki jak inni. Tylko się śmiałem i zabezpieczałem tyły.

– Wierzę ci – powiedział Adamsberg, który wcale mu nie wierzył. – Z czego się śmiałeś?

– No... z tego, co robili.

– Szybciej, Roubaud. Masz pięć minut, potem cię stąd wywalam.

Roubaud hałaśliwie zaczerpnął powietrza.

– Zdarli z niego ciuchy – ciągnął cichym głosem – i polali mu benzyną... ten... no...

– Przyrodzenie – odpowiedział Adamsberg.

Kévin Roubaud przytaknął. Po policzkach spływały mu krople potu, kapiąc na tors.

– Zapalili zapalniczki i chodzili dokoła niego, i przysuwali ogień do jego... no, do tego. Koleś wrzeszczał ze strachu, że mu podpałą.

– Potarłosiliście... – mruknął Adamsberg. – Co było dalej?

– Potem przewrócili go na brzuch na stole i podkuwali.

– Podkuwali?

– No tak. Tak się nazywa zdobienie kolesia. Wbijali mu pinezki w ciało, a później wsadzili pałkę do... no... w dupę.

– Pięknie – wycedził Adamsberg przez zęby. – A dziewczyna? Tylko nie

mów, żeście dziewczyny nie dotknęli.

– Ja nie! – zawołał Roubaud. – Ja zabezpieczałem tyły. Miałem ubaw.

– Dzisiaj też masz ubaw?

Roubaud spuścił głowę, wciąż mocno trzymając się krzesła.

– Co z dziewczyną? – domagał się odpowiedzi Adamsberg.

– Pięciu ją zgwałciło po kolei. Dostała krwotoku. Pod koniec się nie ruszała. Myślałem nawet, żeśmy przefajnowali, że wykitowała. W sumie odbiło jej po tym, nikogo nie poznawała.

– Pięciu? Zdawało mi się, że było was siedmiu.

– Ja jej nie tknąłem.

– A szósty facet? Też jej nie tknął?

– To była laska. Ona. – Roubaud wskazał palcem zdjęcie Marianne Bardou. – Żyła na kocią łapę z jednym z chłopaków. Nie chcieliśmy brać baby, ale się uczepliła, więc poszła z nami.

– Co robiła?

– To ona połała koleśa benzyną. Miała ubaw.

– Nie wątpię.

– No – przytaknął Roubaud.

– A potem?

– Potem, jak usmarkany i zarzygany koleś zadzwonił gdzie trzeba, wywaliliśmy ich za drzwi z całym majdanem, a myśmy popili.

– Miły wieczór trzeba oblać – skomentował Adamsberg.

– Słowo daję, to mnie ostudziło. Nigdy więcej nie wziąłem takiej roboty i nigdy więcej nie widziałem tych koleśi. Szał dostałem pocztą, jak było umówione, i więcej o tym nie słyszałem.

– Aż do tego tygodnia.

– Właśnie.

– Kiedy rozpoznałeś ofiary.

– Tylko jego, jego i dziewczynę – rzekł Roubaud, wskazując zdjęcia Viarda, Clerca i Bardou. – Widziałem ich tylko tamtego wieczoru.

– Od razu załapałeś?

– Dopiero po zabójstwie dziewczyny. Poznałem ją, bo miała masę pieprzyków na twarzy. Wtedy przyjrzałem się zdjęciom innych i załapałem.

– Że wrócił.

– No.

– Wiesz, czemu tak długo czekał?

– A skąd! Nie znam go.

– Bo pięć lat przesiedział w pierdlu. Jego dziewczyna, ta, która przez was ześwirowała, miesiąc później wyskoczyła z okna. Przetraw to, Roubaud, dasz radę z tym wszystkim, co ci ciąży.

Adamsberg wstał, szeroko otworzył okno, aby odetchnąć, przepędzić z pokoju smród potu i potworności. Stał chwilę wychylony przez parapet, patrząc w dół na ludzi, którzy przechodzili ulicą i nie znali tej historii. Piętnaście po siódmej. Siewca nadal spał.

– Czemu się boisz, skoro on siedzi? – spytał, odwracając się od okna.

– Bo to nie on – wyszeptał Roubaud. – Rąbnęliście się, że szkoda gadać. Ten, cośmy go torturowali, to był zdechłak do przewrócenia jednym pstryknięciem, wymoczek, łajza, jajogłowy od siedmiu boleści, który by się złamał, podnosząc kota z ziemi. A koleś, którego pokazali w telewizji, to byczor, robol, zupełnie do tamtego niepodobny, naprawdę.

– Jesteś pewny?

– Na sto procent. Tamten był chudy, dobrze pamiętam. Chodzi po mieście i chce mnie dopaść. Wszystko wam powiedziałem, żądam ochrony. Ale słowo daję, nic nie zrobiłem, tylko zabezpieczałem...

– ...tyły, tak, słyszałem, daruj sobie. A nie sądzisz, że człowiek może się zmienić przez pięć lat w pudle? Zwłaszcza jeśli wbił sobie do głowy, że się zemści? Nie sądzisz, że mięśnie można sobie wyrobić w odróżnieniu od rozumu? I że ty zostałeś taki głupi, jaki byłeś, a on mógł się całkiem odmienić?

– Po co niby?

– Żeby zmyć z siebie hańbę, żyć i ukarać was. – Adamsberg podszedł do szafy, wyjął plastikowy woreczek z dużą kopertą barwy kości słoniowej i zakoałsał nią przed oczami Roubauda. – Poznajesz?

– Yhm – przyznał Roubaud, marszcząc czoło. – Leżała taka na ziemi, jak wychodziłem z domu. Nic w niej nie było, była pusta i otwarta.

– To od niego, od siewcy. Z jego tajną bronią, czyli pchłami. W niej ci je podrzucił.

Roubaud ścisnął oburącz brzuch.

– Boisz się dżumy?

– Nie bardzo – wyznał Roubaud. – Nie wierzę w takie bzdety, to ma zrobić ludziom fasolę z mózgu. Myślę, że on dusi.

– I słusznie myślisz. A jesteś pewien, że wczoraj tej koperty nie było?

– Na sto procent.

Adamsberg w zamyśleniu potarł dłonią policzek.

– Chodź, obejrzysz go – powiedział, kierując się do drzwi.

Kévin Roubaud się zawahał.

– Co, teraz masz mniejszy ubaw niż kiedyś, he? Niż w starych dobrych czasach? Chodź, nic ci nie grozi, bestia jest w klatce.

Adamsberg zaprowadził Roubauda do celi Damasa, który jeszcze spał snem sprawiedliwego z twarzą widoczną z profilu.

– Przyjrzyj mu się dobrze – powiedział. – Nie spiesz się. Nie zapominaj, że nie widziałeś go prawie osiem lat i że wtedy facet nie był w szczytowej formie.

Kévin Roubaud niemal z fascynacją wpatrywał się w Damasa przez kraty.

– No i? – zapytał Adamsberg.

– Może... – odparł Roubaud. – Usta jakby podobne. Musiałbym zobaczyć oczy.

Adamsberg otworzył celę, czemu Roubaud przyglądał się niemal z paniką w spojrzeniu.

– Mam zamknąć? – spytał inspektor. – A może wolisz z nim zostać, żebyście się zabawili jak w młodości i powspominali tamte lata?

– Niech się pan nie wygłupia – rzekł ponuro Roubaud. – On może być niebezpieczny.

– Ty też byłeś kiedyś niebezpieczny.

Adamsberg zamknął się w celi z Damasem, a Roubaud patrzył na niego takim wzrokiem, jakim ogląda się poskramiacza dzikich zwierząt, gdy wychodzi na arenę. Inspektor szarpnął Damasa za ramię.

– Obudź się, Damas, masz gościa.

Damas usiadł, burcząc, zdziwiony rozejrzał się po ścianach celi. Potem przypomniał sobie wszystko i odrzucił włosy do tyłu.

– Co jest? – zapytał. – Mogę iść?

– Wstań. Ktoś chce ci się przypatrzeć. Stary znajomy.

Damas podniósł się posłusznie owinięty w koc, Adamsberg zaś na zmianę zerkał to na jednego, to na drugiego. Twarz Damasa jakby lekko zeszywniała. Roubaud szeroko otworzył oczy, po czym odszedł od celi.

– No i? – zapytał Adamsberg, gdy znaleźli się na powrót w jego biurze. – Przypomniałeś sobie?

– Może to on – odparł Roubaud bez przekonania. – Ale jeśli tak, to dwa razy większy.

– A twarz?

– Może. Nie miał takich długich włosów.

– Nie szciesz chyba po nogach ze strachu, hę?

Kévin Roubaud pokręcił głową.

– Niewykluczone, że słusznie się boisz – rzekł Adamsberg. – Twój mściciel prawdopodobnie nie działa sam. Zatrzymuję cię, póki sprawa się nie wyjaśni.

– Dzięki.

– Podaj nazwisko następnej ofiary.

– To ja.

– Tak zrozumiałem. O jeszcze następną mi chodzi. Było was siedmioro, minus pięcioro nieżywych daje dwa, minus ty daje jeden. Kto został?

– Taki chudy i szpetny jak noc, moim zdaniem najgorszy ze wszystkich. To on wsadził koleśowi pałkę.

– Nazwisko?

– Nikt tam się nikomu nie przedstawiał. Kto by ryzykował w takiej sytuacji?

– Wiek?

– Jak wszyscy. Miał jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat.

– Z Paryża.

– Tak myślę.

Adamsberg ulokował Roubauda w celi, której nie zamknął, następnie zajrzał do Damasa, podając mu ubranie.

– Sędzia wydał nakaz tymczasowego zatrzymania.

– W porządku – spokojnie odparł Damas siedzący na pryczy.

– Znasz łacinę, Damas?

– Nie.

– Dalej nie masz mi nic do powiedzenia? O tych pchłach na przykład?

– Nie.

– A o sześciu gościach, którzy parę lat temu w czwartek siedemnastego marca zadali ci pytanie? Nie masz mi nic do powiedzenia o nich? I o dziewczynie, która miała ubaw?

Damas siedział w milczeniu, dłonie trzymając zwrócone wnętrzem do siebie i kciukiem gładząc diament.

– Co oni ci zabrali, Damas? Co ci zabrali oprócz dziewczyny, ciała, honoru? Czego szukali?

Damas ani drgnął.

– No dobra – rzekł Adamsberg. – Zaraz dostaniesz śniadanie. Ubierz się.

Adamsberg wziął Danglarda na stronę.

– Ten gnojek Roubaud nie ma pewności – rzekł Danglard. – Masz kłopot.

– Damas ma wspólnika na zewnątrz. Pchły podrzuciono do Roubauda, kiedy Damas już siedział u nas. Ktoś przejął pałeczkę, jak tylko podano wiadomość o zatrzymaniu Damasa. Ten ktoś bardzo się uwijał, nawet nie namalował ochronnych czwórek.

– Skoro ma wspólnika, to by tłumaczyło jego spokój. Liczy, że dzieło będzie kontynuowane.

– Poślij ludzi, niech przesłuchają jego siostrę, tę Évę i stałych bywalców placu. Trzeba się dowiedzieć, czy z kimś się widywał. I najważniejsze: chcę billingi jego rozmów telefonicznych z ostatnich dwóch miesięcy. Ze sklepu i z mieszkania.

– Ty nie pójdziesz?

– Teraz nie jestem mile widziany na placu. Zostałem zdrajcą, Danglard. Prędzej powiedzą coś policjantom, których nie znają.

– Jasne – przytaknął Danglard. – Mogliśmy szukać do upojenia czegoś, co łączyło ofiary. A tu mamy spotkanie w knajpie wieczorową porą, facetów, którzy się nie znają... Szczęście, że Roubaud spanikował.



– Ma czego się bać.

Adamsberg wyjął komórkę i zajął jej w oczy. Przez to, że niemo zaklinał ją, by zadzwoniła, drgnęła, zrobiła cokolwiek, zaczynał mylić komórkę z projekcją samej Camille. Mówił do niej, opowiadał jej o sobie, jakby Camille go słyszała. Ale jak słusznie zauważył Bertin, z takich cacuszek człowiek nie zawsze jest zadowolony, toteż Camille nie wyłaniała się z komórki niczym dzinn z butelki. Zasadniczo było mu wszystko jedno. Położył ją ostrożnie na podłodze, aby jej nie zabolalo, i wyciągnął się na łóżku polowym, by zdrzemnąć się z półtorej godzinki.

Obudził go Danglard, przyniósłszy billingi rozmów telefonicznych. Przesłuchania na placu niewiele dały. Éva zamknęła się jak ostryga, Marie-Belle co rusz wybuchała płaczem, Decambrais się awanturował, Lizbeth złorzeczyła, a Bertin odzywał się monosylabami, wróciwszy do swej normandzkiej nieufności. W sumie z przeprowadzonych rozmów wynikało jednak, że Damas w zasadzie nie oddalał się od placu, a wieczorami słuchał Lizbeth w lokalu, z nikim się nie zadając. Nie wiadano o żadnych jego znajomych, niedziele zaś spędzał z siostrą.

Adamsberg przejrzał wykaz rozmów telefonicznych w poszukiwaniu powtarzającego się numeru. Jeśli Damas miał współnika, musiał być z nim w stałym kontakcie, tak napięty miał terminarz malowania czwórek, podrzucania pcheł i popełniania zabójstw. Tyle że Damas telefonował wyjątkowo rzadko. Z mieszkania wychodziły rozmowy do sklepu – z pewnością Marie-Belle dzwoniła do Damasa – a ze sklepu lista połączeń była krótka i numery rzadko się powtarzały. Adamsberg sprawdził cztery numery pojawiające się w miarę regularnie: wszystkie były do dostawców desek, rolek i kasków. Odsunął billingi na skraj stołu.

Damas nie był idiotą. Damas był piekielnie inteligentnym człowiekiem, który z rozmysłem potrafił wyprać z uczuć swój wzrok. Do tego także przygotował się w pudle i później. Wszystko przygotowywał od siedmiu lat. Jeśli miał współnika, na pewno nie ryzykował, że zostanie odkryty przez to, że będzie do niego dzwonił z domu. Adamsberg zatelefonował do operatora w XIV dzielnicy, prosząc o wykaz rozmów z publicznej kabiny przy rue de la Gaîté. Dwadzieścia minut później faks wypłynął listę. Odkąd telefony

komórkowe się upowszechniły, kabin używano coraz rzadziej, toteż lista połączeń nie była imponująca. Adamsberg wyłowił z niej jedenaście powtarzających się numerów.

– Wyszukam je, jak chcesz – zaproponował Danglard.

– Najpierw ten – rzekł Adamsberg, wskazując palcem numer. – Ten w departamencie Hauts-de-Seine.

– Czemu? – zapytał Danglard, wstukując numer do komputera.

– To północ aglomeracji paryskiej, nasz rejon. Jeśli szczęście nam dopisze, to będzie Clichy.

– Może lepiej sprawdzić też inne?

– Nie uciekną.

Danglard przez kilka chwil w milczeniu stukał na klawiaturze.

– Clichy – oznajmił w końcu.

– W samą dziesiątkę. Ognisko dzumy w tysiąc dziewięćset dwudziestym. Była w jego rodzinie, to jego widmo. Prawdopodobnie tam mieszkał. Szybko, Danglard, nazwisko i adres.

– Clémentine Courbet, rue Hauptoul, numer dwadzieścia dwa.

– Poszukaj w ewidencji ludności.

Danglard robił swoje przy komputerze, Adamsberg zaś chodził po pokoju, starając się nie nadepnąć na kociaka, który bawił się nitką wysnutą w dole nogawki jego spodni.

– Clémentine Courbet, z domu Journot, zamieszkała w Clichy, żona Jeana Courbeta.

– Co jeszcze?

– Daj spokój. Ona ma osiemdziesiąt sześć lat. To staruszka, daj spokój.

Adamsberg ściągnął usta.

– Co jeszcze? – powtórzył.

– Miała córkę urodzoną w czterdziestym drugim w Clichy – mechanicznie przeczytał Danglard. – Roseline Courbet.

– Ustal mi tę Roseline.

Adamsberg podniósł szaro-białą Kulkę i włożył do koszyka. Kociak zaraz się z niego wygramolił.

– Roseline, z domu Courbet, mąż: Heller-Deville, Antoine – zameldował po chwili Danglard i popatrzył na Adamsberga znacząco.

– Mieli syna? Arnauda?

– Arnauda Damasa – potwierdził Danglard.

– To jego babka – powiedział Adamsberg. – Po kryjomu dzwoni do babki z budki telefonicznej. Danglard, a rodzice tej babki?

– Nie żyją. Nie będziemy chyba się cofać do średniowiecza?

– Nazwiska?

Klawisze szybko zaklikały pod palcami DanglarDA.

– Émile Journot i Célestine Davelle, urodzeni w Clichy, osiedle Hauptoul.

– Mamy ich – mruknął Adamsberg. – Oni przeżyli dżumę. Babka Damasa miała sześć lat w czasie epidemii.

Podniósł słuchawkę telefonu DanglarDA i wybrał numer Vandooslera.

– Pan Vandoosler? Mówi Adamsberg.

– Sekundkę, inspektorze – rzekł Marc – tylko odstawię żelazko.

– Osiedle Hauptoul w Clichy coś panu mówi?

– W Hauptoul było ognisko epidemii, baraki nędzarzy. Ma pan wiadomość, w której o tym jest mowa?

– Nie. Mam adres.

– Osiedle dawno wyburzono, zastąpiły je uliczki i skromne domki.

– Dziękuję panu. – Adamsberg powoli odłożył słuchawkę. – Bierz dwóch ludzi, Danglard. Jedziemy tam, i to piorunem.

– We czterech do jednej staruszki?

– Wstąpimy do sędziego po nakaz.

– Kiedy coś zjemy?

– Po drodze.

## XXXIV

Wjechali w starą zaśmieconą po bokach alejkę, która prowadziła do nadszarpiętego zębem czasu niedużego domu z przybudówką z nieszczelnych desek. Deszcz moczył lekko dachówki. Lato było mokre, wrzesień taki sam.

– Komin – powiedział Adamsberg, wskazując dach. – Drewno. Jabłoń.

Zapukał do drzwi, w których po chwili stanęła leciwa kobieta, wysoka, dobrze zbudowana, o grubo ciosanej pomarszczonej twarzy, w kwiecistej chustce na głowie.

– O, gliny – powiedziała.

Nie było to pytanie, lecz zdecydowane stwierdzenie.

– Gliny – przytaknął Adamsberg, wchodząc do środka. – Clémentine Courbet?

– Ano, we własnej osobie – odparła.

Wprowadziła ich do bawialni, strzepnęła kanapę, zanim poprosiła, aby usiedli.

– To teraz baby biorą do policji? – zagadnęła, obrzucając pogardliwym spojrzeniem komisarz Hélène Froissy. – Ha, powinszować. Nie myśli panna, że dość jest chłopów, co to bawią się karabinami, żeby ich naśladować? Innych pomysłów zabrakło?

Clémentine niektóre słowa wymawiała z wiejska: biero, bawio...

Z westchnieniem skierowała się do kuchni, skąd wróciła z tacą zastawioną kieliszkami i talerzem ciastek.

– Ludziom zawsze braknie wyobraźni – podsumowała, stawiając tacę na stoliku nakrytym serwetką przed kwiecistą kanapą. – Grzane wino, ciastka z kozuchami z mleka, może być?

Adamsberg patrzył na nią zaskoczony, niemal uwiedziony jej grubo ciosaną steraną twarzą. Kernorkian dał inspektorowi do zrozumienia, że nie wzgardzi ciastkami, bo kanapka połknięta w samochodzie już przez niego przeleciała.

– W samą porę – rzekła Clémentine. – Tyle że kozuchów z mleka już nie

uświadczysz. Mleko dziś to zabelona woda. Muszę je zastępować śmietaną. Muszę.

Napełniła pięć kieliszków grzany winem, upiła troszkę ze swojego i popatrzyła na nich.

– No, dość tych dyrdymałów – powiedziała, zapalając papierosa. – O co chodzi?

– O Arnauda Damasa Hellera-Deville’a – zaczął Adamsberg, częstując się ciastkiem.

– Za pozwoleniem, to Arnaud Damas Viguiet – sprostowała Clémentine.

– On tak woli. Pod tym dachem nie wymawia się nazwiska Hellera-Deville’a. Jak wam nie pasuje, możecie tak gadać na dworze.

– To pani wnuk?

– Wiesz co, piękny posępny? – rzekła Clémentine, celując brodą w Adamsberga. – Nie próbuj brać mnie za ciemną babę. Gdybyście tego nie wiedzieli, nie byłoby was tu, nie? I jak ciastka? Smakują czy nie?

– Smakują – oświadczył Adamsberg.

– Pycha! – zapewnił Danglard, który naprawdę tak uważał. Prawdę mówiąc, tak dobrych ciastek nie jadł od co najmniej czterdziestu lat i świadomość tego napełniała go radością nie do opanowania.

– Dość tych dyrdymałów – rzekła staruszka wciąż na stojąco, mierząc wzrokiem czworo policjantów. – Dajcie mi chwilę, niech zdejmę fartuch, zakręcę gaz i uprzedzę sąsiadkę i możemy iść.

– Clémentine Courbet – odezwał się Adamsberg – mam nakaz przeszukania. Najpierw obejrzymy sobie dom.

– Jak cię zwą, synku?

– Młodszy inspektor Jean-Baptiste Adamsberg.

– No to posłuchaj, inspektorze. Nie zwykłam narażać życia ludzi, którzy nic mi nie zawinili, ani gliniarzy, ani innych. Szczury są na strychu – powiedziała, wskazując palcem na sufit – trzysta dwadzieścia dwa szczury plus jedenaście zdechłych oblezionych wygłodzonymi pchłami. Radzę się do nich nie zbliżać albo nie ręczę za wasze życie. Jak chcecie pogrzebać na górze, trzeba najpierw przeprowadzić dezynsekcję. Możecie sobie odpuścić rewizję: hodowla jest na górze, a maszyna Arnauda, na której pisał wiadomości, w małym pokoju. Koperty też. Co więcej was interesuje?

– Biblioteczka – rzekł Danglard.

– Też na strychu. Trzeba najpierw przejść koło szczurów. Czteryście tomów, mówi wam to coś?

– O dżumie?

– A o czym by innym?

– Pani Courbet – odezwał się spokojnie Adamsberg, częstując się kolejnym ciastkiem – nie chce pani usiąść?

Rosła Clémentine wpasowała się w kwiecisty fotel i skrzyżowała ręce.

– Dlaczego nam to pani mówi? – zapytał Adamsberg. – Dlaczego pani nie zaprzecza?

– Co, chodzi o tych zadżumionych?

– O te pięć ofiar, tak.

– Ofiar, psiakrew – powiedziała Clémentine. – Oprawców.

– Oprawców – potwierdził Adamsberg. – Katów.

– Mogą wszyscy szczeznąć. Im więcej ich zdycha, tym bardziej Arnaud odżywa. Wszystko mu zabrali, wdeptali go w ziemię. Arnaud musi odżyć. A to niemożliwe, póki ta hołota chodzi po świecie.

– Ta hołota nie umiera sama.

– To by było za piękne. Hołotę trudniej wypłenić niż oset.

– Trzeba było w tym pomóc?

– Ano.

– Czemu dżuma?

– Journotowie są panami dżumy – szorstko oświadczyła Clémentine. – Nie wolno włązić na odcisk nikomu z Journotów i już.

– Bo?

– Bo Journotowie zsyłają dżumę. Są panami zarazy.

– Dlaczego mówi nam pani to wszystko? – powtórzył Adamsberg.

– A czemu nie?

– Powinna pani milczeć.

– Znaleźliście mnie, nie? A mały siedzi od wczoraj, więc dość tych dyrdymałów, idziemy i po wszystkim. Co by to zmieniło?

– Wszystko – odparł Adamsberg.

– Nic by nie zmieniło – rzekła Clémentine z okrutnym uśmiechem. – Robota wykonana. Kapuje pan, inspektorze? Wykonana. Wróg został

załatwiony. Co się stanie, to się stanie, ale trzech ostatni zdechną najdalej za tydzień. Zdechną, czy będę tu czy gdzie indziej. Dla nich już za późno. Robota wykonana. Cała ósemka szczęście.

– Ósemka?

– Szczęściu oprawców, ta straszna dziewczucha i zleceniodawca. Mnie wychodzi ósemka. Wiecie o tym w końcu czy nie?

– Damas nic nie powiedział.

– Normalne. Nie mógł mówić, póki nie był pewny, że robota została wykonana. Taka była umowa, gdyby któreś wpadło. Jakiście go znaleźli?

– Dzięki diamentowi.

– Ukrywa go.

– Ja go zobaczyłem.

– Ha! – sapnęła Clémentine. – Dużo pan wie o dopuszcie bożym. Tegośmy nie wzięli pod uwagę.

– Staralem się szybko douczyć.

– Ale za późno. Robota wykonana. Wróg został dopadnięty.

– Pchły?

– Yhm. Już po nich skaczą. Już ich zaraziły.

– Nazwiska, pani Courbet.

– A lećcie do nich. Tylko czemu chcecie ich ratować? To ich przeznaczenie i właśnie się dokonuje. Mogli nie niszczyć Journota. Zniszczyli go, inspektorze, zniszczyli jego i dziewczynę, którą kochał, rzuciła się z okna, biedaczka.

Adamsberg pokiwał głową.

– Pani go namówiła, żeby się zemścił?

– Prawie co dzień gadaliśmy o tym, jak siedział. Jest dziedzicem swojego pradziada, do niego należy pierścień. Arnaud musiał podnieść głowę tak jak Émile w czasie zarazy.

– Nie boi się pani więzienia? Dla siebie? Dla Damasa?

– Więzienia? – Clémentine aż klepnęła się po udach. – Żartujesz, synku? Wolnego! Myśmy nikogo nie zabili.

– A kto zabił?

– Pchły.

– Wypuszczenie zarażonych pcheł to jak strzelenie do człowieka.

– Zaraz, nie musiały gryźć. To dopust boży, dopada tego, kogo chce. Jeśli ktoś tu zabił, to tylko Pan Bóg. A chyba nie zapuszkujecie Pana Boga, co?

Adamsberg przyglądał się twarzy Clémentine Courbet równie niezmaconej jak twarz jej wnuka. Już zrozumiał, skąd brał się niewzruszony spokój Damasa. Ci dwoje nie poczuli się do winy za pięć zbrodni, których się dopuścili, i za trzy następne zaplanowane.

– No, dość tych dyrdymałów – oznajmiła Clémentine. – Skorośmy pogadali, to albo mnie zabieracie, albo zostaję.

– Muszę prosić, żeby pojechała pani z nami – powiedział Adamsberg, podnosząc się. – Na przesłuchanie. Jest pani zatrzymana.

– I dobrze. – Clémentine także wstała. – Przynajmniej zobaczę małego.

Kiedy sprzątała ze stołu, gasiła ogień, wyłączała gaz, Kernorkian dał do zrozumienia Adamsbergowi, że wcale się nie pali do przeszukania strychu.

– Nie są zarażone – uspokoił go Adamsberg. – Na Boga, skąd ta kobieta miałaby wziąć zarażone szczury? To jej urojenia, Kernorkian, ubzdurzyła to sobie.

– Ona twierdzi inaczej – zauważył Kernorkian z ponurą miną.

– Codziennie ma z nimi do czynienia. I nie choruje na dżumę.

– Journotowie są chronieni, szefie.

– Journotowie mają widmo, które nic wam nie robi, rękę słowem. Atakuje tylko tych, którzy próbowali zniszczyć kogoś z rodziny.

– To taki jakby rodzinny mściciel?

– Właśnie. Zbierzcie też próbki węgla drzewnego i wyślijcie do laboratorium z adnotacją, że pilne.

Przywiezienie staruszki na komisariat wzbudziło niejaką sensację. Clémentine Courbet zabrała ze sobą duże pudło ciastek, które wesoło pokazała Damasowi, przystając przed jego celą. Damas się uśmiechnął.

– Nie martw się, Arnaud – powiedziała, nie próbując nawet sciszyć głosu. – Robota wykonana. Wszyscy już je mają, wszyscy.

Damas uśmiechnął się jeszcze szerzej, wziął pudełko, które mu podawała między kratami, i z powrotem spokojnie usiadł na pryczy.

– Przygotujcie pani celę koło celi Damasa – polecił Adamsberg swoim ludziom. – Weźcie materac z szatni i niech to będzie urządzone jak



najwygodniej. Ta kobieta ma osiemdziesiąt sześć lat. – Wrócił do Clémentine. – No, dość tych dyrdymałów, bierzemy się od razu za przesłuchanie czy jest pani zmęczona?

– Bierzemy się – odparła zdecydowanie Clémentine Courbet.

Okolo szóstej wieczorem Adamsberg wyszedł pochodzić z głową ciężką od wyznań Clémentine Journot, po mężu Courbet. Słuchał jej przez dwie godziny, później skonfrontował babkę z wnukiem. Ani przez chwilę żadne nie zachwiało się w wierze, że trzech ostatnich oprawców czeka rychła śmierć. Nawet kiedy Adamsberg im wykazał, że czas, jaki upłynął od wypuszczenia pcheł do zgonu ofiar był za krótki, o wiele za krótki, aby zejście tych ludzi można złożyć na karb ukąszenia przez zarażone insekty. „Dopust jest zawsze w gotowości i na rozkazy Pana Boga, który go zsyła i odwołuje, kiedy mu się podoba”, odpowiadała Clémentine, cytując bezbłędnie fragment ekstraniusa z 19 września. Nawet kiedy Adamsberg pokazał im negatywne wyniki badań laboratoryjnych świadczące, że ich pchły były zupełnie niegroźne. Nawet kiedy podstawił im przed oczy zdjęcia śladów po uduszeniu. Wiara w skuteczność działania pcheł pozostała w nich niezachwiana, a szczególnie pewność, że trzech oprawcy umrą niebawem, jeden w Paryżu, drugi w Troyes, trzeci w Châtellerauld.

Przeszło godzinę wędrował ulicami, aż zatrzymał się naprzeciw więzienia Santé. W górze jakiś więzień wystawił nogę między kratami. Zawsze znalazł się tam ktoś, kto wystawił nogę i machał nią w powietrzu nad boulevard Arago. Nie rękę, tylko nogę. Nie w bucie, lecz gołą. Ktoś, kto tak jak on pragnął połączyć po dworze. Adamsberg patrzył na tę nogę, wyobrażając sobie stopę Clémentine Courbet, później Damasa wyginającą się na tle nieba. Nie uważał ich za obłąkanych, pominąwszy ów korytarz, w który wciągało ich widmo. Kiedy noga nagle zniknęła w celi, Adamsberg zrozumiał, że za murami pozostaje jeszcze trzeci element układanki gotowy dokończyć za pomocą opaski zaciskowej dzieła zaczętego w Paryżu, Troyes i Châtellerauld.

## XXXV

Adamsberg skręcił w stronę Montparnasse'u i znalazł się na placu Edgar-Quinet. Za kwadrans Bertin miał wykonać wieczorne uderzenie w swój grzmiący gong.

Pchnął drzwi Wikinga, zastanawiając się, czy Normandczyk ośmieli się złapać go za oszywkę i wyrzucić, jak poprzedniego dnia wyrzucił niesfornego klienta. Bertin jednak ani drgnął, kiedy Adamsberg prześlizgiwał się pod dziobem drakkaru, by usiąść przy swoim stoliku. Nie drgnął, ale też go nie pozdrowił i wyszedł, jak tylko inspektor usiadł. Adamsberg zrozumiał, iż za dwie minuty cały plac się dowie, że gliniarz, który zgarnął Damasa, jest w lokalu, więc niebawem będzie miał na karku całą zgraję ludzi. Po to właśnie tutaj przyszedł. Może nawet wyjątkowo tego wieczoru stołownicy Decambrais'go zjedzą kolację w Wikingu. Położył komórkę na stole i czekał.

Pięć minut później do lokalu wkroczyła wrogo nastawiona grupa pod przewodnictwem Decambrais'go, za którym podążała Lizbeth, Castillon, Le Guern, Éva i parę innych osób. Jedynie Le Guern wyglądał na dość obojętnego w obliczu okoliczności. Zdumiewające wieści od dawna już go nie zdumiewały.

– Niech państwo usiądą – powiedział Adamsberg niemal rozkazująco, podnosząc głowę, by stawić czoło otaczającym go nieprzyjaznym twarzom.

– Gdzie dziewczyna? – zapytał, rozglądając się za Marie-Belle.

– Chora – wyjaśniła Éva ponuro. – Została w łóżku. Przez pana.

– Pani też niech usiądzie – polecił Adamsberg.

W ciągu doby twarz Évy zmieniła się diametralnie – Adamsberg dostrzegł w niej taką nienawiść, o jaką w życiu by jej nie podejrzewał, przez co znikł gdzieś staromodny wdzięk jej melancholii. Jeszcze poprzedniego wieczoru była wzruszająca, teraz natomiast groźna.

– Panie inspektorze, niech pan wypuści Damasa – odezwał się Decambrais, przerywając ciszę. – Chyba pana pogięło, żeby tak się rąbnąć. Damas to spokojny chłopak, wrażliwiec. W życiu nikogo nie zabił, w życiu.

Adamsberg nie odpowiedział, tylko udał się do toalety, by zadzwonić do Danglarda: kazał postawić dwóch ludzi na straży pod domem Marie-Belle przy rue de la Convention. Wrócił potem do stolika i usiadł naprzeciw starego erudyty, który patrzył na niego wyniośle.

– Pięć minut, Decambrais – powiedział, podnosząc dłoń z rozstawionymi palcami. – Coś wam opowiem. I mam gdzieś, czy wszystkich was wkurzę, opowiem. A kiedy opowiadam, robię to w swoim tempie i swoimi słowami. Czasem udaje mi się uśpić partnera.

Decambrais zadarł podbródek w milczeniu.

– W roku tysiąc dziewięćset osiemnastym – zaczął Adamsberg – niejaki Émile Journot, z zawodu szmaciarz, wraca cały i zdrowy z pierwszej wojny światowej.

– Gównu nas to obchodzi – rzuciła Lizbeth.

– Cicho, Lizbeth, niech mówi. Daj mu szansę.

– Spędził cztery lata na froncie i nie odniósł ani jednej rany – ciągnął Adamsberg. – Cud, można powiedzieć. W tysiąc dziewięćset piętnastym szmaciarz ratuje życie swojemu kapitanowi, którego wynosi rannego z ziemi niczyjej. Kapitan zostaje ewakuowany na tyły, ale przedtem w dowód wdzięczności wręcza swój pierścień szeregowcowi Journotowi.

– Inspektorze – wtrąciła Lizbeth – nie jesteśmy tutaj, żeby słuchać opowieści ze starych dobrych czasów. Niech pan nie mydli nam oczu. Chcemy pogadać o Damasiu.

Adamsberg popatrzył na nią. Była blada – pierwszy raz widział pobladłą osobę czarnoskórą. Jej twarz przybrała szarą barwę.

– Tak, tyle że historia Damasa to opowieść ze starych dobrych czasów, droga pani – wyjaśnił Adamsberg. – Słuchajcie dalej. Dla szeregowego Journota ten dzień nie poszedł na marne. W pierścieniu kapitana jest diament większy niż ziarno soczewicy. Przez całą wojnę Émile Journot nosi go na palcu z oczkiem obróconym do wnętrza dłoni i ubłoconym, żeby ktoś się na niego nie połakomił. Po zdemobilizowaniu w osiemnastym roku wraca do swojej nędzy w Clichy, ale pierścienia nie sprzedaje. Dla Émile’a Journota pierścień jest zbawcą, to świętość. Dwa lata później w Clichy wybucha epidemia dżumy, która wyludnia całą ulicę. Oszczędza jednak Journotów: Émile’a, jego żonę i ich sześciolletnią córkę Clémentine. Ludzie

szeptają za plecami, rzucają oskarżenia. Od lekarza, który odwiedza spustoszone miasteczko, Émile się dowiaduje, że diament chroni przed zarazą.

– A co to za pierdoły? To prawda? – zagadnął Bertin zza baru.

– W książkach tak piszą – wyjaśnił Decambrais. – No, panie inspektorze, dalej, bo ślimaczy się ta pańska opowieść.

– Uprzedzałem. Jak chcecie wiedzieć, co i jak z Damasem, wysłuchacie do końca mojej ślimaczącej się historii.

– Wieści to zawsze wieści – zauważył Joss. – Stare czy nowe, długie czy krótkie.

– Dzięki, Le Guern – powiedział Adamsberg. – Émile Journot zostaje wkrótce oskarżony o sterowanie dżumą, nie wyklucza się, że ją rozsiewa.

– A co nas obchodzi ten Émile? – przerwała mu Lizbeth.

– To pradziad Damasa – uciął Adamsberg dość stanowczo. – W obliczu grożącego im linczu Journotowie w nocy uciekają z osiedla Hauptoul. Ojciec niesie córeczkę na barana, idą przez wysypisko śmieci, na którym zdychają zarazone szczury. Diament ich chroni, wszyscy cali i zdrowi znajdują schronienie u krewniaka w Montreuil i wracają do dawnej dzielnicy dopiero po wygaśnięciu epidemii. Mają teraz ugruntowaną reputację. Journotowie, którymi kiedyś pomiatano, uchodzą za bohaterów, szychy, władców dżumy. Historia ich cudownego ocalenia staje się powodem do chwały szmaciarzy i ich dewizą. Émile dostaje fioła na punkcie pierścienia i wszelkich opowieści związanych z dżumą. Po jego śmierci pierścień dziedziczy Clémentine, a wraz z nim chwałę i wszystkie historie. Wychodzi za mąż i swoją córkę Roseline wychowuje w kulcie mocy Journotów. Ta córka poślubi później Hellera-Deville’a.

– Odbiegamy od tematu – zwróciła uwagę Lizbeth.

– Przeciwnie, coraz bardziej się zbliżamy – odparł Adamsberg.

– Hellera-Deville’a? Tego przedsiębiorcę z branży lotniczej? – spytał Decambrais z lekkim napięciem w głosie.

– Przedsiębiorcą dopiero zostanie. Na razie to dwudziestotrzyletni chłopak, ambitny, inteligentny, porywczy, chce zawojować świat. I to jest ojciec Damasa.

– Damas nazywa się Viguiet – zauważył Bertin.

– To nie jest jego nazwisko. Damas nazywa się Heller-Deville. Dorasta między ojcem brutalem i popłakującą matką. Heller-Deville leje żonę, tłucze syna i siedem lat po narodzinach chłopca w zasadzie porzuca rodzinę.

Adamsberg zerknął na Évę, która nagle spuściła głowę.

– A dziewczynka? – zagadnęła Lizbeth, którą opowieść zaczynała wciągać.

– O Marie-Belle nie rozmawiają. Urodziła się długo po Damasie. Damas kiedy tylko może, ucieka do babci, do Clémentine, która mieszka w Clichy. Clémentine go pociesza, dodaje mu otuchy i pokrzepienia, karmiąc go opowieściami o chlubnej przeszłości Journotów. Po razach ojca i jego odejściu sława Journotów staje się jedynym źródłem siły Damasa. Na dziesiąte urodziny babcia uroczyście wręcza mu pierścień, a wraz z nim przekazuje moc sprawowania władzy nad dopustem bożym. To, co dla chłopca było dotąd zabawą w wojnę, zakorzenia się w nim na dobre i staje narzędziem zemsty, na razie symbolicznym. Babcia latami przetrząsała targowiska w Saint-Ouen i w Clignancourt i zgromadziła imponującą liczbę książek na temat dżumy, i tej z dwudziestego roku, swojej, i wszystkich innych epidemii, którymi syci się rodzinna legenda. Tak że wyobraźcie sobie... Później Damas jest już dość duży, by samodzielnie szukać pociechy w strasznych opisach czarnej śmierci. Nie budzą w nim strachu, przeciwnie. Ma diament wielkiego Émile'a, bohatera pierwszej wojny światowej, bohatera epidemii dżumy. Te relacje przynoszą mu ulgę, są jego naturalnym odwetem za ponure dzieciństwo. Jego kołem ratunkowym. Rozumiecie?

– Nie widać w tym związku – powiedział Bertin. – To o niczym nie świadczy.

– Damas ma osiemnaście lat. Chłopak jest wątki, źle zbudowany, niezbyt wysoki. Poświęca się nauce, prawdopodobnie chce przeskoczyć ojca. Jest wybitnie uzdolnionym czytającym specjalistą od dżumy, zna łacinę, ma dobre wykształcenie. I rodzinne widmo w głowie. Zawzięcie postanawia się wybić w branży lotniczej. W wieku dwudziestu czterech lat odkrywa sposób produkcji, który sto razy obniża ryzyko powstania luk w stali komórkowej lekkiej jak gąbka. Szczegółowo tego nie doczytałem. Nie potrafię wam wyjaśnić, dlaczego tą stalą nadzwyczajnie się zainteresował przemysł lotniczy.

– Damas coś wynalazł? – zdumiał się Joss. – Mając dwadzieścia cztery lata?

– Zgadza się. I zamierzał swoje odkrycie bardzo drogo sprzedać. Ale pewien gość postanawia, że niczego nie będzie kupował, tylko po prostu ścichapek ukradnie tę stal Damasowi. Napuszcza na niego sześciu ludzi, sześć dzikich brytanów. Poniżają go, torturują, gwałcą jego dziewczynę. Damas zdradza tajemnicę, tracąc w jeden wieczór poczucie dumy, swoją miłość i wynalazek. I chwałę. Miesiąc później jego dziewczyna rzuca się z okna. Prawie osiem lat temu odbył się proces Arnauda Hellera-Deville’a. Oskarżony o wypchnięcie dziewczyny przez okno, dostaje pięć lat odsiadki. Kara skończyła mu się trochę ponad dwa lata temu.

– Czemu Damas nic nie powiedział na procesie? Czemu dał się zapuszkować?

– Bo gdyby policja zidentyfikowała jego oprawców, Damas straciłby swobodę działania. A on chciał się zemścić, całym sobą tego pragnął. Wtedy nie był w stanie z nimi walczyć. Ale pięć lat później... o, to co innego. Słabeusz Damas wychodzi z pudła cięższy o piętnaście kilo mięśni, z silnym postanowieniem, że w życiu nie chce słyszeć o stali, i opętany żądzą zemsty. W pace człowiek łatwo ulega opętaniu. Właściwie to jedyna nadzieja więźnia: ulec opętaniu. Wychodzi i ma osiem osób do zabicia: sześciu oprawców, dziewczynę, która z nimi była, i zleceniodawcę. Przez te pięć lat stara Clémentine cierpliwie ich tropiła, idąc za wskazówkami Damasa. I miał ich jak na tacy. Damas oczywiście chce zabijać, wykorzystując rodzinne moce. Jakże by inaczej? Pięć osób załatwił w tym tygodniu. Trzy jeszcze żyją.

– Niemożliwe – stwierdził Decambrais.

– Damas i jego babka wszystko wyznali – powiedział Adamsberg, patrząc mu w oczy. – Siedem lat przygotowań. Szczury, pchły i stare książki są nadal u babci w Clichy. Kremowe koperty też. Drukarka. Wszystkie przybory.

Decambrais pokręcił głową.

– Damas nie potrafi zabić – upierał się. – Albo kończę z doradzaniem w sprawach życiowych.

– A proszę bardzo, nie pan pierwszy przegra. Danglard już zjadł własną

koszulę. Damas się przyznał, Decambrais. Do wszystkiego. Nie zdradził tylko nazwisk tych trzech, na których rychłą śmierć czeka z radością.

– Powiedział, że ich zabił? Osobiście?

– Nie – przyznał Adamsberg. – Powiedział, że zabiły ich pchły zarazone dżumą.

– Jeśli to wszystko jest prawda – odezwała się Lizbeth – nie powiem, żebym mu robiła wyrzuty.

– Jak pan chce, Decambrais, może go pan odwiedzić, jego i tę Mané, jak ją nazywa. Potwierdzi wszystko, co wam teraz powiedziałem. Niech pan go odwiedzi. Niech pan go wysłucha.

Ciężka cisza zapadła nad stołem. Bertin zapomniał przygrzmocić w swój gong. W popłochu dwadzieścia pięć po ósmej rąbnął pięścią w ciężką miedzianą płytę. Gong rozbrzmiał ponuro niczym stosowne podsumowanie strasznej historii ze starych dobrych czasów Arnauda Damasa Hellera-Deville’a.

Godzinę później rewelacje Adamsberga zostały mniej więcej przetrawione, acz miejscami z trudem, i inspektor łąził po placu z Decambrais’m nasyconym i uspokojonym.

– Tak to jest – rzekł Adamsberg. – Nic na to nie poradzimy. Ja też żałuję.

– Ale coś mi tu nie gra – zauważył Decambrais.

– To prawda. Coś nie gra. Węgiel.

– A, to pan wie?

– „Karygodny błąd” zdaniem wysokiej klasy dżumologa – mruknął Adamsberg. – I wcale nie mam pewności, że ci trzej, którzy jeszcze żyją, wymkną się śmierci.

– Damas i Clémentine siedzą.

– Mimo to.

## XXXVI

Adamsberg poszedł z placu o dziesiątej z uczuciem, że zabrakło mu jednego elementu, i nawet wiedział którego. Chętnie by zobaczył Marie-Belle w tej gromadce.

„Sprawa rodzinna”, uznał doktor Ferez, gdy rozmawiali.

Nieobecność Marie-Belle naruszyła równowagę wśród stałego składu bywalców Wikinga. Musiał z nią pomówić. Była jedynym punktem spornym w relacji Damas–Mané. Kiedy Adamsberg wymówił imię dziewczyny, Damas chciał odpowiedzieć, lecz Clémentine obróciła się do niego i ze złością kazała mu zapomnieć o tej „skurwycórce”. Coś potem mamrotała przez zęby i inspektorowi się wydawało, że usłyszał coś jakby „gruba z Romorantin”. Damas miał dość nieszczęśliwą minę i próbował zmienić temat, patrząc na Adamsberga z napięciem we wzroku, którym zdawał się błagać, by nie zajmował się dłużej jego siostrą. Właśnie dlatego Adamsberg bardzo chciał się nią zająć.

Nie było jeszcze jedenastej, gdy znalazł się na rue de la Convention. Niedaleko budynku dojrzał swoich dwóch ludzi rozpartych w samochodzie na cywilnych numerach. W górze, na czwartym piętrze, paliło się światło. Mógł zatem zadzwonić do Marie-Belle bez obaw, że ją obudzi. Tyle że Lizbeth powiedziała, że jest chora. Wahał się. Wobec Marie-Belle czuł się równie rozdarty na dwoje jak wobec Damasa i Clémentine: jedną połową siebie chciał im odpuścić ze względu na ich przekonanie o swojej niewinności, drugą połową z całą determinacją pragnął dopaść siewcy, choćby występował w więcej niż jednej osobie.

Podniósł głowę ku frontowi budynku. Była to haussmannowska kamienica z kamienia ciosanego najlepszej jakości, z rzeźbionymi balkonami. Do mieszkania należało sześć okien. Hellerowie-Deville’owie byli majętnymi ludźmi, bardzo majętnymi. Adamsberga zastanowiło, dlaczego Damas, skoro już musiał pracować, nie otworzył luksusowego



butiku, zamiast gnieść się w ciasnym ciemnym Roll-Riderze.

Kiedy tak stał w cieniu niezdecydowany, otworzyła się brama kamienicy. Marie-Belle wyszła pod rękę z niewysokim mężczyzną, zrobili kilka kroków po pustym chodniku. Dziewczyna mówiła nerwowo, niecierpliwie. Kochanek, pomyślał Adamsberg. Kłótnia zakochanych z powodu Damasa. Po cichu podszedł bliżej. Widział ich wyraźnie w świetle latarni, widział dwie jasnowłose delikatne głowy. Mężczyzna obrócił się do Marie-Belle, odpowiadając jej, i Adamsberg zobaczył jego twarz. Niebrzydka, dość banalna, bez brwi, ale delikatną. Marie-Belle mocno uścisnęła mu rękę, potem pocałowała go w policzki i zawróciła do domu.

Adamsberg patrzył, jak drzwi kamienicy się za nią zamykają, patrzył też za młodym mężczyzną, który odchodził chodnikiem. Nie, to nie kochanek. Kobieta na pożegnanie nie całuje kochanka w policzki, i to tak pospiesznie. Czyli to ktoś inny, przyjaciel. Adamsberg śledził wzrokiem oddalającego się mężczyznę, potem przeszedł na drugą stronę jezdni, by udać się do Marie-Belle. Nie była chora. Miała spotkanie. Z nie wiadomo kim.

Z bratem.

Adamsberg zastygł z ręką na drzwiach kamienicy. Brat. Jej młodszy brat. Takie same blond włosy, takie same prawie niewidoczne brwi, taki sam wymuszony uśmiech. Marie-Belle w gorszej wersji, bezbarwnej. Młodszy brat z Romorantin, który tak się bał Paryża. Ale właśnie był w Paryżu. Adamsberg uświadomił sobie w tej sekundzie, że na billingach Damasa nie zauważył ani jednego numeru z Romorantin w departamencie Loir-et-Cher. Widać jego siostra regularnie tam dzwoniła. Mały był niezbyt zaradny, mały chciał wiedzieć, co słyhać.

Tyle że mały był w Paryżu. Trzeci potomek Journotów.

Adamsberg ruszył biegiem. Rue de la Convention była długa, toteż z daleka widział młodego Hellera-Deville'a. Znalazłszy się jakieś trzydzieści metrów od niego, zwolnił i dalej szedł za nim, kryjąc się w cieniu. Śledzony często rozglądał się po ulicy, jakby szukał taksówki. Adamsberg skrył się na chwilę w bramie, by wezwać samochód. Potem schował telefon do wewnętrznej kieszeni, wyjął go znowu i przyjrzał mu się. Po martwym oku aparatu zrozumiał, że Camille nie zadzwoni. Przez pięć lat, przez dziesięć,

może nigdy. Cóż, trudno, przeżyje.

Odegnął od siebie tę myśl i ruszył dalej za Hellerem-Deville'em.

Heller-Deville młodszy, ten drugi, ten, który miał dokończyć dzieła dżumy teraz, gdy starszy i Mané siedzieli w areszcie. I ani Damas, ani Clémentine nie wątpili nawet przez chwilę, że pałeczka zostanie przejęta. Siła rodzinnej legendy nie straciła nic ze swej mocy. Potomkowie Journotów potrafili się wspierać nawzajem i nie mogli znieść plamy na honorze. Byli władcami, a nie męczennikami. Hańbę zaś zmywali krwią przelaną za pomocą dżumy. Marie-Belle przekazała zadanie najmłodszemu z Journotów. Damas załatwił pięć osób, on ma się uporać z trzema.

Byle go nie zgubić, byle go nie spłoszyć. Śledzenie było utrudnione przez to, że Heller-Deville bez przerwy się oglądał, i Adamsberg również się oglądał – ze strachu, że nadjedzie taksówka, a on nie będzie w stanie jej zatrzymać, nie zwracając na siebie uwagi. W końcu inspektor wypatrzył samochód, który wolno jechał na światłach mijania, beżowy – poznał zaraz, że to wóz brygady. Kiedy auto dojechało do niego, Adamsberg nie odwracając się, dyskretnie dał znak kierowcy, aby zwolnił.

Cztery minuty później, dotarwszy do skrzyżowania z avenue Félix-Faure, Heller-Deville podniósł rękę i zaraz przy chodniku zatrzymała się taksówka. Adamsberg trzydzieści metrów za nim wskoczył do beżowego samochodu.

– Za taksówką – szepnął, cicho zamykając drzwi.

– Zrozumiałam – odpowiedziała komisarz Violette Retancourt, krępa mocno zbudowana kobieta, która napastliwie go wypytywała w czasie pierwszego zwołanego doraźnie zebrania.

Obok niej Adamsberg rozpoznał młodego zielonookiego Estalère'a.

– Retancourt – oznajmiła funkcjonariuszka.

– Estalère – przypomniał swoje nazwisko zielonooki.

– Jedziemy za nim ostrożnie, Retancourt, żadnych fałszywych manewrów. Zależy mi na tym gościu jak na źrenicy oka.

– Kto to?

– Ten drugi, prawnuk Journota, młodszy władca dżumy. Szykuje się do ukarania jednego z oprawców w Troyes, drugiego w Châtellerauld i Kévina Roubauda w Paryżu, jak tylko go wypuścimy.

– Bydlaki – powiedziała Retancourt. – Nie będę po nich płakała.

– Nie możemy z założonymi rękami patrzeć, jak ich wyrzynają, komisarzu – zauważył Adamsberg.

– A czemu nie? – zdziwiła się Retancourt.

– Nie wyjdą z tego, wierzcie mi. Jeśli się nie mylę, Journotowie-Hellerowie-Deville'owie działają w porządku rosnącym, od najmniej zbydlęconego do najokrutniejszego. Zdaje mi się, że zaczęli swoje porachunki od jednego z najmniej szkodliwych z tej bandy, a zakończą je na królu sadystów. Bo powoli członkowie tego specoddziału, na przykład Sylvain Marmot czy Kévin Roubaud, zrozumieli, że ich dawna ofiara wróciła. Trzej ostatni wiedzą na pewno, czekają teraz i umierają ze strachu. To dodaje zemście pikanterii. Skręćcie w lewo, Retancourt.

– Widzę.

– Logicznie ostatni na liście powinien być więc zleceniodawca. Na pewno jakiś uczony z przemysłu lotniczego, ktoś zdolny załapać, na czym polega nowatorstwo odkrycia Damasa. Raczej nie ma takich na kopy w Troyes czy w Châtellerauld. Tym tropem puściłem Danglarda. Jest szansa, że znajdziemy faceta.

– Przecież wystarczy trzymać się tego tutaj, a on nas doprowadzi.

– Ryzykowne są takie podchody, Retancourt. Póki mamy inne sposoby, wolę tego unikać.

– Gdzie ten facet nas ciągnie? Jedziemy prosto na północ.

– Do siebie, do hotelu albo wynajętego pokoju. Odebrał rozkazy i pójdzie spać. Noc będzie spokojna. Nie pojedzie taksówką do Troyes albo Châtellerauld. W tej chwili interesuje nas tylko adres jego mety. Ale od jutra zacznie działać. Musi się spieszyć.

– A siostra?

– Wiemy, gdzie jest, pilnujemy jej. Damas wtajemniczył ją we wszystkie szczegóły, żeby mogła je przekazać młodszemu bratu w razie potrzeby. Dla nich najważniejsze, komisarzu, to dokończyć robotę. Tylko to mają na ustach. Dokończyć robotę. Bo od tysiąc dziewięćset czternastego roku żaden Journot nie przegrał i nie może przegrać.

Estalère gwizdnął przez zęby.

– No, to ja nie jestem z Journotów. Teraz mam już pewność.

– Ja też nie – przyznał się Adamsberg.

– Dojeżdżamy do Gare du Nord – powiedziała Retancourt. – A jeśli wsiądzie do pociągu?

– Za późno. I nie ma żadnej torby.

– Może jechać bez bagażu.

– A sprzęt do malowania czwórek, komisarzu? A narzędzia ślusarskie? Koperta z pchłami? Gaz łzawiący? Opaska zaciskowa? Węgiel drzewny? To wszystko nie zmieści mu się w kieszeni spodni.

– Znaczy, że młodszy brat ma też pojęcie o ślusarce.

– Na pewno. Chyba że wywabi ofiarę na zewnątrz, jak Viarda i Clerca.

– Teraz to nie takie proste, skoro ofiary mają się na bacności – zauważył Estalère. – A mają się według pana.

– Siostra nie może pomóc? – wtrąciła Retancourt. – Dziewczynie dużo łatwiej wywabić faceta na zewnątrz. Ładna jest?

– Tak. Ale myślę, że Marie-Belle tylko odbiera i przekazuje informacje. Nie mam pewności, że wszystko wie. Jest naiwna i bardzo gadatliwa, niewykluczone więc, że Damas jest ostrożny albo ją chroni.

– Męska sprawa jakby? – dość ostro rzekła Retancourt. – Sprawa nadmężczyzn?

– Właśnie w tym problem. Hamujcie, Retancourt. Zgaście światła.

Taksówka wysadziła Hellera-Deville'a młodszego przy kanale Saint-Martin, na wyludnionym odcinku quai de Jemmapes.

– Okolica co najmniej spokojna – mruknął Adamsberg.

– Czeka, aż taksówka odjedzie, i dopiero pójdzie do siebie – skomentowała Retancourt. – Ostrożny jest nasz nadmężczyzna. Moim zdaniem nie podał dokładnego adresu. Dojdzie piechotą.

– Jedźcie za nim z wyłączonymi światłami, komisarzu – rzekł Adamsberg, kiedy Heller-Deville ruszył. – Jedźcie... Stop.

– Kurwa, widzę – odparła Retancourt.

Estalère ze strachem zerknął na Violette Retancourt. Kurczę, nie mówi się „kurwa” do szefa.

– Sorry – wymamrotała Retancourt. – Wymusnęło mi się. Akurat zobaczyłam. Bardzo dobrze widzę w ciemności. Facet się nie rusza. Czeka przy kanale. Co on kombinuje? Śpi tu czy co?

Adamsberg, wychylony między obydwójkiem funkcjonariuszy, przez

kilka chwil analizował topografię.

– Wysiadam – powiedział w końcu. – Przybliżę się do niego, będę za tamtą reklamą.

– Za tą z filiżanką kawy? – spytała Retancourt. – Za „I umrzeć z rozkoszy”? Hm, mało zachęcające.

– Faktycznie macie dobry wzrok, komisarzu.

– Jeśli chcę. Mogę panu nawet powiedzieć, że przy tej tablicy jest rozsypany żwir. Narobi hałasu. Nadmężczyzna zapala fajkę. Chyba czeka na kogoś.

– Albo zażywa świeżego powietrza, albo się zastanawia. Trzymajcie się czterdzieści kroków za mną i ani jednego mniej.

Adamsberg cicho wysiadł z samochodu i ruszył ku drobnej postaci, która czekała nad wodą. W odległości trzydziestu metrów zdjął buty, krok po kroku przebył wysypany żwirem odcinek i przycupnął za „I umrzeć z rozkoszy”. W tym miejscu, gdzie panowała niemal kompletna ciemność, niewiele było widać. Adamsberg podniósł głowę i stwierdził, że trzy najbliższe latarnie się nie palą, zostały rozbite. Może facet nie tylko będzie zażywał świeżego powietrza. Heller-Deville rzucił niedopałek do wody, po czym zaczął naciągać sobie palce, aż trzaskało mu w stawach, najpierw u jednej ręki, potem u drugiej, wpatrując się w nabrzeże po swojej lewej. Adamsberg powiódł wzrokiem w tamtym kierunku. Dostrzegł w oddali zarys sylwetki wysokiej, chudej, idącej niepewnie. Mężczyzna, starzec, który uważał, gdzie stawia nogi. Czwarty Journot? Stryj? Stryjeczny dziadek?

Doszedłszy do młodego, starzec przystanął niepewnie w ciemności.

– To pan? – zapytał.

Dostał potężnego prostego sierpowego w szczękę i zaraz w splot słoneczny drugi cios, po którym osunął się jak szmaciana kukła.

Adamsberg biegiem przebył odcinek dzielący go od nabrzeża, z którego młody Heller-Deville zrzucił bezwładne ciało starca do kanału. Słyszając tupot nóg, obejrzał się i w mgnieniu oka rzucił się do ucieczki.

– Estalère! Za nim! – krzyknął Adamsberg i tak jak stał, skoczył do wody, w której twarzą do dołu unosiło się nieruchome ciało. Kilkoma ruchami ramion przyciągnął je do brzegu, gdzie Estalère podawał mu rękę.

– Kurwa, Estalère! – wrzasnął Adamsberg. – Goń faceta!

– Retancourt leci za nim – wyjaśnił Estalère takim tonem, jakby oznajmiał, że spuścił psa ze smyczy.

Pomógł Adamsbergowi wyjść na nabrzeże i wyciągnąć ciężkie, wyslizgujące się z rąk ciało.

– Usta–usta – polecił mu inspektor, ruszając pędem.

W oddali widział biegnącego człowieka, rączego jak jeleni. Za nim ciężkimi susami podążała rozłożysta Retancourt – wyglądało to, jakby czołg gonił mewę. Po chwili okazała postać funkcjonariuszki jakby przestała zostawać w tyle, a nawet wyraźnie przybliżyła się do ściganego. Zaskoczony Adamsberg zwolnił. Dwadzieścia susów później usłyszał uderzenie, głuchy dźwięk i okrzyk bólu. I już nikt nie biegł w oddali.

– Retancourt? – zawołał.

– Spokojnie – odpowiedział mu głęboki kobiecy głos. – Trzymam go dobrze.

Dwie minuty później oczom Adamsberga ukazała się Retancourt wygodnie usadowiona okrakiem na piersi Hellera-Deville’a, miażdżąca mu żebra. Facet z trudem oddychał, szarpał się na wszystkie strony, próbując się wywinąć spod tej bomby, która go przywaliła. Retancourt nawet nie wyjęła pistoletu.

– Szybko biegacie, komisarzu. Nie stawiałbym na was.

– Bo mam wielki tyłek?

– Nie – skłamał Adamsberg.

– I błąd. Tyłek mnie hamuje.

– Nie tak bardzo.

– Powiedzmy, że mam w sobie energię – odparła Retancourt. – Zmieniam ją, w co chcę.

– Na przykład?

– Na przykład teraz w masę.

– A macie latarkę? Moja się zamoczyła.

Retancourt podała mu latarkę i Adamsberg oświetlił twarz złapanego. Następnie założył mu kajdanki na jedną rękę, przykuwając go do Retancourt. Czyli jakby do pnia drzewa.

– Młody potomek Journota – powiedział. – Zemsta kończy się tutaj, na

quai de Jemmapes.

Mężczyzna skierował na niego wzrok, nienawistny i ogłupiały.

– Pomyliliście się – powiedział, krzywiąc się. – Stary chciał mnie zaatakować, bronilem się.

– Byłem tuż za tobą. Dałeś mu pięścią w pysk.

– Bo wyjął gnata! Powiedział: „To pan?” i wyjął gnata! Uderzyłem go. Nie wiem, czego ode mnie chciał! Błagam, niech pan powie tej babie, żeby ze mnie złała. Duszę się.

– Retancourt, powstańcie.

Adamsberg zrewidował go, szukając dokumentów. Znalazł portfel w wewnętrznej kieszeni kurtki i opróżnił go, przyświecając sobie latarką.

– Wypuście mnie! – rozdarł się facet. – On na mnie napadł!

– Cicho. Przeginasz pałę.

– Mylicie mnie z kimś! Nie znam żadnego Journota!

Adamsberg zmarszczył brwi i skierował światło na dowód tożsamości.

– Nie nazywasz się Heller-Deville? – zdumiał się.

– Nie! Widzi pan, że zaszła pomyłka! Facet na mnie napadł!

– Postawcie go, Retancourt – polecił Adamsberg. – Zabierzcie go do wozu.

Adamsberg w ubraniu ociekającym brudną wodą stanął i zmartwiony ruszył w stronę Estalère'a. Złapany nazywał się Antoine Hurfin, urodził się w Vétigny w departamencie Loir-et-Cher. Zwykły znajomy Marie-Belle? Napadnięty przez starego?

Wyglądało na to, że Estalère przywrócił do życia starca, którego podpierał w pozycji siedzącej, obejmując go za ramiona.

– Powiedzcie, Estalère – zagadnął Adamsberg, podchodząc do nich – czemu nie ruszyliście w pościg, jak poleciłem?

– Przepraszam, szefie, że nie wykonałem rozkazu, ale Retancourt biega trzy razy szybciej niż ja. Facet był już daleko, więc pomyślałem, że to nasza jedyna szansa.

– Zabawne, że rodzice dali jej na imię Violette.

– Wie pan, takie niemowlę jest nieduże, więc trudno przewidzieć, że wyrośnie z niego wielozadaniowy pojazd opancerzony. Ale jako kobieta jest łagodna – dodał zaraz, by stonować swoje słowa. – Bardzo miła.

– Tak?

– Przy bliższym poznaniu oczywiście.

– Co z nim?

– Oddycha, ale miał już wodę w płucach. Słaby jeszcze, wyczerpany, może coś z sercem. Wezwałem karetkę. Dobrze zrobiłem?

Adamsberg przyklęknął i skierował światło latarki na twarz mężczyzny opartego o Estalère'a.

– Kurwa. Decambrais. – Ujął go za brodę, lekko potrząsnął. – Decambrais, to ja, Adamsberg. Otwórz oczy, chłopie.

Decambrais z wielkim trudem podniósł powieki.

– To nie Damas... – rzekł słabym głosem. – Węgiel...

Zahamowała przy nich karetka, wysiedli z niej dwaj ludzie z noszami.

– Gdzie go zabieracie? – spytał Adamsberg.

– Do Świętego Ludwika – odparł jeden z pielęgniarzy, gdy przenosili starego na nosze.

Adamsberg patrzył, jak układają Decambrais'go na noszach i niosą go do karetki. Wyjął telefon z kieszeni, pokręcił głową.

– Zalany – powiedział do Estalère'a. – Pożyczcie komórkę.

Uświadomił sobie, że teraz Camille nawet gdyby chciała, nie może do niego zadzwonić. Komórka zamokła. Ale to i tak nie miało znaczenia, bo Camille nie chciała się do niego odezwać. Bardzo dobrze. Nie dzwoń więcej. I odejdz, Camille, odejdz.

Wybrał numer do domu Decambrais'go. Odebrała Éva, która jeszcze nie spała.

– Niech mi pani da Lizbeth, to pilne.

– Lizbeth jest w lokalu – odparła Éva oschle. – Śpiewa.

– Więc proszę mi podać numer do lokalu.

– Nie wolno jej przeszkadzać, kiedy śpiewa.

– Pani Évo, to rozkaz.

Czekał z minutę, zastanawając się, czy przypadkiem nie robi się z niego gliniarz. Doskonale rozumiał, że Éva odczuwa potrzebę ukarania całego świata, lecz zwyczajnie chwila była zupełnie nieodpowiednia.

Dziesięć minut zeszło, nim usłyszał głos Lizbeth.

– Miałam nie odbierać, inspektorze. Jeśli dzwoni pan z informacją, że



wypuszczacie Damasa, to słucham. Jeśli z czym innym, szkoda fatygi.

– Dzwonię z informacją, że Decambrais'go napadnięto. Wiozą go do szpitala Świętego Ludwika... Nie, myślę, że będzie dobrze... Nie, młody facet... Nie wiem, przesłuchamy go... Niech pani będzie tak dobra i przygotuje mu torbę z rzeczami, koniecznie niech pani dołoży ze dwie książki, i proszę go odwiedzić w szpitalu. Będzie pani potrzebował.

– To przez pana. Czemu go pan tam ściągnął?

– Gdzie?

– Jak pan zadzwonił. Mało ma pan swoich ludzi? Decambrais nie należy do rezerwy.

– Nie ściągałem go nigdzie.

– Ktoś z pana ludzi dzwonił – upierała się Lizbeth. – W pana imieniu. Nie bredzę, sama przekazałam mu wiadomość o spotkaniu.

– Na quai de Jemmapes?

– Naprzeciw numeru pięćdziesiąt siedem, o wpół do dwunastej.

Adamsberg pokręcił głową w ciemnościach.

– Lizbeth, niech Decambrais nie rusza się z pokoju. Pod żadnym pozorem, ktokolwiek by dzwonił.

– To nie pan go wezwał?

– Nie. Niech pani z nim zostanie. Wysyłam do was człowieka ze wsparciem.

Adamsberg zakończył połączenie i zaraz zatelefonował do komisariatu.

– Sierżant Gardon – usłyszał.

– Gardon, pošlijcie kogoś do szpitala Świętego Ludwika. Ma pilnować pokoju Hervégo Ducouëdica. I dwaj ludzie niech zmienią chłopców na rue de la Convention przed domem Marie-Belle... Nie, bez zmian, tylko obserwacja kamienicy. Jak wyjdzie rano, niech mi ją przywiozą.

– Zatrzymanie?

– Nie, tylko złożenie wyjaśnień. Starsza pani ma się dobrze?

– Pogadała trochę z wnukiem przez kraty. Teraz śpi.

– O czym rozmawiali?

– Właściwie grali. W chiński portret. Wie pan, zadaje się pytania w stylu: gdyby to był kolor, gdyby to było zwierzę, gdyby to był dźwięk... I trzeba odgadnąć, o kogo chodzi. Niełatwe.

– Nie można powiedzieć, żeby się martwili swoim losem.

– Raczej nie. Staruszka prędzej rozładowuje atmosferę. Heller-Deville też jest w porządku, podzielił się ciastkami. Normalnie ta Mané robi je z kożuchów mleka, ale nie...

– Wiem, Gardon. Dodaje śmietaną. Laboratorium przysłało wyniki badań węgla drzewnego od Clémentine?

– Godzinę temu. Niestety, negatywne. Ani śladu jabłonki. Tylko jesion, wiąz i robinia, zwykła mieszanka dostępna w handlu.

– Szlag...

– Wiem, inspektorze.

Adamsberg wrócił do samochodu. Mokre ubranie lepiło się do niego, zaczynał dygotać. Estalère siedział za kierownicą, Retancourt z tyłu skuta z więźniem. Adamsberg nachylił się do drzwi.

– Estalère, zabraliście może moje buty? Nigdzie ich nie widzę.

– Nie, szefie, też ich nie widziałem.

– Trudno – rzekł Adamsberg, wsiadając z przodu. – Nie będę tu tkwił całą noc.

Estalère ruszył. Aresztowany przestał w końcu protestować i zapewniać o swojej niewinności, jakby go zniechęciła niewzruszona rozłożysta Retancourt.

– Podrzucie mnie do domu – poprosił Adamsberg. – Powiedzcie chłopakom z nocnej zmiany, żeby zaczęli przesłuchanie tego Antoine’a Hurfina Hellera-Deville’a Journota czy jak on się tam nazywa.

– Hurfin – burknął aresztowany. – Antoine Hurfin.

– Weryfikacja tożsamości, wywiad w miejscu zamieszkania, alibi i tak dalej. Ja się zajmę tym cholernym węglem drzewnym.

– Gdzie? – sptała Retancourt.

– W swoim łóżku.

Leżący w ciemnym pokoju Adamsberg zamknął oczy. Trzy szczyty wyłaniały się z jego zmęczenia i chmury wydarzeń tego dnia. Ciastka Clémentine, utopiony telefon, węgiel drzewny. Wyrzucił z myśli ciastka jako nieistotne dla dochodzenia, aczkolwiek ważne dla spokoju ducha siewcy i jego babki. Utopiony telefon komórkowy nawiedził go niczym

pogrzebane nadzieje, niczym wrak statku, który poszedł na dno w wyniku katastrofy godnej wzmianki w „Kartce z historii Francji” dla każdego Jossa Le Guerna.

„Telefon komórkowy Adamsberg, żywotność baterii trzy dni, wyruszył bez ładunku z rue Delambre, dociera do kanału Saint-Martin i idzie na dno. Załoga zginęła. Kobieta na pokładzie, Camille, zginęła”.

W porządku. Nie dzwoń, Camille. Idź. Wszystko mi jedno.

Pozostał węgiel drzewny.

Do niego wracał, do tego węgla. Niemal do samego początku.

Damas jest wybitnym dżumologiem i popełnia „karygodny błąd”. Te dwa zdania były nie do pogodzenia. Bo albo Damas niewielką miał orientację w zakresie dżumy i popełniał powszechny błąd, czerniąc skórę swoich ofiar, albo wiedział na ten temat co nieco i nigdy by sobie nie pozwolił na taką pomyłkę. To by się kłóciło z jego naturą. Z naturą człowieka przepełnionego takim szacunkiem wobec starych prac, że sygnalizował każde cięcie w tekście. Nic nie zmuszało Damasa do wprowadzania wielokropków, które utrudniały obwoływaczowi czytanie jego wiadomości. W zasadzie wszystko się do tego sprowadzało, do trzech kropek, które były niczym jaskrawe dowody nabożeństwa erudyty wobec tekstu oryginalnego. Nabożeństwa dżumologa. Nie szatkuje się tekstu dawnego autora, nie przycina się go do swoich potrzeb na kształt zlepką myśli. Należy go uszanować, należy odnosić się do niego z czcią wyznawcy, nie wolno go znieważać. Człowiek, który wstawia wielokropki, nie czerni ciało węglem, nie popełnia „karygodnego błędu”. To by była obraza, znieważenie dopustu bożego znajdującego się w rękach tego, kto go wielbi. Kto ma się za przywódcę wiary, jest też jej najpilniejszym wyznawcą. Damas używał mocy Journotów, lecz był ostatnim, który by z nią igrał.

Adamsberg wstał z łóżka i zaczął krążyć po swoich dwóch pokojach. Damas nie szatkował historii. Damas wstawiał wielokropki. Damas nie czernił więc węglem ciało.

Damas zatem nie zabił. Węgiel wyraźnie zasłaniał ślady po uduszeniu. Był to ostatni gest mordercy i nie Damas go wykonał. Damas ani nie czernił ciało, ani nie dusił. Ani nie rozbierał. Ani nie otwierał drzwi wytrychem.

Adamsberg znieruchomiał w pobliżu aparatu telefonicznego. Damas wykonywał jedynie to, w co wierzył. Był władcą zarazy i rozsyłał wiadomości, malował czwórki i wypuszczał зараżone pchły. Wiadomości zapowiadały powrót prawdziwej dżumy, zdejmowały z niego brzemię odpowiedzialności. Wiadomości budziły strach w ludziach, upoważniały go do korzystania z odzyskanej wszechmocy. Wiadomości wywoływały zamieszanie, jemu pozostawiały swobodę. Namalowane czwórki ograniczały spustoszenia, do których się przyczyniał w swoim mniemaniu, uspokajały sumienie skrupulatnego mordercy z urojenia. Władca nie może dokonywać przypadkowego doboru ofiar. Czwórki były potrzebne, by zatrzymać wypuszczone pchły, by celować precyzyjnie, a nie na oko. Damas uważał za niedopuszczalne, że mógłby wykończyć wszystkich mieszkańców budynku, skoro chciał dopaść tylko jednego. Byłoby to nadzwyczaj niestosowne ze strony potomka Journotów.

To właśnie uczynił Damas. Wierzył w to. Skierował swoją moc przeciwko tym, którzy go zniszczyli, aby się odrodzić. Wpuścił pod drzwiami pięciu mieszkań niegroźne pchły. Clémentine do reszty „wykonała robotę” i wypuściła insekty u pozostałych trzech oprawców. Na tym kończyły się nieskuteczne zbrodnie naiwnego siewcy dżumy.

Tyle że ktoś zabijał za plecami Damasa. Ktoś, kto wnikał w jego widmo i rzeczywiście działał zamiast niego. Ktoś doświadczony, kto ani przez sekundę nie wierzył w dżumę i nie miał o niej pojęcia. Kto myślał, że skóra зараżonych dżumą czernieje. Ktoś, kto popełniał „karygodny błąd”. Ktoś, kto wpędzał Damasa w głęboką pułapkę, którą sam sobie wykopał, aż do nieuchronnego zakończenia. Prosta operacja. Damas myślał, że zabija, kto inny robił to zamiast niego. Dowody przeciwko Damasowi były przygniatające, od pcheł szcurzych po węgiel drzewny, i zapewniłyby mu bez dwóch zdań dożywocie. Kto by chciał dowodzić, że Damas nie jest winny, opierając swoje zastrzeżenia na paru nędznych wielokropkach? Byłoby to jak gałązka walcząca z wysoką falą dowodów. Żaden sędzia nie pochyliłby się nad trzema malutkimi kropkami.

Decambrais załapał. Wpadł na to, że maniacka wiedza siewcy kłóci się z pospolitym błędem końcowym. Wpadł na węgiel drzewny i zamierzał

dowieść, że istnieje tylko jedno możliwe wyjaśnienie: dwaj ludzie. Siewca i morderca. I Decambrais za dużo gadał wieczorami w Wikingu. Morderca zrozumiał. Oszacował skutki swojego błędu. Kwestią godzin było, że Decambrais dopracuje swoje rozumowanie i podzieli się wnioskami z policją. Niebezpieczeństwo było tuż-tuż, należało uciszyć starego. Nie było czasu na finezyjną robotę. Pozostawał tylko wypadek, utonięcie, napad rabunkowy.

Hurfin. Facet, który wystarczająco nienawidził Damasa, by pragnąć jego upadku. Facet, który zbliżył się do Marie-Belle, aby wyciągnąć informacje od niewinnej siostry. Słabeusz o wymoczkowatym wyglądzie, człowiek na pozór spokojny, który jednak bez strachu i bez wahania w mgnieniu oka powalił starca i wrzucił go do wody. Brutal, szybki zabójca. Dlaczego w takim razie nie zabił po prostu Damasa? Zamiast mordować pięć innych osób?

Adamsberg podszedł do okna i przyłożył czoło do szyby, patrząc w ciemności na ulicy.

A może dałoby się wymienić komórkę na nową, ale dostać stary numer?

Pogrzebał w mokrej kurtce, wyjął telefon i rozłożył go, by wysechł w środku. Nigdy nic nie wiadomo.

A jeśli morderca po prostu n i e m ó g ł zabić Damasa? Bo zbrodnia na pewno została by jemu przypisana? Tak jak zamordowanie bogatej kobiety przypisuje się jej ubogiemu mężowi? Czyli jedyna możliwość: Hurfin jest mężem Damasa. Ubogim mężem bogatego Damasa.

Fortuna Hellerów-Deville'ów.

Adamsberg zadzwonił na komisariat z telefonu stacjonarnego.

– Co mówi? – zapytał.

– Że stary go napadł, a on się tylko bronił. Robi się zły, bardzo zły.

– Nie wypuszczajcie go. Rozmawiam z Gardonem?

– Komisarz Mordent, szefie.

– Mordent, to on. Udusił czterech mężczyzn i kobietę.

– On twierdzi co innego.

– Zrobił to. Ma alibi?

– Był w domu, w Romorantin.

– Poszperajcie w tym, Mordent, skupcie się na Romorantin. Szukajcie powiązań między Hurfinem i fortuną Hellera-Deville’a. Mordent, chwileczkę. Przypomnijcie mi jego imię.

– Antoine.

– Ojciec Hellera-Deville’a miał na imię Antoine. Obudźcie Danglarda, niech zaraz jedzie do Romorantin. Z samego rana ma zacząć dochodzenie. Danglard to spec od logiki układów rodzinnych, szczególnie od strony spustoszeń. Powiedzcie mu, żeby poszukał, czy Antoine Hurfin nie jest synem Hellera-Deville’a. Nieuznanym synem.

– Czemu w tym grzebiemy?

– Bo on jest tym, którego szukamy.

Zaraz po przebudzeniu Adamsberg spojrzał na wybebeszony telefon komórkowy, rozebrany i suchy. Wybrał ze stacjonarnego numer biura obsługi klienta pozostającego do dyspozycji upierdliwców dzień i noc i zamówił nowy aparat ze starym zamocowanym numerem.

– To niemożliwe – odparła kobieta zmęczonym głosem.

– Możliwe. To małe coś wyszło. Trzeba je tylko przełożyć do innego aparatu.

– Proszę pana, nie da się. To nie bielizna, tylko karta z mikroprocesorem, w którym są układy scalone mniejsze od pchły...

– Proszę pani, na temat pcheł wiem wszystko – przerwał jej Adamsberg.

– Są bardzo żywotne. Chcę, żeby moje pchły scalone trafiły do nowego domku.

– Czemu nie weźmie pan po prostu nowego numeru?

– Bo czekam na ważny telefon za jakieś dziesięć, piętnaście lat. Policja kryminalna – dodał Adamsberg.

– Skoro tak... – uległa kobieta, na której ostatnie słowa zrobiły wrażenie.

– W ciągu godziny przywiozę do was aparat.

Rozłączył się, żywiąc nadzieję, że jego prywatne elektroniczne pchły okażą się skuteczniejsze niż Damasowe.

## XXXVII

Danglard zadzwonił, gdy Adamsberg kończył się ubierać – miał już na sobie spodnie i T-shirt prawie identyczne jak poprzedniego dnia. Dążył do tego, by wypracować sobie uniwersalny ubiór, pozwalający wyeliminować kwestie wyboru i doboru poszczególnych sztuk, i tym sposobem jak najmniej komplikować sobie życie garderobianymi historiami. Nie udało mu się natomiast znaleźć drugiej pary butów oprócz ciężkich buciorów górskich nieodpowiednich do chodzenia po mieście, zdecydował się zatem na skórzane sandały, które właśnie wkładał na bose stopy.

– Jestem w Romorantin – rzekł Danglard – i chce mi się spać.

– Prześpisz cztery dni pod rząd, jak skończysz robotę w Romorantin. Zbliżamy się do newralgicznego punktu. Nie schodź z tropu Antoine’a Hurfina.

– Z Hurfinem skończyłem. Prześpię się i wracam do Paryża.

– Później się prześpisz. Strzel sobie trzy kawy i rób swoje.

– Zrobiłem swoje. Wystarczyło przepytać matkę, nie robi z tego tajemnicy, wręcz przeciwnie. Antoine Hurfin jest synem Hellera-Deville’a, urodzonym osiem lat po Damasie, nieuznanym. Heller-Deville go...

– W jakich warunkach żyją? W ubóstwie?

– Powiedzmy, że im się nie przelewa. Antoine pracuje u ślusarza, mieszka w pokoiku nad warsztatem. Heller-Deville go...

– Świetnie. Wskakuj w samochód, szczegóły opowiesz po powrocie. Udało ci się do czegoś dojść w związku ze zleceniodawcą oprawców?

– Natrafiłem na coś w komputerze wczoraj w nocy. W Châtellerault. Stalownia Messeleta, duża firma w strefie ekonomicznej, dostawca numer jeden na światowym rynku przemysłu lotniczego.

– Duża sprawa, Danglard. Messelet jest właścicielem?

– Tak, Rodolphe Messelet, inżynier fizyk, profesor uniwersytecki, dyrektor laboratorium, szef przedsiębiorstwa i wyłączny właściciel dziewięciu opatentowanych wynalazków.

– W tym superlekkiej, praktycznie nie do zdarcia stali?

– Nie do rozdarcia – poprawił Danglard. – Tak, między innymi. Wniosek patentowy złożył siedem lat i siedem miesięcy temu.

– To on, Danglard, zleciłodawca tortur i złodziej wynalazku.

– Pewnie, że on. Ale też kacyk z prowincji i nietykalna święta krowa przemysłu francuskiego.

– Już my go tkniemy.

– Nie sądzę, żeby MSW wsparło nas w tym. W grę wchodzi za duża kasa i interes narodowy.

– Nie musimy szukać niczyjego wsparcia, a już zwłaszcza Brézillona. Drobnym przeciek do prasy i w dwa dni ten gnój zostanie umoczony. Będzie po nim. Postawimy go przed sądem.

– Super – rzekł Danglard. – A co do matki Hurfina...

– Później, stary, jej syn na mnie czeka.

Oficerowie z nocnej zmiany zostawili raport na stole. Antoine Hurfin, dwadzieścia trzy lata, urodzony w Vétigny, zamieszkały w Romorantin w departamencie Loir-et-Cher, uparcie trzymał się swojej wersji i zadzwonił do swojego adwokata, który kazał mu zamknąć buzię na kłódkę. Od tej pory Antoine Hurfin milczał.

Adamsberg stanął przed jego celą. Chłopak siedział na prycy, zaciskając zęby, w kościstej twarzy grały mu nieznacznie drobne mięśnie, z trzaskiem wyłamywał sobie stawy cienkich palców.

– Antoine – zaczął Adamsberg – jesteś synem Antoine'a. Jesteś Heller-Deville, ale nie masz nic. Nie masz nazwiska, nie masz ojca, nie masz kasy. Ale prawdopodobnie miałeś do przesytu lania, łomotu i udręki. Ty też lejesz, walisz. W Damasa, drugiego syna, uznanego, bogatego. W swojego przyrodniego brata. Który też przeszedł swoje, gdybyś nie wiedział. Jeden ojciec, jednakie wciury.

Hurfin słowem się nie odezwał, obrzucił tylko policjanta spojrzeniem zarazem nienawistnym i żalonym.

– Adwokat kazał ci trzymać dziób na kłódkę, więc milczysz. Jesteś zdyscyplinowany i posłuszny. To dziwne w przypadku zabójcy. Gdybym wszedł do twojej celi, nie wiem, czybyś skoczył mi do gardła czy skulił się w kącie. A może i to, i to byś zrobił? Nie wiem nawet, czy zdajesz sobie



sprawę ze swoich uczynków. Całym sobą się angażujesz w czyn, ale nie mam pojęcia, co ci siedzi w głowie. W odróżnieniu od Damasa, który wszystko ma przemyślane, za to działa nieskutecznie. Obaj mordujecie: ty rękami, on w głowie. Słuchasz mnie, Antoine?

Chłopak zadrżał, lecz nie wykonał żadnego ruchu.

Adamsberg puścił kratę i odszedł z niemal takim samym uczuciem przykrości wobec tej udręczonej rozedrganej twarzy jak wcześniej wobec bezsensownej niewzruszoności Damasa. Tatuś Heller-Deville mógł być z syna dumny.

Cele Clémentine i Damasa mieściły się w drugim końcu pomieszczenia. Grali sobie w pokera, przesuwając karty po ziemi. Z braku żetonów grali na ciastka.

– Udało się pani wyspać? – zapytał Adamsberg, otwierając kratę.

– Jako tako – odparła staruszka. – W domu lepiej, tu jest całkiem inaczej. Kiedy wychodzimy z małym?

– Komisarz Froissy zaprowadzi panią do łazienki i da pani ręcznik. Skąd macie karty?

– Od sierżanta Gardona. Wieczór całkiem miło nam upłynął.

– Damas – powiedział Adamsberg – przygotuj się. Potem będzie twoja kolej.

– Na...? – spytał Damas.

– Na mycie.

Hélène Froissy zabrała staruszkę, Adamsberg zaś poszedł do celi Kévina Roubauda.

– Wstawaj, Roubaud, idziemy. Przejedziesz się.

– Tu mi dobrze – zaproponował Roubaud.

– Wrócisz, wrócisz – obiecał Adamsberg, otwierając kratę. – Będziesz przesłuchany w sprawie pobicia ze zranieniem i podejrzenia gwałtu.

– Kurwa, ja tylko zabezpieczałem tyły.

– Nieprzeciętnie aktywne tyły. Byłeś szósty na liście. Czyli jeden z najgorszych.

– Kurwa, ale sam się zgłosiłem z pomocą. Pomoc wymiarowi sprawiedliwości chyba się liczy, nie?

– Jazda. Nie jestem sędzią.

Dwaj oficerowie zabrali Roubauda na przesłuchanie poza siedzibą brygady. Adamsberg zajrzał do swojego notatnika. Trądzik, podbródek, wrażliwy równa się Maurel.

– Maurel, kto ma zmianę pod domem Marie-Belle? – zapytał, zerkając na zegar ścienny.

– Noël i Lamarre, szefie.

– Cóż oni robią? Jest wpół do dziesiątej.

– Może nie wychodzi z domu. Nie otwiera sklepu, odkąd zapuszkowaliśmy jej brata.

– Idę tam – oznajmił Adamsberg. – Skoro Hurfin nie mówi, Marie-Belle mi powie, co od niej wyciągnął.

– Tak pan idzie?

– Znaczą jak?

– No... w sandałach? Może coś panu pożyczymy?

Adamsberg popatrzył na swoje gołe stopy widoczne między sfatygowanymi skórzanymi paskami, szukając feleru.

– A co jest z nimi nie tak? – zapytał szczerze.

– Ja tam nie wiem – odparł Maurel, zastanawiając się, jak się z tego wycofać. – Pan tu dowodzi.

– Aha – załapał Adamsberg. – Wygląd. O to chodzi, Maurel, tak?

Maurel nie odpowiedział.

– Nie mam czasu kupić butów – wyjaśnił Adamsberg, wzruszając ramionami. – A Clémentine jest chyba ważniejsza od mojego ubrania, prawda?

– Tak jest, szefie.

– Dopilnujcie, żeby jej niczego nie zabrakło. Jadę po Marie-Belle i zaraz wracam.

– Myśli pan, że będzie mówiła?

– Pewnie tak. Lubi opowiadać o sobie.

Kiedy wychodził z budynku, natknął się na kuriera, który przywiózł mu przesyłkę. Adamsberg otworzył ją na ulicy. Zawierała telefon komórkowy, postawił więc wszystko na masce samochodu, szukając „przedmiotowej” umowy. Pchły scalone przetrwały kąpiel. Stary numer będzie działał w nowym aparacie. Zadowolony wsunął komórkę do wewnętrznej kieszeni

kurtki i ruszył w drogę, rękę trzymając na telefonie, jakby przez tkaninę chciał go ogrzać i od nowa nawiązać z nim przerwany dialog.

Wypatrzył Noëla i Lamarre'a na stanowisku na rue de la Convention. Niższy był Noël. Kwadratowa twarz, blond włosy na jeża i odstające uszy równa się Noël. Wysoki sztywniak to Lamarre, były żandarm z Granville. Obaj obrzucili krótko wzrokiem jego stopy.

– Tak, tak, Lamarre, wiem. Później coś kupię. Wchodzę – oznajmił, wskazując kamienicę. – Możecie zejść z posterunku.

Przeszedł przez luksusową sień, ruszył na czwarte piętro schodami pokrytymi szerokim czerwonym chodnikiem. Zanim dotarł do drzwi Marie-Belle, zobaczył kopertę przypiętą do nich pinezką. Wstrząśnięty wolno pokonał ostatnie stopnie i podszedł do białego prostokąta, na którym widniało tylko jego nazwisko, Jean-Baptiste Adamsberg.

Zwiała. Marie-Belle zwiała jego ludziom sprzed nosa. Uciekła. Nie przejmując się Damasem. Adamsberg ze zmarszczoną brwią odpiął kopertę. Siostra Damasa opuściła gorący teren.

Siostra Damasa o r a z siostra Antoine'a.

Opadł ciężko na stopień z kopertą na kolanach. Światło na klatce schodowej zgasło. Antoine nie wyciągnął informacji z Marie-Belle, ona mu je sama dała. Hurfinowi mordercy, Hurfinowi uległemu. Posłusznemu swojej siostrze Marie-Belle Hurfin. Po ciemku zadzwonił do Danglarda.

– Jestem w samochodzie – powiedział Danglard. – Spałem.

– Danglard, czy Heller-Deville miał jeszcze jakieś nieślubne dziecko z tą kobietą z Romorantin? Córkę?

– To właśnie próbowałem ci poprzednio powiedzieć. Miał. Marie-Belle Hurfin, dwa lata starszą od Antoine'a. To przyrodnia siostra Damasa. Nie znała go, póki nie przyjechała do Paryża rok temu.

Adamsberg w milczeniu pokiwał głową.

– Przykra wiadomość? – spytał Danglard.

– Tak. Chciałem głowy mordercy i mam ją.

Adamsberg zakończył połączenie, wstał, aby zapalić światło, i oparty o drzwi otworzył kopertę.

*Drogi Panie Inspektorze,*

*nie piszę do Pana, by ułatwić Panu sprawy. Brał mnie Pan za idiotkę, co nie jest miłe. Ale ponieważ wyglądałam na idiotkę, normalnie nie mogę mieć o to pretensji. Piszę ze względu na Antoine'a. Chcę, żeby ten list został odczytany podczas jego procesu, bo on za nic nie ponosi odpowiedzialności. Ja kierowałam nim od początku do końca, ja go prosiłam, żeby zabijał. Ja mu mówiłam dlaczego, kogo, gdzie, jak i kiedy. Antoine za nic nie odpowiada, on tylko mnie słuchał jak zawsze. To nie jego wina, nic nie jest jego winą. Chcę, żeby to powiedziano na procesie, czy mogę więc liczyć na Pana? Spieszę się, bo nie zostało mi wiele czasu. Trochę głupio Pan zrobił, dzwoniąc do Lizbeth i posyłając ją do szpitala do starego. Bo Lizbeth, o czym nie każdy wie, potrzebuje czasem wsparcia. M o j e g o wsparcia. I oczywiście zaraz do mnie zadzwoniła, żeby opowiedzieć o wypadku Decambrais'go.*

*Czyli zabicie starego się nie powiodło, a Antoine dał się zapuszkować. Niedługo Pan załapie, kto jest jego ojcem, zwłaszcza że moja matka naprawdę nie robi z tego tajemnicy, i szybciotko zjawi się Pan u mnie. Dwóch Pańskich ludzi już siedzi na dole w samochodzie. Przepadło, zmywam się. Niech Pan się nie trudzi i nie próbuje mnie odszukać, szkoda zachodu. Mam kupę kasy, którą ściągłam z konta tego kretyna Damasa, i jestem zaradna. Mam afrykański strój, który Lizbeth mi załatwiła na jakąś zabawę, Pańscy ludzie się nie połapią, o to się nie martwię. Tak że normalnie niech Pan da sobie spokój.*

*Na szybko zdradzę Panu kilka szczegółów, aby jasne było, że Antoine za nic nie ponosi odpowiedzialności. Nienawidzi Damasa tak samo jak ja, ale nie jest zdolny do knucia. W dzieciństwie potrafił tylko słuchać matki i ojca, jak od niego oberwał, a poza tym dusić kury i króliki, by wyładować złość. Normalnie w ogóle się nie zmienił. Nasz ojciec może i był królem przemysłu lotniczego, ale przede wszystkim był królem drani, powinien Pan być tego świadom. Umiał tylko majstrować dzieci i lać, aż dudniło. Miał wcześniej dziecko, ślubne, które się chowało w jedwabiach w Paryżu. Mówię o tym czubku Damasi. Nas się wstydził, byliśmy proletariuszami z Romorantin, nigdy nie chciał nas uznać. Kwestia reputacji, mówił. Za to w kwestii cięgow niczego nam*

nie żałował, nieraz z matką i bratem oberwaliśmy zdrowo. Ja to olewałam, już wcześniej postanowiłam, że kiedyś go zabiję, ale ostatecznie sam się roztrzaskał. A jak chodzi o pieniądze, nie rozpieszczał mamy, dawał tyle, żeby wyżyć, bo się bał, że sąsiedzi zaczną sobie zadawać pytania, jeśli zobaczą, że prowadzimy wystawne życie. Drań, brutal i tchórz – takim był człowiekiem.

Kiedy strzelił kopytami, powiedzieliśmy sobie z Antoine'em, że niby dlaczego nie mamy mieć prawa do jego kasy, skoro pozbawił nas nazwiska? Mieliśmy prawo, byliśmy w końcu jego dziećmi. Owszem, ale należało to jeszcze udowodnić. Normalnie wiadomo było, że odpadają badania genetyczne, bo roztrzaskał się gdzieś nad Atlantykiem. Takie badania można było za to zrobić z Damasem, który zgarnął cały szmal i niczym się nie podzielił. Ale myśleliśmy, że Damas się nie zgodzi na testy genetyczne, bo to normalnie by go pozbawiło dwóch trzecich kasy. Chyba że by nas polubił, pomyślałam. Chyba że by stracił dla mnie głowę. Jestem dość mocna w te klocki. Zastanawialiśmy się też, czyby go nie wyeliminować, ale powiedziałam Antoine'owi, nie ma mowy: jakbyśmy się zaczęli domagać spadku, kogo by zaczęli podejrzewać? Normalnie nas.

Z tą myślą przyjechałam do Paryża: powiem mu, że jestem jego przyrodnią siostrą, pobiadolę, jaka jestem biedna, i tak zrobię, żeby mnie zaakceptował. W dwa dni owinęłam sobie Damasa wokół palca. Przyjął mnie z otwartymi ramionami, mało brakowało, a byłby się popłakał, zwłaszcza jak się dowiedział, że ma też przyrodniego brata. Jadł mi z ręki, palant. Wszystko szło jak po maśle w kierunku testów DNA. Planowałam, że jak już dostaniemy dwie trzecie majątku, puszcze w trąbę Damasa. Nie bardzo lubię takich facetów, co to prężą muskuły i beczą o byle co. Później dopiero się zorientowałam, że Damas to oszołom. Ponieważ jadł mi z ręki i potrzebował wsparcia, opowiedział mi o tym swoim pokręconym planie, o zemście, dżumie, pchłach i tak dalej. Znałam każdy szczegół, mówił o tym godzinami. Znałam nazwiska tych ludzi, których odnalazł, adresy, wszystko. Ani przez chwilę nie wierzyłam, że te głupie pchły kogoś zabiją. Normalnie zmieniałam plan, każdy by to zrobił na moim miejscu. Czemu mamy się

starac o dwie trzecie, skoro możemy zgarnac wszystko? Damas miał nazwisko, a to już bardzo dużo. A my nic. Najlepsze, że Damas w ogóle nie chciał tknac kasy ojca, mówił, że to wszystko przeklęte, brudne. Nawiasem mówiąc, zdaje mi się, że jemu też nie było lekko, kiedy był mały.

Muszę powoli konczyć. Wystarczyło pozwolić Damasowi, żeby odczyniał te swoje czary-mary, a myśmy załatwiali gości za jego plecami. Bo postawienie za niego kropki nad „i” załatwiało mu jak nic dożywocie. Po ósmym morderstwie miałam jakby nigdy nic podsunąć glinom jego trop. Jestem niezła w te klocki. Potem, skoro jadł mi z ręki, oddałby mi zarządzanie majątkiem, znaczy razem z Antoine’em bym wszystko wyprowadziła i hajda! sprawiedliwości stałoby się zadość. Antoine miał tylko mnie słuchać i zabijać, taki podział zadań mu pasował, bo on to lubi, znaczy słuchać i zabijać. Ja nie mam dość siły i zasadniczo nie przepadam za tym. Pomogłam mu, wywabiłam z domu dwóch facetów, Viarda i Clerca, kiedy wszędzie roilo się od glin, i Antoine po kolei ich załatwił. Piszę o tym, bo właśnie chcę, by Pan wiedział, że to nie wina Antoine’a. Słuchał mnie, on nic innego nie potrafi. Gdybym mu kazała przynieść wiadro wody z Marsa, poszedłby bez mrugnięcia. To nie jego wina. Gdyby mógł trafić do domu opieki, ale takiej intensywnej, wie Pan, zamiast do paki, byłoby to bardziej sprawiedliwe, bo normalnie on nie jest winny. W głowie ma kaszanę.

Damas się dowiedział, że ludzie umierają, i nie grzebał w tym więcej. Był przekonany, że działa jego „moc Journotów”, i nic więcej go nie obchodziło. Dupek. Jak nic bym go załatwiła, gdyby Pan się nie wmixował. On też powinien się leczyć, przydałaby mu się jakaś intensywna terapia.

U mnie w porządku. Pomysłów nigdy mi nie brakuje, nie gryzę się przyszłością, może się Pan o mnie nie martwić. Gdyby Damas mógł posłać trochę tej brudnej kasy mamie, nikomu by to nie zaszkodziło. Niech Pan nie zapomni zwłaszcza o Antoinie, liczę na Pana. Buziaki dla Lizbeth i dla tej gąski Évy. Ściskam Pana, strasznie mi Pan namieszał, ale lubię takich jak Pan. Bez urazy,

Marie-Belle.

Adamsberg poskładał list i z pięścią na ustach długo siedział na schodach po ciemku.

Po powrocie na komisariat bez słowa otworzył celę Damasa i dał znak, by poszedł z nim. Damas wziął sobie krzesło, odrzucił włosy do tyłu i popatrzył na niego z uwagą, cierpliwie. Wciąż nic nie mówiąc, Adamsberg podał mu list jego siostry.

– To do mnie? – zapytał Damas.

– Do mnie. Czytaj.

Damas ciężko to przeżył. Siedział potem z listem trzymanym czubkami palców, z głową opartą na ręce, i Adamsberg zobaczył łzy kapiące mu na kolana. Za dużo było rewelacji naraz: nienawiść brata i siostry, totalne zaprzeczenie „mocy Journotów”. Adamsberg cichutko usiadł naprzeciw niego i czekał.

– Pchły nic nie roznosiły? – wyszeptał wreszcie Damas z głową ciągle spuszczoną.

– Nic.

Damas znów zamilkł na dłuższą chwilę, dłonie zacisnąwszy na kolanach, jakby łyknął coś okropnego i nie mógł tego przełknąć. Adamsberg niemal widział, jak w postaci przerażającej masy zwala się na niego rzeczywistość, miażdży mu głowę, rozbija jego świat obły jak kula, wykrwawia do cna jego wyobrażenia. Zastanawiał się, czy facet da radę wyjść na własnych nogach z biura z takim brzemieniem, które uderzyło w niego niczym meteoryt.

– Nie było dżumy? – zapytał wreszcie, z trudem wymawiając słowa.

– Ani jednego przypadku.

– Nie umarli na dżumę?

– Nie. Zostali uduszeni przez twojego przyrodniego brata Antoine’a Hurfina.

Znowu się przygiął i znowu zacisnął ręce na kolanach.

– Uduszeni i poczernieni – ciągnął Adamsberg. – Nie dziwiły cię ślady uduszenia, plamy z węgla?

– Dziwiły.

– I?

– Myślałem, że policja zmyśla, żeby ukryć dżumę i nie straszyć ludzi.

A to była prawda?

– Tak. Antoine po tobie przystępował do dzieła i likwidował ich.

Damas spojrział na swoją dłoń, dotknął diamentu.

– A Marie-Belle nim kierowała?

– Tak.

Kolejne milczenie, kolejne przygięcie

W tej chwili wszedł Danglard, któremu Adamsberg wskazał palcem list leżący u stóp Damasa. Danglard podniósł go, przeczytał i z poważną miną pokiwał głową. Adamsberg napisał kilka słów na kartce i podał mu ją. „Wezwij doktora Fereza do Damasa: pilne. Powiadom Interpol o Marie-Belle: beznadziejna sprawa, za sprytna”.

– A Marie-Belle nie kochała mnie? – wyszeptał Damas.

– Nie.

– Myślałem, że mnie kocha.

– Ja też tak myślałem. Wszyscy tak myśleli. Wszystkich nas zrobiła w konia.

– Kochała Antoine’a?

– Tak. Troszkę.

Damas zgiął się wpół.

– Czemu nie poprosiła mnie o pieniądze? Dałbym je, wszystkie bym jej dał.

– Nie sądzili, żeby to było możliwe.

– I tak nie chcę ich tknąć.

– Ale je tkniesz, Damas. Opłacisz porządnego adwokata przyrodniemu bratu.

– Tak – rzekł Damas, obejmując głowę rękami.

– Musisz się też zaopiekować ich matką. Nie ma środków do życia.

– Tak. „Gruba z Romorantin”. W domu zawsze tak się o niej mówiło. Nie wiedziałem, co to znaczy ani o kogo chodzi. – Poderwał nagle głowę. – Nie powie jej pan, co? Nie powie pan?

– Ich matce?

– Mané. Nie powie jej pan, że pchły nie były... nie były...

Adamsberg nie podpowiadał. Damas musiał wymówić te słowa sam, i to wiele razy.



- Nie były... zarażone? – dokończył Damas. – To by ją zabiło.
- Nie jestem mordercą. Ty też nie. Pomyśl o tym i pamiętaj.
- Co ze mną będzie?
- Nikogo nie zabiłeś. Odpowiadasz tylko za jakieś trzydzieści ukąszeń przez pchły i wywołanie paniki wśród mieszkańców miasta.
- Więc?
- Nie będziesz oskarżony. Możesz wyjść dzisiaj, choćby zaraz.

Damas wstał niezgrabnie jak człowiek skrajnie wyczerpany, zaciskając pięść na diamentcie. Adamsberg patrzył, jak wychodzi, i podążył za nim, by mieć nań oko przy pierwszym kontakcie z realną ulicą. Damas jednak skręcił ku swojej otwartej celi, zwinął się w kłębek na pryczy i zastygł. Antoine Hurfin leżał na swojej pryczy w takiej samej pozycji, tylko z głową w przeciwną stronę. Tatuś Heller-Deville wykonał dobrą robotę.

Adamsberg otworzył celę Clémentine, która pałac, wykładała pasjansa.

- I co? – zapytała, spoglądając na niego. – Coś drgnęło? Chodzą tam i z powrotem, nigdy nie wiadomo, co się dzieje.
  - Wychodzi pani. Ktoś panią odwiezie do Clichy.
  - Nie spieszyło się wam. – Zgniotła niedopałek na podłodze, włożyła sweter, starannie go pozapinała. – Porządne ma pan sandały – rzekła ze znanstwem. – Dobrze się trzymają na nodze.
  - Dziękuję – odparł Adamsberg.
  - Wie pan co? Skorośmy się trochę poznali, może by mi pan powiedział, jak jest z tymi trzema psubratami? Wykitowali? W tym zamieszaniu nie śledziłam wiadomości.
  - Wszyscy trzej umarli na dżumę. Kévin Roubaud pierwszy.
- Clémentine się uśmiechnęła.
- Potem ten drugi, którego nazwiska nie pamiętam, i Rodolphe Messelet nie dalej jak godzinę temu. Padł jak kawka.
  - W samą porę – powiedziała Clémentine z szerokim uśmiechem. – Jest sprawiedliwość na tym świecie. Nie trzeba się tylko spieszyć i już.
  - Jak się nazywał ten drugi? Wyleciało mi z głowy.
  - Mnie tam nic nie wyleciało. Henri Tomé, rue de Grenéle. Ostatni łotr.
  - No właśnie.

– A mały?

– Zasnął.

– Widać umordował go pan strasznie, siedząc mu tak na karku. Pan mu powie, że w niedzielę czekam z obiadem jak zwykle.

– Przyjedzie.

– No, to chyba będzie wszystko, panie inspektorze – zakończyła, podając mu silną dłoń. – Jeszcze tylko zajrzę na słówko do tego Gardona, żeby mu podziękować za karty, i do tego drugiego, takiego wysokiego, trochę powolnego, łysego, zażywnego, z dobrym gustem.

– Danglarda?

– Ano, chce przepis na moje ciastka. Nie powiedział tego otwarcie, ale zrozumiałam w czym rzecz. Wyglądało mi, że mu na tym zależy.

– To możliwe.

– Ten człowiek potrafi żyć – przyznała Clémentine, kiwając głową. – Przepraszam, pójdę przodem.

Adamsberg odprowadził Clémentine Courbet do wyjścia, po czym wrócił do czekającego już Fereza.

– On? – spytał Ferez, wskazując cełę, w której leżał skulony Hurfin.

– To morderca. Gruba sprawa rodzinna, doktorze. Prawdopodobnie trafi do domu wariatów.

– Nie mówimy już „dom wariatów”.

– Za to on – ciągnął Adamsberg, wskazując Damasa – ma wyjść, ale nie jest w stanie. Oddałby mi pan wielką, ogromną przysługę, gdyby mu pan pomógł i podjął się leczenia. Trzeba go przywrócić do rzeczywistości. Zaliczył bardzo bolesny upadek. Z dziesiątego piętra.

– To ten człowiek od widma?

– Tak.

Kiedy Ferez zajmował się Damasem, Adamsberg nasłał dwóch funkcjonariuszy na Henriego Tomégo i prasę na Rodolphe’a Messeleta. Następnie zadzwonił do Decambrais’go, który miał wyjść ze szpitala po południu, oraz do Lizbeth i Bertina, aby ich uprzedzić, że mają spokojnie przygotować powrót Damasa. Na koniec zatelefonował do Massény i wreszcie do Vandooslera, którego chciał poinformować o skutkach karygodnego błędu.

– Źle pana słyszę, Vandoosler.

– Lucien wykłada zakupy na stół. Robi trochę łośmotu.

Wyraźnie natomiast Adamsberg usłyszał silny głos Luciena, który perorował w akustycznym dużym pomieszczeniu:

– Za często w naturze zapomina się o nadzwyczajnej mocy dyni.

Zakończył połączenie, myśląc, że byłoby to dobre ogłoszenie dla Jossa Le Guerna. Ogłoszenie krzepkie, zdrowe i dobrze akcentowane, bez historii, odległe, bardzo odległe od ponurych zapowiedzi dżumy, które już się zacierały w pamięci. Położył telefon na stole, na samym środku, i przyglądał mu się przez chwilę. Wszedł Danglard z teczką w ręce i powiódł za wzrokiem Adamsberga. On także zaczął w milczeniu obserwować nieduży aparat.

– Coś nie w porządku z tym telefonem? – zapytał po długiej minucie.

– Nie – odparł Adamsberg. – Nie dzwoni.

Danglard zostawił na stole teczkę zatytułowaną „Romorantin”, po czym wyszedł bez komentarza. Adamsberg położył się na niej z głową na zgiętych ramionach i zasnął.

## XXXVIII

O wpół do ósmej wieczorem Adamsberg dotarł do placu Edgar-Quinet niespiesznie, lecz lżejszy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Lżejszy, a także pustszy. Wszedł do domu Decambrais'go, do niedużego gabinetu, na którym skromna tabliczka obwieszczała: „Doradca w sprawach życiowych”. Decambrais był na posterunku, ciągle jeszcze trochę blady, lecz już wyprostowany – przemawiał do mocno poruszonego grubego czerwonolicego mężczyzny, który siedział naprzeciwko.

– Ooo... – powiedział Decambrais, obrzucając spojrzeniem Adamsberga, potem zerkając na jego sandały. – Hermes, posłaniec bogów. Co nowego?

– Spokój w mieście, Decambrais.

– Niech pan poczeka minutkę. Właśnie udzielam konsultacji.

Adamsberg cofnął się do drzwi. Odchodząc, posłyszał fragment podjętej na nowo rozmowy.

– Z tego nic nie wyjdzie, mowy nie ma – rzekł mężczyzna.

– Już jest lepiej – zauważył Decambrais.

– Z tego nic nie wyjdzie.

Dziesięć minut później Decambrais zaprosił inspektora do gabinetu, wskazał mu krzesło jeszcze ciepłe po poprzedniku.

– Czego dotyczyła porada? – spytał Adamsberg. – Mebla? Kogoś z rodziny?

– Związku. Dwadzieścia siedem zerwań i dwadzieścia sześć pojednań z tą samą kobietą, absolutny rekordzista wśród moich klientów. Nazywają go Wylany-Wpuszczony.

– I co mu pan radzi?

– Nigdy nic nie radzę. Próbuję zrozumieć, czego chce człowiek, i pomóc mu to zrobić. Na tym polega doradztwo. Jeśli ktoś chce zerwać, pomagam mu. Jeśli na drugi dzień chce się pogodzić, też mu w tym pomagam. A czego pan chce, inspektorze?

– Nie wiem. I zasadniczo wszystko mi jedno.

– Więc nie mogę panu pomóc.

– Wiem. Nikt nie może. Zawsze tak było.

Decambrais z lekkim uśmiechem oparł się o krzesło.

– Nie miałem racji co do Damasa?

– Miał pan. Dobry z pana doradca.

– Nie mógł naprawdę zabijać, wiedziałem. Tak naprawdę tego nie chciał.

– Widział go pan?

– Godzinę temu wszedł do sklepu. Ale nie podniósł żaluzji.

– Wysłuchał sesji?

– Spóźnił się. Wieczorna sesja w tygodniu jest dziesięć po szóstej.

– Przepraszam. Nie jestem za mocny w rozkładzie godzin i w datach.

– Nic nie szkodzi.

– Czasem szkodzi. Oddałem Damasa w łapy lekarza.

– Dobrze pan zrobił. Zleciał z chmury i rąbnął o ziemię. To nigdy nie jest zabawne. W górze nie ma rzeczy, które się rozlatują albo nie dają się skleić. Dlatego tam siedział.

– Lizbeth?

– Zaraz do niego poszła.

– Aha.

– Évie będzie trochę przykro.

– Normalnie – powiedział Adamsberg. Zamilkł na chwilę. – Widzi pan, Ducouëdic – podjął, zmieniając pozycję, aby znaleźć się naprzeciw niego – Damas przesiedział pięć lat w pudle za zbrodnię, której nie było. Dzisiaj jest wolny, chociaż wierzył, że popełnia zbrodnię. Marie-Belle ucieka, by nie odpowiadać za jatkę, którą wymyśliła. Antoine zostanie skazany za morderstwa, które popełnił, choć o nich nie decydował.

– Wina i wina pozorna – rzekł Decambrais powoli. – Interesuje to pana?

– Tak – przyznał Adamsberg, wymieniając z nim spojrzenie. – Wszystkich nas to dotyczy.

Decambrais przez kilka chwil wytrzymywał jego wzrok, wreszcie pokiwał głową.

– Nie tknąłem tamtej dziewczynki, inspektorze. Trzej uczniowie dobierali się do niej w toalecie. Zacząłem ich łać jak głupi, wziąłem małą na rękę i wyniosłem. Obciążęły mnie zeznania uczniów.

Adamsberg przytaknął mrugnięciem.

– Tak pan myślał? – spytał Decambrais.

– Tak.

– No to byłby pan dobrym doradcą. Już wtedy byłem prawie impotentem.

Tak też pan myślał?

– Nie.

– A teraz mam to gdzieś – rzekł Decambrais, krzyżując ręce. – Albo prawie.

W tej chwili przez plac przetoczył się grzmot Normandczyka.

– Calvados – powiedział Decambrais, unosząc palec. – Gorące danie. Tego nie można przepuścić.

W Wikingu Bertin stawiał wszystkim kolejkę na cześć Damasa, którego skołatana głowa opierała się na ramieniu Lizbeth. Le Guern wstał i uściśnął dłoń Adamsbergowi.

– Awaria usunięta – obwieścił Joss. – Koniec z ekstraniusami. Górą warzywa do sprzedania.

– Za często w naturze – rzekł na to Adamsberg – zapomina się o nadzwyczajnej mocy dyni.

– Prawda – przyznał poważnie Joss. – Widziałem dynie, które w dwie noce robiły się jak balony.

Adamsberg dołączył do hałaśliwej grupki, która zabierała się do kolacji. Lizbeth przysunęła mu krzesło i uśmiechnęła się. Nagle zapragnął przytulić się do niej, tyle że miejsce już było zajęte przez Damasa.

– Uśnie na moim ramieniu – powiedziała, wskazując Damasa palcem.

– To normalne, Lizbeth. Będzie długo spał.

Bertin ceremonialnie doniósł talerz dla inspektora. Gorącego dania nie można przepuścić.

Danglard pchnął drzwi Wikinga w porze deseru, oparł się łokciem o bar, Kulkę postawił przy nogach i dał dyskretnie znak Adamsbergowi.

– Mam mało czasu – powiedział, gdy inspektor do niego podszedł. – Dzieci czekają.

– Kłopoty z Hurfinem? – zapytał Adamsberg.

– Nie. Ferez był u niego. Dał mu coś na uspokojenie. Facet posłusznie łyknął proszek i poszedł spać.

– Świetnie. Ostatecznie wszyscy dzisiaj pójną spać spokojnie.

Danglard poprosił Bertina o kieliszek wina.

– A ty?

– Nie wiem. Może położę trochę.

Danglard wychylił pół kieliszka i spojrzał na Kulkę, która ułożyła się na jego bucie.

– Rośnie, hę? – zauważył Adamsberg.

– No.

Danglard dopił wino i bezgłośnie odstawił kieliszek na kontuar.

– Lizbona – powiedział, przesuwając złożoną kartkę po barze. – Hotel São Jorge. Pokój trzysta dwa.

– Marie-Belle?

– Camille.

Adamsberg stęzał cały jak pod wpływem nagłego ciosu. Założył ręce z przodu, mocno je ścisnął i oparł się o bar.

– Jak się dowiedziałeś?

– Kazałem ją śledzić – odparł Danglard, schylając się, aby podnieść kociaka bądź ukryć twarz. – Od początku. Jak ostatni drań. W żadnym razie nie może się o tym dowiedzieć.

– Gliniarza posłałeś za nią?

– Villeneuve’a. Byłego z Piątki.

Adamsberg trwał w bezruchu wpatrzony w złożoną kartkę.

– Będą inne wypadki – powiedział.

– Wiem.

– I zasadniczo...

– Wiem. Zasadniczo.

Adamsberg wciąż bez ruchu obserwował białą kartkę, w końcu wolno wyciągnął ku niej rękę i zacisnął palce na papierze.

– Dzięki, stary.

Danglard wetknął kociaka pod pachę i ruszył ku wyjściu z Wikinga, już odwrócony tyłem skinął inspektorowi ręką na pożegnanie.

– Kolega? – zapytał Bertin Adamsberga.

– Poślaniec. Bogów.

Kiedy plac ogarnęły ciemności, Adamsberg oparty o platan otworzył notes i wyrwał z niego kartkę. Zastanowił się, potem napisał: „Camille”. Odczekał chwilę i dodał: „Ja”.

Początek zdania, pomyślał. Nieźle.

Po dziesięciu minutach, ponieważ ciąg dalszy nie przychodził mu do głowy, postawił kropkę po „Ja” i zawinął w kartkę pięciofrankówkę.

Następnie wolnym krokiem przeciął plac i wrzucił swoje ogłoszenie do niebieskiej skrzynki Jossa Le Guerna.



---

<sup>1</sup> Bretoński napój alkoholowy, krewniak miodu pitnego (przyp. tłum.).

# Spis treści

Strona tytułowa	2
Strona redakcyjna	3
Spis treści	4
Rozdział I	7
Rozdział II	8
Rozdział III	20
Rozdział IV	30
Rozdział V	39
Rozdział VI	48
Rozdział VII	54
Rozdział VIII	62
Rozdział IX	65
Rozdział X	72
Rozdział XI	78
Rozdział XII	85
Rozdział XIII	98
Rozdział XIV	100
Rozdział XV	104
Rozdział XVI	109
Rozdział XVII	115
Rozdział XVIII	126
Rozdział XIX	132
Rozdział XX	142
Rozdział XXI	148

Rozdział XXII	158
Rozdział XXIII	168
Rozdział XXIV	170
Rozdział XXV	187
Rozdział XXVI	193
Rozdział XXVII	200
Rozdział XXVIII	203
Rozdział XXIX	209
Rozdział XXX	212
Rozdział XXXI	219
Rozdział XXXII	225
Rozdział XXXIII	236
Rozdział XXXIV	252
Rozdział XXXV	258
Rozdział XXXVI	264
Rozdział XXXVII	279
Rozdział XXXVIII	292
Przypisy	297